POŻEGNANIE KAROLA MODZELEWSKIEGO

RAPORT NA WYBORY
Na co naprawdę stać państwo

ZUZANNA RADZIK
Protokoły biskupa Jeża

Kraków 12 maja 2019 nr 19 (3644) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

WERONIKA MUREK

Rzeczpospolita we władzy wujaszków

W NUMERZE DODATKI:

- **POKOLENIE A**
- **POZNAŃSKA NAGRODA LITERACKA**
- **FESTIWAL KATOWICE KULTURA NATURA**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

PREMIERA na 30-lecie nowej Polski!

Malarz hodujący kury, zakonnica adoptująca niepełnosprawnego chłopca, blogerka kulinarna, chłopak zjeżdżający na nartach z K2, były więzień i była prezydentowa oraz matematyczka-kwakierka.

Poznajcie dowody na wolność – rozmowy, reportaże, spotkania, czyli najlepsze opowieści o nowej Polsce.

weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności” **JUŻ W SPRZEDAŻY**
w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą.
Więcej informacji **powszech.net/smakwolnosci**

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA

Kraków

GDAŃSK '89 2019 GDAŃSK

GDYNIA moje miasto '89 2019 GDYNIA

Sopot '89 2019 SOPOT

Mazowsze. serce Polski

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

POZnań

Adwokatura Polska

ECS europejskie centrum solidarności

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI // RYSUNEK: PATRYK SROCZYŃSKI

KS. ADAM

Boniecki: *Jeśli jest tak dobrze, czemu się smucimy?*

Miło się dowiedzieć, że produkt krajowy brutto (PKB) wzrósł w Polsce najwięcej w Europie. „Biorąc pod uwagę siłę nabywczą – mówi w tym numerze »Tygodnika« ekonomista Marcin Piątkowski – PKB *per capita* wzrósł niemal trzykrotnie, z około 10,3 tys. dolarów w 1990 r. do blisko 27 tys. dolarów w 2017 r. (...) W ciągu ostatnich 25 lat Polska rozwijała się szybciej niż wszystkie kraje na świecie o podobnym poziomie dochodów”. Z naszym PKB zajmujemy teraz 56. miejsce w świecie. To nie byle co, bowiem wskaźnik ten mówi o rozwoju gospodarczym kraju (definiuje się go jako wyrażoną w pieniądzu łączną wartość wszystkich dóbr i usług wytworzonych w danym kraju, zwykle w ciągu roku lub kwartału).

Powinniśmy się cieszyć – dlaczego więc przy lekturze tych informacji niektórych z nas trafia szlag? Zresztą, nie tylko nas. Anthony B. Atkinson, badacz zajmujący się zagadnieniem dystrybucji dóbr, pisze w książce „Nierówności. Co da się zrobić?”: „Wydarzenia polityczne kilku ostatnich lat w USA oraz w wielu innych państwach świata odzwierciedlają stan ciągłego zagrożenia, w jakim żyje wielu przeciętnych obywateli i które niemal w ogóle nie jest odnotowywane w pomiarach PKB. Stan ten bierze się między innymi stąd, że przy podejmowaniu wielu decyzji władze kierowały się wyłącznie wskaźnikami PKB oraz dyscypliną fiskalną. Przykładem mogą być tu »reformy« emerytalne obciążające obywateli większym ryzykiem albo »reformy« rynku pracy, które w imię podnoszenia »elastyczności« osłabiają pozycję negocjacyjną pracowników, dając pracodawcom większą swobodę w zakresie zwolnień, co prowadzi do obniżenia płac i odbiera poczucie bezpieczeństwa”.

Nie trzeba być Atkinsonem, aby wiedzieć, że problem nie polega, a przynajmniej nie polega wyłącznie na wielkości PKB. Dziesięć lat temu powołana przez ówczesnego prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy’ego międzynarodowa Komisja ds. Pomiaru Wydajności Ekonomicznej i Postępu Społecznego uznała, że PKB nie jest dobrym wskaźnikiem dobrobytu. „To, co mierzymy, wpływa na to, co robimy; a jeśli będziemy mierzyć nie to, co potrzeba, podejmiemy niewłaściwe działania – czytamy w jej raporcie. – Kiedy skupimy się wyłącznie na aspektach materialnych (...), zamiast na zdrowiu, edukacji i środowisku naturalnym, wówczas sami staniemy się wynaturzeni na podobieństwo wypaczonych wskaźników”.

„Dla polityki państwa w sferze podziału dochodów kluczowym elementem ideologicznym jest wyłonienie i uznanie za sprawiedliwe określonych kryteriów podziału dóbr między grupy i poszczególnych członków społeczeństwa. (...) Skrajny wzrost nierówności ekonomicznych (społecznych, politycznych) prowadzi na ogół do destabilizacji sytuacji społecznej. Dlatego zasadniczą rolą państwa powinno być ograniczanie nierówności dochodowych i niwelowanie – za pomocą mechanizmu podatków i transferów – zbyt wysokich rozpiętości dochodów” – pisze z kolei Małgorzata Julia Radziukiewicz w książce „Redystrybucja dochodów. Kto zyskuje? Kto traci?”.

Joseph Stiglitz, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii, przekonuje, że ani wzrost nierówności, ani fakt, że przeważająca część bogactwa należy do zaledwie jednego procenta społeczeństwa, nie jest kwestią praw natury, lecz efektem politycznych decyzji i wpływu osób oraz instytucji, które „pogoń za rentą nazywają wolnym rynkiem”. Rosnące nierówności szkodzą wszystkim. Można im przeciwdziałać, ale „będzie to wymagało reform bardziej wyszukanych niż zwykłe podwyższenie podatków dla bogatych i szeregu kompleksowych zmian w dziedzinach zatrudnienia, technologii, ubezpieczeń społecznych, dystrybucji kapitału i opodatkowania” (to ponownie Anthony B. Atkinson).

Ale my walkę z nierównościami pamiętamy z czasów słusznie minionych. Dlatego sprawdzamy, czy w proponowanych zmianach rzeczywiście chodzi o podniesienie statusu ludzi biednych, czy wyłącznie o to, by zapobiegać wzrostowi dochodów i budowaniu większego majątku przez tych, którzy są do tego zdolni. ©℗

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

WARSZAWA
czwartek, 9 maja, godz. 19.00
Spotkanie „W jaki wierzę Kościół”.
Miejsce: sala KIK
(ul. Freta 20/24A).
Wstęp wolny.

ŻORY
środa, 15 maja, godz. 18.00
Spotkanie autorskie.
Miejsce: Biblioteka w Żorach
(os. Pawlikowskiego PU-13).
Wstęp wolny.

DĄBROWA GÓRNICZA
czwartek, 16 maja, godz. 17.00
Kawiarenka obywatelska.
Miejsce: Pałac Kultury Zagłębia
(pl. Wolności 1).
Wstęp wolny.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Promile we mgle
MAREK RABIJ
Od podatków – pewnie coraz wyższych – nie ma ucieczki. Jedna po drugiej umierają za to inne reguły polityki ekonomicznej, które niedawno uchodziły za dogmaty.

16 Nie możemy być fiskalnym Talibanem
ROZMOWA Z MARCINEM PIĄTKOWSKIM, EKONOMISTĄ:
Musimy przeprojektować Polskę. Jeśli nam się nie uda, stracimy najlepszą szansę w historii, żeby dogonić Zachód.

22 Na Zachodzie, czyli nigdzie
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Wybory do Parlamentu Europejskiego są ważne same w sobie. Nie dajmy się uwieść krótkowzrocznej logice polskiej polityki, która czyni z nich rozgrzewkę przed jesiennym bojem o Sejm i Senat.

52 Sprej na depresję
PIOTR POPIK
Pokładanie nadziei w magicznej mocy pojedynczej dawki antydepresantu może być naiwne.

32 Kompleks pewnej nacji
ZUZANNA RADZIK
Niepokojące aluzje biskupa tarnowskiego, powrót zwyczaju palenia Judasza czy misteriów paschalnych z antyżydowskimi symbolami – czy w polskim Kościele odradza się antysemityzm?

76 W cieniu zakwitających wujaszków
Z WERONIKĄ MUREK, PISARKĄ, ROZMAWIA MICHAŁ SOWIŃSKI:
To wujek okazuje się zazwyczaj najbardziej przystępną częścią naszej symbolicznej, polskiej rodziny.

110 Lisi los
MAŁGORZATA I MICHAŁ KUŹMIŃSCY
Jest najbardziej niesprawiedliwie traktowanym przez ludzi gatunkiem. Bo ze swoją nieludzko ludzką inteligencją jest do nas zbyt podobny.

M. LASYK / REPORTER // ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA // PAWEŁ TOPOLSKI / PAP // MAŁGORZATA FUGIEL-KUŹMIŃSKA // GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA // STUDIO KIVI / STOCK.ADOBE.COM

6 Zimna woda Tuska
PAWEŁ BRAVO

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Na Zachodzie, czyli nigdzie
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

26 Oni nie śpią
PAULINA BŁASZKIEWICZ: *Pacjenta wybudzonego ze śpiączki i jego bliskich czeka ciężka praca*

29 Krajobraz po strajku
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Bilans kilkunastodniowej akcji jest niemal pod każdym względem ujemny*

WIARA

32 Kompleks pewnej nacji
ZUZANNA RADZIK

36 Boże znaki PIOTR SIKORA: *Znaków trzeba dziś szukać raczej w przemianie ludzkiej świadomości niż w pożarach katedr*

39 Matrix w Kościele
KS. JACEK PRUSAK SJ: *Księża homoseksualiści i Kościół*

ŚWIAT

42 Strach wraca na Sri Lankę
TOMASZ AUGUSTYNIAK: *Wyspa latami doświadczana przez terror i podziały etniczne mierzy się z nową traumą*

45 Kolejna szansa na zmianę
PAWEŁ PIENIĄŻEK: *Czy prezydent Wołodymyr Zełenski sprosta oczekiwaniom Ukraińców?*

KAROL MODZELEWSKI (1937–2019) POŻEGNANIE

GRAŻYNA MAKARA

100 Rzeczpospolita niesolidarna
Z KAROLEM MODZELEWSKIM ROZMAWIAŁ RAFAŁ WOŚ:
Wszystkie toksyny, które do dziś trawią polskie życie, zrodziły się z przekonania, że „ktoś ukradł nasze zwycięstwo".

105 Karol, historia rodzinna
KALINA BŁAŻEJOWSKA
Był jednym z ojców polskiej niepodległości, ale gdy nie dostał zaproszenia na obchody jej stulecia, w ogóle się nie przejął.

DODATKI SPECJALNE
Pokolenie A
Poznańska Nagroda Literacka 2019
Festiwal Katowice Kultura Natura

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER **41** SZYMON HOŁOWNIA
57 WOJCIECH BONOWICZ **90** JAN KLATA
91 PAWEŁ BRAVO **114** STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: WERONIKA MUREK
Fotografia: GRAŻYNA MAKARA
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

48 W Wilnie bez rewolucji
DOMINIK WILCZEWSKI *o zbliżających się wyborach prezydenckich*

50 W objęciach Putina
ROMAN HUSARSKI: *Przywódca Korei Północnej ma w rosyjskim prezydencie dobrego sojusznika. Ale nie za darmo*

NAUKA

52 Sprej na depresję
PIOTR POPIK

55 Najgorsze ze zwierząt
KALINA BŁAŻEJOWSKA *o serialu Netfliksa „Nasza planeta"*

KULTURA

76 W cieniu zakwitających wujaszków ROZMOWA Z WERONIKĄ MUREK

81 Teatr Rzeczpospolitej
DARIUSZ KOSIŃSKI *o spektaklu „teraz każdy z was jest rzeczpospolitą" w Teatrze im. Szaniawskiego w Wałbrzychu*

84 I nic nie trzeba tłumaczyć
ROZMOWA Z ZESPOŁEM HAŃBA!, *który wyśpiewuje historie z dwudziestolecia międzywojennego i wykorzystuje utwory z epoki*

86 Bunt w Toskanii
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Słodki koniec dnia" Jacka Borcucha*

90 Pochwała utopii
LEKTOR *o książce „Bunt wizjonerów" Jerzego Jarniewicza*

ZMYSŁY

110 Lisi los MAŁGORZATA I MICHAŁ KUŹMIŃSCY

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Ks. Adam Boniecki: Co właściwie świętowaliśmy

Kiedy 3 maja zapytałem ministrantów, jakie dziś mamy święto, odpowiedzieli chórem, że Konstytucji, i byli lekko zaskoczeni, gdy dodałem, że także Matki Bożej Królowej Polski – *pisze* **KS. ADAM BONIECKI.**
powszech.net/co-swietowalismy

Strona świata

Wszechwładni szefowie federacji piłkarskiej FIFA nie mogą pomieścić wielkich igrzysk w państwie-mieście Katarze, więc chcą je urządzić także w równie bogatym Kuwejcie – **WOJCIECH JAGIELSKI** *wyjaśnia, o co toczy się nowa wojna futbolowa* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

ZIMNA WODA TUSKA

Oczekiwanie, że były premier wkrótce dokona przełomu w polskiej polityce, świadczą mniej o jego intencjach, a bardziej o naszej potrzebie wyjścia z obecnego klinczu.

PAWEŁ BRAVO

Mało kto z milionów korzystających z wolnego czasu na majówkę zastanawia się głębiej nad tym, co tak naprawdę przy okazji rocznicy Konstytucji 3 Maja należy wspominać. Może i lepiej, bo jest to w istocie rocznica smutna: symboliczny moment założycielski niemożności budowy nowoczesnego (wedle miary aktualnej w danej epoce) państwa i ustroju społecznego. To tam sięgają korzenie naszego długiego trwania w peryferyjności, która prześladuje do dziś każdego znaczącego polityka. To ona była ramą polityki minimalizmu i ciepłej wody Donalda Tuska, a dziś stanowi pożywkę dla kompleksów, którymi żongluje Jarosław Kaczyński.

„Brońmy Polskę, Europę i samych siebie przed sklerozą przekonań" – apelował w piątek Donald Tusk, przypominając zgromadzonym na Uniwersytecie Warszawskim słuchaczom słowa Ortegi y Gasseta, który w wiecznym ruchu myśli i skłonności do wątpienia widział sedno przewagi cywilizacji europej-

Donald Tusk na Uniwersytecie Warszawskim, 3 maja 2019 r.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

skiej. Przewodniczący Rady Europejskiej wskazał przy tym na wyzwania mądrej polityki najbliższej dekady, które w zestawieniu z tym, o czym na ogół dyskutują nasi politycy, brzmią egzotycznie – zwłaszcza opowieść o wielkiej czwórce firm technologicznych, które budują imperium nadzoru i manipulacji. „Najważniejszym problemem, problemem politycznym, powiedziałbym egzystencjalnym, a może nawet wręcz metafizycznym, jest uniknięcie alternatywy między dominacją, hegemonią a rozpadem i entropią” – mądre to słowa, ale Tusk nie przyjechał do Warszawy jako intelektualista z zachodniego think tanku, tylko polski polityk, nawet jeśli chwilowo zawieszający siłę sprawczą z racji pełnienia brukselskiego urzędu.

O tym, jak praktycznie wdrażać sugestię, by „z ojczyzny zrobić dom dla wszystkich, a nie dla wybranej grupy, nie dla władzy”, Tusk już nie mówił. Mistrzem konkretu okazał się za to dzień później Jarosław Kaczyński, przemawiający podczas pikniku wyborczego – nawet jeśli był to konkret jak cep do walenia po głowie niedostosowanych: „Nie ma dzisiaj alternatywy patriotycznej dla tej polityki, którą podjęliśmy, zapowiedzieliśmy, realizujemy, dotrzymujemy słowa. Jesteśmy polskimi patriotami (...) państwo jest emanacją narodu i ten naród musi być wspólnotą”.

Niestety, charyzma dowcipnego erudyty nie wystarcza jako kontra dla takich wystąpień. Dziecinne w sumie oczekiwania, iż swoją zawieszoną siłą Tusk wkrótce dokona przełomu w polskiej polityce (widoczne choćby poprzez solidną dawkę błota, jakie na zapas przygotowała w związku z jego wystąpieniem telewizja publiczna), świadczą mniej o realnych intencjach dawnego lidera PO – warunkowanych przez misterne kalkulacje wpływów w obecnej Platformie – a bardziej o naszej potrzebie wyjścia z obecnego klinczu. Na poziomie deklaracji, ale i chyba realnych intencji Tusk nie siodła białego konia i nie pozwala naszej straumatyzowanej wyobraźni zbiorowej obsadzić się w roli męża opatrznościowego. Trzeba sobie radzić z takimi liderami, jakich mamy. W tym sensie to lekcja dojrzałego realizmu, równie ważna dla wyjścia Polski z pozycji peryferyjnej odległości, jak wzmacnianie gospodarki, armii czy skuteczna obrona interesów w Europie. ©℗

Wielka Pustynia Środkowoeuropejska

ADAM ROBIŃSKI

Deszczowa majówka tylko pozornie zatarła hydrologiczny obraz kraju – Polska wysycha. Choć w styczniu cieszyliśmy się rekordowymi opadami śniegu w górach (jeszcze w połowie marca pod Tarnicą w Bieszczadach leżało go ponad półtora metra), to już w kwietniu karpackie potoki sączyły wodę tak leniwie, jakby to był lipiec. Oto katastrofa klimatyczna w pigułce – równowagę i przewidywalność zastępują pogodowe ekstrema.

Są trzy rodzaje suszy. Meteorologiczną wyznacza długotrwały brak opadów atmosferycznych. Jej konsekwencją jest susza glebowa – skutki oglądaliśmy w drugiej połowie kwietnia, gdy gwałtowne wichury wywoływały lokalne burze piaskowe nad polami uprawnymi. Wreszcie susza hydrologiczna, oznaczająca spadek poziomu wód powierzchniowych i podziemnych. Trend jest zresztą długotrwały. W ubiegłym stuleciu polskie jeziora zmniejszyły się o ponad 40 proc. Najgorzej jest w Wielkopolsce, gdzie woda znika m.in. za sprawą kopalni odkrywkowych. Z kolei według przygotowanego w resorcie środowiska raportu na temat realiów klimatycznych Polski w 2030 r., pustynnienie grozi przede wszystkim województwu łódzkiemu i Kujawom.

Polska potrzebuje gigantycznych inwestycji w sieć wodną. Jednak nie powinny one polegać na regulowaniu rzek, tylko na przywracaniu ich naturalnego biegu i terenów zalewowych. Konsekwencją sięgającej czasów pruskich manii prostowania i betonowania cieków wodnych jest błyskawiczne spływanie wody do Bałtyku. Zamiast nawadniać, rzeki Polskę odwadniają. Zatrzymując jedynie 6,5 proc. wód na naszym terytorium, snujemy się pod względem retencji w ogonie Europy. Podczas gdy sąsiedzi walczą o swoje tereny podmokłe, my wciąż snujemy względem natury mocarstwowe plany. Chcemy przekopywać mierzeje, betonować koryta, stawiać tamy i przecinać jeziora ekspresówkami. Antropocen to nie tylko plastik w oceanach i podtapiane atole na Pacyfiku. Woda jako brakujące dobro w środkowej Europie? Proszę zacząć się przyzwyczajać. ©

Indonezja: wyrok dla polskiego globtrotera

EAST NEWS

SĄD W PAPUI ZACHODNIEJ – regionie należącym do Indonezji – skazał polskiego podróżnika Jakuba Skrzypskiego na pięć lat więzienia za rzekome kontakty z papuaskimi separatystami i wspieranie antyrządowego spisku. Jego towarzysz, miejscowy student Simon Magal, ma tkwić za kratami przez cztery lata.

Ze źródeł indonezyjskich wynika, że zebrane dowody były słabe, ale sprawa Papui jest dla rządu w Dżakarcie wyjątkowo wrażliwa. Do tej kontrolowanej przez Indonezję i bogatej w zasoby prowincji Skrzypski trafił w sierpniu ubiegłego roku – jak twierdzi, w trakcie wyprawy kulturoznawczej. Spotykał się na miejscu także z działaczami na rzecz niepodległości regionu. Po jego zatrzymaniu miejscowa policja twierdziła, że Polak jest handlarzem broni, ale taki zarzut nie pojawił się ostatecznie w akcie oskarżenia.

Podróżnik i jego prawnicy odrzucają zarzut wspierania separatystów i rozważają apelację. Jednak taka procedura zajmuje zwykle wiele miesięcy, podczas których lekkomyślny turysta nie będzie mógł opuścić Papui. Obrona może się także zgodzić na pięcioletni wyrok, a wtedy skazanego można byłoby przenieść do innej części kraju, gdzie łatwiej byłoby zapewnić mu bezpieczeństwo, opiekę medyczną i starać się o zwolnienie warunkowe.

Wszystko zależy teraz od skuteczności zabiegów dyplomatycznych i dobrej woli po obu stronach. © TOMASZ AUGUSTYNIAK

Więcej o sprawie Skrzypskiego: powszech.net/papua

Przekop, czyli kanał

MAREK RABIJ

Firmy, które stanęły do przetargu na przekopanie Mierzei Wiślanej, próbują wymusić na Skarbie Państwa wyższą cenę – taką hipotezę zawierał materiał opublikowany w ostatni weekend w „Faktach" TVN.

Trzy lata temu autorzy projektu kanału żeglugowego, który połączyłby Zatokę Gdańską z Zalewem Wiślanym, szacowali koszt jego budowy na ok. 880 mln zł i taką wycenę podał rząd ogłaszając rozpoczęcie prac. W marcu Urząd Morski w Gdyni przyznał jednak, że bez dodatkowych 500 mln zł budżet inwestycji się nie domknie, bo o tyle podrożały materiały budowlane i koszty samych wykonawców. Dziś – na kilkanaście dni przed otwarciem kopert z ofertami – firmy budowlane grożą, że jeśli rząd nie położy na stole 1,6 mld zł, nikt nie weźmie zlecenia.

Mamy zatem projekt, który kosztować może podatników nawet dwa razy więcej, niż obiecywał rząd. W bilansie trzeba uwzględnić też koszty środowiskowe, które poza samym przecięciem Mierzei kanałem obejmą naruszenie dna Zalewu na odcinku kilkunastu kilometrów (droga żeglugowa do portu w Elblągu wymaga pogłębienia) i gwałtowną zmianę poziomu zasolenia słodkawej wody Zalewu, która może być groźna dla jego flory i fauny.

Korzyści? Te strategiczne przestały mieć znaczenie, odkąd Rosja podpisała umowę z UE i nie utrudnia żeglugi przez Cieśninę Piławską. Ekonomiczne? Do portu w Elblągu zawijać będą mogły statki o zanurzeniu do czterech metrów, co wyklucza duże jednostki transportowe. Kanał skróci jednak czas rejsu jachtem do Gdańska o jakieś 6–8 godzin, może więc zwiększyć potencjał turystyczny Elbląga i okolic.

O ile nie zrujnuje go sama inwestycja.

©℗

LICZBA TYGODNIA

38 411 000

Tylu Polaków mieszkało w naszym kraju pod koniec 2018 r. – podał GUS. W porównaniu z rokiem poprzednim liczba ludności Polski zmniejszyła się o 22 tysiące.

KRAJ W SKRÓCIE

POLSKA ODWAŻNA. Nie da się odzobaczyć reklamówki wyborczej europosła PiS Karola Karskiego, przebranego w strój rycerski i biorącego udział w walce na miecze ze statystami odgrywającymi rolę Krzyżaków. Polityk kandydujący na Warmii, Mazurach i Podlasiu przypomina, że „kiedyś o interesy Polski w Europie zabiegano różnymi sposobami", i deklaruje, że zamiast spolegliwej, wybiera Polskę skuteczną i odważną.

MATERIAŁY WYBORCZE

POLSKA GESTYKULUJĄCA. Odważny jest z pewnością minister Joachim Brudziński: „Przepraszam za gestykulacyjną dosłowność, ale chcę powiedzieć to bardzo wyraźnie: o, figa z makiem – dopóki jest rząd PiS, nie ma mowy, aby jakakolwiek polska złotówka popłynęła w sposób nieuprawniony do kogokolwiek, nawet jeśli ma siedzibę na bardzo drogiej i prestiżowej ulicy nowojorskiej, w Tel Awiwie czy Berlinie" – mówi o sprawie ewentualnych roszczeń związanych z polskimi zachowaniami w trakcie II wojny światowej.

POLSKA NAJBARDZIEJ MORDOWANA. Kropkę nad i stawia w tej kwestii sam premier: „My byliśmy tutaj najbardziej mordowanymi ofiarami – mówi Mateusz Morawiecki na wyborczym wiecu. – I nigdy się nie zgodzimy na jakiekolwiek wypłaty dla kogokolwiek z tego powodu, jakiekolwiek odszkodowania".

POLSKA NIEOBECNA. Na tegorocznym Marszu Żywych w Oświęcimiu tymczasem zabrakło obecnego tu w roku ubiegłym Andrzeja Dudy, zajęty kampanią wyborczą premier również się nie zjawił. Przez chwilę pomyśleliśmy, że może wizyta na terenie obozu zagłady pozwoliłaby temu ostatniemu skorygować przekonania w kwestii „najbardziej mordowanych", ale potem znów przypomniała się nam reklamówka europosła Karskiego i wystraszyliśmy się nagiego miecza.

Wybory w Hiszpanii: sukces Pedra Sáncheza

PATRYCJA BUKLASKA

Mimo sukcesu radykalnej prawicy, Hiszpania nie zmienia politycznego kursu.

Hiszpańskie wybory w ostatnią niedzielę kwietnia były pilnie obserwowane – głównie z powodu skrajnie prawicowej partii Vox. Inaczej niż w wielu krajach Europy, tu do niedawna formacje populistyczno-radykalne nie odgrywały istotnej roli. Teraz partia Vox zdobyła ponad 10 proc. głosów (w 2016 r. – tylko 0,2 proc.) i 24 mandaty. Tym samym skrajna prawica wróciła do parlamentu po raz pierwszy od upadku frankizmu w latach 70. XX w. Ale choć Vox świętuje, to hiszpańska prawica jako całość nie ma do tego powodu. Bolesną porażkę poniosła główna jej formacja, konserwatywna Partia Ludowa (PP), płacąc za afery korupcyjne – dostała niespełna 17 proc. głosów (w 2016 r. – 32 proc., w 2011 r. – aż 44 proc.). Łącznie PP, Vox i prawica liberalna (partia Obywatele; Ciudadanos) mają 147 mandatów, a więc niewiele więcej niż wcześniej sama tylko PP. Nie opłaciła się radykalna retoryka m.in. w sprawie Katalonii, którą przyjęły PP i Obywatele, broniąc swej wyborczej bazy przed Voksem. Natomiast rządzący socjaliści uzyskali ponad 28 proc. i zwiększą stan posiadania z 84 do 123 posłów. To osobisty sukces premiera Pedra Sáncheza i znak, że Hiszpanie nie chcą konfrontacji.

Ale Sánchez musi się zmierzyć z problemem katalońskim. Może mu to ułatwić fakt, że większe poparcie zyskała umiarkowana Republikańska Lewica Katalonii (ERC), a nie Razem dla Katalonii (JxCAT) – partia Carlesa Puigdemonta, który 2017 r. zorganizował plebiscyt niepodległościowy.

Na razie Sánchez i inni politycy muszą się skupić na nadchodzących wyborach lokalnych i do Parlamentu Europejskiego – to kolejna próba sił. Dopiero potem zacznie się budowanie koalicji.

©℗

RDC POLSKIE RADIO

MAŁGORZATA I MICHAŁ KUŹMIŃSCY – autorzy tekstu ze str. 110 – będą gośćmi Grzegorza Chlasty w środę 8 maja o godz. 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM
oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

UESLEI MARCELINO / REUTERS / FORUM

Wenezuela: Maduro trwa u władzy

PRZEZ KRÓTKĄ CHWILĘ zdawało się, że wenezuelska opozycja, która od kilku miesięcy usiłuje zmusić socjalistycznego dyktatora Nicolása Maduro do oddania władzy, zwyciężyła. We wtorek 30 kwietnia jej przywódca Juan Guaidó ogłosił rozpoczęcie „Operacji Wolność" i poinformował, że armia – klucz do władzy w kraju – przechodzi na stronę opozycji. Sygnałem do akcji było uwolnienie przez grupę zbuntowanych żołnierzy Leopolda Lópeza – lidera protestów z 2014 r., dotąd przebywającego w areszcie. Guaidó i López wystąpili na demonstracji w stołecznym Caracas i wezwali do ulicznych protestów. Według niepotwierdzonych informacji przez chwilę Maduro był gotów uciec samolotem na Kubę, ale odwieść od tego mieli go Rosjanie i Kubańczycy, którzy wspierają jego rządy.

W kolejnych godzinach okazało się, że na stronę opozycji przeszło co najwyżej kilkuset żołnierzy i pracowników wywiadu (potem otrzymali azyl w latynoskich ambasadach; Lópeza przyjęła ambasada Hiszpanii). Także manifestacje opozycji (na zdjęciu), w Caracas i innych miastach, nie odniosły skutku. Podczas starć zginęło co najmniej kilku demonstrantów, wielu odniosło rany. W kolejnych dniach sytuacja wróciła do wenezuelskiej „normy": pata, w którym obie strony są zbyt silne, by ulec, i zarazem zbyt słabe, by rozstrzygnąć konflikt na swoją korzyść.

Ostra faza konfrontacji między socjalistycznym dyktatorem i opozycją demokratyczną trwa w Wenezueli od stycznia: wtedy to Guaidó – przewodniczący parlamentu, w którym opozycja ma większość – ogłosił się tymczasowym prezydentem. Uczynił tak na mocy prawa, które pozwala mu przejąć obowiązki głowy państwa w razie nieważności wyborów prezydenckich (akt ten uznało ok. 50 państw świata, w tym wiele latynoskich, i Polska). Parlament uznał, że Maduro sfałszował wybory z maja 2018 r. (wcześniej liderów opozycji pozbawiono praw wyborczych).

Mimo porażki Guaidó nie rezygnuje, ale zmienia strategię: wzywa zwolenników opozycji do masowych strajków, których kulminacją ma być strajk generalny w całym kraju.

©℗ WOJCIECH PIĘCIAK / FAZ, NZZ

Manfred Weber przeciwny Nord Stream 2

WAŻNY SOJUSZNIK przybył krajom Europy Środkowej, sprzeciwiającym się budowie „gazociągu Putina" – rurociągu po dnie Bałtyku, którego projekt, wspierany przez rząd Niemiec, dzieli Unię Europejską. Przeciw Nord Stream 2, który Rosja chce sfinalizować do końca roku, opowiedział się Manfred Weber – jeden z najpoważniejszych kandydatów na szefa Komisji Europejskiej w trwającej kampanii przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Na łamach dziennika „Polska The Times" Weber powiedział, że jako szef Komisji użyje wszelkich możliwych przepisów, by zablokować NS2, który nie jest w interesie Unii, bo zwiększa jej uzależnienie od rosyjskich surowców. Weber, polityk bawarskiej chadecji (CSU), wystąpił w ten sposób przeciw kanclerz Angeli Merkel, która popiera jego kandydaturę na szefa Komisji – na tę funkcję proponuje go bowiem konserwatywno-chadecka Europejska Partia Ludowa, do której należą niemieckie CDU i CSU (a w Polsce Platforma Obywatelska). W Niemczech deklarację Webera skrytykowali pospołu politycy SPD i skrajnie prawicowej AfD; Urząd Kanclerski nie zabrał głosu.

©℗ WP / FAZ, DPA, NZZ

Obalić papieża

PIOTR SIKORA

Mamy do czynienia z kolejnym krokiem w walce z obecnym papieżem. 19 osób z tytułami akademickimi sformułowało list otwarty, w którym oskarża Franciszka o świadome popełnianie przestępstwa herezji i wzywa biskupów do podjęcia odpowiednich działań. Wśród sygnatariuszy jest dominikanin Aidan Nichols – teolog uznany w swoim zakonie oraz w anglosaskim środowisku teologicznym. Jest też Peter Kwasniewski – popularny wśród polskich tradycjonalistów.

Zarzuty merytoryczne nie są nowe – chodzi głównie o fragmenty adhortacji „Amoris laetitia" na temat Eucharystii dla rozwodników. W stosunku do poprzednich podobnych działań – tzw. Dubiów czterech kardynałów czy „Correctio filialis" kilkudziesięciu intelektualistów – doszedł, po podpisaniu przez Franciszka wspólnej deklaracji z imamem Al-Azhar, zarzut negowania jedyności zbawczej Chrystusa.

Nowe, eskalujące protest jest otwarte oskarżenie Franciszka o trwanie w herezji. Do tej pory krytycy papieża zarzucali mu nieroztropność lub wygłaszanie błędnych poglądów. Zarzut o trwanie w herezji jest o tyle poważniejszy, że – jak sami autorzy listu otwartego podkreślają – tradycja kanoniczna już od średniowiecza uznawała, iż biskup Rzymu, który jest heretykiem, traci swój urząd.

Jest to więc pierwszy jawny głos wzywający biskupów do obalenia Franciszka i próba dostarczenia teologicznego uzasadnienia takiej akcji. W Kościele katolickim nie ma ustalonej procedury pozbawienia papieża urzędu – jeśli jakaś grupa biskupów chciałaby podjąć takie działanie, czekają nas czasy chaosu. Ale w środowiskach konserwatywnych widać konsekwentne dążenie do takiego ukształtowania katolickiej opinii publicznej, by *impeachment* Franciszka stał się możliwy. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PAPIEŻ W BUŁGARII I MACEDONII. 5 i 6 maja Franciszek przebywał w Bułgarii, gdzie spotkał się m.in. z grupą uchodźców (w kraju tym przebywa obecnie ponad 2 tys. uciekinierów z Syrii i Iraku), odprawił mszę w Sofii dla 12 tys. katolików oraz modlił się o pokój z wyznawcami różnych religii. Podczas spotkania z prawosławną hierarchią papież mówił o ranach w relacjach między chrześcijanami, które przyrównał do ran Chrystusa. „Jeśli uznając nasze niedostatki zanurzymy się w Jego ranach miłości, będziemy mogli odkryć na nowo radość przebaczenia i zasmakować dnia, w którym z Bożą pomocą będziemy mogli celebrować tajemnicę paschalną przy tym samym ołtarzu" – powiedział Franciszek. 7 maja papież odwiedzi Macedonię Północną.

PRZECIERANIE SZLAKU. Przyznawaną przez litewskiego Rzecznika Praw Obywatelskich Nagrodę na rzecz Równości i Różnorodności zwaną „Oscarem praw człowieka" otrzymał o. Evaldas Darulis. Franciszkanin z Prowincji św. Kazimierza założył pierwszą na Litwie katolicką grupę duchowego wsparcia dla osób LGBT+ i ich krewnych.

EKUMENICZNA SKARBNICA. Zdigitalizowane numery jednego z najważniejszych w Polsce periodyków ekumenicznych – „Studiów i Dokumentów Ekumenicznych" – znalazły się na nowej stronie ekumeniczne.pl. Wydawcą istniejącego od 1983 r. pisma jest od tego roku Chrześcijańska Akademia Teologiczna w Warszawie.

KOBIETY NA WATYKAN. Według hiszpańskiego portalu „Religion Digital" papież planuje powierzyć kierowanie watykańskim Sekretariatem Spraw Gospodarczych Włoszce Claudii Ciocci, ekspertce gospodarczej. Zajęłaby ona miejsce skazanego za pedofilię kard. George'a Pella, który ustąpił 1 lipca 2017 r. Gdyby się te spekulacje potwierdziły, Ciocca byłaby pierwszą kobietą na tak wysokim stanowisku.

FB / JAVIER ROMÁN ARIAS

„O GODZ. 6.00 ROZPOCZĘLIŚMY WĘDRÓWKĘ do rdzennej społeczności Bley Norte, do której dotarliśmy po 10 godzinach. Naliczyłem 6 upadków, forma wyraźnie spadła" – relacjonował na swoim społecznościowym profilu biskup Javier Gerardo Román Arias, ordynariusz diecezji Limón w Kostaryce (na zdjęciu odpoczywa w trakcie wędrówki). To była jedna z jego wizytacji odległych wiosek indiańskich w kostarykańskiej dżungli. Razem ze współpracownikami najpierw hierarcha organizuje zbiórki potrzebnych rzeczy, a potem dostarcza je swoim diecezjanom. Podczas wizytacji odprawia msze i udziela sakramentów.
Zdjęcie odpoczywającego hierarchy w zabłoconych butach zamieścił na swoim profilu społecznościowym polski franciszkanin pracujący w Boliwii o. Kasper Mariusz Kaproń. ©℗ ASK

Niekończąca się reforma

EDWARD AUGUSTYN

Nigdy – odpowiedział papież na pytanie, kiedy zakończy się reforma kurii. Szkielet zmian jest niemal gotowy. Hiszpański tygodnik „Vida Nueva" dotarł do projektu konstytucji, która nada watykańskiej kurii nowy kształt. Dokument ogłoszony ma zostać pod koniec czerwca, być może w uroczystość świętych Piotra i Pawła. Jego roboczy tytuł to „Praedicate Evangelium" („Głoście Ewangelię").

To najważniejsze zadanie zreformowanego urzędu: wspieranie papieża i biskupów w głoszeniu Ewangelii. Służyć ma temu nowa Kongregacja ds. Ewangelizacji, wysuwająca się na pierwsze miejsce spośród wszystkich watykańskich dykasterii i przejmująca władzę nawet nad najstarszą i dotąd najpotężniejszą Kongregacją Nauki Wiary (wcześniej zwaną Świętym Oficjum, a jeszcze wcześniej – Świętą Inkwizycją).

Do przeprowadzenia gruntownych zmian w rzymskiej kurii zobowiązali Franciszka kardynałowie podczas konklawe. Gdyby chodziło tylko o sprawnie funkcjonujący urząd, można by skorzystać ze sprawdzonych schematów: stworzyć departamenty finansów, administracji, prawa, HR i PR, wprowadzić audyt i transparentne procesy zarządzania, zwiększyć wydajność, zmniejszyć zatrudnienie. Tyle że Kościół to nie międzynarodowa korporacja, ale szpital polowy, jak lubi mówić papież, gdzie cała struktura (stanowiska, funkcje, procedury) ma służyć ratowaniu człowieka.

Kuria jest soczewką, w której skupiają się wszystkie problemy Kościoła, i łączą wszystkie – po ludzku nie do pogodzenia – jego sprzeczności: urzędu i misji, dogmatu i charyzmatu, doktryny i Dobrej Nowiny. Jest też – podobnie jak cały Kościół – trawiona chorobami, które papież celnie zdiagnozował: klerykalizmem, hipokryzją, biurokracją, karierowiczostwem, korupcją. Ani nowa konstytucja, ani ważna kongregacja tego nie zmienią. Nie będzie cudownego uzdrowienia. Reforma to jedynie początek długotrwałego leczenia. Bo kuria, tak jak i Kościół, jest *semper reformanda.* (Więcej o szczegółach zapowiadanej reformy w internecie: powszech.net/reformakurii.) ©℗

KAROL SIENKIEWICZ, KRYTYK SZTUKI:

Banan krzepi

ARCH. PRYWATNE

MONIKA OCHĘDOWSKA: Przerobiliśmy właśnie krótką lekcję sztuki współczesnej, z której wynika, że niewiele o niej wiemy.

KAROL SIENKIEWICZ: Nie generalizowałbym. Sytuacja wokół „Sztuki konsumpcyjnej" Natalii LL pokazała, że prace sprzed ponad 40 lat wciąż mają siłę oddziaływania. Wiralowość „Sztuki" w mediach społecznościowych i demonstracja pod Muzeum Narodowym w Warszawie ujawniły humorystyczny potencjał tej pracy. Ludzie robiący sobie zdjęcia z bananem w ustach znakomicie odczytali jej przesłanie i – poprzez powtórzenie gestu artystki – uaktualnili je. Ja całą sytuację odebrałem pozytywnie – byłem zdziwiony, jak wiele osób podjęło wyzwanie rzucone przez Natalię LL w połowie lat 70. A jeśli ktoś nie przerobił lekcji sztuki współczesnej, to dziennikarze, którzy pytają bezradnie, czy to na pewno jest sztuka.

Może ekspozycje muzeów są zbyt hermetyczne?

Nie, muzea, centra sztuki współczesnej i galerie mają rozbudowane działy komunikacji i edukacji. Oferta polskich instytucji sztuki jest szeroka – od lekcji muzealnych kierowanych do uczniów, przez oprowadzania, wykłady, audioprzewodniki, po programy adresowane do seniorów. Jeśli ktoś pierwszy raz w życiu znajdzie się na wystawie sztuki współczesnej, może się oczywiście czuć nieco zagubiony. Ale instytucje często zabiegają właśnie o takich odbiorców, poszukują sposobów na poszerzenie publiczności.

Jak świadomie uczestniczyć w sztuce współczesnej?

Przede wszystkim trzeba się pozbyć pewnych założeń – czym sztuka powinna być, jak powinna wyglądać. Pozwolić się zaskoczyć. To dotyczy zarówno osób, które świetnie się w sztuce orientują, jak i tych, którym się wydaje, że jej nie rozumieją. Dzieła sztuki nigdy nie poznamy do końca, jego znaczenia są zmienne, zależne od tego, kto patrzy. Ale właśnie to jest w sztuce tak bardzo pociągające. ©℗

KAROL SIENKIEWICZ *jest krytykiem i historykiem sztuki, autorem książek o sztuce krytycznej.*

Denisowianinie, dlaczego masz takie wielkie zęby?

DONGJU ZHANG; LANZHOU UNIVERSITY / MAT. PRASOWE

W 1980 R. BUDDYJSKI MNICH odnalazł w jaskini Baishiya Karst w Tybecie – miejscu położonym na wysokości 3280 m n.p.m. – prawą część żuchwy z dwoma zębami należącą do jakiegoś gatunku ludzkiego. Jednak wobec braku rozwiniętych technik badawczych niewiele dało się z nią wówczas zrobić.

Niedawno skamieniałość znowu przyciągnęła uwagę chińskich badaczy, którym udało się określić jej wiek – na przynajmniej 160 tys. lat, o czym poinformowali na początku maja w tygodniku „Nature". Jak dotąd najstarsze ślady ludzkiej (*Homo sapiens*) obecności w tym regionie datowano na 30-40 tys. lat.

We fragmencie żuchwy odkryto także białka o strukturze podobnej do białek znalezionych na skamieniałościach ze słynnej Denisowej Jaskini w górach Ałtaj na Syberii. Mamy więc do czynienia z kolejnym przedstawicielem denisowian, czyli populacji, która ok. pół miliona lat temu oddzieliła się od neandertalczyków i skolonizowała ogromne obszary Azji, docierając aż do Nowej Gwinei.

Zachowane zęby – znacznie większe niż u *Homo sapiens* – także przypominają te odnalezione w Denisowej Jaskini. Analizy „nowej" skamieniałości rzucają jednak światło przede wszystkim na historię ludzkiej adaptacji do życia na dużych wysokościach. Współcześni Tybetańczycy posiadają mutację genu EPAS1 ułatwiającą oddychanie rozrzedzonym powietrzem, którą zidentyfikowano w skamieniałościach z Denisowej Jaskini. Badaczy zastanawiało istnienie tej mutacji, jako że Denisowa Jaskinia położona jest zaledwie na wysokości 700 m n.p.m. Teraz wyjaśniło się, że denisowianie zamieszkiwali także obszary położone znacznie wyżej. ©℗ ŁK

KULTURA W SKRÓCIE

OSCARY I PREMIERY. Reżyser Krzysztof Warlikowski został laureatem tegorocznej International Opera Award, nagrody zwanej „operowym Oscarem". Jego londyńska inscenizacja „Z domu umarłych" Leoša Janáčka zdobyła miano najlepszej produkcji roku. Wyróżnienie zbiegło się w czasie z sukcesem paryskiej premiery „Lady Makbet mceńskiego powiatu" Dymitra Szostakowicza. Wyreżyserowany przez Warlikowskiego spektakl francuska krytyka przyjęła entuzjastycznie: „Du grand Warliko!" – chwalił dziennik „Le Monde". Do końca roku Warlikowski przygotuje jeszcze dwie duże premiery, w Monachium i Brukseli.

PALMY I FILMY. 14 maja rozpocznie się 72. Festiwal Filmowy w Cannes. Do składu jury kierowanego przez Alejandro Gonzáleza Iñárritu dołączył reżyser „Zimnej wojny" Paweł Pawlikowski. Jury oceni 19 filmów biorących udział w konkursie głównym, w tym nowe produkcje Terrence'a Malicka, Pedro Almodóvara, Kena Loacha i Xaviera Dolana. Werdykt poznamy 25 maja. Przed Pawlikowskim w Cannes spośród Polaków jurorami byli: Jerzy Skolimowski (1987), Krzysztof Kieślowski (1989) i Krzysztof Piesiewicz (1996).

ROCZNICE I HOŁDY. „W 2020 roku przypada setna rocznica urodzin Leopolda Tyrmanda – wybitnego pisarza, dziennikarza i publicysty. W tym samym roku minie 35. rocznica Jego śmierci. Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, w uznaniu wielkich zasług Artysty, postanawia oddać Mu hołd" – brzmią słowa uchwały w sprawie ustanowienia roku 2020 Rokiem Leopolda Tyrmanda. Miłośników twórczości autora „Złego" czeka wiele okolicznościowych wydarzeń i przedsięwzięć promujących postać i twórczość pisarza.

PROMILE WE MGLE

Powiedzenie, że w życiu pewne są tylko śmierć i podatki, zyskało nowe znaczenie. Od podatków – pewnie coraz wyższych – nie ma ucieczki. Jeden po drugim umierają za to inne reguły polityki ekonomicznej, które jeszcze niedawno uchodziły za dogmaty.

MAREK RABIJ

M. LASYK / REPORTER

Dni Narodowego Banku Polskiego w Krakowie, czerwiec 2017 r.

ZDJĘCIE Z OKŁADKI POKAZUJE Z LOTU PTAka centrum jakiejś amerykańskiej metropolii. Siatka prostych ulic biegnie ku horyzontowi, na którym majaczą sylwetki drapaczy chmur. Fotografia tonie w błękitach, niemal tak intensywnych, jak barwa koszuli i soczewek kontaktowych, które za cztery lata pomogą Aleksandrowi Kwaśniewskiemu wygrać wybory prezydenckie. Na razie jednak jest rok 1991. Jan Krzysztof Bielecki z Kongresu Liberalno-Demokratycznego zastąpił Tadeusza Mazowieckiego na stanowisku premiera, a wydawnictwo Fundacji Gospodarczej NSZZ „Solidarność" opublikowało pierwsze polskie tłumaczenie podręcznika do ekonomii pióra Davida R. Kamerschena, Richarda B. McKenziego i Clarka Nardinellego. Książka wyszła w USA zaledwie dwa lata wcześniej, wydaje się więc aktualnym kompendium wiedzy o regułach wolnego rynku, na którym Amerykanie zjedli przecież zęby, a który właśnie rodzi się w bólach nad Wisłą.

Problem w tym, że – jak przyznaje dziś prof. Dariusz Filar, późniejszy członek Rady Polityki Pieniężnej, a wówczas współautor tłumaczenia książki – kapitalizm opisywany przez Kamerschena i kolegów właśnie wchodził w fazę głębokich przeobrażeń. 17 lat później miały one doprowadzić najpierw do upadku banku Lehman Brothers, a potem także do wielkiego kryzysu finansowego, spowolnienia globalnej gospodarki i utraty zaufania obywateli do autorytetów ekonomicznych, które – jak się okazało – nie chciały lub nie umiały dostrzec zagrożenia.

– Ekonomia, jak każda nauka społeczna, dostosowuje teorię do rzeczywistości z opóźnieniem – tłumaczy dziś prof. Filar. – Podręczniki z przełomu lat 80. i 90. opisywały więc kapitalizm, który w świecie zachodnim *de facto* już nie istniał. Produkcja, handel i usługi traciły dominującą pozycję na rzecz czysto spekulacyjnej gry finansowej.

Steryd kredytowy

Gospodarka wolnorynkowa, w której dziś funkcjonujemy, ma faktycznie coraz mniej wspólnego ze swoją klasyczną definicją. We wspomnianym podręczniku z 1991 r. kapitalizm opisywano jako interakcję „rynkowej podaży i rynkowego popytu" – czyli tego, co oferują sprzedający, i tego, czego mogą potrzebować kupujący. W teorii nadal wszystko się zgadza. W praktyce rynkową podaż zastąpiła gigantyczna nadpodaż, a miejsce popytu, kiedyś uzależnionego od siły nabywczej, w coraz większym stopniu zajmuje kredyt. Światowa gospodarka, która dzięki postępowi technologicznemu może produkować coraz więcej i coraz taniej, ocierając się wręcz o zerowe jednostkowe koszty wytworzenia, weszła w stan permanentnego nadmiaru. Przykład pierwszy z brzegu: w 2018 r. firmy odzieżowe z całego świata wyprodukowały dla 7 mld mieszkańców Ziemi łącznie blisko 100 mld sztuk rozmaitej odzieży. Dla każdego – począwszy od zelotów mody, odliczających dni do pokazu nowej kolekcji ulubionego projektanta, a kończąc na członkach plemion w amazońskiej głuszy – branża odzieżowa przygotowała zatem statystycznie ok. 14 sztuk ubrań i butów. Nad wzbudzeniem popytu na nie czuwają sztaby stylistów, influencerów i speców od prognozowania trendów. Już przekonani, ale chwilowo bez grosza przy duszy, nie musimy odchodzić ze smutkiem od witryny sklepowej. Drogę od konsumpcyjnego marzenia do jego realizacji pomoże pokonać na skróty bank.

Thomas Palley, ekonomista związany obecnie z Yale University, szacuje, że w latach 1948–2013 skumulowany wzrost wydajności pracy na stanowiskach pozakierowniczych w USA (mowa o ok. 80 proc. zatrudnionych) wyniósł aż 240 proc. Wynagrodzenia wzrosły w tym czasie tylko o 108 proc. W statystykach Palleya widać wyraźnie moment, w którym wysokość zarobków przestała nadążać za efektywnością pracy. Nastąpiło to pod koniec lat 70. XX w. Wtedy też – co ekonomista łączy w logiczną całość – gwałtownie zaczął rosnąć poziom całkowitego zadłużenia gospodarki w relacji do PKB, które od końca lat 70. skoczyło z ok. 150 do 350 proc. amerykańskiego PKB.

W ten oto sposób, konkluduje Palley, największa gospodarka świata odstawiła witaminę, jaką był wzrost produkcji, i uzależniła się od kredytowego sterydu. Popyt na nowe produkty i usługi nie rośnie już dlatego, że konsumenci bogacą się dzięki swojej pracy i mogą wydawać więcej. Pracy jest coraz mniej. Część etatów trafiła na Daleki Wschód, a inne nadgryza właśnie robotyzacja. Gospodarka rozwija się już tylko dzięki temu, że klienci kupują na kredyt.

Z dorocznego Raportu Gospodarczego Prezydenta USA wynika, że w ciągu zaledwie półwiecza wywróceniu uległa struktura pochodzenia zysków wypracowywanych przez ten kraj. Jeszcze w 1967 r. firmy sektora finansowego wytwarzały tu tylko 13 proc. zysków, a przemysł – 49,2 proc. W 2016 r. banki, fundusze inwestycyjne i inni spece od pomnażania finansów zarobili dla amerykańskiej gospodarki 23,2 z każdych 100 dolarów. Udział przemysłu spadł tymczasem do 18,2 proc. Drastycznie, bo z 70 w pobliże 30 proc., spadł także udział akcji będących własnością osób fizycznych. W akcjonariacie przeciętnej amerykańskiej firmy decydujący głos mają dziś przedstawiciele banków, funduszy inwestycyjnych czy towarzystw powierniczych, którzy na posiedzenia rady nadzorczej przychodzą wyposażeni w instrukcje od swoich pryncypałów. ↦

↦ W tych warunkach wolny rynek może nim być jedynie z nazwy, a równowaga, do której w teorii rzekomo dąży, staje się grą do jednej bramki.

Gospodarka kasyna

Na świecie jest po prostu za dużo pieniędzy; nie gotówki, które mogą emitować jedynie banki centralne, ale wirtualnych zapisów na kontach bankowych czy jednostkach uczestnictwa w funduszach inwestycyjnych.

Gospodarki wszystkich krajów świata wytworzą w tym roku produkty i usługi o łącznej wartości ok. 88 bilionów dolarów. Skumulowana wartość pieniądza w obiegu globalnej gospodarki będzie kilkunastokrotnie wyższa. Uwolniony od parytetu złota (na początku lat 70. amerykańska rezerwa federalna postanowiła, że dolar, filar powojennego ładu monetarnego ustalonego w Bretton Woods, zerwie się z kruszcowych więzów) pieniądz może bowiem krążyć po świecie szybciej. Na światowych giełdach handluje się dziś dosłownie wszystkim: od ropy i kruszców, przez papiery wartościowe i żywność, na długach kończąc, a komputery wyposażone w algorytmy do HFT (*high frequency trading*), realizują setki tysięcy transakcji w odstępach milisekund, ciułając zysk z różnic kursowych. Z danych samej amerykańskiej giełdy wynika, że HFT odpowiada dziś za blisko połowę wszystkich transakcji Wall Street.

Inne rynki robią to samo. Efekt? Zarobek na operacjach czysto finansowych jest o wiele wyższy i do tego obarczony mniejszym ryzykiem od profitów z inwestycji w realną gospodarkę, chociażby produkcję.

Teoretycznie zysk z operacji finansowych powinien przynieść korzyści podatkowe także państwu, tak jak dochody z produkcji czy z samej pracy. Sęk w tym, że baza do opodatkowania topnieje za sprawą legalnych sztuczek księgowych, zwanych optymalizacją podatkową, a czasem wręcz zapada się pod ziemię gdzieś w rajach podatkowych (Bank Światowy szacuje, że trafiło do nich ok. 32 bilionów dolarów). W poszukiwaniu dochodów budżetowych państwa windują więc podatki tym, których na optymalizację podatkową nie stać, i tam, gdzie nie da się od nich uciec, np. przy konsumpcji. Polski system podatkowy – jak mówiła niedawno prof. Hanna Kuzińska z SGH dla portalu Gazeta.pl – najbardziej obciąża tych, którzy zarabiają miesięcznie od 2 do 5 tys. zł brutto. Powyżej 10 tys. zł obciążenie podatkami wyraźnie spada.

> Dzięki globalnemu kryzysowi państwa odzyskały prawo do obecności w gospodarce. Coraz częściej obsadza się je w roli kogoś, kto pilnuje, **by rozwój gospodarczy pogodzić z rozwojem społecznym.**

Zbity termometr

Jak do tego doszło? Wskutek pewnej umowy. Państwo miało nie przeszkadzać bogatszym, a gdzie się da – wręcz wspierać ich ulgami podatkowymi. Stawką w tej grze miał być produkt krajowy brutto, najlepszy miernik zmian poziomu zamożności obywateli i państw.

Po upadku banku Lehman Brothers stało się jednak jasne, że PKB czasami staje wręcz tym zbitym termometrem, który zastępuje lek na gorączkę. Tamten kryzys okazał się bardziej załamaniem modelu redystrybucji niż samej produkcji, którą dość dokładnie mierzy PKB. Gdyby spojrzeć na problem z tak lubianej przez ekonomistów perspektywy globalnych danych statystycznych, trudno dojrzeć wręcz objawy schorzenia światowej gospodarki. Owszem, w porównaniu z rewelacyjną trzylatką 2005-07, kiedy produkt globu wzrósł łącznie aż o 15,5 proc. – średnio o ponad 4,9 proc. rocznie – w okresie 2008-10 mieliśmy do czynienia z ruchem PKB w górę już tylko o 4,9 proc., czyli o 1,6 proc. w skali roku. Świat po prostu bogacił się wolniej.

Rzecz skomplikuje się jeszcze z chwilą, kiedy ów globalny, uśredniony PKB podzielimy na rejony świata, które rozwijają się z odmienną dynamiką i dzięki różnym gospodarczym paliwom. Wtedy da się zauważyć, że „kryzys" oznaczał co innego w krajach rozwiniętych, gdzie w latach 2008-10 produkcja przemysłowa zwolniła z 2,8 do 0,5 proc., a co innego dla 5,8 mld mieszkańców krajów rozwijających się, w których ten sam wskaźnik spadł do 4,3 proc. z 7,7 proc. notowanych przed załamaniem. Inaczej – a raczej wcale – odczuli go przedstawiciele elit finansowych w USA, którzy stosunkowo szybko wrócili do spekulacyjnego *business as usual*, inaczej pracownicy sektora finansowego, w którym kryzys zainicjował falę fuzji niosących ze sobą zwolnienia grupowe, a jeszcze inaczej przedstawiciele administracji czy handlowcy, z którymi spowolnienie obeszło się w miarę delikatnie.

Nic dziwnego, że w gospodarce oglądanej przez okulary PKB długo nie było widać także problemu odmienianego dziś przez wszystkie przypadki w debatach o polityce społeczno-gospodarczej: nierówności majątkowych i dochodowych. W Polsce politycy i część ekonomistów chętnie posługiwali się dla zobrazowania problemu wskaźnikiem Giniego, który plasował nas pod względem poziomu nierówności gdzieś pośrodku europejskiej stawki. Uwagi statystyków, którzy podkreślali, że w ankietowych badaniach poziomu zamożności najbogatsi nie zawsze mówią prawdę, a zazwyczaj odmawiają udziału, zbywano milczeniem. Dopiero po ostatniej publikacji badań ekonomistów z World Inequality Lab Thomasa Piketty'ego, z których wynikało, że poziom nierówności majątkowych w Polsce jest najwyższy w Europie, część ekonomistów i socjologów doszła do wniosku, że skala nierówności może być nad Wisłą niedoszacowana.

Sędzia wstaje z desek

Pytanie, kto w tym sporze ma rację, nie sprowadza się tylko do niuansów metodologicznych. Odpowiedź wydaje się wręcz kluczowa dla kształtu polityki gospodarczo-społecznej. Państwa, które w 2008 i 2009 r. uratowały skórę bankierom, nacjonalizując nierentowne banki, a potem próbowały utrzymać gospodarki na powierzchni, pompując w nie kilkaset miliardów dolarów, kolejny raz zostały ograne. Bankierzy z publicznych pieniędzy wypłacili sobie kolejne premie. Miliardy, przekazane na rozruszanie akcji kredytowej dla firm, zasiliły w dużej części bańki spekulacyjne na rynkach finansowych.

Państwa, choć oszukane, odzyskały jednak dzięki kryzysowi prawo do obecności w gospodarce nie tylko w roli kibica czy arbitra pilnującego reguł gry. Coraz częściej widzi się je jako coś w rodzaju sztabu generalnego, który powinien koordynować działanie gospodarki tak, by jej rozwój pogodzić z rozwojem społecznym. Wyznaczać swoimi działaniami obszary i sfery, w których biznes, zarabiając, może

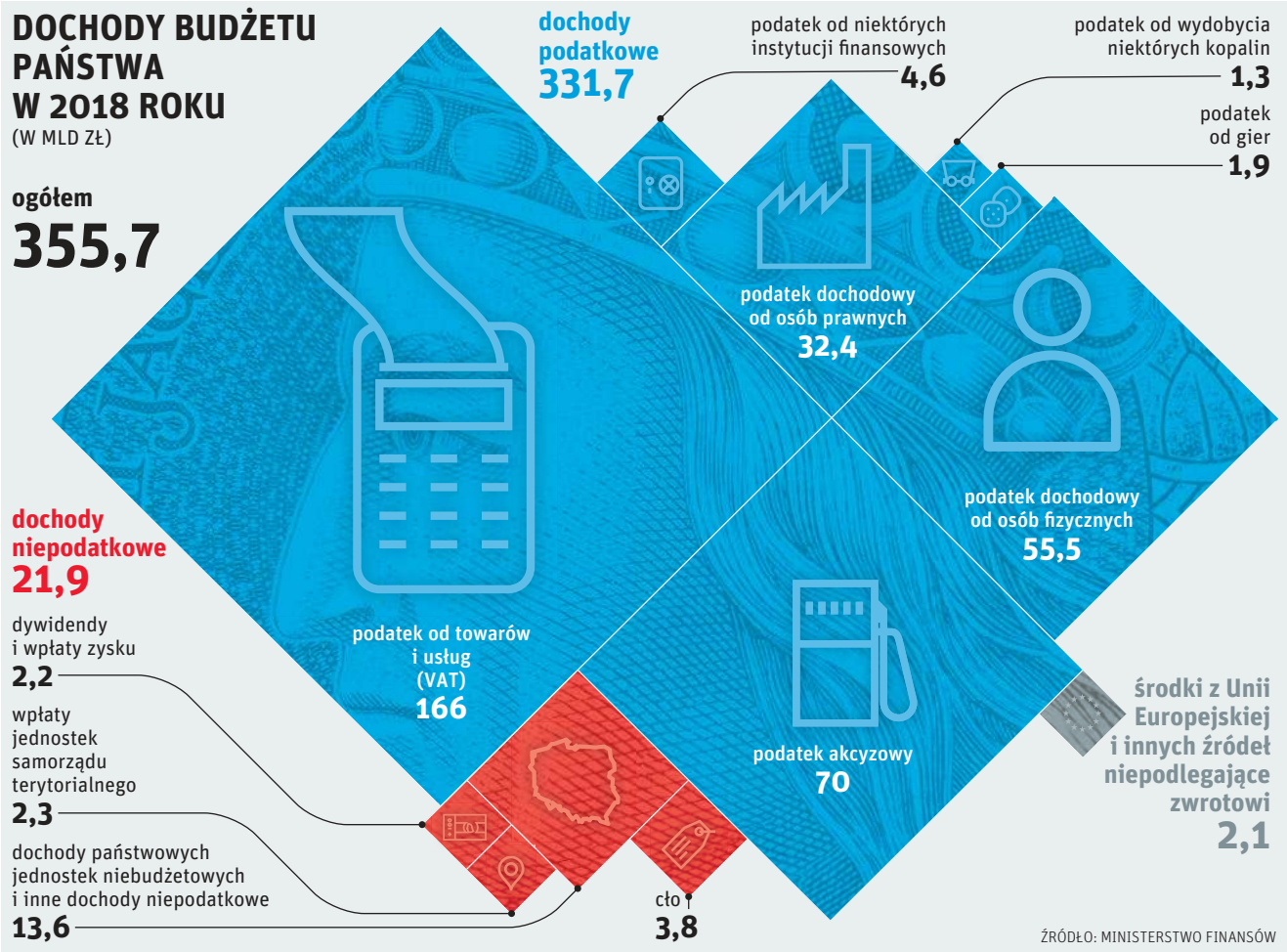

przy okazji przynieść swoim działaniem korzyści społeczeństwu.

Dla liberałów to jak kajdanki na niewidzialną rękę rynku. Politycy wpuszczeni do gospodarczego ogródka faktycznie mogą narobić bałaganu, zwłaszcza wtedy, gdy już nie każe się im pilnować za wszelką cenę deficytu budżetowego, długu publicznego ani dmuchać na PKB (więcej na ten temat w rozmowie z Marcinem Piątkowskim). W gospodarce pewne zjawiska dojrzewają latami. W polityce gra się tymczasem od wyborów do wyborów, co rodzi pokusę, by iść do pewnych celów na skróty. Skoro samo przekroczenie progu 3 proc. relacji długu do PKB nie jest już zbrodnią, to może warto zahaczyć o próg 4 proc.? Konsekwencjami i tak pewnie będą już martwić się konkurenci.

To nie pusta figura stylistyczna, bo na naszych oczach umiera właśnie dogmat o niezależności banku centralnego, który ma do zrealizowania cele nie zawsze zbieżne z doraźnym wyborczym interesem rządzących. Misja banku centralnego różnie wygląda w różnych krajach. Przykładowo w Japonii odpowiada on nie tylko za emisję krajowej waluty, ale także wspiera rozwój państwa. NBP ustawa nakazuje pilnowanie inflacji, co musi godzić z emisją złotego. Bez względu na zakres obowiązków banki centralne są jednak ciałami wyodrębnionymi poza resztę instytucji państwowych właśnie po to, by robiły swoje niezależnie od bieżących strategii rządu.

Tyle że to teoria. W praktyce od Waszyngtonu do Delhi trwa dziś demontaż muru, który miał trzymać politykę z dala od banków centralnych. Listę uczestników tej rozbiórki zestawił w połowie kwietnia tygodnik „The Economist". W USA Donald Trump naciska na Rezerwę Federalną, by obniżyła stopy procentowe, systematycznie grozi na Twitterze dymisją jej szefowi i zapowiada wprowadzenie do amerykańskiego odpowiednika polskiej Rady Polityki Pieniężnej dwóch swoich popleczników o śladowych kompetencjach ekonomicznych. W Wielkiej Brytanii zwolennicy brexitu zarzucają Bank of England upolitycznienie raportów opisujących katastrofalne skutki opuszczenia Unii przez Londyn. W Turcji prezydent Erdoğan uznał, że bank centralny podlega mu jak inne urzędy i domaga się posłuszeństwa. Premier Narendra Modi, który wraz z Indyjską Partią Ludową walczy właśnie o reelekcję w największych wyborach parlamentarnych świata, postanowił zwiększyć swoje szanse i wymienił niezależnego szefa banku centralnego na marionetkę, która tuż przed wyborami posłusznie obniżyła stopy procentowe. W przypadku Europejskiego Banku Centralnego, który stoi za eurowalutą, naciski polityczne z Berlina czy Paryża nikogo już nie dziwią.

Samo dostrzeżenie źródeł kryzysu sprzed dekady zajęło ekonomistom prawie 10 lat. Nowy gospodarczy porządek, jaki się zeń wyłania, nie nabrał jeszcze kształtu, na razie widać najwyżej zarysy. Nie wiadomo też, czy wzrost gospodarek rozwiniętych, do których powoli zaczyna zaliczać się Polska, w kolejnych latach da się mierzyć za pomocą procentów. Być może trzeba będzie sięgnąć po promile.

©℗ MAREK RABIJ

Nie możemy być fiskalnym Talibanem

MARCIN PIĄTKOWSKI, EKONOMISTA:

Musimy przeprojektować Polskę. Jeśli nam się nie uda, stracimy najlepszą szansę w historii, żeby dogonić Zachód.

MAREK RABIJ: Jest dobrze?

MARCIN PIĄTKOWSKI: Gospodarczo jest świetnie. Jeszcze nigdy jako cały naród nie byliśmy tak bogaci i tak blisko poziomu życia na Zachodzie.

Dlatego napisał Pan książkę „Europe's Growth Champion. Insights from the Economic Rise of Poland"?

Napisałem ją przede wszystkim, żeby świat docenił to, co wydarzyło się w Polsce przez ostatnich 30 lat. Pracując przez lata w Waszyngtonie, a teraz w Pekinie, obserwowałem z narastającą frustracją pomijanie naszego kraju w globalnej debacie o udanych transformacjach gospodarczo-ustrojowych. Eksperci znają oczywiście najnowsze dane makro, komentują stan budżetu, zauważają poprawę infrastruktury. Ale gdyby zapytał pan w Londynie, Pekinie czy w Nowym Jorku o przykłady tzw. cudów gospodarczych, usłyszałby pan o Singapurze, Korei Południowej, Tajwanie, może jeszcze o Chile. O Polsce cisza.

Dlaczego?

Bo tak jak wolimy słuchać znanych melodii, tak ekonomistom wygodniej badać rzeczywistość uporządkowaną w istniejące narracje. To wymaga mniej wysiłku i łatwiej się sprzedaje. Mamy więc kraje rozwinięte, rozwijające się, azjatyckie tygrysy, demokracje w klasycznym zachodnim wydaniu, demokracje autorytarne itd.

Jednak na liście państw, którym w ciągu ostatnich 50 lat udało się osiągnąć gospodarczy sukces, mało jest krajów, które zrobiły to będąc klasyczną demokracją. Korea Południowa czy Tajwan zdemokratyzowały się na dobre dopiero w latach 90. Południe Europy – Hiszpania, Portugalia czy Grecja – rozpoczęły reformy jeszcze w czasach dyktatury.

Tymczasem Polsce udało się coś unikatowego. Bez zaplecza w postaci cennych surowców, bez wsparcia „sterydami" wysokiego zadłużenia, za to aż z 17 premierami zbudowaliśmy zdrową demokrację i gospodarkę, i w ciągu ostatnich 30 lat zostaliśmy mistrzem Europy we wzroście gospodarczym. Ten sukces poprawił warunki bytowe całego społeczeństwa.

Cała Europa Środkowo-Wschodnia zanotowała skokową poprawę.

Ale tylko polski dochód narodowy w przeliczeniu na mieszkańca wzrósł od 1989 r. 2,5 raza – więcej niż w jakimkolwiek innym kraju w Europie. Biorąc pod uwagę siłę nabywczą, PKB na mieszkańca zwiększył się niemal trzykrotnie, z ok. 10,3 tys. dolarów w 1990 r. do blisko 28 tys. dolarów w zeszłym roku. Na Węgrzech PKB na mieszkańca nawet się nie podwoił, we Francji wzrósł o niecałą jedną trzecią. W ciągu ostatnich 25 lat Polska rozwijała się również szybciej niż wszystkie kraje na świecie o podobnym poziomie dochodów, w tym azjatyckie tygrysy. Zanotowaliśmy najdłużej trwający okres ekspansji gospodarczej w historii Europy i jeden z najdłuższych okresów w historii świata, rosnąc nieprzerwanie od 1992 r.

Dzięki szerokiej dostępności usług publicznych jakość życia jest nawet wyższa niż poziom dochodów. Młodzi Polacy mają praktycznie taki sam dostęp do globalnej kultury, postępu technicznego i cywilizacji jak ich zachodni rówieśnicy. I bardzo się z tego cieszą: ponad 80 proc. społeczeństwa jest zadowolona z życia. Na początku transformacji mówił tak zaledwie co drugi Polak.

Tylko że niewielu Polaków wierzy jeszcze ekonomistom, że „przypływ unosi wszystkie łodzie".

W Polsce akurat uniósł, oczywiście nie wszystkie jednakowo wysoko. Ale i tak wyszło nam lepiej niż w innych krajach. Według danych Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju Polska jest jedynym demokratycznym krajem wśród byłych krajów socjalistycznych, w którym całe społeczeństwo zwiększyło dochody bardziej niż średnia w krajach bogatych. To są fakty.

Takie same, jakimi w sferze politycznej są odczucia i wyobrażenia wyborców, którzy w 2015 r. zagłosowali na partie kwestionujące dorobek polskiej transformacji. A dziś, kilka miesięcy przed kolejnymi wyborami, ekonomiści z zespołu Thomasa Piketty'ego plasują Polskę na pierwszym miejscu w Europie pod względem nierówności dochodowych. Zaledwie 10 proc. najbogatszych Polaków kontroluje, ich zdaniem, aż 40 proc. dochodu narodowego.

To inne spojrzenie na nierówności niż dane EBOiR i ważne ostrzeżenie, że walka z nierównościami pozostaje wielkim wyzwaniem. Kluczową kwestią dla długoterminowego rozwoju demokracji i gospodarki jest utrzymanie nierówności na poziomie, który nie ogranicza możliwości awansu społecznego.

W ten sposób „narody wygrywają"?

Takie pytanie zawiera tytuł głośnej książki Darona Acemoglu i Jamesa Robinsona, którzy przekonują, że społeczeństwa bogacą się dzięki powolnemu, ale stabilnemu, rozciągniętemu w czasie wzrostowi gospodarczemu. A do tego trzeba również odpowiednich warunków społecznych, wolnych od zawirowań i przewrotów, oraz sprawnych instytucji. Nie chodzi o to, żeby przez 10 lat pędzić z PKB w tempie po 7-8 proc. rocznie, a potem zderzyć się z konsekwencjami tego pędu, które wyzwolą długotrwałą recesję. Zrównoważony rozwój społeczno-gospodarczy możliwy jest, zdaniem Acemoglu i Robinsona, jedynie w społeczeństwach, które oni nazywają inkluzywnymi. A mówiąc prościej – w takich, gdzie liczba rozmaitych barier ograniczających działanie jednostki, firm czy organizacji jest jak najmniejsza.

Weźmy np. szkolnictwo. Jeśli państwo zadba o wysoką jakość publicznej edukacji, dzieci z zamożnych domów, chodzące do prestiżowych prywatnych szkół, nie będą na starcie tak bardzo uprzywilejowane wobec gorzej sytuowanych ró-

wieśników. Część elit może zresztą posyłać dzieci do publicznych szkół, jak po wojnie we Francji. Ale wystarczy zaniedbać szkoły publiczne – efekt będzie odwrotny.

Szanse na starcie mają być równe, żeby ostatecznie wygrał lepszy?

Żeby wygrało całe społeczeństwo, bo dzięki temu w pełni wykorzysta swoje zasoby i pomoże rozwinąć się wszystkim swoim Einsteinom, niezależnie od tego, w jak bogatej rodzinie się urodzili.

W swojej książce przeanalizowałem przypadki wszystkich 44 krajów o wysokim poziomie dochodu, z wyjątkiem małych krajów wyspiarskich i gospodarek opartych na ropie. Każdy na pewnym etapie rozwoju przeszedł od społeczeństwa oligarchicznego, w którym elity dbały tylko o własny interes i blokowały rozwój reszty społeczeństwa, w stronę społeczeństwa inkluzywnego, w którym rządzi się w interesie całego społeczeństwa. To było kluczowym warunkiem długoterminowego sukcesu.

Podług tych kryteriów Polsce nie miał prawa wyjść sukces gospodarczy. Po 1989 r. skręciliśmy ostro w stronę założeń Konsensusu Waszyngtońskiego. Czyli: jak najmniej państwa w gospodarce, prywatyzacja połączona z deregulacją rynku pracy, obniżanie podatków. O wyrównywaniu nierówności ani słowa.

Bo czarną robotę odwalił PRL, który zbudował społeczeństwo wprawdzie ubogie, ale egalitarne, społecznie mobilne i nie najgorzej wykształcone.

U Acemoglu i Robinsona nie ma odpowiedzi na pytanie, co sprawia, że jakiś kraj w pewnym momencie przestawia zwrotnicę w stronę inkluzywności. Postanowiłem rozwinąć tę myśl w swojej książce i doszedłem do wniosku, że tego typu przemiany zawsze są efektem poważnych wstrząsów politycznych i przemocy, która jest niezbędna, by odebrać władzę starym elitom. W Europie Zachodniej zarzewiem tych przemian była epoka napoleońska, która zlikwidowała pozostałości feudalizmu i uwolniła społeczeństwa. Azję po 1945 r. zmienili Amerykanie, którzy narzucili podbitym krajom, szczególnie Japonii, nowoczesne konstytucje i przeprowadzili radykalne reformy rolne. W Polsce tę samą rolę odegrały najpierw II wojna światowa, a potem komunizm.

Konstytucja marcowa zniosła tytuły szlacheckie.

Odebrała im jedynie znaczenie prawne. Przedwojenna Polska miała społeczeństwo oligarchiczne, w którym *de facto* rządziły wąskie elity. Widać to choćby po nieudanej reformie rolnej: wbrew szumnym zapisom w kolejnych ustawach, do końca II RP udało się rozparcelować mniej niż 10 proc. ziemi. Ówczesny „układ" był zbyt silny, żeby pozwolić na inkluzywne reformy.

Dopiero II wojna i komuna zaowocowały – czy raczej poskutkowały, był to bowiem proces brutalny, a dla wielu tragiczny – głęboką urawniłowką. Dotychczasowe elity majątkowe gwałtownie zubożały, a jednocześnie PRL wypisała sobie na sztandarach postulat równości, który traktowała w miarę poważnie. Ruszyła elektryfikacja wsi, program walki z analfabetyzmem, industrializacja, która miała rozmach większy od przedwojennego Centralnego Okręgu Przemysłowego.

Według danych spisu powszechnego z 1931 r. – 31 proc. mieszkańców Rzeczypospolitej powyżej 10. roku życia nie umiało czytać. W latach 1933-35 odsetek dzieci w wieku szkolnym, które nie pobierały żadnej nauki, wzrósł z 9,8 do 11 proc. Dziś już się nie dowiemy, czy II RP, spadkobierczyni Rzeczypospolitej szlacheckiej, poradziłaby sobie z tymi problemami lepiej niż PRL, gdyby tylko miała na to czas.

Lubię cytować powiedzenie Napoleona, że historia jest zbiorem kłamstw, które postanowiliśmy uważać za prawdę. Dotyczy to także tradycji szlacheckiej, którą nasza arystokracja wytworzyła głównie na własny użytek. Tymczasem mit Rzeczypospolitej szlacheckiej jako wspólnego domu szlachty i pozostałych stanów ma się nijak do realiów, w których znikomy procent populacji decydował o kształcie państwa. Położenie reszty było znacznie ↦

REKLAMA

↦ gorsze, kończąc na chłopach, których status niewiele różnił się od doli niewolników.

Oligarchiczne społeczeństwo szlacheckie nie tylko budowało prawo i struktury, które wykluczały obcych poza nawias i utrwalały władzę – dość przywołać konstytucję „nihil novi" czy liberum veto. Wytworzyło także system wartości, który piętnował dążenie do poprawy swego losu. Oszczędność i przedsiębiorczość, które w Europie Zachodniej uchodziły za cnoty, w kulturze sarmackiej nazywano skąpstwem i chciwością. Polska szlachta – jak każda elita – czuła się po prostu bezpieczniej, kiedy miała dla siebie duży kawał nierosnącego ciasta. Sytuacja, w której ciasta zaczyna przybywać, jest dla każdej elity niebezpieczna, grozi bowiem tym, że w pewnym momencie pojawia się ekonomiczna, a potem i polityczna konkurencja. Lepiej nie ryzykować i zablokować taki proces od początku. Naszej szlachcie się to świetnie udało.

W 1945 r. w całej Europie Wschodniej arystokracja i burżuazja straciły nagle na znaczeniu. Wszędzie doszło także do spłaszczenia struktury społecznej. 45 lat później wystartowaliśmy mniej więcej z tego samego pułapu ubóstwa. Jak Pan wytłumaczy, że nam poszło lepiej niż np. Ukraińcom czy Bułgarom?

Budowa społeczeństwa inkluzywnego nie oznacza automatycznego dobrobytu. To warunek konieczny, ale niewystarczający. Potrzebna jest też dobra polityka gospodarcza. Nam po 1989 r. udało się relatywnie szybko zbudować instytucje, które mogły zacząć kontrolować reguły wolnorynkowej gry. Dorobiliśmy się też niezależnych, także finansowo, mediów, które patrzyły władzy na ręce. Nadzór bankowy, sądownictwo, nawet administracja funkcjonowały tu sprawniej niż w innych krajach bloku wschodniego. Być może dlatego, że budową zalążków nowej Polski zajęli się ludzie, którzy mieli rozeznanie, jak tego typu instytucje działają na Zachodzie. Tam dochodzili do tego przez stulecia, metodą prób i błędów, my braliśmy gotowe wzorce.

Bułgarzy też mieli do nich dostęp.

Ale z różnych względów nie chcieli z nich korzystać. Gwoli przykładu, w Polsce, mimo błędów, nie doszło do rabunkowej prywatyzacji. W 1989 r. Leszek Balcerowicz, zachodni doradcy i międzynarodowe instytucje byli wprawdzie za tym, by prywatyzować, co się da, byle szybciej i po jakiejkolwiek cenie, ale społeczeństwu udało się to zablokować. Do masowej prywatyzacji doszło dopiero w 1996 r., kiedy opinia publiczna, także dzięki mediom, miała już rozeznanie w cenach majątku. Nie dało się już bezkarnie sprzedać fabryki za złotówkę. Ukraińcom, Rosjanom, Czechom czy Bułgarom zabrakło silnego społeczeństwa obywatelskiego i łutu szczęścia. Nim się obejrzeli, dorobili się kasty oligarchów, którzy wskoczyli w buty dawnej arystokracji, uzależnili od siebie najpierw media, a potem podporządkowali sobie także politykę, żeby służyła ich interesom. My tego uniknęliśmy.

KAROL SEREWIS / EAST NEWS

A Jan Kulczyk?

Nie ta skala zblatowania biznesu z polityką. Niech pan sobie choćby przypomni polskich premierów i ministrów finansów: w zasadzie wszyscy są nadal czynnymi politykami albo wrócili na uczelnie. Z małymi wyjątkami, nikt nie sprzedał się wielkiemu biznesowi. Nikt nie był też podejrzany o brak uczciwości. To nas wyróżnia na tle innych krajów, w regionie i na świecie. Mieliśmy szczęście co do liderów.

To, w połączeniu z importem zachodnich instytucji, otwartymi granicami, pracowitością Polaków i funduszami unijnymi sprawiło, że w trzy dekady odrobiliśmy nie tylko pół wieku gospodarki centralnie sterowanej, ale też błyskawicznie zrzuciliśmy balast wielu historycznych zaszłości.

Jak długo jeszcze będziemy na tej fali wznoszącej?

Jeszcze przez jakiś czas, bo mamy konkurencyjną gospodarkę, którą trudno zepsuć. Ale sukces w przeszłości nie gwarantuje powodzenia w przyszłości. Dalej jesteśmy państwem na dorobku, które członkostwo w klubie najbogatszych musi sobie dopiero wyrobić na stałe. Kłopot w tym, że nasza przyszłość nie leży całkowicie w naszych rękach.

PiS twierdzi, że jesteśmy kolonią bogatego Zachodu.

Cóż, w pewnym sensie zawsze nią byliśmy, bo nawet w czasie „złotego wieku" za Jagiellonów eksportowaliśmy zboże, nie karoce, i byliśmy uzależnieni od zachodnich kupców, przedsiębiorców i rynków. W dzisiejszym świecie pojęcie „kolonii" ma jednak mało sensu, bo każdy kraj, nie wyłączając Niemiec czy nawet Ameryki, jest uzależniony od światowej gospodarki. Ponad jedna trzecia globalnych zysków Volkswagena pochodzi z Chin; cały niemiecki przemysł samochodowy jest podobnie uzależniony. Czy to sprawia, że Niemcy są kolonią Chin?

W dyskusji o „kolonizacji" chodzi o to, aby nasza gospodarka wypracowała sobie pozycję, w jakiejkolwiek branży, w której to my moglibyśmy uzależniać innych. Tak jednak nigdy w polskiej historii nie było, co nie oznacza, że tak się nigdy nie stanie. Chociaż będzie trudno.

Z peryferii mamy się przesunąć bliżej centrum?

Musimy. Innej drogi nie ma, jeśli nie chcemy zaprzepaścić fenomenalnego dorobku ostatnich 30 lat. Z moich prognoz wynika, że do 2030 r. Polska powinna osiągnąć pułap około 80 proc. PKB na głowę w Europie Zachodniej. Obecnie mamy

DR HAB. MARCIN PIĄTKOWSKI, ekonomista pracujący w Pekinie, adiunkt w Akademii Leona Koźmińskiego w Warszawie, autor książki „Europe's Growth Champion. Insights from the Economic Rise of Poland" wydanej nakładem Oxford University Press (polska wersja ukaże się nakładem wydawnictwa Poltext).

nieco ponad dwie trzecie. Ale nadganiać będzie coraz trudniej, bo coraz bliżej nam do najlepszych i coraz trudniej nadganiać bazując tylko na kopiowaniu pomysłów i niskim koszcie pracy. Czas więc na nowy napęd dla Polski.

Czyli?

Przede wszystkim na inwestycje w naukę i edukację. Bez pierwszorzędnych mózgów nie będzie pierwszorzędnej gospodarki. Druga rzecz to infrastruktura. Wiele już zrobiliśmy, ale daleko nam do globalnej ligi mistrzów. Wiedzą o tym np. Chiny, które mimo że wciąż są od Polski biedniejsze, to już mają lepszą infrastrukturę, szczególnie w najważniejszej dla przyszłości cyfrowej gospodarce. Po trzecie, musimy pozostać otwarci na imigrację ekonomiczną. Kluczowe też będą efektywne i godne zaufania instytucje, w tym przede wszystkim niezależny, godny zaufania i skuteczny wymiar sprawiedliwości.

Część ekonomistów i polityków nadal mówi: nie stać nas.

Polski nie stać przede wszystkim na to, by stać się fiskalnym Talibanem, w którym wszystko podporządkowane jest kreacji nadwyżki budżetowej i obniżaniu długu publicznego na siłę – bez mała jak w Rumunii Ceaușescu, która spłaciła całe zagraniczne zadłużenie kosztem skokowego wzrostu biedy. Dług publiczny to środek do celu, jakim jest rozwój społeczno-gospodarczy, a nie cel sam w sobie. Biorąc pod uwagę historycznie niskie koszty długu, wynoszące teraz ok. 3 proc. rocznie, inwestycje w drogi, naukę czy innowacje przyniosą nam o wiele wyższe zwroty niż koszt długu. W czasie dobrej koniunktury dług publiczny powinien spadać, ale na ścieżce szybkiego wzrostu gospodarczego, a nie cięcia wydatków rozwojowych na ślepo.

MARCIN PIĄTKOWSKI:

Do 2030 r. Polska powinna osiągnąć pułap ok. 80 proc. PKB na głowę w Europie Zachodniej. Ale nadganiać będzie coraz trudniej, bo nie wystarczy już kopiowanie pomysłów i niskie koszta pracy. Czas na nowy napęd dla Polski.

W polityce społeczno-gospodarczej polskiego rządu nie było 9-10 mld zł dla protestujących nauczycieli, ale znalazło się dodatkowych 20 mld zł na 500 plus.

Co za dużo, to niezdrowo.

A bez przysłów?

Za dużo i za szybko. Program 500 plus w dotychczasowej wersji zrobił wiele dobrego dla eliminacji biedy i obniżenia nierówności. To sprzyja budowie inkluzywnego społeczeństwa. Ale ostatnie decyzje rządu to oczywista gra pod wybory. Wolałbym, żebyśmy do 500 plus na każde niepełnoletnie dziecko dochodzili stopniowo, bez ryzyka, że zabraknie pieniędzy na inwestycje kluczowe dla przyszłości kraju i wydatki rozjadą się z dochodami.

Lekarze wiedzą, że jeśli temperatura ciała pacjenta wzrośnie do 42 stopni, to po zawodach. Dług publiczny też ma jakiś punkt krytyczny?

Zamiast testować granice wytrzymałości, lepiej, trzymając się porównań medycznych, zapobiegać chorobie. Mamy taki bezpiecznik, czyli 3 proc. deficytu budżetowego do PKB, monitorowany przez Komisję Europejską. Jest ustawiony na tyle sensownie, że nie hamuje rozwoju. Nie ma powodu, by go fetyszyzować, ale nie wolno go lekceważyć.

Premier mówi, że przekroczenie tego progu go nie przeraża.

Na razie pomaga nam koniunktura, ale nie zawsze tak będzie. Polityka to sztuka wyboru, a skokowe podwyższenie wydatków na 500 plus oznacza, że tych pieniędzy nie zainwestujemy w naukę, edukację i służbę zdrowia, czyli w to, co jednocześnie utrwala inkluzywność społeczeństwa i podnosi konkurencyjność gospodarki.

Będąc małą gospodarką na dorobku, musimy prowadzić politykę gospodarczą lepszą niż inni. Jeśli się nam to nie uda, stracimy najlepszą szansę w historii, żeby dogonić Zachód i dołączyć do cywilizacyjnego jądra Europy.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak:
Jonasz, prorok oporny

Księga Jonasza jako jedna z niewielu ukazuje Boga Izraela jako troszczącego się o los nie-Żydów. Prorok zostaje potępiony za ograniczone, wręcz bezlitosne spojrzenie na ludzi innych kultur i religii. Bóg chce objąć troską całą ludzkość i świat; wie, że nawet zwierzęta oczekują skruchy i pojednania. Nie oczekuje od Niniwy nawrócenia, a tylko (czy aż) zrozumienia swoich win i powrotu do Najwyższego. Troszczy się o wszystkich, którzy zgrzeszyli i szukają pojednania. Dopiero w Księdze Izajasza pojawia się niezwykły, namiętny obraz przyszłego świata, gdy wszystkie narody staną się jednym i we wspólnocie wiary odnajdą się w chwale Pańskiej. „(...) i przyjdzie ten czas, że zgromadzę wszystkie narody, i języki, i przyjdą a oglądają chwałę moją. I położę na nich znak" (Iz 66, 17). Obraz czasów ostatnich kładzie kres podziałom narodowym i religijnym: wszyscy znajdą się u bram Świątyni i dostąpią zaszczytu pełnienia ról kapłańskich.

Jonasz nie chciał i nie marzył o tak odległych czasach. Nie stać go było na troskę o innych ludzi, nie był w stanie pogodzić się z odpowiedzialnością, na którą miał się zdobyć. Nie chciał ruszyć z ziem Izraela, a jak już się wyprawił, to uciekał przed Bogiem do Tarszisz – pewnie sądził, że Jego moc nie sięga odległych ziem. Jedyne, co radowało Jonasza (tylko w tym miejscu pada słowo radość), to roślina, która dała mu chwilowe odpocznienie od upału.

Współcześni rabini nie lubią takich ludzi. Widzą w nich człowieka obarczonego misją proroczą, który na wszelki wypadek nikogo poza samym sobą nie słucha i nie chce wiedzieć o niczym kłopotliwym. Ileż to razy każdy z nas udawał, że to nie jego sprawa: że zło w Polsce i na świecie go nie obchodzi, nie chciał widzieć twarzy cierpiących... Abraham Heschel pisał: „Nowa sytuacja w świecie zanurza nas w nieznanych regionach odpowiedzialności. Nieprzygotowany, osłupiony, wprowadzony w błąd, świat jest nieludzką ziemią. Ludzie w całym świecie oczekują wyjścia z niepokojów, nowej pewności, by pojąć, kim jest człowiek. Czy pomocą będą im prorocy?".

Prorok jest kimś, kto słyszy i widzi niesprawiedliwość, by nas na nie uwrażliwić. Jonasz nie spełnił tego wymogu i przegrał. Niczego ze świata nie pojął. Odmówił wrażliwości. Nic go nie cieszyło. Wolał umrzeć, niż cokolwiek wymagać od siebie. Okazał się opornym prorokiem. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Masz mało czasu

Autor Apokalipsy, czyli Objawienia, mówi: „jeden ze Starców odezwał się do mnie tymi słowami: »Ci przyodziani w białe szaty kim są i skąd przybyli?«. I powiedziałem do niego: »Panie, ty wiesz«. I rzekł do mnie: »To ci, którzy przychodzą z wielkiego ucisku i opłukali swe szaty, i w krwi Baranka je wybielili. Dlatego są przed tronem Boga i w Jego świątyni cześć Mu oddają we dnie i w nocy. A Zasiadający na tronie rozciągnie namiot nad nimi. Nie będą już łaknąć ani nie będą już pragnąć, i nie porazi ich słońce ani żaden upał, bo paść ich będzie Baranek, który jest pośrodku tronu, i poprowadzi ich do źródeł wód życia: i każdą łzę otrze Bóg z ich oczu«".

Apokalipsę zwykło się traktować jako zapowiedź przyszłych losów ludzi i świata, dramatycznych losów, których finałem będzie tzw. koniec świata. Tymczasem ta ostatnia księga Nowego Przymierza ma również aktualny wydźwięk. Wciąż przecież całe narody i grupy ludzi cierpią ucisk, wciąż przelewana jest krew chrześcijan, ale na tym samym oddechu musimy mówić, że i wyznawców pozostałych religii, mniejszości etnicznych, kulturowych, światopoglądowych. Nie bez powodu papież Franciszek mówi o współczesności jako czasie męczenników.

Na szczęście nie wszędzie jest tak tragicznie, w wielu miejscach żyje się w spokoju i pokoju. Nie jest to jednak powód jedynie do dziękowania Bogu, że „nie jesteśmy tacy jak inni ludzie", przytłoczeni nieszczęściami. W dobrobycie, zwłaszcza gdy jest podbudowany urojonym poczuciem niespełnienia, łatwo zasypia rozum, serce i sumienie. Ale od czego jest tzw. proza życia i wydarzenia, na które nie zwraca się żadnej uwagi?

Franciszek w „Gaudete et exsultate" mówi: „Pamiętajmy, jak Jezus zachęcał swoich uczniów, by zwracali uwagę na szczegóły. Drobny szczegół, że na uczcie weselnej zaczęło brakować wina. Drobny szczegół, że zabrakło jednej owcy. Drobny szczegół, że wdowa złożyła w ofierze dwa pieniążki. Drobny szczegół posiadania zapasu oleju do lamp na wypadek, gdyby oblubieniec się opóźniał. Drobny szczegół, aby zapytać uczniów, ile mają chlebów. Drobny szczegół przygotowania żarzących się węgli, a na nich ryb, gdy czekał na uczniów o świcie".

Te i inne drobne szczegóły tym, którzy dostrzegli ich znaczenie, stały się objawieniem prawdy o Bogu, o Jego miłości do ludzi i świata.

Nie śpieszmy się jednak z ogłaszaniem, że dostąpiliśmy szczególnej łaski od Boga, gdy np. wyszliśmy cało z wypadku kolejowego. Znamy przecież takich, którzy wyszli cało z niejednej opresji, ale ich ocalenie trudno uznać za wyraz Bożego błogosławieństwa. Krańcowy przykład to Hitler, który przeżył, na nieszczęście milionów jego ofiar, aż kilkanaście zamachów. Zbigniew Herbert mówi:

ocalałeś, nie po to aby żyć
masz mało czasu trzeba dać świadectwo. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Prymat w Kościele

Przeszliśmy w Łodzi po raz drugi Ekumeniczną Drogą Światła. Stacje przygotowali liderzy poszczególnych Kościołów. Mnie poproszono o przygotowanie rozważań stacji X: „Zmartwychwstały Pan przekazuje prymat Piotrowi". To wydarzenie opisane w Ewangelii św. Jana: „Jezus zapytał Szymona Piotra: Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie więcej niż ci? Odpowiedział: Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham. Powiedział mu: Paś baranki moje! Zapytał go znowu, po raz drugi: Szymonie, synu Jana, czy miłujesz Mnie? Odpowiedział: Tak, Panie, Ty wiesz, że Cię kocham. Powiedział mu: Troszcz się jak pasterz o moje owce! Zapytał go po raz trzeci: Szymonie, synu Jana, czy kochasz Mnie? Piotr się zasmucił, że zapytał go po raz trzeci: Czy kochasz Mnie? I odpowiedział Mu: Panie, Ty wszystko wiesz, Ty wiesz, że Cię kocham. Powiedział mu Jezus: Paś moje owce!" (J 21, 15-17).

To nie jest rozmowa o władzy. A jeśli nawet, to jednak nie o niej najpierw! Najpierw jest to rozmowa o grzechu, o miłości i o owcach. O grzechu Piotra – rozmowa prowadzona w stylu Jezusa, więc bez moralizowania, bez poniżania. Z miłością i szacunkiem – więcej: z wiarą w grzesznika – ale w dalszym ciągu jest to rozmowa o poważnym grzechu: trzykrotnego zaparcia się wiary. Piotr miał się czym zasmucić. Dalej jest to rozmowa o miłości Szymona do Jezusa – miłości, której domaga się wręcz uprzedzająca miłość Pana: miłość wierna, miłość „mimo" (zdrady), wybaczająca, niecofająca wybrania, miłość kolejnej szansy. I wreszcie jest to rozmowa o Jezusowych owcach, nabytych Jego własną Krwią; owcach, które On zna (każdą) po imieniu, i które znają Jego głos, a za głosem „obcych" nie pójdą.

To ważna – potrójna – lekcja dla każdego, kto by chciał w Kościele wziąć na siebie jakąkolwiek odpowiedzialność – przewodzenie diecezji, parafii, jakiejkolwiek wspólnocie czy... Kościołowi domowemu/rodzinie: Nie bierz na siebie władzy, jeśli nie chcesz rozmowy z Jezusem o swoim grzechu. Twoja ucieczka od rozmowy o grzechu jest straszliwie niebezpieczna – dla Ciebie i dla wszystkich, których chcesz prowadzić. Szczególnie zaś dla tych, którzy nie mogą się ukryć ze swoimi grzechami – będą przetrąceni najpierw przez nie, a potem – po raz drugi – przez Ciebie!

Nie bierz też na siebie władzy w Kościele, jeśli nie chcesz rozmowy z Jezusem o swojej miłości do Niego. Bez niej, raczej wcześniej niż później zabraknie Ci motywacji, by kontynuować misję pasterską. Wystarczy pierwszy poważny opór ze strony owiec. Doświadczenie bezowocności. I jeszcze próba osamotnienia. I niezrozumienia ze strony tych, którzy odpowiedzialność za Kościół wzięli wcześniej niż Ty.

Nie bierz wreszcie na siebie żadnej władzy w Kościele, jeśli nie zakodowałeś w umyśle i w sercu, że owce należą do Niego. Bo będziesz pasł nie owce, lecz siebie samego, będziesz je traktował przedmiotowo, a każdą sensowną wizję Kościoła zredukujesz do karykatury klerykalizmu.

Jeśli jednak odważyłeś się już nieraz rozmawiać z Jezusem (i nadal znajdujesz w sobie pragnienie tejże rozmowy) o swoich grzechach, ale i o swojej miłości do Niego i do Jego owczarni – to proszę Cię na wszystko: Weź na siebie odpowiedzialność za Kościół. On Ciebie bardzo potrzebuje. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 V)

4. niedziela wielkanocna: Dz 13, 14. 43-52; Ps 100; Ap 7, 9. 14b-17; J 10, 27-30;
Poniedziałek: Dz 11, 1-18; Ps 42; J 10, 1-10;
Wtorek: Dz 1, 15-17. 20-26; Ps 113; J 15, 9-17;
Środa: Dz 12, 24 – 13, 5a; Ps 67; J 12, 44-50;
Czwartek: Ap 12, 10-12a; Ps 34; 1 Kor 1, 10-13. 17-18; J 17, 20-26;
Piątek: Dz 13, 26-33; Ps 2; J 14, 1-6;
Sobota: Dz 13, 44-52; Ps 98; J 14, 7-14;
5. niedziela wielkanocna: Dz 14, 21b-27; Ps 145; Ap 21, 1-5a; J 13, 31-33a. 34-35.

Radość zdobyli Ci, co Go znaleźli: których On odnalazł w sobie i którzy Go w sobie znaleźli. W Nim zaś, nieosiągalnym, niepojętym, w Ojcu doskonałym, w Nim jest wszystko.

EWANGELIA PRAWDY

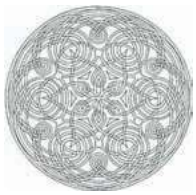

Mędrzec ani się życia nie wyrzeka, ani się śmierci nie boi, albowiem życie nie jest mu ciężarem, a nieistnienia nie uważa wcale za zło.

EPIKUR

Wybrał PIOTR SIKORA

NA ZACHODZIE, CZYLI NIGDZIE

Wybory do Parlamentu Europejskiego są ważne same w sobie. Nie dajmy się uwieść krótkowzrocznej logice polskiej polityki, która czyni z nich rozgrzewkę przed jesiennym bojem o Sejm i Senat.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Kampania przed wyborami do Europarlamentu nabiera rozpędu. Od tego, jakie decyzje podejmiemy, zależy przyszłość najambitniejszego projektu w historii tego kontynentu, a więc przyszłość każdej i każdego z nas. Ale śledząc polskie media można odnieść wrażenie, że trwają raczej próbne wybory przed jesiennym starciem tytanów. Wygodna sytuacja, by przećwiczyć różne układy, połknąć przystawki, zmobilizować elektorat, spróbować sił w rozbijaniu lub cementowaniu politycznej sceny... Jakbyśmy wszyscy uwierzyli, że naprawdę ważne sprawy decydują się w Warszawie, a Bruksela to tylko zesłanie dla tych, co wypadli z łaski, albo – przeciwnie – atrakcyjna nagroda dla najbardziej zasłużonych w boju. Składa się to wszystko w sensowną całość. Wszak o Unii Europejskiej i Brukseli nawet proeuropejscy politycy znacznie częściej mówią „oni" niż „my". Zachód daje pieniądze, wymaga, grozi palcem albo chwali. Ale na Zachodzie nie jesteśmy u siebie.

A jednak najbliższy miesiąc będzie ciekawy, choć powszechnie nie doceniamy politycznego znaczenia eurowyborów

(z podobną dezynwolturą traktujemy zresztą wybory samorządowe). Mimo zdominowania naszej polityki przez logikę partyjnej walki na krajowym podwórku, słowa „Europa", „Zachód", a także nazwy europejskich krajów i stolic usłyszymy wielokrotnie odmieniane przez wszystkie przypadki. Warto się wsłuchać w te głosy. Nie mówią wprawdzie zbyt wiele o Zachodzie, bo opierają się na mitach, stereotypach i dramatycznych uproszczeniach, tym więcej mówią jednak o nas samych – tych, którzy w te mity, stereotypy i uproszczenia wierzą.

Efekt słonia

Gdy w okolicy pojawił się słoń, grupa ślepców zapragnęła dowiedzieć się, jak on wygląda. Wybrali się więc na poszukiwanie, a znalazłszy bestię, oblegli ją ze wszystkich stron. Pierwszy wyciągnął ręce i chwytając zwierzę za trąbę, rzekł: „Słoń jest czymś w rodzaju węża". Drugi, który złapał za ucho, odparł: „Nic z tych rzeczy! Przypomina raczej gruby palmowy liść!". Na to odezwał się trzeci, który obejmując potężną nogę stwierdził, że słoń jest czymś w rodzaju słupa czy pnia drzewa. Inni znów, stanąwszy przy boku zwierzęcia bądź jego ogonie, krzyczeli: „Słoń jest jak ściana" albo „Słoń jest jak lina!". Każdy bezskutecznie próbował przekonać pozostałych do swojego zdania, aż wreszcie posprzeczali się tak, że w ruch poszły kije, a spłoszona bestia uciekła do lasu.

Ta stara opowieść przywędrowała do nas z Indii, ale od stuleci jest doskonale znana Europejczykom. Zbyt słabo znam kontekst jej powstania, by wyrokować, jaki dokładnie był jej pierwotny sens, ale w naszym kręgu kulturowym opowieść o słoniu funkcjonuje jako historia o rozbieżności między różnymi punktami widzenia a obiektywną rzeczywistością. Ten sam przedmiot poznawany pod różnym kątem łudzi nasze zmysły odmiennymi kształtami. Wielość okazuje się ostatecznie jednym.

W tej wizji kryje się jednak pułapka, w którą łatwo wpadamy. Zbyt często bowiem stosujemy zasadę ślepców i słonia w sposób nieuprawniony, naiwnie wierząc, że różne zjawiska obserwowane w różnych miejscach muszą się w końcu złożyć w jedną sensowną całość, przybierając kształt słonia.

Tak właśnie przedstawia się sprawa z polskim mitem Zachodu. Przez lata Zachód oglądaliśmy jakby w zwierciadle, niejasno. W dodatku było to zwierciadło potłuczone, dające jedynie ogląd rozproszonych fragmentów. I właśnie z tych fragmentów przez całe dekady lepiliśmy nasz obraz Zachodu. Składały się nań wspomnienia, przedmioty (dżinsy, płyty zagranicznych zespołów), wypisy z kultury (filmy, powieści), strzępy osobistych doświadczeń (imigracja).

Pewien człowiek jechał do Danii, gdzie obserwował mechanizmy państwa opiekuńczego. Ktoś inny wracał z USA, zachwycając się tamtejszą wolnością gospodarczą. Dwóch sąsiadów opowiadało sobie wzajem o niemieckim i brytyjskim modelu parlamentarnym, obydwaj w przekonaniu, że obserwują ten sam, zachodni system demokratyczny.

To jakby odwrócenie przypowieści o słoniu. W ciemnym pokoju zbiorowej wyobraźni, w którym poruszamy się po omacku, wcale nie ma słonia. Znajduje ↦

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA GAZETA

↦ się tam – choć brzmi to nieprawdopodobnie – wąż z liściem, ściana, lina i potężny słup przypominający pień drzewa. Albo – jeżeli ktoś woli pozostać królestwie zoologii – kilka różnych zwierząt, stojących jedno na grzbiecie drugiego niczym słynni muzykanci z Bremy.

Politycy różnych opcji i publicyści niezależnie od medium, anonimowi autorzy komentarzy na portalach internetowych i rozentuzjazmowani wujkowie przy świątecznym stole – wszyscy chętnie odsyłają nas do słonia, wierząc, iż jest tak wielki i charakterystyczny, że nie sposób go przegapić ani pomylić z czymkolwiek innym. „Miejsce Polski jest na Zachodzie!" – przekonuje z entuzjazmem lider partii politycznej. Jego rywal przestrzega rodaków przed „środowiskami nam nieprzychylnymi na Zachodzie". Na Zachodzie to lub owo byłoby nie do pomyślenia. Nasze miasta powinniśmy organizować na wzór Zachodni. Na Zachodzie „ten problem dawno już rozwiązano", „kiedy wreszcie u nas będzie jak na Zachodzie?". Ewentualnie: naszą misją jest „uratowanie cywilizacji zachodniej".

Ale jeżeli Zachód to nie słoń, ale dziwaczna kompania różnych zwierząt, to o którym z nich właściwie mowa? Ten „efekt słonia" sugeruje intrygujący trop dotyczący współczesnej Polski. Skoro cały czas jesteśmy skłonni porównywać się z Zachodem jako całością, to chyba znaczy, że w zbiorowej wyobraźni samych siebie wciąż umieszczamy gdzieś poza nim... Także dlatego eurowybory nie są naszymi wyborami, a Bruksela – naszą stolicą. Europejskie pieniądze są naszymi pieniędzmi tylko wówczas, gdy trafiają do Polski.

Nietutaj

Wydana w 2000 r. „Continuities in Poland's Permanent Transition" Haralda Wydry to książka niemal w Polsce nieznana. A szkoda, bo wiele moglibyśmy się z niej nauczyć. Błyskotliwy Niemiec z polskimi korzeniami (obecnie profesor Cambridge University) wykorzystuje w swojej analizie narzędzia antropologii politycznej, w szczególności zaś kategorie zaczerpnięte z badań nad religią i rytuałem. Choć Wydra opisuje czas przełomu, tematem przewodnim jego analizy nie jest zmiana, lecz właśnie ciągłość. Antropolog bada długie trwanie kluczowych polskich mitów i ich zakorzenienie w naszej skomplikowanej historii.

Wydra pokazuje, że jednym z naszych najważniejszych mitów jest właśnie obraz Zachodu. Tak jak większość naszej narodowej mitologii wykuwał się on w sytuacji, którą Wydra określa jako liminalną, a więc graniczną. Nasz obraz Zachodu to obraz powstały nie w „czasie zwykłym", lecz właśnie w „czasie przełomu" – ukształtowany w sytuacji zagrożenia tożsamości, powstań, odbudów, wielkich zrywów modernizacyjnych. W tej sytuacji nie powinno dziwić, że polski mit Zachodu zawsze związany był z poczuciem nieciągłości i zmiany zarówno w czasie (rewolucja, transformacja), jak i w przestrzeni (status półperyferiów czy „Europy Środkowej" zawieszonej między Wschodem a Zachodem).

Zachód stał się dla Polaków miejscem mitologicznym, definiowanym przede wszystkim jako „nietutaj". Ponieważ nasz świat był w jakiś sposób światem na opak, Zachód – ujmowany jako całość – stał się po prostu synonimem normalności. A normalność nie wymaga definicji i szczegółowych opisów, normalność po prostu jest. Takie podejście dało o sobie znać zwłaszcza w okresie PRL, gdy Zachód w potocznej świadomości funkcjonował przede wszystkim jako „niekomunizm", „niesocjalizm" – miejsce, gdzie jest po prostu inaczej niż u nas. Kluczowymi elementami tak rozumianego Zachodu stały się demokracja, kapitalizm i innowacyjna (a w wersji minimum: wydolna) gospodarka. Ale jaka to ma być demokracja? Jaki kapitalizm i gospodarka? – o to już nikt nie pytał.

Obserwowany z daleka Zachód tracił większość swojej różnorodności. Zarówno opozycyjna mitologiczna idealizacja, jak i krytyczna propaganda komunistów tworzyły zasłonę rozmywającą wszelkie nieciągłości w obrazie tego, co rozciągało się poza czasowym i przestrzennym *limes* naszego świata. „Pojęcie »rynku« stawało się czymś w rodzaju kontenera na śmieci – wyjaśnia Wydra – rozpraszając jakiekolwiek precyzyjne znaczenie. Zgadzamy się, że potrzeba nam rynku, ale jakiego rynku? Takiego, o jakim pisał Milton Friedman i Szkoła z Chicago, czy rynku z ludzką twarzą, którego ekonomiczne konsekwencje nie staną się usprawiedliwieniem dla egoizmu, brutalności i rzymskiej maksymy *homo homini lupus?*".

Po 30 latach od transformacji wciąż zaskakująco często padamy ofiarami tego optycznego złudzenia. Bagaż przeszłości sprawia, że ignorujemy różnice w tym, co oglądane z zewnątrz, z daleka. Nawet czując się częścią Zachodu, wciąż mamy problemy z uwzględnieniem jego różnorodności. A kiedy zasłona mitu rozdziera się, nagle z zaskoczeniem odkrywamy, że przez lata mówiliśmy o całkiem różnych demokracjach, rynkach i gospodarkach.

Mit ukształtowany w czasie przełomu nie pozwala nam zrozumieć czasu zwykłego. Unia codzienna, rozwiązująca zwyczajne problemy (a czasem stwarzająca całkiem nowe), nie pasuje do naszego obrazu Zachodu. Zamiast spełnić swój sen o przystąpieniu do „krainy normalności", obudziliśmy się i stwierdziliśmy, że takie królestwo po prostu nie istnieje. Nie ma jednego wzorca normalności, a problemy polityki, rynku i gospodarki nie rozwiążą się w cudowny sposób po porzuceniu komunistycznego świata na opak. Na Zachodzie, tak samo jak wszędzie, trwają codzienne spory dotyczące tego, jak najlepiej zorganizować świat. Nikt nie rozdaje tu gotowych przepisów na szczęście. No, może poza politycznymi hochsztaplerami. A ci doskonale wiedzą, jak wykorzystać naszą narodową mitologię.

Szczęście z supermarketu

W wydanej właśnie książce „Czerwono-biali i Biało-czerwoni" Włodzimierz Pessel – antropolog i skandynawista z Uniwersytetu Warszawskiego – analizuje m.in. niedawną modę na „duńską sztukę szczęścia". W Polsce *hygge* natychmiast rozmieniło się na dziesiątki drobnych porad w prasie kobiecej, książki sprzedawane na poczcie, a nawet drogeryjny przebój – świeczki „rzekomo wzmagające szczęśliwość każdego ludzkiego bytu". Tymczasem, jak świetnie pokazuje Pessel, *hygge* jest niezwykle złożoną ideą, głęboko zakorzenioną w skomplikowanej historii Danii. Idee „wyściełania" i „domowego zacisza", które tak łatwo przekładamy na język bibelotów i wystroju wnętrz, splecione są z niezagojonymi ranami po przegranych wojnach (1864), ale też współczesnymi mechanizmami wykluczenia społecznego czy poczucia etnicznej wyższości.

Ale najbardziej zaskakujące w analizie Pessela jest chyba odkrycie okrężnej drogi, jaką przybyła do nas moda na *hygge*. Duńska sztuka szczęścia stała się modna w Polsce dlatego, że była modna na Zachodzie. Pomimo geograficznej bliskości główny nurt naszej kultury praktycznie nie ma

bezpośrednich powiązań z Danią. Większość szlaków z Kopenhagi do Warszawy prowadzi dziś okrężną drogą przez bliżej niesprecyzowany „Zachód". O Duńczykach nigdy nie myślimy jak o sąsiadach. A szkoda. Cała książka Pessela jest właściwie przypomnieniem, że Dania leży znacznie bliżej, niż nam się wydaje, i powinna być dla Polaków znacznie ciekawsza niż kupiona na poczcie obrazkowa książeczka o *hygge*.

Dania padła ofiarą mechanizmu, który dotyka dziś naszych kulturowych relacji z zewnętrznym światem. Przez lata symbolem zachodniego stylu życia był dla Polaków supermarket, później zdetronizowany w tej roli przez galerię handlową – miejsce dostatku, w którym każdy może znaleźć coś dla siebie. Dziś z samej globalnej kultury korzystamy jak wybredni klienci („supermarket idei"), wypełniając swój koszyk produktami, które akurat przypadną nam do gustu. Duńskie *hygge* stoi na półce obok czeskiego poczucia humoru, niemieckiej solidności, amerykańskiej wolności i włoskiego makaronu. Opisywana wcześniej specyfika polskiego stosunku do Zachodu doskonale współgra tu z globalnymi trendami. Współczesny rynek kulturowy nieco przypadkiem spełnił nasze marzenie o Zachodzie jako wielkiej, jednorodnej przestrzeni symbolicznej, cechującej się przede wszystkim egalitarnością, obfitością i ciągłością nowości. W supermarkecie idei spotykają się demokracja, rynek i innowacyjność, o których pisał Wydra.

Ale produkty w supermarkecie, zwłaszcza te na półce „kuchnie świata", tylko łudzą nas iluzją przybliżania różnych lokalności. W rzeczywistości są wyrwane z kulinarnego i kulturowego kontekstu, przykrojone pod starannie zbadany gust odbiorcy, a w dodatku transportowane przez setki kilometrów, co wpływa na ich świeżość i przyczynia się do znacznych emisji dwutlenku węgla.

Podobnie jest w świecie idei. Może nam się wydawać, że poznaliśmy duński przepis na szczęście, amerykański system polityczny albo włoską kuchnię. W rzeczywistości kupiliśmy jednak spreparowane dla turystów wyobrażenie. Taka wiedza o Zachodzie jest często gorsza niż brak wiedzy. Kulturowy produkt *instant* mami nas bowiem złudną świadomością, że „gdzie indziej jest inaczej", a zarazem ukrywa przed nami skomplikowany kontekst towarzyszący powstawaniu idei. Supermarket nie zachęca nas do zadawania pytań i zastanawiania się. Sprzedaje nam szczęście, którego kluczowym składnikiem jest spokojne poczucie, że wiemy już wszystko, co się wiedzieć powinno.

> Na Zachodzie trwają codzienne spory, jak najlepiej zorganizować świat. Nikt nie rozdaje gotowych **przepisów na szczęście.** No, może poza politycznymi hochsztaplerami. A ci wiedzą, jak wykorzystać naszą narodową mitologię.

To kolejny powód naszej obojętności wobec Unii. Nie tylko nie znamy jej i nie rozumiemy rządzących nią mechanizmów. Jest znacznie gorzej! Nie mamy nawet świadomości własnej niewiedzy, luki w wykształceniu zasłaniając frazesami w rodzaju „Unia daje", „Unia zabiera", „unijni biurokraci". Unię Europejską też traktujemy jak supermarket albo galerię handlową. Miło się tu spędza czas, ale bądźmy rozsądni – w sklepie, nawet najbardziej przytulnym, klient nie jest domownikiem. W supermarkecie nikt nie jest u siebie.

Śmierć Zachodu

Jest wreszcie wątek ostatni, być może najbardziej niepokojący. Jednorodna wizja Zachodu ukształtowana w „czasie specjalnym" i przetworzona przez logikę supermarketu wzmacnia nasz lęk przed roztopieniem się w obcości. Jeżeli Duńczycy, Francuzi, Niemcy i Hiszpanie to w gruncie rzeczy jedno plemię, rozróżnialne wyłącznie po marginalnych szczegółach, to jak my, Polacy, mielibyśmy pozostać sobą, gdy upadają mury, które dotychczas oddzielały nas od Innych?

Ten lęk przed utratą własnej tożsamości stanowi dziś kluczowy motyw polityki prawicowej. Łączy się on w nieoczywisty sposób z lękiem przed „śmiercią" czy „zmierzchem" Zachodu. Bo Zachód oglądany w opisywanym tu krzywym zwierciadle faktycznie wygląda jak dziwaczne monstrum. Rozpadający się potwór Frankensteina pozszywany z niepasujących do siebie kawałków. Patrząc na tego stwora nietrudno uwierzyć w diagnozę Oswalda Spenglera i jego współczesnych kontynuatorów – Samuela Huntingtona wieszczącego nieuniknione zderzenie cywilizacji czy Patricka Buchanana piszącego o „śmierci Zachodu".

Co ciekawe, w publicystyce konserwatywnej coraz częściej pojawia się w tym kontekście koncepcja „cywilizacji polskiej" jako odrębnej od „cywilizacji łacińskiej", predestynowanej do bycia jej spadkobierczynią. Propagatorzy tej idei odwołują się do pism Feliksa Konecznego, a źródła polskiej odrębności cywilizacyjnej upatrują bądź to w dziedzictwie jagiellońskim, bądź w położeniu między Wschodem a Zachodem, bądź nawet w przedchrześcijańskiej historii Słowian.

To kolejna forma, którą może przybrać nasz specyficzny mit Zachodu. Prowadzi ona do jednego z dwóch wniosków. Albo naszą misją jest poniesienie dalej pochodni cywilizacji po śmierci Zachodu (wizja Polaków – dzieci Zachodu, potomków upadłego imperium); albo też należy stwierdzić że nasze miejsce nigdy nie było na Zachodzie, zawsze byliśmy gdzieś obok (czyli to wizja równoległej cywilizacji).

W planie geopolitycznym te dwie możliwości znajdują się blisko siebie. Wszak jednym z najważniejszych głosicieli tezy o śmierci Zachodu i konieczności przejęcia pałeczki jest Władimir Putin. Nie jestem ekspertem w tym zakresie, a mój rosyjski jest bardzo słaby, ale z opracowań na temat współczesnej propagandy rosyjskiej, które czytałem, wyłania się obraz zaskakująco kompatybilny z naszkicowaną tu mitologią. Pożegnawszy się z Zachodem, „cywilizacja polska" może się więc szybko okazać przystawką dla Rosji.

WYBORY DO EUROPARLAMENTU są ważne same w sobie. Nie dajmy się uwieść krótkowzrocznej logice polskiej polityki, która chętnie sprowadziłaby je do sondażu popularności przed jesiennymi wyborami sejmowymi. Poprzedzająca eurowybory kampania jest tym istotniejsza, że stanowi doskonałą okazję do starannego przyjrzenia się naszemu obrazowi Zachodu i miejsca Polski na wyobrażonej mapie Europy.

A tę narodową mitologię warto poznać i zrozumieć. Zdjąć z nosa okulary, przez które na co dzień obserwujemy świat, i przyjrzeć im się krytycznie. Abstrakcyjne idee mają swoje realne konsekwencje!

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Oni nie śpią

PAULINA BŁASZKIEWICZ

Wybudzenie ze śpiączki nie ma nic wspólnego z bajką o Królewnie Śnieżce. Pacjenta i jego bliskich czeka ciężka praca. Nic już nie będzie takie samo.

Nic nie robię. Co mam Ci powiedzieć? Siedzę w domu i egzystuję. Nie lubię tego, ale w tej chwili mogę jedynie odkurzyć albo sprzątać – mówi 32-letnia Małgorzata, która pięć lat temu kilka miesięcy po wylewie spędziła w śpiączce. Nie miała żadnych oznak choroby. Była w drugim miesiącu ciąży, a jej mąż marynarz pływał u wybrzeży Kanady. Pamięta, że bolała ją głowa, ale myślała, że w jej stanie to normalne. Pękł naczyniak, który doprowadził do śpiączki. Zapadła w nią w lipcu, a wybudziła się na początku zimy. W lutym na świat przyszła jej córeczka Maja – zdrowa. Gdy Małgosia spała, Maja rozwijała się w niej w najlepsze – śpiączka w żaden sposób nie zaszkodziła ciąży. Małgosia odzyskała pełną świadomość, a myśl o dziecku, którym wraz z mężem musi się opiekować, dodawała jej sił do walki. Do czasu, bo po kilkunastu miesiącach na rodzinę spadło kolejne nieszczęście: u dziewczynki zdiagnozowano neuroblastomę – jeden z najczęstszych nowotworów u dzieci. Maja zmarła, ale jej mama nie poddała się. Dziś chodzi, mówi, je. Lekarze są w szoku, że funkcjonuje normalnie. Jedyny problem to niesprawna lewa ręka.

– Muszę się cieszyć z tego, co jest, ale chciałabym, żeby było lepiej. Moją pasją przed chorobą było rysowanie – opowiada.

Małgosia, zanim zapadła w śpiączkę, pracowała jako graficzka w jednej z toruńskich firm. Jest po konserwatorstwie na Wydziale Sztuk Pięknych UMK. Bardzo chciałaby wrócić do pracy, ale nie wie, czy się uda. Dziś na pewno nie narzekałaby, że musi rano wstać. Nie pamięta czasu, kiedy była w śpiączce. O tym, co się z nią działo, wie tylko z opowieści. Cały czas był przy niej mąż Jarek. Ostatnie pięć lat spędził z żoną, jeżdżąc z jednej rehabilitacji na drugą. Małgosia jest najlepszym przykładem, że ze śpiączki można wyjść, ale najpierw trzeba zaakceptować sytuację. Nie jest to łatwe, gdy lekarze określają stan pacjenta jako „wegetatywny utrwalony". Taką diagnozę słyszy większość rodzin podopiecznych toruńskiej Fundacji Światło i działającego przy niej Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego. To właśnie tam żyją pacjenci w śpiączce. Ich stan fachowo określa się jako apaliczny – o różnym stopniu świadomości. Pacjentem apalicznym jest zarówno ten w stanie wegetatywnym, kiedy nie ma z nim żadnego kontaktu, jak i ten, który jest w minimalnej świadomości oraz zespole zamknięcia – gdy słyszy i rozumie wszystko, ale nie może się skomunikować ze światem.

Ukryta eutanazja

W ciągu 17 lat ze śpiączki wybudziło się w zakładzie 69 pacjentów. Oddział dysponuje 46 łóżkami. Obecnie przebywa na nim 44 pacjentów z całej Polski. 85 proc. to młodzi ludzie po wypadkach komunikacyjnych. Pozostali są po udarach czy wylewach. 90 proc. z nich słyszy, a to oznacza, że żyją. Tylko inaczej. A życie trwa, dopóki bije serce.

– Oni naprawdę nie śpią. Mają okresy snu i czuwania, ale to nie jest stan wegetatywny, kiedy przy pacjencie wykonywane są tylko czynności pielęgnacyjne. Człowiek w śpiączce w różnym stopniu świadomości trafia do domu albo ośrodka pielęgnacyjnego, ale nikt nie myśli o tym, by go wybudzić. Zamykanie człowieka we własnym ciele to nic innego jak ukryta eutanazja. Być może on w środku krzyczy: „Weź mnie na spacer, jest taka ładna pogoda, chcę więcej, nie chcę leżeć" – opowiada Janina Mirończuk, założycielka i prezeska toruńskiej Fundacji Światło, a wcześniej dyrektorka hospicjum, do którego w 2000 r. trafił pierwszy apaliczny pacjent.

Był nim pan Tadeusz z Wielkiej Brytanii. Przyjechał do Torunia na urlop i dostał zawału. Nie był właściwie reanimowany i niedotlenienie mózgu spowodowało, że zapadł w śpiączkę.

– Po kilku miesiącach zadzwonił do mnie jego lekarz z prośbą, żebym wzięła go do hospicjum, bo na oddziale w szpitalu nie ma dla niego miejsca – wspomina Janina Mirończuk. – Zgodziłam się i dość szybko przekonaliśmy się, że to nie jest pacjent, który umiera. On po prostu inaczej żył.

Pan Tadeusz był inspiracją do stworzenia specjalnego oddziału dla osób w śpiączce. Nie wybudził się. Czuwał przy nim syn, który zakochał się w jednej z pielęgniarek i zaprowadził ją do ołtarza.

Zbudził ją kot

Tak więc wszystko zaczęło się od łóżka pana Tadeusza, ale w hospicjum pacjenci w podobnym stanie nie mogli już przebywać. Trzeba było stworzyć specjalny zakład, który zaczął funkcjonować w 2003 r. W tamtym roku wybudził się też pierwszy pacjent.

– Jestem osobą bardzo wierzącą i modliłam się, żeby Bóg dał nam chociaż jednego wybudzonego po kilku latach pacjenta, ale już w 2003 r. wybudził się Radek. Chłopak z Bydgoszczy, który w szkole spadł ze schodów, doznał urazu głowy i „zasnął". Pamiętam, że jego rodzice byli bardzo niezadowoleni, że ma być w zakładzie w Toruniu, a do dziś mamy kontakt. Kolejny był Krzysiek z Lubicza, trzecią pacjentką była pani Ela z Torunia, którą wybudził kot leżący pod jej lewą pachą.

MIKOŁAJ KURAS / AGENCJA GAZETA

Hospicjum Fundacji Światło, Toruń, sierpień 2014 r.

Kilka tygodni temu w Świetle odzyskała świadomość 34-letnia Magdalena z Opola. Mama dwójki dzieci, miłośniczka podróży, rowerowych wycieczek i wspinaczki. Kobieta „otworzyła oczy" po trzech miesiącach. Jest w pełnej świadomości, ale porusza się na wózku inwalidzkim. Do toruńskiego zakładu trafiła w lutym na skutek zatorowości płucnej, która nastąpiła w grudniu 2018 r.

W śpiączkę można zapaść nawet z tak błahego powodu jak żucie gumy podczas jazdy samochodem, co spotkało 40-letnią Katarzynę. Gdy gwałtownie hamowała, połknęła gumę, która zlepiła jej drogi oddechowe. W rezultacie „przespała" w Świetle kilka miesięcy.

Janina Mirończuk najchętniej zakazałaby sprzedaży gumy do żucia. Tak samo przestrzega rodziców, by zwracali uwagę na swoje dzieci, gdy te biegają z napojami i wszystko robią naraz.

Wypadek czyha na człowieka na każdym kroku. 33-letni strażak Grzegorz ze Złejwsi Wielkiej pod Toruniem też „przespał" kilka miesięcy po upadku z rusztowania. Gdy się wybudził, nie miał do kogo wracać. W trakcie jego snu żona znalazła innego partnera, z którym zaszła w ciążę.

– Lepiej byłoby się nie obudzić. Żona mi poszła, zabrała naszego kilkuletniego syna, dziś ma jeszcze jednego małego synka, a ja jestem sam – mówi z pustym wzrokiem.

Grzegorz mieszka z babcią i ojcem, który zapewnia mu opiekę. Utrzymuje się z niewielkiej renty, nie stać go na rehabilitację. Przebudzenia pożałował też Michał. Gdy odzyskał świadomość, z przerażeniem stwierdził, że nic nie widzi. Powód: porażenie nerwu wzrokowego. Stracił nie tylko wzrok, ale też żonę, która nie udźwignęła ciężaru opieki nad osobą niepełnosprawną.

– Ona była panną z dzieckiem. Michał się z nią ożenił i byli szczęśliwi. Przychodziła do niego, gdy był w minimalnej świadomości, wierzyła, że się obudzi. Kiedy okazało się, że stracił wzrok, nie chciała z nim być. Pamiętam, że załatwiliśmy im pokój w hotelu, żeby mogli się sprawdzić. Były świece, miła atmosfera. To nic nie dało. Szybko się okazało, że w tym związku było więcej wdzięczności niż miłości. Kiedy Michał miał wyjść z ośrodka, jego żona poprosiła, by odwieźć go do matki – wspomina Janina Mirończuk.

Niedomknięta żałoba

Prezeska Światła przytacza też przykład 38-letniego mężczyzny, który po przebudzeniu bez przerwy płakał i mówił, że już nie będzie ani mężem, ani ojcem, bo jest na wózku. Nie potrafił odnaleźć się w nowej sytuacji. Tak jak większość „śpiochów" nie pamiętał czasu, kiedy „spał". Był w szoku, że nie może chodzić.

– Początek akceptacji innego życia jest najtrudniejszy. A im większa świadomość, tym większa tragedia. Pracujemy nad rodzinami, by zaakceptowały inność życia. Mamy warsztaty dla ludzi z całej Polski. Wszyscy są wierzący, ale oczekują cudu. Bardzo trudno zmienić ich postrzeganie życia bliskiej osoby, ale jeśli tego nie zrobią, to będą złymi opiekunami – tłumaczy Mirończuk.

Śpiączka i czas po wybudzeniu zmieniają życie nie tylko podopiecznych toruńskiego zakładu, ale też członków rodziny. Po wybudzeniu pojawiają się kolejne trudności, które trzeba pokonywać każdego dnia. Nowym wyzwaniem jest np. rehabilitacja. Dlatego wiele zależy od tego, jak będą wyglądały rodzinne relacje. Bilans zysków i strat wypada różnie. Rodziny pacjentów mówią o utracie kontaktów z rodziną, problemach finansowych, zwiększeniu liczby codziennych obowiązków, rezygnacji z planów życiowych, ale w tym nieszczęściu dostrzegają też pozytywne rzeczy – może to być większa integracja w rodzinie, nowa świadomość, na kim można polegać, i zmiana własnego życia.

Zdaniem pracującej w Świetle psycholożki Małgorzaty Rębiałkowskiej-Stankiewicz wiele zależy od tego, jaka jest rodzina, w jakim wieku jest pacjent, w jakim stanie się wybudzi. Jednak wszyscy powinni zdawać sobie sprawę z tego, że wybudzenie nie ma nic wspólnego z bajką o Królewnie Śnieżce. Pacjenta i jego bliskich czeka ciężka praca. Nic już nie będzie takie samo.

– Koncentruję się na pracy z rodzinami i widzę, jak bardzo potrzebują wsparcia, przegadania i zainteresowania. Przyjeżdżają z całej Polski, wynajmują pokoje, żyją z dala od swoich bliskich po to, żeby być z mężem, synem czy matką w śpiączce. W tym ich czuwaniu przy łóżku, szukaniu sygnałów, jakiegokolwiek kontaktu i nieustającej nadziei jest mnóstwo determinacji i siły. Ci ludzie przepłakują prawdę, że dzisiaj nic się z ich pacjentem nie zdarzyło, w samotności wynajętych pokoi. Oni najbardziej potrzebują pomocy. Taka sytuacja niesie mnóstwo pytań, a przede wszystkim: czy on jest, czy już go nie ma? Ta strata niesie ze sobą problem niedomkniętej żałoby, bo przecież on/ona wciąż jest, ale już nie ten sam, nie ta sama – opowiada psycholożka. ↦

↦ Janina Mirończuk widzi to tak: – Gdy obejrzałam film „Motyl i skafander", to miałam tak trudny okres, że empatycznie wchodziłam w psychikę moich pacjentów. Wydawało mi się, że każdy do mnie mówi, ale go nie słychać. Dziś wyznaję zasadę: „Pomagaj na tyle, na ile możesz, bo nie sposób wejść w życie drugiego człowieka".

Prezeska Światła wierzy, że człowiek w stanie apalicznym zachowuje decyzyjność i wolę i może nie chcieć wrócić do świata, do żony i teściowej, które by się najchętniej pozabijały. A takich sytuacji jest mnóstwo.

Wspomina przy tym bogatego mężczyznę, który trafił do zakładu z diagnozą „nic więcej zrobić nie można", jednak się wybudził. Od razu zaczął mówić, ale żonie jego wybudzenie nie było na rękę. Ona już poukładała swój świat i nie chciała go zmieniać. Szybko załatwiła ubezwłasnowolnienie i umieściła męża w zwykłym zakładzie opiekuńczym. Nie był tam bodźcowany i przestał mówić. Interakcje społeczne są niezwykle ważnym elementem, jeśli chodzi o utrzymanie efektów po wybudzeniu. Podopieczni nie mogą zostać zamknięci w czterech ścianach.

Po co wybudzać?

Aktywność fizyczna pacjentów Światła jest niemalże całkowicie ograniczona, ale prawie wszyscy słyszą, dlatego tak ważne jest stymulowanie ich słuchu i obserwacja. Jeśli podopieczny zareaguje adekwatnie do prośby, to znaczy, że myśli i analizuje i można zwiększyć bodźce. W Świetle do każdego pacjenta podchodzi się z założeniem, że widzi, słyszy, czuje, tylko nie może zareagować tak, jak oczekuje tego otoczenie.

ROBERT GÓRECKI / AGENCJA GAZETA

Janina Mirończuk, założycielka Fundacji Światło

– Z każdym staramy się nawiązać kontakt. Każdy z nas ma pięć zmysłów oraz przeszłość. Zmysły bodźcujemy, a z przeszłości wybieramy te elementy, które naszego podopiecznego pobudzają, by dał nam znać, że to wszystko do niego dociera. Historie naszych podopiecznych są dowodem na to, że warto szukać bodźców z przeszłości i sposobów, w jakie możemy się z nimi komunikować – opowiada Janina Mirończuk, przytaczając przykład młodej weterynarki. – Mieliśmy podopieczną Magdę, która w wyniku niedotlenienia mózgu nie mogła ruszyć nawet palcem i nie mówiła. Podczas rehabilitacji nasza pracownica opowiadała jej o swoim chorym psie. I wtedy Magda, za pomocą cyberoka, wybierając litery wzrokiem, zapisała po łacinie nazwę lekarstwa dla tego psa. Oznaczało to, że miała pełną świadomość, ale nie mogła nam tego zakomunikować, wykrzyczeć.

Cyberoko to używane już od paru lat w Toruniu urządzenie służące do komunikacji z pacjentami w minimalnej świadomości. Dziś naukowcy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika pracują nad rozwiązaniem pozwalającym na bezpośredni kontakt z pacjentem. Za pomocą znanej technologii eye-trackerów, czyli urządzeń umożliwiających pisanie wzrokiem poprzez śledzenie ruchów oka, pacjent będzie mógł wysłać do swoich bliskich wiadomość: esemesa albo maila. To wszystko będzie możliwe dzięki specjalnemu oprogramowaniu, gdzie słowa napisane ruchami gałek ocznych są przekazywane w formie krótkich wiadomości.

– Takie wydarzenia, kiedy pacjent reaguje na kontakt, są dla nas największym podziękowaniem i największą motywacją do dalszego działania – podkreśla Janina Mirończuk.

Praca w Fundacji Światło nauczyła ją uważności. Każdy mówi o tym, jak ważne jest w życiu zdrowie, ale dopiero kiedy wejdzie się na oddział, na którym leżą pacjenci w śpiączce, można zrozumieć, jak ważne są te proste słowa. Kiedy 17 lat temu zaczynała ze swoim zespołem pracę z pacjentami apalicznymi, niewiele osób wiedziało, jak z nimi postępować, nie istniało nawet takie pojęcie. Co ciekawe, Francja, Ukraina, Wielka Brytania czy Gruzja do dziś w ogóle nie mają takich zakładów. W Niemczech są takie miejsca, ale typowo pielęgnacyjne.

– Mogę powiedzieć, że sami siebie nie docenialiśmy. Ściągaliśmy do nas ludzi, którzy zajmowali się badaniem mózgu, ale to się nie przekładało na praktykę. Dziś otwierają się przed nami nowe możliwości, które mogą być przełomem w pracy z ludźmi w śpiączce – opowiada Mirończuk.

© PAULINA BŁASZKIEWICZ

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 26/19 postępowanie z wniosku Gminy Jarocin o stwierdzenie nabycia przez Skarb Państwa własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie, o powierzchni 0,08,10 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 1629, arkusz mapy 8, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00001764/7. W księdze tej jako właściciel wpisany jest Józef Tylewski.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

Przed Sądem Rejonowym w Oławie, w sprawie o sygn. akt I Ns 419/18, toczy się postępowanie z wniosku Sylwii Łupkowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Terleckim, zm. 4 kwietnia 1999 r., i Eugenii Terleckiej, zm. 24 października 2006 r. W skład spadku po Eugenii Terleckiej wchodzi prawo własności nieruchomości zabudowanej położonej w Chrząstawie Wielkiej, gm. Czernica, oznaczonej jako działka nr 423/1, o pow. 4,4731 ha, dla której Sąd Rejonowy w Oławie, IV Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi księgę wieczystą WR10/00008457/8.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

Nieokrągły „okrągły stół" edukacyjny na Stadionie Narodowym, Warszawa, 26 kwietnia 2019 r.

Krajobraz po strajku

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Bilans trwającej kilkanaście dni akcji jest niemal pod każdym względem ujemny. Nauczyciele pozostali osamotnieni.

Najbardziej oczywista jest porażka Związku Nauczycielstwa Polskiego, na czele z jego prezesem Sławomirem Broniarzem. Jej skalę pokazała konferencja prasowa, na której szef ZNP ogłaszał decyzję związku: zawieszenie akcji strajkowej i gotowość do jej ponownego podjęcia we wrześniu, a także jego późniejsze wypowiedzi. Niemal wszystko, co mówił i mówi prezes Broniarz, jest raczej spisem pobożnych życzeń, a nie odzwierciedleniem rzeczywistości. Smutnej.

Maturalna ustawka

„Stoimy tutaj silniejsi"; „zmusiliśmy rząd do negocjacji" – to najbardziej jaskrawe przykłady mijania się szefa ZNP z brutalnymi faktami. Związek – jeśli chodzi o postulaty finansowe – nie wywalczył w zasadzie niczego ponad to, co zadeklarował wcześniej rząd, i co obiecał w porozumieniu z nauczycielską Solidarnością. Rząd nie został zmuszony do ustępstw czy choćby pozorowania poważnych negocjacji, o czym zresztą Broniarz mówił niemal każdego dnia toczącego się strajku. Przeciwnie: to właśnie obóz władzy zorganizował rzutem na taśmę pokaz siły, proponując tzw. ustawę maturalną, najpierw ekspresowo przepchniętą przez parlament, a później podpisaną pokornie przez prezydenta Andrzeja Dudę. Ustawę omijającą decydujący głos rad pedagogicznych w klasyfikacji końcowej maturzystów. Dającą specjalne prerogatywy dyrektorom, a gdyby ci okazali się niepokorni – samorządom. Ustawę niszczącą, mającą za nic autonomię szkół i nauczycieli, o której tak często lubiła mówić – zanim została taktycznie wycofana do drugiego szeregu – minister edukacji Anna Zalewska. Ustawę – z drugiej strony – której przyjęcie nie powinno nikogo specjalnie dziwić, bo doskonale wpisuje się w logikę ponad trzyletnich rządów Prawa i Sprawiedliwości.

Wyśniona jedność

„Stoję tu dziś naprzeciwko pana nie ja, jeden związkowiec. Nie jeden związek zawodowy. Ale miliony ludzi. Rodzice, uczniowie i nauczyciele. I nie poddamy się (...) To sprawa milionów Polaków. Nie damy się podzielić" – oświadczył Broniarz, wielokrotnie wspominając o poparciu społecznym, jakim miał się cieszyć strajk.

Owszem, trudno nie zauważyć manifestacji, które odbywały się w dużych miastach, milionów złotych zebranych na fundusz strajkowy (w ostatnim numerze „TP" opublikowaliśmy rozmowę z Marcinem Bruszewskim, współtwórcą platformy edukacyjnej „Zwolnieni z Teorii", który wraz z żoną zasilił fundusz kwotą ↦

↦ 108 tysięcy złotych) czy pojedynczych, oddolnych akcji poparcia nauczycieli ze strony rodziców. Ale teza, że ten strajk porwał naród, byłaby niedorzecznością. Gdyby porwał, Sławomir Broniarz nie ogłosiłby zawieszenia akcji. Sondaże poparcia dla strajkujących pokazywały raczej z biegiem dni tendencję dla nauczycieli niekorzystną. Nie narodziła się żadna zorganizowana siła poparcia ze strony rodziców. „Ze stosunkiem społeczeństwa do edukacji i nauczycieli jest inny, znacznie poważniejszy problem: my od szkoły niewiele oczekujemy. Dziecko »ma być zaopiekowane«, szkoła »nie ma się zbytnio wtrącać w wychowanie«, a w ogóle to »niech będzie święty spokój«. Deklarujemy co prawda od lat w sondażach zaufanie do szkolnictwa, ale jest to ten rodzaj zaufania, który niewiele nas kosztuje. Tymczasem strajk nauczycieli jawi nam się przede wszystkim jako uciążliwość" – mówił kilka tygodni temu w wywiadzie dla „TP" dr hab. Mikołaj Herbst, badacz systemów edukacyjnych. Jego bezlitosna diagnoza wydaje się dzisiaj znacznie bliższa postrajkowej rzeczywistości niż życzeniowe myślenie widoczne w wypowiedzi szefa ZNP. Strajk nauczycieli nie przeorał społecznej świadomości choćby w takim stopniu, jak ubiegłoroczna okupacja Sejmu przez osoby niepełnosprawne i ich opiekunów (choć także w tym przypadku optymistyczne diagnozy, że „protest zmienił Polaków", zostały brutalnie zweryfikowane przez czas – kto dziś pamięta smutny los zlekceważonych postulatów tej grupy?).

Nauczyciele pozostali nie tylko z wątłym poparciem społeczeństwa, ale też z bagażem nieśmiertelnych stereotypów (choćby grupy zawodowej „niespecjalnie się przepracowującej" czy mającej – jak mówił sam premier – „trochę więcej wolnego czasu"). Pozostali – tak samo jak przed strajkiem i w jego trakcie – osamotnieni.

Kanciasty stół

Szef ZNP mocno akcentował „ponadfinansowy" charakter zawieszanego strajku. Mówił o szkodliwości reformy edukacyjnej wprowadzonej przez PiS, a także o jakości oświaty. Tyle że te akcenty – o co trudno mieć zresztą pretensje do związku, który z definicji dba o warunki pracy i płacy nauczycieli – nie wybrzmiały podczas kilkunastodniowej akcji. Czy strajk stworzył jakąś przestrzeń do debaty o polskiej szkole? Zostaliśmy z absurdalną inicjatywą rządowego „okrągłego stołu" (dziś cudzysłów jest jeszcze bardziej uzasadniony niż dwa tygodnie temu, wszak stół okazał się być prostokątny), konkurencyjną ofertą pałacu prezydenckiego, a także propozycją osobnego, tym razem „prawdziwego okrągłego stołu" zaproponowanego przez ZNP. Ot, kolejny przejaw polskiej debaty z groteskowym naddatkiem: do prowadzenia kilku niezależnych od siebie monologów użyto najbardziej sugestywnego z symboli narodowej zgody.

Nie wytworzył się też przez ostatnie tygodnie choćby zarys tematów, od których należałoby zacząć naprawianie oświaty. Rząd nie wytłumaczył, skąd właściwie w jego szeregach ta nagła potrzeba „nowego otwarcia", skoro przez trzy lata słyszeliśmy, że najlepsze, co może spotkać polską edukację, to – dokonana już niemal – reforma Anny Zalewskiej. Także ZNP nie zdefiniował, co chciałby naprawiać, i jak by to wpłynęło nie tylko na pracę nauczycieli, ale też kondycję polskiej szkoły.

Niepewna przyszłość

„Nie przerywamy strajku" – zaznacza przy każdej okazji prezes Broniarz, zapewniając, że ZNP jest gotowy, by uderzyć ze zdwojoną siłą we wrześniu. Być może jedyny pozytywny element postrajkowego bilansu to sam fakt pierwszego od lat na taką skalę zrywu tej grupy zawodowej. W tym sensie kilkunastodniowy bunt nauczycielski nie poszedł na marne – był wyłomem w wieloletniej filozofii funkcjonowania tej grupy: raczej biernej i cicho znoszącej kolejne upokorzenia. Nic jednak nie wskazuje na to, że nowa taktyka protestacyjna, jaką kreśli w wywiadach Sławomir Broniarz – solidarnego buntu różnych wykluczanych grup, choćby nauczycieli i osób niepełnosprawnych – może się w polskich warunkach sprawdzić. Na wyrażenie mocnego, zorganizowanego poparcia dla nauczycieli różne grupy miały – podobnie jak rodzice – wiele tygodni, a jednak nie wytworzyła się wokół tego strajku społeczna energia.

Zapewne wielu nauczycieli wyszło z tego strajku psychicznie pogruchotanych (otwarte jest pytanie o atmosferę w wielu szkołach: konflikty w samym gronie pedagogicznym, relacje z dyrektorami, wśród których znaleźli się i tacy, którzy wywierali jawny nacisk na swoich pracowników, by się nie buntowali; żal niektórych rodziców). Inni będą z tego bezprecedensowego zrywu czerpać siłę – zobaczyli, że się da, że można się organizować, skupiać na sobie medialną uwagę.

Tylko czy pamięć porażki zawieszonego kilkanaście dni temu strajku pozwoli – jak by chciał prezes Broniarz – na powtórkę zrywu za cztery miesiące?

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TP

DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE ZNAJDZIECIE SPECJALNY DODATEK POŚWIĘCONY KOLEJNEJ EDYCJI

Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego

a w nim rozmowę z GAJĄ GRZEGORZEWSKĄ, autorką książki towarzyszącej tegorocznej edycji imprezy, a także prezentację wybranych atrakcji udostępnionych w tym roku do zwiedzania.

Zapraszamy do lektury!

XXI MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO

ANNA

Dziewit-Meller:
Mężczyźni, którzy nie rozumieją kobiet

Ze wszystkich rzeczy, jakie ostatnio czytałam w prasie, największe wrażenie zrobił na mnie raport z badań zleconych przez „Gazetę Wyborczą", by sprawdzić, jak rozkładają się nie tylko preferencje polityczne, ale w ogóle różnice światopoglądowe w grupie tzw. młodych – czyli ludzi pomiędzy 18. i 30. rokiem życia. Otrzymaliśmy obraz młodej Polski podzielonej, owszem, na dwa obozy, lecz na całkiem inne, niż mogłoby się nam zdawać.

Nie poparcie dla PiS i PO, nie prawo i lewo okazują się być w tym pokoleniu kluczowe, jeśli idzie o najgłębsze różnice światopoglądowe, lecz... płeć respondentów.

I tak oto – mówią badacze – młody polski mężczyzna będzie konserwatywny światopoglądowo, gotów popierać siły takie jak ultraprawicowa i konserwatywna Konfederacja, ceniący sobie tradycyjne wartości, przeciwny związkom partnerskim, niechętny członkom społeczności LGBT, ochoczo twierdzący, że rolą mężczyzny jest praca i utrzymanie rodziny, a rolą kobiety jest zajmowanie się domem i rodziną. 30 procent z nich uważa, że „trzeba się mieć na baczności przed Żydami", a 19 procent chciałoby opuścić Unię Europejską. Nie chcą się za to angażować w żadne inicjatywy w życiu społecznym, nie interesuje ich udział w wyborach, a na dodatek ponad 49 proc. z nich jest singlami.

Tymczasem młode kobiety – jak wynika z badań – zdają się być w zupełnie innym miejscu. Otwarte, tolerancyjne, gotowe do angażowania się w sprawy społeczne, aktywne obywatelsko, o znacznie bardziej progresywnych poglądach na świat i na swoją rolę w społeczeństwie. Nie tylko zamierzają iść głosować (przede wszystkim na Wiosnę), ale również gotowe byłyby (w 73 proc.) poprzeć związki partnerskie.

Proponuję chwilę się pochylić nad tym, co to wszystko może oznaczać.

Po pierwsze, chciałam nas trochę uspokoić. Już wtedy bowiem, gdy kończyłam lat 18, a było to szalenie dawno temu, wielu moich kolegów licealnych można było znaleźć przesiadujących na konwencjach Unii Polityki Realnej, roznoszących po mieście ulotki z wizerunkiem Janusza Korwina-Mikkego. Z podekscytowaniem gryźli końcówki włosów w swoich długich kucach ściąganych gumką recepturką, słuchając ulubionego polityka, który odwiedzał czasem i nasze okolice. Ale potem – odwiecznym zwyczajem i prawem natury – prawie wszyscy dorośli, obcięli swoje coraz mocniej wyliniałe kitki i przestali ulegać urokowi człowieka, który chodzi w muszce. Przypomnę może również, że nawet naczelny wieczny nastolatek III RP Kuba Wojewódzki wsparł w poprzednich wyborach Pawła Kukiza, ale potem poszedł po rozum do głowy i dziś już wybierać chce nieco dojrzalej. Jest więc nadzieja i dla dzisiejszych wyborców Konfederacji.

Tyle dobrych wieści. Bo jednak – mimo lekkiego tonu, jaki tu sobie uprawiam – sytuacja jest dość skomplikowana. Jak bowiem skleić w jedno społeczeństwo tak zróżnicowane grupy? Może nie być łatwo, a coś z tym zrobić trzeba. Zwłaszcza że od pewnej jednak współpracy tych grup zależy np. polska demografia.

Jakim owe różnice stają się problemem, dobrze było widać w książce „A co wyście sobie myślały?" – czyli w zbiorze rozmów z mieszkańcami mazowieckich wsi, jakie przeprowadziły Aleksandra Zbroja i Agnieszka Pajączkowska. Po lekturze nie można nie dostrzec faktu, że oto kobiety mieszkające na wsiach, mimo pewnego konserwatywnego backgroundu, coraz bardziej sforują się na niezależność. Zwłaszcza zaś te młode, które w rzeczy samej coraz mniej mają wspólnego ze swoimi rówolatkami – młodymi mężczyznami. Coraz częściej nie widzą siebie w roli posłusznych żon, w tradycyjnym modelu rodziny, tak hołubionym (jak wynika z badań) przez potencjalnych kandydatów na mężów.

Na świecie tymczasem debatuje się o subkulturze inceli, czyli samotnych mężczyzn, nieumiejących – mimo starań – znaleźć dla siebie partnerki, finalnie zatem obwiniających za swoje niepowodzenia kobiety. Incele identyfikują się z ruchami nowej prawicy, są radykalnie mizoginiczni, homofobiczni i nietolerujący żadnej właściwie inności. To ze środowiskiem inceli powiązani byli młodzi mężczyźni, którzy w 2014 i 2018 r. dokonali masowych strzelanin w Santa Barbara i Toronto – obaj przed atakami, w których zginęło wiele osób, umieszczali w sieci manifesty deklarujące ich nienawiść do kobiet.

Możliwe zatem, że najważniejszym dziś zadaniem ludzkości będzie rozsądne zdefiniowanie na nowo pojęcia „męskości". Zwłaszcza gdy się wie, że 48 proc. młodych Polaków zgadza się z twierdzeniem, że „czasem rządy niedemokratyczne mogą być bardziej pożądane niż rządy demokratyczne". Jeśli nic się nie zmieni, a trend się umocni – możemy zacząć się bać. ©

W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze, I Wydziale Cywilnym, toczy się postępowanie pod sygn. akt I Ns 800/15 o stwierdzenie nabycia spadku po Henryku Józefie Kozaku, zm. 20 listopada 2012 r. w Kowarach, ostatnio stale zamieszkałym w Ptaszkowie.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze, I Wydziału Cywilnego, i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu spadkowym.

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 422/18, z wniosku Gminy Cieszanów, o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Marianie Kamińskim, s. Józefa i Marii, rozwiedzionym, zm. 17 kwietnia 2017 r. w Niemstowie i tam mającym ostatnie miejsce pobytu, po którym pozostał majątek spadkowy w postaci nieruchomości położonej w Niemstowie – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie 3 miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIA

WIARA

KOMPLEKS PEWNEJ NACJI

Niepokojące aluzje biskupa tarnowskiego, powrót zwyczaju palenia Judasza czy misteriów paschalnych z antyżydowskimi symbolami – czy w polskim Kościele odradza się antysemityzm?

ZUZANNA RADZIK

TA WYPOWIEDŹ ZOSTAŁA WYGŁOSZONA PODczas jednego z kongresów pewnej nacji, nie mogę powiedzieć jakiej, bo byłbym tutaj zaraz zaszczuty ze wszystkich stron" – powiedział bp Andrzej Jeż w homilii podczas wielkoczwartkowej mszy krzyżma w tarnowskiej katedrze. Mówiąc o „pewnej nacji" podniósł wzrok i uśmiechnął się do słuchaczy. Jakby sprawdzał, czy rozumieją. A potem cytował za diecezjalnym tygodnikiem z 1937 r. antysemicką fałszywkę: „Naszym naturalnym wrogiem jest Kościół katolicki, dlatego musimy na to przeklęte drzewo wylać ducha niezadowolenia, niewiary, niemoralności i wszelkiego brudu. Musimy wzniecić walkę między różnymi chrześcijańskimi wyznaniami, w pierwszej linii musimy zacząć nieubłaganą walkę na wszystkich odcinkach przeciwko księżom katolickim. Musimy ich obrzucić oszczerstwami i nienawiścią, musimy z ich prywatnego życia robić skandale, aby ich znienawidzić i ośmieszyć w oczach wszystkich. Dalej musimy opanować szkołę, religia chrześcijańska musi stamtąd zniknąć. Musimy usunąć nierozerwalność małżeństwa, a wszędzie wprowadzić śluby cywilne. W końcu musimy wzmocnić naszą prasę, wtedy nasze panowanie będzie umocnione i zapewnione" (cytat z rzekomej wypowiedzi anonimowego rabina pochodzi z tygodnika „Nasza Sprawa", nr 48/37).

JACEK WAJSZCZAK / REPORTER

Protokoły biskupa Jeża

Wprawnie czytając kod antysemicki, nietrudno zrozumieć aluzję: oto Żydzi na kongresie syjonistycznym zaplanowali

walkę z Kościołem, która ma polegać na szerzeniu oszczerstw i nienawiści oraz robieniu afer wokół prywatnego życia księży. Słyszane w kontekście ostatniego roku i ujawnianych skandali pedofilskich i seksualnych w Kościele (także w diecezji tarnowskiej aresztowano diakona oskarżonego o posiadanie i rozpowszechnianie pornograficznych filmów i zdjęć z udziałem dzieci; po przyznaniu się do winy został skazany na dwa lata więzienia), słowa te szokują jeszcze bardziej, choć sam fakt, że ordynariusz tarnowski z przekonaniem cytuje antysemicką fałszywkę, jest dostatecznie bulwersujący.

– Kuria diecezjalna nie udziela komentarza w tej sprawie – usłyszał „Tygodnik Powszechny" od ks. Ryszarda Nowaka, rzecznika prasowego biskupa tarnowskiego, w odpowiedzi na pytanie, jak rozumieć słowa ordynariusza. Mimo iż napisaliśmy o nich na stronie internetowej „TP" już ponad tydzień temu, bp Andrzej Jeż milczy.

Jego wypowiedź nie jest jedynym incydentem z ostatnich dni. W Wielki Piątek w Pruchniku znieważano i bito kukłę Judasza, ubraną w strój ortodoksyjnego Żyda, z pejsami i zakrzywionym nosem zaczerpniętym wprost z antysemickiej karykatury. W bijącym tłumie ktoś krzyczał, że to kara za majątkowe odszkodowania dla Żydów, których grubymi miliardami dolarów antysemici straszą w Polsce od lat.

Powrót tradycji „palenia Judasza" szybko doczekał się kościelnej reakcji. „Kościół katolicki nigdy nie będzie tolerował objawów pogardy dla członków jakiegokolwiek narodu, w tym do narodu żydowskiego" – napisał przewodniczący Komitetu Episkopatu ds. Dialogu z Judaizmem bp Rafał Markowski. Ani jednak on, ani rzecznik Episkopatu ks. Paweł Rytel-Andrianik nie chcieli komentować słów ordynariusza tarnowskiego. Ta milcząca solidarność sprawia, że odium antysemityzmu spada na cały polski Kościół.

Trudno nie pytać, czy bp Jeż naprawdę nie wiedział, co cytuje, i z jakiego kontekstu ten cytat wyrywa. Czy nie wiedział, jaki jest charakter zarówno „źródła", jak i podającego je artykułu? I czy jako strażnik katolickiej doktryny na terenie diecezji tarnowskiej nie wie, że stosunek Kościoła do Żydów zmienił się po Holokauście i Soborze Watykańskim II o 180 stopni? Jak interpretować obecność antysemickiego cytatu w wielkoczwartkowym kazaniu? Jako dowód niewiedzy? Złej woli? Antysemityzmu, i to w wersji spiskowej? Chcielibyśmy poznać odpowiedź na te pytania.

Historia pewnego paszkwilu

Użyty przez biskupa tarnowskiego cytat z rzekomego „kongresu pewnej nacji" to parafraza fragmentu antysemickiego paszkwilu, popularnego już w pierwszym dziesięcioleciu XX w., a dziś dostępnego w internecie. Tekst zatytułowany „Mowa rabina" opowiada o żydowskiej chęci opanowania świata i był rozpowszechniany przez wydawnictwo i popularną gazetę „Polak-Katolik", kierowane przez ks. Ignacego Kłopotowskiego. W 1912 r. „Mowa" miała już swoje dziesiąte wydanie i wraz z inną antysemicką broszurą – „Księgą Kahału" – była podstawą wielu tekstów pisanych i rozpowszechnianych przez katolickich księży i wydawców. Najbardziej znanym dokumentem z tej kategorii były oczywiście „Protokoły Mędrców Syjonu", pochodząca z 1903 r. fałszywka carskiej Ochrany, wydana po polsku w 1919 r. Wątki obecne w tych antysemickich broszurach łączyły się, przenikały i pojawiały w wielu formach w polskiej katolickiej prasie i wydawnictwach pierwszej połowy XX w.

– Tzw. kwestia żydowska od końca XIX w. zaczęła wracać do centrum katolickiego myślenia o świecie – mówi „Tygodnikowi" Grzegorz Krzywiec, historyk badający myśl narodową i dzieje antysemityzmu. – Różne były tego przyczyny,

Targ w Skaryszewie, luty 2008 r.

↦

↦ dynamika i geografia na ziemiach polskich. W Galicji (m.in. Krakowie, Lwowie czy choćby Tarnowie) wiązało się to z ruchami emancypacyjnymi wśród chłopów i upodmiotowieniem katolickiej klasy średniej. Na ziemiach zaboru rosyjskiego, przede wszystkim w Kongresówce, większą rolę odegrała trauma rewolucji 1905 r. i powstanie, a potem rozwój nowoczesnej społeczności żydowskiej: od początku przez wielu katolików odbierane jako zagrożenie. Antysemityzm okazywał się też najskuteczniejszym paliwem dla aktywności społecznej. Pokusa, żeby go spożytkować, była wielka. Zachęcały zaś przykłady płynące z zachodu Europy, np. spektakularna kariera polityka chrześcijańsko-społecznego z Wiednia Karla Luegera, wspartego osobistym błogosławieństwem papieża Leona XII.

Kościoła z tamtego czasu próbuje się bronić, przypisując mu religijny antyjudaizm, a nie antysemityzm. – Podział na antysemityzm i antyjudaizm jest, jak sądzę, fałszywy i prowadzący na manowce, choć mocno ugruntowany – komentuje Grzegorz Krzywiec. – Nawet w tych najbardziej spektakularnych, często przywoływanych wypowiedziach dostojników Kościoła (m.in. listy pasterskie kard. Hlonda czy abp. Sapiehy z wiosny 1936 r.) motywy religijne miały drugorzędne znaczenie.

Badacz dodaje: – Gdyby nawet pominąć zaangażowanie sporej części kleru w polski nacjonalizm, także w jego najbardziej agresywnych formach, jak np. ONR, trzeba odnotować, że antysemityzm nie znalazł wtedy wielu zdeklarowanych przeciwników wśród polskich katolików.

Musimy się rozstać

Diecezjalny tygodnik z lat 30., na który powołuje się bp Jeż, pisze, że „Mowa rabina" została wygłoszona na kongresie syjonistycznym we Lwowie w 1911 r., co jest bzdurą. Zresztą antysemityzmem ocieka cały numer „Naszej Sprawy": tuż po cytowanym przez tarnowskiego ordynariusza fragmencie autor artykułu stwierdza: „ze stopnia 1937 każdy widzi, że żydzi sami i przez oddane sobie sfery ten program przeprowadzili i nie ustają". Tekst o tytule „Musimy się rozstać", który podpisał anonimowy R., wymienia cały leksykon antysemickich uprzedzeń.

Kościelny tygodnik diecezji tarnowskiej nie był w tym czasie wyjątkiem. – Badacze są zgodni; wrogość wobec Żydów w dwudziestoleciu międzywojennym była jednym z konstytutywnych elementów ówczesnej tożsamości katolickiej i wpływy tego na postawy społeczne wydają się być ciągle niedoszacowane – uważa Grzegorz Krzywiec. – Duchowni, w szczególności niższy kler katolicki, od początku lat 30. aktywnie uczestniczyli w zwrocie na prawo polskiej sceny politycznej. Szczególną rolę w tym procesie odegrała prasa katolicka.

Wątki tradycyjne, związane np. z bogobójstwem, sąsiadują z nowoczesnym antysemityzmem, nawołującym do bojkotu ekonomicznego żydowskich współobywateli, a narracja antyjudaistyczna przechodzi płynnie w antysemicką. Świetnie widać to w cytowanym artykule z tygodnika „Nasza Sprawa". Ze wzgardą mówi on o wzbudzających współczucie Żydach wierzących, którzy z powodu ślepoty nie przyjęli mesjasza i Bóg już ich osądził. Bardziej autora zajmuje „niewierzące nowoczesne żydostwo, zepsute do gruntu na zasadach Talmudu, które to nazywa dobrem, co katolik złem mianuje – to nienawidzi co dla katolika jest świętym". Żydzi są niewdzięczni wobec Polski, sieją rozkład moralny, hańbiąc dziewczęta i rozprowadzając niemoralne druki. Są szczwani, gromadzą kapitał, ale też są socjalistami. Albo ciążą ku komunizmowi.

W 1937 r. ukazywało się w Polsce 228 tygodników i miesięczników katolickich, w przeciętnym nakładzie między 5 a 10 tysięcy egzemplarzy. Franciszkański „Mały Dziennik", który spełnił marzenie Watykanu o polskiej katolickiej gazecie codziennej, miał pod koniec 1938 r. 300 tys. egzemplarzy nakładu i kosztował zaledwie 5 groszy. Ustawy norymberskie pismo to relacjonowało bezkrytycznie, a tuż przed wybuchem wojny podkreślało, że Polska musi się bronić przed zagrożeniem niemieckim i żydowskim.

– Teorie spiskowe, także te najbardziej agresywne, jak „Protokoły Mędrców Syjonu", dziś uznawane za wstęp do późniejszych praktyk ludobójczych, były tam na porządku dziennym – podkreśla Krzywiec.

Obserwacja uczestnicząca

W podsumowaniu artykułu z tygodnika „Nasza Sprawa" czytamy: „sprawa żydowska jest sprawą chrześcijańskiej kultury polskiej i polskiej egzystencji" i powinna być przez wzgląd moralny i ekonomiczny „należycie i rychło załatwiona". Przed biciem Żydów autor przestrzega, jako niegodnym chrześcijanina-Polaka: zgodnie z cytowanym listem pasterskim kard. Hlonda należy po prostu omijać żydowskie sklepy, prasę, wydawnictwa, antychrześcijańską kulturę.

Pięć lat później fantazja autora diecezjalnego tygodnika na temat rozstania z Żydami spełniła się w sposób straszliwy: 40 proc. mieszkańców Tarnowa, Żydów i polskich obywateli, zostało w 1942 r. rozstrzelanych na Zbylitowskiej Górze i w samym Tarnowie, albo wymordowanych w Bełżcu, Płaszowie i Auschwitz-Birkenau. I nie można niestety powiedzieć, by przedwojenny antysemityzm nie miał żadnego związku z postawami chrześcijan wobec Żydów podczas Zagłady. Jak przed wojną służył organizowaniu wspólnoty i wykluczaniu z niej Żydów, tak działał też w czasie Holokaustu.

Zajmująca się również badaniami nad antysemityzmem Elżbieta Janicka, przyglądając się polskim świadkom Zagłady, pisze wręcz, że lokalny kontekst Zagłady w Polsce był zdominowany przez antysemityzm jako wzór kultury: „Jako taki antysemityzm nie tylko powodował przemoc i wykluczenie, lecz także pozwalał na ich integrację w obrębie wyobrażeń o porządku świata. Tym samym zaś delegitymizował współczucie dla ofiar czy też narzucał mu ramy, które sprawiały, że owo współczucie pozostawało bez trwa-

TP

Kluby „TP" zapraszają

KOSZALIN, czwartek, 16 maja, godz. 18.00
Spotkanie „Etyka w polityce?". Gościem będzie prof. Zbigniew Danielewicz. Miejsce: Katedra (ul. Bolesława Chrobrego 7).

WARSZAWA, czwartek, 16 maja, godz. 18.30
Kawiarenka o książce „Lewicę racz nam zwrócić, Panie". Gościem będzie Rafał Woś. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

łych pozytywnych dla ofiar konsekwencji. Współczucie dla ofiar było postrzegane jako zagrożenie dla wspólnoty i jej spójności. Empatia lokowała się w obszarze społeczno-kulturowej nieprawomocności. I to właśnie przesądzało o ryzyku związanym z pomocą Żydom, nie zaś kara śmierci".

„Sprawa żydowska" rozwiązywana była na oczach ludności polskiej, w bezpośrednim sąsiedztwie. Przebieg tych wydarzeń jest dziwnie wyparty z polskiej pamięci zbiorowej, a w konsekwencji nieobecny także w refleksji religijnej. Można by przecież pisać polską teologię po Zagładzie, gdybyśmy przyjęli, że doświadczenie tej „obserwacji uczestniczącej" (jak proponuje mówić o polskim świadkowaniu Holokaustowi Janicka) domaga się religijnego namysłu. Można by bić się w piersi, zestawiając treść diecezjalnego tarnowskiego tygodnika końca lat 30. i udział ludności polskiej tej samej diecezji w tzw. polowaniu na Żydów.

Posłuchajmy świadka, Stanisława Żemilskiego, który w pamiętniku notuje wojenne obserwacje z okolic Łukowa: „Polaków jest dużo i reakcji jest wiele. O draństwach dosyć dużo piszę. Jest dużo ludzi, którzy potępiają zbrodnie niemieckie i brzydzą się nimi. Są ludzie, którzy na widok wyczynów niemieckich dostają szału rozpaczy. Najpowszechniejsze jednak zdanie Polaków jest takie: »przykre i okrutne to, lecz tu niemcy oddają nam dużą przysługę: rozwiązują problem żydowski«. Nasza endecja ze wszystkimi swoimi przybudówkami może być dumna ze swego posiewu. Kościół rzymskokatolicki nareszcie święci swój tryumf. Winszuję 2-ch tysiącleci!".

Na oczach nauczyciela z Łukowa domagająca się rozwiązania „sprawa żydowska" z kart katolickiej prasy spotkała „ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej" w nazistowskim wydaniu.

Niebezpieczna Wielkanoc

To właśnie chrześcijaństwo – o czym chętnie zapominamy – ugruntowało w europejskiej kulturze niechęć do Żydów. Tak jak zabili Jezusa i prześladowali proroków, tak teraz zagrażają nam – przekonywano. Ślepi na treść własnej Biblii, niewdzięczni, bo ukrzyżowali Boga, który wywiódł ich z Egiptu i podarował mlekiem i miodem płynący kraj, po upływie setek lat nam także okazują niewdzięczność, goszcząc w chrześcijańskiej Europie. Bóg ich ukarał i odrzucił – mówili chrześcijańscy myśliciele już od końca II w., wskazując na zburzoną świątynię jerozolimską i przegrane powstania.

> W przedstawieniach pasyjnych widzimy arcykapłanów z gwiazdami Dawida i w tałesach. **To fałsz na własnym dziedzictwie:** „za Żydów" przebrani powinni być też apostołowie, Jezus i Maryja.

I choć św. Augustyn uznał, że istnienie Żydów niosących wszędzie ze sobą swoje starożytne Pisma jest dla chrześcijan korzystne i zaplanowane przez Boga, to wkrótce uznano, że odstąpili od starożytnej wiary tworząc Talmud: stali się odstępcami od judaizmu, jaki wyobrażali sobie chrześcijanie.

To dlatego Wielkanoc była dla Żydów niebezpiecznym czasem. Kończące się często pogromami czy procesami plotki, że wiosną na swoje paschalne święto porywali dzieci na mace, przedstawienia pasyjne pokazujące ich jako zabójców Boga, grzmiące kazania o winnych po wszystkie czasy (wszak tłum w Ewangelii Mateusza krzyczy: „Krew jego na nas i na dzieci nasze"), u Jana Żydzi jako główny aktor męki Jezusa odczytywanej w Wielki Piątek...

Dziś, w znów cieszących się rosnącą popularnością przedstawieniach pasyjnych w parafiach, seminariach i miasteczkach, możemy zobaczyć arcykapłanów oznaczonych menorami i gwiazdami Dawida lub noszących tałesy. To fałsz na własnym dziedzictwie, grający antysemicką tradycją, bo gdyby chcieć być uczciwym, „za Żydów" przebrani powinni być również apostołowie, Jezus i stojąca pod krzyżem Maryja.

O czym chcieliśmy zapomnieć

Choć soborowe zmiany nauczania na temat Żydów wprowadzano w Polsce z opóźnieniem i często bez przekonania, mogło się wydać, że antyjudaizm i antysemityzm zostawiamy powoli za sobą. Nagły wielkanocny powrót palenia Judasza i słowa o żydowskim spisku w kazaniu biskupa tarnowskiego każą zapytać, co poszło nie tak. I zastanowić się, czy oto nie ujawnia się coś, co wciąż było podskórnie obecne, ale o czym chcieliśmy zapomnieć.

Mamy twarde dane, które powinny mobilizować do działania. O tym, że Żydzi porywali dzieci na macę, przekonanych jest prawie 25 proc. pytanych Polaków. Przekonanie, że współcześni Żydzi są winni śmierci Jezusa, deklaruje ponad 24 proc. badanych przez Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW.

Czy polski Kościół ma problem z antysemityzmem?

– W kontekście sprawy wystąpienia bp. Jeża wypada jednak zauważyć, że zarówno ta, jak i inne wypowiedzi tego rodzaju dziś już budzą opór i chęć aktywnego sprzeciwu wśród sporej części praktykujących, duchownych i świeckich – pociesza Grzegorz Krzywiec. – To, co dla jednych katolików jest złamaniem społecznego tabu, zerwaniem z polityczną poprawnością, dla innych jest skandalem, także w wymiarze religijnym. Kilkadziesiąt lat temu tych drugich postaw było znacznie mniej.

Czy jednak wciąż nie jest ich za mało? Owszem: powstały dokumenty, listy, deklaracje. Kościół w Polsce co roku przypomina podczas Dnia Judaizmu, że chrześcijaństwo tkwi korzeniami w judaizmie. Trudno jednak odwrócić kilkunastowieczną tradycję, nie wykonując żmudnej i długofalowej pracy wychowawczej. Trudno osiągnąć ten cel, nie ucząc przyszłych księży, katechetów oraz teologów o bagażu dawnego antyjudaizmu, udziale Kościoła w antysemickim dyskursie i antyżydowskich kodach zaklętych w pieśniach i tradycjach. Nie tłumacząc, jak czytać sugerujące konflikt między Jezusem i Żydami fragmenty Nowego Testamentu, nie mówiąc o odpowiedzialności polskiego katolicyzmu za głoszenie nienawiści.

Dziś, gdy mowa nienawiści jest coraz silniej obecna w dyskursie publicznym, antysemityzm podnosi głowę i mruga do nas okiem.

Tradycyjny czy spiskowy, wykrzyczany na marszu czy wyrażony aluzją – w kraju katolickiej większości, który stał się cmentarzyskiem polskich i europejskich Żydów, nigdy nie powinien być lekceważony.

©℗ ZUZANNA RADZIK

Boże znaki

PIOTR SIKORA

Wiara biblijna dostrzegała w historycznych wydarzeniach Boże przesłanie. Dziś to też możliwe, ale znaków szukać trzeba raczej w przemianie ludzkiej świadomości niż w pożarach katedr.

Prorok w tradycji biblijnej to nie przepowiadacz przyszłości, ale ten, kto potrafi w historycznych wydarzeniach rozpoznać Boży znak. Zdumiewa, jak wielu ludzi odkryło ostatnio w sobie tak rozumiany dar proroctwa. Komentatorzy mediów społecznościowych, publicyści, nawet kilku biskupów ze sporą dozą pewności orzekało, czego to znakiem od Boga był pożar paryskiej katedry Notre Dame. Inni nie byli pewni, ale z powagą pytali: przypadek to czy znak z Nieba? A jeśli znak – co Stwórca chce nam przekazać?

Czy jednak rozumny człowiek XXI w. w ogóle może poważnie rozważać kwestię, że ciąg fizycznych zdarzeń – zwarcie instalacji elektrycznej, iskra padająca na zapylone, wysuszone drewno, gwałtowny proces utleniania – jest specjalnym znakiem „nie z tego świata"? Wszak śledczy badający przyczyny pożaru katedry poradzą sobie zapewne bez żadnych nadprzyrodzonych wyjaśnień.

Wątpliwości co do sensowności szukania specjalnych Bożych znaków wzmacniane są także z drugiej – teologicznej – strony. Pobożne myślenie, że Bóg przemawia do nas raz przez to, raz przez tamto wydarzenie, ale nie przez mnóstwo innych, które w międzyczasie się działy, kryje w sobie bardzo antropomorficzny obraz Stwórcy. To my odzywamy się do siebie tylko od czasu do czasu, piszemy listy lub przekazujemy coś w specyficznych niewerbalnych formach (np. dając kwiaty). Jaki ma sens przedstawianie sobie w podobny sposób komunikacji bosko-ludzkiej?

Bóg jest przecież Absolutem – zawsze i wszędzie obecnym, przenikającym całą rzeczywistość. To nie tylko filozoficzna spekulacja, lecz fundamentalny aspekt chrześcijańskiej wiary. To święte pisma głoszą, że jest On Bogiem, „który napełnia wszystko na wszelki sposób" (Ef 1, 23), i że „w Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy" (Dz 17, 28). Jeśli wszystko pełne jest Boga, na jakiej zasadzie coś szczególnego może być jego wyróżnionym znakiem?

Objawienie w historii

Namysł filozoficzny prowadzi do rozpoznania, że człowiek jest bytem nie tylko zanurzonym w czasie, ale w ogóle istniejącym na sposób czasowy. Innymi słowy – nie jesteśmy niezmiennymi substancjami, wokół których przepływa zmienna rzeczywistość, lecz sama tożsamość każdego z nas jest procesem, który się wydarza i dzieje. Od połowy XX wieku najwybitniejsi teologowie współcześni uznali, że próby zrozumienia wiary nie mogą ignorować tego filozoficznego rozpoznania.

Skoro zaś jesteśmy zmienni i czasowi, skoro historia jest nieuniknioną formą naszej wspólnej egzystencji, to tylko w tej formie możemy spotkać się z Bogiem, doświadczyć Go i rozpoznać Jego obecność i działanie.

Były w dziejach chrześcijaństwa okresy, w których zapominano o tym i próbowano myśleć o objawieniu jako o bezczasowej, niezmiennej strukturze prawd. Ale współczesna intuicja zyskuje wsparcie w samych źródłach chrześcijańskiej wiary: księgi biblijne są zdominowane przez świadomość, że JHWH, Bóg Izraela, jest Bogiem historii: dziejów Abrahama, Izaaka i Jakuba, wydarzenia wyjścia z Egiptu, prowadzącym sędziów, namaszczającym królów i proroków. Na Synaju przedstawił się Mojżeszowi słowami: *'ehjeh 'ăšer 'ehjeh*. Najbardziej rozpo-

wszechniony przekład tej formuły to „jestem, który jestem". Można jednak oddać ją słowami: „jestem tym, który będzie z wami w każdej chwili".

Nic dziwnego zatem, że współczesna teologia kładzie silny nacisk na powiązanie Ewangelii i historii. Jedną z kluczowych kategorii, które umożliwiają wyrażenie tego związku, jest pojęcie znaków czasu. Zostało ono zasymilowane także przez nauczanie Magisterium Kościoła.

Sobór Watykański II w Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym „Gaudium et spes" stwierdza: „Lud Boży pobudzany wiarą w to, że prowadzi go Duch Pański napełniający okrąg ziemi, stara się w wydarzeniach, potrzebach i pragnieniach, w których uczestniczy z resztą ludzi naszej doby, rozpoznać, jakie w nich mieszczą się prawdziwe znaki obecności lub zamysłów Bożych" (11). Jeszcze wyraźniej rzecz ujmuje Paweł VI w encyklice „Populorum progressio" z 1967 r.: „Kościół ma obowiązek badać znaki czasów i wyjaśniać je w świetle Ewangelii" (13).

Świadom niejasności towarzyszących każdemu nowemu ujęciu teologicznemu, Paweł VI chciał, by było ono jasne i funkcjonowało nie tylko w kręgach akademickich teologów, ale w całym Kościele. Wyjaśniał je zatem także podczas audiencji generalnych. Mówił: „Wyrażenie »znaki czasu« weszło także w użycie bieżące i zyskało głębokie znaczenie, pełne treści i bardzo interesujące, mianowicie znaczenie teologicznej interpretacji współczesnej historii. (...) Odkrycie znaków czasu jest dziełem świadomości chrześcijańskiej. Wynika ono z zestawienia wiary z życiem, ale nie przez sztuczne i powierzchowne nałożenie jakiejś pobożnej myśli na nasze przeżycia, lecz raczej przez dostrzeżenie, w jakich punktach te nasze przeżycia z powodu ich wewnętrznego dynamizmu, z powodu ich niejasności, a niekiedy z powodu ich niemoralności domagają się promienia wiary, słowa ewangelicznego, które by je określało i odkupiło. Albo też odkrycie znaków czasu zachodzi przez uzmysłowienie sobie, w jakim punkcie i gdzie wychodzą one same z siebie na spotkanie planom wyższym, o których wiemy, że są planami chrześcijańskimi i Bożymi, jak poszukiwanie jedności, pokoju, sprawiedliwości. W jakim punkcie nasze ewentualne działanie miłości albo apostolstwa łączy się z dojrzałością sprzyjających okoliczności wskazujących, że nadeszła godzina na jednoczesny rozwój Królestwa Bożego w królestwie ludzkim?".

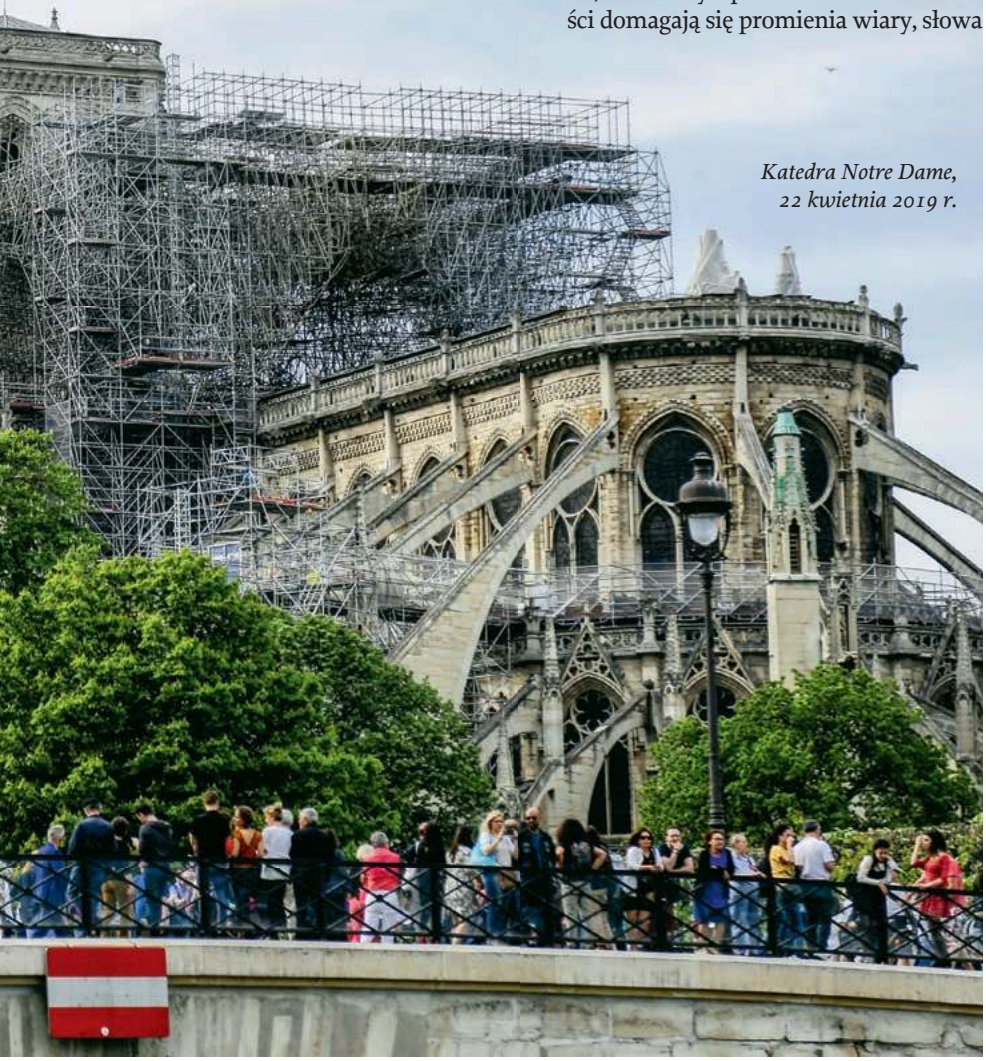

Katedra Notre Dame, 22 kwietnia 2019 r.

IBRAHIM EZZAT / NURPHOTO / GETTY IMAGES

W podobny sposób używali tej kategorii teologowie. Jednym z najwybitniejszych, dla których była to kategoria podstawowa, był dominikanin Marie-Dominique Chenu. Rozróżniał on dwa powiązane poziomy znaków czasu – socjologiczny i teologiczny.

Na pierwszym z nich znak czasu to wydarzenie, „w którym bierze udział człowiek, a które poza swą bezpośrednią treścią ma wartość wyrażania innej rzeczywistości". Zdaniem Chenu „decydujące znaczenie ma zatem nie sama treść danego zdarzenia, choćby była ważna, ale uświadomienie, do którego ono doprowadziło, wywołując zryw energii i nadziei grupy ludzkiej, przechodzący przewidywania jednostek".

Dla Chenu najważniejszymi znakami czasu są „zjawiska uogólnione, obejmujące różne dziedziny aktywności, wyrażające potrzeby i aspiracje dzisiejszej ludzkości". Ale liczy się nie tyle zasięg samego wydarzenia, co jego wpływ na świadomość społeczną. Wydarzenia stają się znakami, „dopiero gdy dojdą do świadomości w biegu historii". Oczywiście to, co znaki czasu symbolizują, ich znaczenie wyrażające się w zmianie świadomości społecznej, „musi łączyć się jak najściślej z rzeczywistością ziemską i historyczną". Stąd bezpośrednia treść wydarzeń nie jest bez znaczenia.

Przechodząc na poziom teologiczny Chenu podkreślał, że za pomocą kategorii znaków czasu wskazujemy, że istnieją wydarzenia, które „rozwijają w człowieku dane pozytywne dla urzeczywistnienia życia Bożego". Innymi słowy chodzi o to, że czas, tocząca się historia dostarcza „znaków łączności Ewangelii z nadziejami ludzkości".

Dominikański teolog dostrzegał znaki czasu przede wszystkim w pozytywnej stronie dziejów. Uważał, że w wydarzeniach, w których takie wartości jak ↦

miłość, sprawiedliwość, prawda, wolność dochodzą do zbiorowej świadomości ludzkiej, „wiara będzie mogła odczytać zamiary Boga, Boga-Stwórcy i Boga-Zbawiciela, Boga, który kierował historią świętą”. Znakami czasu były dla niego zjawiska cywilizacji, które mają „szczególną dyspozycję do przyjęcia Ewangelii, do jej nakazów braterskiej miłości”. Uważał, że w nich „chrześcijanin rozpoznaje w świecie znaki Boskiego twórczego i zbawczego planu”.

Co ważne, teolog ten był wyczulony szczególnie na znaki czasu wydarzające się w kulturze – poza bezpośrednim, widzialnym zasięgiem Kościoła. Dostrzegał je m.in. w upadku kolonializmu i zyskiwaniu politycznej i kulturowej podmiotowości ludów afrykańskich czy azjatyckich. W historii Europy rozpoznawał je także w ruchach niwelujących społeczne nierówności i przełamujących wykluczenie rozmaitych grup uprzednio wykorzystywanych lub poniżanych. Otwartość Kościoła na znaki czasu była dla niego otwartością na Bożą obecność pozbawioną chrześcijańskiej „etykietki”.

Ludzka świadomość Bożych gestów

Czy teologia znaków czasu jest jednak do pogodzenia z naukowym obrazem świata, w którym wszelkie zjawiska i zdarzenia wyjaśniane są poprzez odwołanie do przyczyn naturalnych, „wewnątrzświatowych”? Chenu był przekonany, że tak. Kładł szczególny nacisk na to, by teologia „znaków czasu” szanowała autonomię „rzeczy ziemskich”, tj. możliwość wyjaśniania procesów naturalnych i społecznych we właściwych im kategoriach – fizycznych i socjologicznych.

Szczególnie istotne jest w tym kontekście to, że znaki czasu są sytuowane nie na płaszczyźnie samych wydarzeń, lecz o tyle mają znaczenie, o ile dochodzą do ludzkiej świadomości i powodują jej zmianę. Stąd, zdaniem Chenu, rozpoznawanie znaków czasu jest możliwe tylko dla kogoś, kto posiada „płynącą z serca łączność z pragnieniami ludu”.

Dobre filozoficzne wyjaśnienie, o co tu chodzi, można znaleźć w myśli ewangelickiego teologa Paula Tillicha. Zauważa on, że skoro cała rzeczywistość uczestniczy w Bogu (czyli jest On obecny w każdym punkcie czasu i przestrzeni), to każde wydarzenie może nieść sens objawiający Boga. Z drugiej strony nabiera ono takiego

Znakami czasu są nie tyle zdarzenia historii naturalnej, co zjawiska kulturowe **– o ile otwierają człowieka na transcendencję.**

znaczenia nie samo z siebie, lecz dzięki temu, że wchodzi w skład „konstelacji objawicielskiej”, tj. łączy się z ludzką świadomością w taki sposób, że otwiera człowieka na ostateczny sens życia i rzeczywistości, czyli Boga, i kieruje ku Niemu.

Można nawet powiedzieć, że znakami czasu w ścisłym teologicznym sensie są nie tyle zdarzenia historii naturalnej, co raczej zjawiska kulturowe – i to tylko o tyle, o ile posiadają wymiar otwierający człowieka na transcendencję. Ludzka kultura utkana jest z rzeczywistości empirycznej.

Szukając wyjaśnienia, dlaczego świat materialny przybrał taką, a nie inną postać, musimy odwoływać się do badań naukowych. Odpowiedzi uzyskane dzięki nim nic nie mówią jednak o tym, jak dana postać rzeczywistości pobudza ludzi do poszukiwań duchowych, czy w jaki sposób wiąże się z przesłaniem Ewangelii. Tu otwiera się pole dla teologii.

Ich rezultatem jest rozpoznanie sposobu, w jaki konkretne wydarzenia powiązane są z ludzką świadomością poszukującą ostatecznego sensu. To właśnie jest forma Boskiej obecności w świecie, to na tym polega Jego komunikacja z nami za pośrednictwem wciąż zmieniającej się rzeczywistości.

Boża obecność i przesłanie pozostaje jednak dla nas tajemnicą. Dlatego Chenu naciska, że choć pojęcie znaków czasu jest jedną z podstawowych kategorii w teologii, to nie należy się nią zbyt łatwo posługiwać. Podobnie Paweł VI zauważa niebezpieczeństwo, którym jest „pewien charyzmatyczny profetyzm, często przeradzający się w bigoteryjną wyobraźnię. Profetyzm ten nadaje przypadkowym zbieżnościom – często nic nieznaczącym – cudowne wyjaśnienia” (Paweł VI, audiencja generalna, 16 kwietnia 1969).

Współczesne znaki

W perspektywie teologii Soboru, Pawła VI czy o. Chenu znakiem czasu byłby zatem nie tyle sam pożar paryskiej katedry, co wielka liczba komentarzy interpretujących to wydarzenie jako znak od Boga.

W komentarzach tych bowiem ujawnia się pewien stan świadomości, niezgoda na „odczarowanie” świata, czyli na to, by był on tylko mechanizmem rządzonym fizycznymi prawami, pragnienie i tęsknota za bezpośrednim doświadczeniem boskiej rzeczywistości. Jest to jednocześnie znak ambiwalentny – odsłania on bowiem ludzką tendencję do sprowadzania rzeczywistości boskiej do poziomu ludzkiego – by była zmysłowo namacalna, uchwytna i zrozumiała.

Innym, może jeszcze ważniejszym znakiem czasu jest to, co dzieje się właśnie w Kościele w kwestii seksualnego molestowania nieletnich i nadużywania władzy. Jak zauważył w wyżej cytowanej encyklice Paweł VI, znakami czasu są nie tylko przeżycia pozytywne, otwierające na Ewangelię, ale także te niemoralne, które „domagają się promienia wiary”.

Wydaje się, że właśnie z czymś takim mamy do czynienia w zjawisku ujawniania krzywd dzieci i młodzieży doznawanych od członków kościelnej hierarchii. Dokonuje się tu bowiem głęboka przemiana społecznej świadomości. Dotyczy to przede wszystkim ludzi świeckich oraz części biskupów i księży: poszerza się wrażliwość na krzywdę najsłabszych, rośnie odwaga przeciwstawiania się wspierającym tę krzywdę strukturom, nawet jeśli otoczone są nimbem sakralności, i wola pomocy niezależnie od działań kościelnej instytucji. Ujawnia się jednocześnie niezdolność wielu hierarchów do nawrócenia i opór przed uznaniem swojej winy.

Mamy więc do czynienia zarówno z dyspozycją do przyjęcia Ewangelii i wcielania jej w życie, jak i z tym, co domaga się nawrócenia i odkupienia: z działaniem Bożym wzbudzającym dobro oraz osądzającym (tj. wydobywającym z ciemności na światło) zło.

Można zatem powiedzieć, że Bóg – zawsze i wszędzie obecny – jest i działa w historii oraz że przez fakty historyczne przemawia do człowieka. Ale historia to nie po prostu ciąg empirycznych zdarzeń. Jej istotnym wymiarem jest to, co dzieje się w świadomości ludzi przeżywających te zdarzenia. I właśnie na tym poziomie – przemiany ludzkiej świadomości – wciąż pojawia się Boże do człowieka przesłanie.

©℗ PIOTR SIKORA

JOHN ROBERTSON / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

Matrix w Kościele

KS. JACEK PRUSAK SJ

Nie pomagamy księżom homoseksualistom, jeśli z jednej strony zaprzeczamy ich istnieniu, a z drugiej czynimy z nich grupę trzymającą władzę w Kościele.

Nikt nie wie dokładnie, bo z różnych powodów nie ma takich kościelnych statystyk, ilu wśród księży jest homoseksualistów. Wbrew promowanym w Polsce tendencyjnym „oszacowaniom" wskazującym na mniej niż 1 proc., powiedzenie, że są ich tysiące, nie mija się z prawdą. Na podstawie badań przyjmuje się, że homoseksualnych księży nie jest mniej niż 5-10 proc. oraz średnio nie więcej niż 30-50 proc. – chociaż górna granica może być wyższa. Na przykład badacze amerykańscy uważają, że w ich kraju księża katoliccy – w stosunku do innych grup społecznych – są grupą nadreprezentatywną, jeśli chodzi o obecność homoseksualistów, gdyż stanowią blisko połowę całej populacji duchownych, a w niektórych zakonach znaczną ich większość.

Nie wynika to jednak z tego, że poza USA osoby homoseksualne nie garną się tak bardzo do kapłaństwa, tylko z faktu, że po ostatnim Soborze z kapłaństwa odeszła tam znacząca liczebnie grupa księży heteroseksualnych, a proces ten się nie zatrzymał i ich liczba jest zawsze wyższa od liczby występujących księży homoseksualnych. Na marginesie warto pamiętać, że USA przodują w liczbie występujących księży, druga jest Polska. Podobne wielkości procentowe dotyczą również seminarzystów przygotowujących się do kapłaństwa.

Nie da się więc ukryć, choć niektórzy chcą z tego uczynić „ostatnie tabu Kościoła", że kapłaństwo jest atrakcyjne dla homoseksualistów, i nie możemy tu mówić wyłącznie o jednostkach czy czasach współczesnych. Wywołuje to różne reakcje, ale sami seminarzyści i księża, obu orientacji, przyznają, że w strukturach Kościoła mamy do czynienia z subkulturą gejowską, która ma wpływ na decyzje personalne i zarządzanie Kościołem. W jednym z amerykańskich badań 45 proc. księży stwierdziło, że takie subkultury istnieją w ich diecezjach, a 28 proc. zgodziło się, że istniały w seminariach, w których przygotowywali się do święceń. Jaką subkulturą jest Watykan?

Sodoma nad Tybrem

Kilkusetstronicowa książka francuskiego socjologa Frédérica Martela „Sodoma. Hipokryzja i władza w Watykanie" nie jest lekturą do poduszki, i to bynajmniej nie dlatego, że trzyma w napięciu, od którego nie da się zasnąć, ale dlatego, że można mieć po niej koszmary. Nie zamierzam odnosić się tutaj do każdej z czternastu tez, na jakich jest zbudowana, bo nie ma na to miejsca, a niektóre z nich wykraczają poza moje kompetencje. Ogólna teza Martela jest taka, że homoseksualna wspólnota duchownych w Watykanie należy do największych na świecie, a jej funkcjonowanie opiera się na dwóch filarach: ukrytym życiu homoseksualnym większości hierarchów z najbliższego otoczenia papieża (od czasów Pawła VI) i ich skrajnej homofobii (najczęściej obecnej wśród dwulicowych konserwatystów w sutannach, tym silniejszej, im wyżej stoją w hierarchii).

Mówiąc jeszcze inaczej, choć na pierwszy rzut oka wydaje się to sprzeczne, według Martela Kościół jest tak homofobiczny, bo w znacznej części jest gejowski, a więc funkcjonuje w kulturze systemowej hipokryzji pomiędzy swoim nauczaniem a praktyką swoich „stróżów wiary".

Historykom i watykanistom pozostawiam ocenę zarówno poszczególnych hierarchów opisanych w „Sodomie" (jawnych bądź ukrytych, aktywnych bądź żyjących w celibacie homoseksualistów), jak też ich wpływu na Kościół od czasu Soboru Watykańskiego II. Interesująca jest bowiem reakcja na tę książkę dwóch znanych księży działających w środowisku osób LGBT: amerykańskiego jezuity Jamesa Martina oraz angielskiego księdza Jamesa Alisona i sprowokowany przez nią *coming out* pewnej grupy duchownych amerykańskich.

Ślub milczenia

W wywiadzie dla „Tygodnika" pod tytułem „Nie ma Sodomy" (powszech.net/martin) popularny pisarz i komentator kościelny w USA, James Martin SJ, podsumował książkę francuskiego socjologa kilkoma zdaniami podkreślając, że choć „są w niej mocne fakty i ważne obserwacje, jest zbyt plotkarska, przez co wielu ludziom trudno traktować ją poważnie". Poza tym „obraz księży-gejów jest tak ciemny, że to tylko utrudni im życie", ↦

↦ a książka jest jednostronna, bo „nie zostawia miejsca dla tych, którzy żyją w celibacie, a w Kościele są ich tysiące. W ten sposób (być może niechcący) karmi stereotyp księdza-geja, który jest seksualnie aktywny, czy też szerzej – osoby LGBT, która nie może się od seksu powstrzymać". „Obawiam się – mówi dalej – że efekt działania tej książki będzie przeciwny od zamierzonego. Ludzie jeszcze bardziej będą się bali mówić na ten temat".

Odmiennego zdania jest ks. Alison, znany teolog i pisarz nieukrywający swojej homoseksualnej orientacji, który – jak sam podkreśla – przyjaźni się z Martinem. W 15-stronicowym omówieniu książki Martela zamieszczonym na własnej stronie internetowej (www.jamesalison.co.uk) pokazuje, dlaczego nie można jej sprowadzić do dziennikarskiego plotkarstwa („tabloidu w twardej okładce"), i do jakiej debaty wewnątrzkościelnej powinna ona doprowadzić, jeśli Kościół nie zamierza być dwulicowy. Od Martina różni go pokazanie, że tylko „ktoś z zewnątrz" klerykalnego systemu mógł przedstawić panoramę klerykalnego homoseksualizmu nie wprowadzając uprzedniej cenzury, ale również nie tworząc wirtualnej rzeczywistości.

Już po tej reakcji widać, jak stosunek do ujawnienia własnej orientacji wpływa na recepcję książki Martela u duchownych żyjących w celibacie. Podobne „linie podziału" widać w innych środowiskach, wewnątrz i poza Kościołem. I nie jest to zaskoczenie. Jeśli pominiemy milczeniem – bo na to zasługuje – podejście, wedle którego jest to atak na Kościół, a więc on taki nie jest albo być nie może, mamy do czynienia najczęściej z dwiema postawami. Z jednej strony, ze zwolennikami tezy o homoseksualnym lobby w Kościele, którzy uważają, że kapłaństwo stało się „gejowską profesją", zmieniającą w niekorzystny sposób jego oblicze. Z drugiej, z głosami tych, którzy uważają, że w Kościele nie ma Sodomy, bo tysiące księży-gejów żyją w celibacie. A więc w najgorszym przypadku Sodoma należy do mniejszości „za murami Watykanu" – Kościół gejów w koloratkach nie jest więc problemem. Dlaczego więc owe tysiące milczą, skoro zdecydowana mniejszość tak mocno psuje im reputację?

Podwójna klatka

Abstrahując od tego, co zdaniem Martela działo się w Watykanie na przestrzeni półwiecza, Kościół nie radzi sobie z problemem, który sam stworzył swoim nauczaniem o homoseksualizmie, i nie rozwiążą tego księża-geje żyjący w celibacie z „dodatkowym ślubem" milczenia ani dekret zabraniający osobom homoseksualnym przyjmowania święceń. Gdyby taki warunek do ważności święceń wprowadzono do Kodeksu Prawa Kanonicznego, na czym można by go oprzeć? Jezus nie wypowiadał się na temat homoseksualizmu ani nie uczynił z niego kryterium powoływania swoich uczniów. Skoro Kościół „teraz" twierdzi, że homoseksualizm uniemożliwia dojrzałość afektywną przyszłym księżom, to tak rozumiana dojarzałość nie może być przedmiotem wiary ani treścią dogmatu.

> Homoseksualnym księżom w drodze do dojrzałości **kłody pod nogi rzucają „bliźniacy" w sutannach**. Ich credo brzmi: nie mów, nawet jeśli wiesz, że jesteś gejem.

Dojrzałość uczuciowa to przejaw cech opisywanych, definiowanych i weryfikowanych empirycznie. Oznacza to, że jeśli owa dojrzałość nie jest traktowana jako pojęcie stworzone *a priori* w celach dyskryminacji nienormatywnej orientacji seksualnej, jej kryteria muszą być takie same dla wszystkich księży. Dojrzałość nie jest nam dana od urodzenia, ani orientacja sama z siebie o niej nie przesądza. Badania pokazują, że istnieją dojrzali i niedojrzali księża hetero- i homoseksualni, i tak jest również w innych grupach społecznych.

Sęk w tym, że homoseksualnym księżom w drodze do dojrzałości kłody pod nogi rzucają „bliźniacy" w sutannach. Ich credo brzmi: nie mów, nawet jeśli wiesz, że jesteś gejem. Jeszcze lepiej, abyś się w ogóle nad tym nie zastanawiał. Jeśli się nie będziesz zastanawiał ani ujawniał, Kościół może mówić „swoje", ale to przecież nie dotyczy ciebie – twoją orientacją jest celibat. W zamian „za milczenie" obiecujemy ci dozgonną ochronę, a jeśli upadniesz, zwal to na swoją „wewnętrznie zepsutą" naturę, ale nie walcz o to, żeby być dojrzałym „ruszając doktrynę". W przeciwnym razie będziemy musieli stoczyć bratobójczą walkę, a przecież to my jesteśmy ofiarami systemu. Dopóki mamy władzę i przywileje, „dobro Kościoła" usprawiedliwia nasze słabości i hipokryzję, być może Bóg dał nam powołanie w tym celu, abyśmy pomimo własnego rozdarcia opierali się jakimkolwiek zmianom.

Taki jest wniosek Martela z przeprowadzonego przez niego dziennikarskiego dochodzenia. Jego książkę czytałem jako psycholog i psychoterapeuta. Cokolwiek myślimy o jej warstwie historyczno-sensacyjnej, pokazuje ona, że bez gruntownego przemyślenia swojego nauczania o homoseksualizmie Kościół nie będzie w stanie wyjść z podwójnego wiązania, w jakim utrzymuje homoseksualnych księży: traktowania celibatu jako mechanizmu obronnego przez zastępowanie nim orientacji seksualnej i odrywania orientacji od uczuciowości. To z pewnością nikogo nie czyni dojrzałym emocjonalnie.

Potwierdzanie męskości homofobią to tylko projektowanie swojego cienia na innych. Sprowadzanie ortodoksji do walki z homoseksualnością w sobie i innych w imię „wojen kulturowych" to brak świadomości zinternalizowanej homofobii i niezrozumienie Ewangelii oraz największa porażka wiary i rozumu. Tak przynajmniej sugerują ci, którzy o książce Martela mówią „od środka": Alison i księża, którzy po jej publikacji ujawnili się w reportażu na łamach „New York Timesa" („»It Is Not a Closet. It Is a Cage«. Gay Catholic Priests Speak Out"; 18 lutego 2019 r.). To bardzo przejmujące świadectwa, które jednoznacznie wskazują, że najlepiej dojrzałość księży są w stanie ocenić ich wierni, kiedy nie zakłada im się na nosy „doktrynalnych okularów".

Przeczytałem „Sodomę" bez koszmarów, ale nie pozostawiła mnie w spokoju, bo każdą z zawartych w niej tez można „zilustrować" po polsku. Niektórzy muszą wyjść z „szafy", inni z „klatki", a jeszcze inni zinternalizowanej homofobii nie brać za wyznacznik wierności Ewangelii i zaprzestać „kulturowych wojen" z wyimaginowanym przeciwnikiem-zagrożeniem. Ale czy polski Kościół stać na merytoryczną debatę o psychologii kolektywnej kleru?

©℗ KS. JACEK PRUSAK SJ

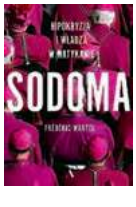

Frédéric Martel **SODOMA. HIPOKRYZJA I WŁADZA W WATYKANIE,** *przeł. Anastazja Dwulit, Elżbieta Derelkowska, Jagna Wisz, Agora, Warszawa 2019.*

SZYMON

Hołownia:
Gry wojenne

Był taki – głęboko niehigieniczny – okres w moim kawalerskim jeszcze wtedy życiu, w którym wracając wieczorem do domu, posiliwszy się i zbilansowawszy płyny, zasiadałem przed telewizorem, przed którym padałem ze zmęczenia, by trzy godziny później, klnąc na własną głupotę, w półśnie przetransportowywać się do sypialni. Pewnego wieczoru rozbudziłem się nie wściekły, ale zlany zimnym potem. Śniło mi się, że wybuchła wojna, że telewizja podaje komunikaty o przekroczeniu granicy przez rosyjskie wojska, z ulgą wyrwałem się więc z objęć koszmaru. Pełen nadziei, że ukoi mnie jakieś radosne pitolenie, spojrzałem na ekran, i przez dobrą minutę trwałem w stuporze: Bronisław Wildstein (tym niepodrabialnym głosem człowieka, który chyba nawet prysznic bierze z furią), informował, iż „trwa ostrzał artyleryjski Białegostoku". W Białymstoku mieszka cała moja rodzina. Parę minut zajęło mi ustabilizowanie oddechu, wygrzebanie się spod sterty natychmiast tworzonych w głowie planów i zorientowanie się, że redaktor Wildstein przeprowadził w swoim programie eksperyment podobny do tego, który długo przed nim przeprowadził w USA (tyle, że tam chodziło o atak Marsjan) H.G. Wells.

I oto ładnych parę lat później odnalazłem w głowie dokładnie to samo uczucie. Tym razem po lekturze wywiadu rzeki, który z gen. Mirosławem Różańskim, do niedawna dowódcą generalnym polskiej armii, przeprowadził Juliusz Ćwieluch. Tytuł: „Dlaczego przegramy wojnę z Rosją". Oczywiście moglibyśmy nie przegrać – czytam – gdybyśmy zaraz wzięli się do roboty i spróbowali odkręcić nie tylko marazm, w jaki wpędzali polskie wojsko politycy przez cały czas transformacji, ale i te szkody, jakie wyrządziły mu – zdaniem rozmówców – rządy jednego człowieka: Antoniego Macierewicza. Jeśli to, co mówi Różański (o chaosie decyzyjnym, czystkach kadrowych, upokarzaniu oficerów, torpedowaniu szkoleń) jest tylko w połowie prawdą, to połowa tej połowy wystarczyłaby do postawienia byłego ministra przed Trybunałem Stanu.

Nawet dla laika egzotycznym wydawał się pomysł pompowania miliardów złotych zamiast w nowoczesny sprzęt – czyli w myśliwce, śmigłowce, okręty podwodne, obronę przeciwrakietową albo w wojska cybernetyczne – w Wojska Obrony Terytorialnej, weekendowo szkoloną lekką piechotę, wysysającą z innych rodzajów sił zbrojnych kadry i wszelkiego rodzaju nakłady. Sam wychowałem się na książkach i filmach o II wojnie światowej, ale tych prawie 100 lat później wypada jednak przyznać rację generałowi Różańskiemu, gdy zauważa, że dziś wojny nie zaczyna się od leśnej potyczki na pistolety, a od wywołania chaosu w kraju przeciwnika. Do czego nie trzeba jednego wystrzału – wystarczy zorganizować powszechną awarię sieci bankomatów i popsuć telefonię komórkową. Władimir Władimirowicz naprawdę nie jest idiotą, który będzie walił do nas z katiuszy i tropił po puszczach naszych przebranych za buki i graby terytorialsów. Ćwieluch z Różańskim, w celu rozruszania naszej wyobraźni, kreślą inny – kto dowiedzie, że nierealny – scenariusz.

Oto – co za traf, akurat tuż przed szykowaną w Warszawie kolejną triumfalną defiladą – przydarza się nieszczęście: awaria w położonej w Obwodzie Kaliningradzkim elektrowni atomowej. Rosja informuje światową opinię publiczną, że musi natychmiast wysłać do Obwodu konwój z ratownikami, sprzętem, wsparciem humanitarnym. Droga „Białego Konwoju" (już przecież ten wariant przerabialiśmy w 2014 r. na Ukrainie) wieść musi rzecz jasna najkrótszą drogą, a więc przez Polskę. Minister Ławrow wydaje oświadczenie, w którym nie wyobraża sobie, by jakikolwiek kraj odmówił drugiemu w takiej sytuacji. Polska wpuszcza więc tych 500 pomalowanych na biało kamazów przez przejście w Kuźnicy. I tak się składa, że gdzieś na Suwalszczyźnie jeden z nich wylatuje w powietrze, pozostałe wpadają na niego, droga jest zablokowana. Ktoś wrzuca do sieci zdjęcie polskiego drona, tak zmontowane, że wygląda, iż to on zaatakował ciężarówkę, natychmiast podkręcają to media. WWP pisze na Twitterze: „Nie przelewa się rosyjskiej krwi bez konsekwencji. Nie zostawia się swoich bez pomocy. Wierzę, że rosyjscy patrioci obejmą konwój ochroną". W ciągu godzin mamy w Polsce nocne wilki, mnóstwo dziwnych niby to cywilnych aut, zakładających wokół konwoju swoje posterunki. Jest też rzecz jasna NATO, a w nim Trump, który wcześniej dobił dealu z Putinem, wyjaśniając, że nie zamierza umierać za Suwałki. Jest też pół polskiego wojska uwikłanego w defiladę. Jest zdemilitaryzowana 17 lat temu Straż Graniczna. I polskie WOT, którym próbuje się zrzucić amunicję, ale okazuje się – co podobno miało rzeczywiście miejsce na jakichś ćwiczeniach – wydano amunicję nie do tej broni, co trzeba (a poza tym amunicji nie ma już – jak się dowiadujemy – w jednostkach, a jej składy pracują w dni robocze do 15.30).

Bajeczka? Sęk w tym, że nawet jeśli – znów – w połowie, to ta druga połowa i tak może załatwić wszystko. Celebrowane dziś sztandary, fanfary, wieńce oraz zaczarowywanie historii mogą mieć wówczas fatalne przełożenie na tysiące ofiar, ludzkich dramatów. Pielęgnowane obecnie, a związane z przeszłością, fobie i obsesje mogą doprowadzić do sytuacji, w której przyszłości w ogóle nie będzie.

Jestem chyba jedną z ostatnich osób, które można by oskarżyć o rusofobię. Kocham Rosjan, ich kulturę. Tyle że my mówimy tu o rosyjskim państwie, którego ostatnich geopolityczych ruchów z pewnością nie da się zbyć konstatacją, że Kremlowi chodzi wyłącznie o to, żeby się go bać. W szacunku dla polskich żołnierzy i ich pełnej wyrzeczeń pracy – że zacytuję klasyka – nikt mnie nie prześcignie. I właśnie z tych dwóch powodów nie umiem zbyć wynurzeń generała Różańskiego psychoanalizą, odbijać piłeczkę, że pewnie boli go ego (które niewątpliwie ma), że zabrano mu zabawki, więc się mści „zza stołka". Kłopot w tym, że on podaje liczby. Naprawdę dużo liczb, zatrważających dużo bardziej niż wojenne symulacje Bronisława Wildsteina. Bardzo jestem ciekaw, czy znajdzie się ktoś, kto będzie w stanie je zakwestionować. ©

STRACH WRACA NA SRI LANKĘ

Dziesiątą rocznicę zakończenia wojny domowej Sri Lanka będzie obchodzić w cieniu wielkanocnych zamachów. Latami doświadczana przez terror i podziały etniczne, mierzy się z nową traumą.

TOMASZ AUGUSTYNIAK

Jedna z ostatnich bomb wybuchła na peronie zatłoczonego dworca w centrum Kolombo. Młoda kobieta wysiadła z pociągu i odpaliła ładunek schowany pod fałdami sari. Zabiła 11 osób, w tym ośmioro dzieci. Był luty 2008 r. i na całej wyspie nie było chyba nikogo, kogo ten atak zdziwił. W poprzednich dniach wyleciał w powietrze autobus z buddyjskimi pielgrzymami, a rzucony w stołecznym zoo granat ranił zwiedzających.

Trwająca od ćwierćwiecza wojna domowa miała się wtedy ku końcowi, ale tamilscy separatyści, którzy w dżunglach na północy prowadzili beznadziejną walkę z rządowym wojskiem, nadal siali strach w miastach na południu, organizując samobójcze zamachy. Do połowy maja 2009 r., gdy wojna się skończyła, Tamilskie Tygrysy zdążyły ich przeprowadzić jeszcze kilkanaście.

– To się nigdy nie kończyło. Mieliśmy wrażenie, że Tygrysy mogą zaatakować w każdej chwili, więc do centrum jeździliśmy tylko w nagłej potrzebie. Nie mogliśmy być pewni, że dzieci po lekcjach wrócą żywe do domu – opowiada Poorni Mahipala, prawniczka z Kolombo.

11 lat temu blisko jej domu wybuchł autobus, a w zamachu na pobliskiej stacji kolejowej zginęło ośmioro pasażerów. – Trzeba było unikać zatłoczonych miejsc i uważać na podejrzane pakunki. Kiedyś widziałam, jak starszy mężczyzna wyrzucił z jadącego autobusu czyjąś torbę, bo myślał, że to bomba – mówi.

Dzisiaj, po atakach, które w wielkanocny poranek wstrząsnęły krajem, dawny koszmar powraca.

Krwawa Wielkanoc

21 kwietnia zamachowcy-samobójcy zdetonowali bomby w luksusowych hotelach i kościołach: w Kolombo, w położonym blisko międzynarodowego lotniska Negombo i w mieście Batticaloa na wschodnim wybrzeżu. Zginęło ponad 250 osób, w tym wiele pierwszokomunijnych dzieci (początkowo rząd podał liczbę 359 zabitych, później ją skorygował), głównie Lankijczyków; wśród ofiar było też kilkudziesięcioro cudzoziemców.

Tym razem za atakami nie stali tamilscy separatyści, którzy przed dekadą zostali praktycznie zmieceni z powierzchni ziemi, lecz członkowie mało znanej grupy National Thowheeth Jamaath (Narodowa Organizacja Monoteistyczna), powiązanej z Państwem Islamskim (IS).

To ostatnie oświadczyło, że zamachy były odwetem za marcową masakrę muzułmanów w meczetach Nowej Zelandii, której dokonał australijski terrorysta. Natomiast „kalif" IS al-Baghdadi, który w minionym tygodniu zabrał głos po raz pierwszy od kilku lat, powiedział, że zamachy to odwet za unicestwienie jego „kalifatu" w Syrii i Iraku.

Na Sri Lance zaczęły się rozgrywać dawno niewidziane sceny. Wprowadzono stan wyjątkowy i godzinę policyjną, zamknięto szkoły, a na ulicach Kolombo pojawiły się patrole. Wróciły znane z wojennych czasów kontrole toreb, a sklepy przestały wpuszczać klientów z bagażem,

ERANGA JAYAWARDENA / AP / EAST NEWS

Okolice kościoła św. Antoniego, który był jednym z celów wielkanocnych zamachów, zaraz po eksplozji bomby. Kolombo, 21 kwietnia 2019 r.

w którym można ukryć bombę. W kościołach zawieszono nabożeństwa (kiedy zamykamy to wydanie „TP", duchowni katoliccy zapowiedzieli, że przywrócą je, ale krok po kroku). W obawie przed niepokojami rząd ograniczył dostęp do mediów społecznościowych, bo w międzyczasie zaczęto w nich nawoływać do zemsty na muzułmanach – niespełna 10-procentowej mniejszości.

Jednocześnie zaczęło się polowanie na ludzi związanych z organizacją terrorystyczną. Podczas policyjnych szturmów na należące do nich domy w stolicy i na wschodzie kraju doszło do kolejnych wybuchów; zginęło kilku funkcjonariuszy, terroryści i członkowie ich rodzin. Aresztowano dziesiątki podejrzanych o wspieranie islamskich radykałów, zresztą przy dużej pomocy ze strony miejscowej społeczności muzułmańskiej. Ale służby wywiadowcze obawiają się, że nie wszyscy planujący zamachy zostali zatrzymani.

Są też tacy, którzy w wielkanocnym dramacie widzą odbicie głębszych konfliktów między kontrolującymi kraj buddystami a miejscowymi wyznawcami islamu.

Buddyści chcą dominować

Etniczne i językowe podziały oraz radykalizm, a zwłaszcza ideologia buddyjskiego odrodzenia i tamilski nacjonalizm, od dekad dzielą Sri Lankę.

Odkąd kolonialny Cejlon (jak kiedyś nazywał się kraj) uzyskał w 1948 r. niepodległość, rządzą nim buddyjscy Syngalezi, stanowiący 70 proc. obywateli. Za czasów kolonialnych czuli się dyskryminowani przez Brytyjczyków, faworyzujących największą mniejszość etniczną – Tamilów, w większości hinduistycznych.

Później wszystko się zmieniło. Przez 30 lat Tamilowie byli stopniowo pozbawiani publicznych stanowisk, miejsc na uczelniach, nawet możliwości posługiwania się własnym językiem. W końcu chwycili za broń, próbując utworzyć osobne państwo w północnej i wschodniej części wyspy. W 2009 r. rządowe wojsko stłumiło tamilską rebelię, nie troszcząc się o to, do kogo strzela: jak szacuje ONZ, w ostatniej fazie konfliktu zginęło aż 40 tys. cywilów.

Koniec tamilskiego separatyzmu oznaczał bezpieczeństwo dla buddystów, ale nie zlikwidował podziałów. Ekstremistyczne organizacje, często kierowane przez mnichów, na nowo zaczęły głosić, że Sri Lanka powinna być krajem tylko syngaleskim i buddyjskim, nie zaś wieloetnicznym i wieloreligijnym. Tym razem buddyjscy radykałowie za zagrożenie numer jeden uznali islam, twierdząc, że jego wyznawców zbyt szybko przybywa. Nie stronili też od ataków na inne mniejszości.

Sześć lat temu prowadzony przez mnichów tłum obrzucił kamieniami meczet w Kolombo, żądając jego przeniesienia. Rok później radykalni buddyjscy duchowni i ich zwolennicy zdemolowali protestancki kościół na południu. Po groźbach, które Galagoda Aththe Gnanasara, lider grupy Bodu Bala Sena (Armii Buddy) kierował w stronę muzułmanów w miasteczku Aluthgama, tłum zaatakował ich domy i sklepy, co doprowadziło do krwawych walk ulicznych. Ostatnie, ubiegłoroczne zamieszki w środkowej i wschodniej części kraju zaczęły się od plotek rozpowszechnianych w sieci. Buddyjskie tłumy zaatakowały meczety, a gdy muzułmanie odpowiedzieli przemocą, na miejsce trzeba było wysłać wojsko.

Islam: nowa tożsamość

Tymczasem miejscowy islam zaczął się zmieniać, stopniowo ulegając globalnym trendom.

Wielu Lankijczyków, w tym muzułmanów, zaczęło wyjeżdżać do pracy w krajach arabskich, po powrocie przywożąc ze sobą nowe idee i zwyczaje. Tak było choćby w otoczonym plantacjami herbaty górskim miasteczku Haputale, gdzie stoją dwie hinduistyczne świątynie i dwa meczety. Na ulicach słychać język tamilski, bo najbliższa miejscowość zamieszkała przez Syngalezów leży kilka kilometrów dalej.

Wśród właścicieli sklepów jest tu wielu brodatych mężczyzn w długich abajach i taqiyah – wywodzących się z Bliskiego Wschodu nakryciach głowy. Dawniej ubierał się tak tylko miejscowy imam, ale odkąd ludzie zaczęli wyjeżdżać do Arabii Saudyjskiej, stało się to nową modą, ↦

wyjaśnia menadżer jednego z hotelików dla zatrzymujących się przejazdem turystów. – To chyba tak, jakby u was wszyscy mężczyźni nagle zaczęli nosić sutanny, prawda? – uśmiecha się. Także kobiety, które wcześniej nosiły sari i tylko włosy zasłaniały chustami, dziś coraz częściej chowają się pod ukrywającymi twarze nikabami. Jeśli tutejszego muzułmanina zapytać o narodowość, nie odpowie już, że jest Lankijczykiem czy Tamilem, choć w tym języku mówi. Islam stał się nową tożsamością.

Wobec radykalizacji

Także coraz więcej muzułmańskiej młodzieży ma do czynienia, zarówno w sieci, jak i codziennym życiu, z radykalnymi ideami. Rząd zauważył to już dawno, ale dopiero po zamachach premier Wickremesinghe zapowiedział, że wyrzuci z kraju zagranicznych kaznodziejów, którzy nauczają bez pozwolenia. Według BBC ponad 30 obywateli Sri Lanki walczyło po stronie Państwa Islamskiego w Syrii i Iraku. Wszyscy zamachowcy z Wielkanocy, choć szkoleni przez IS, byli Lankijczykami.

Mohamed Hisham, przedsiębiorca i aktywista społeczny, uważa jednak, że zwykłym lankijskim muzułmanom daleko do pochwalania przemocy. Przypomina, że zarówno po wojnie, jak i w czasach kolonialnych wyznawcy Proroka byli raczej jej ofiarami niż sprawcami, a do Wielkanocy na Sri Lance nie wydarzył się ani jeden islamistyczny akt terroru. – Są ludzie, którzy mają ochotę z nas wszystkich zrobić terrorystów. Dlatego w mediach społecznościowych i prywatnych rozmowach apelujemy do muzułmanów, by pomagali policji i ostrzegali sąsiadów, jeśli tylko zobaczą coś niepokojącego – mówi.

Przyniosło to efekty: liczne aresztowania były teraz możliwe tylko za sprawą zaangażowania organizacji muzułmańskich, za co podziękował im premier. – Dzięki takiej reakcji udało się też uniknąć zmasowanej antyislamskiej kampanii i pogromów, których wszyscy się obawialiśmy – mówi dr Nirmal Dewasiri, historyk i komentator polityczny z Uniwersytetu Kolombo. – Muzułmańscy przywódcy wiedzą, że jeśli aktywność radykalnych grup będzie trwała, to oni sami będą największymi przegranymi. Żeby zwalczyć terroryzm, potrzebujemy jeszcze więcej ich politycznego, kulturowego i ideologicznego zaangażowania – dodaje Dewasiri.

Mimo tej solidarności nieufność pozostaje. – Mam muzułmańskich znajomych. Już w tamtą niedzielę dzwonili, mówili, jak im przykro. Większość z nich to przyzwoici ludzie. Ale na wszelki wypadek przestałam chodzić tam, gdzie mieszkają – mówi Kaushi, pracownica branży reklamowej z Kolombo.

Ze strachu przed kolejnymi zamachami w połowie maja mogą się nie odbyć ani uroczystości z okazji 10. rocznicy zakończenia wojny domowej, ani zwyczajowe całonocne czuwania w świątyniach podczas Vesak – najważniejszego buddyjskiego święta na Sri Lance, obchodzonego na pamiątkę narodzin i oświecenia Buddy.

W tym roku Kaushi i tak by tam nie poszła. Nie wierzy, że zajęci dotąd głównie kłótniami politycy mogą komukolwiek zapewnić bezpieczeństwo.

Gra o władzę

Wielkanocna tragedia na chwilę uciszyła trwający od dawna konflikt w rządzie, który mógł uczynić Sri Lankę łatwym celem dla terrorystów. Tutejsze polityczne przepychanki, które przez lata obejmowały cyniczne wykorzystywanie niesnasek między grupami etnicznymi i promowanie szowinistycznych ideologii, porównywano do fabuły „Gry o tron".

Gdy w 2015 r. rządy przejęła szeroka koalicja, która na sztandarach miała hasła wzmocnienia demokracji i narodowego pojednania po dzielących społeczeństwo rządach prezydenta Mahindy Rajapaksy, wydawało się, że coś się może zmienić. Następcą Rajapaksy został dawny minister w jego rządzie, Maithripala Sirisena, premierem zaś – doświadczony polityk Ranil Wickremesinghe.

Nowy prezydent i premier szybko popadli jednak w wyniszczający konflikt, który swój finał miał pod koniec 2018 r. Sirisena niezgodnie z prawem zdymisjonował premiera i powołał na jego miejsce dawnego sojusznika, a później zawziętego wroga Rajapaksę. Doprowadziło to do kryzysu konstytucyjnego i pogłębienia zapaści ekonomicznej, choć zadłużona gospodarka i tak ledwie dyszała. Ostatecznie Wickremesinghe wrócił na stanowisko, ale nie oznaczało to uzdrowienia sytuacji.

Tymczasem w styczniu we wsi położonej 160 km od Kolombo znaleziono magazyn broni i materiałów wybuchowych. Niedługo później lankijskie służby zaczęły dostawać ostrzeżenia przed planowanymi atakami, ale nie zrobiły nic, by im zapobiec. Już po zamachach premier Wickremesinghe powiedział mediom, że raporty wywiadowcze o możliwym ataku nie docierały do niego, bo ani on, ani członkowie rządu nie byli zapraszani na posiedzenia kierowanej przez prezydenta narodowej komisji bezpieczeństwa.

Pytania o przyszłość

Krwawa Wielkanoc zmieni oblicze kraju, a jako pierwszy ucierpi przemysł turystyczny, który wytwarza ponad 5 proc. PKB. Po zakończeniu wojny dochody z przyjazdów turystów wystrzeliły: w 2009 r. Lankijczycy zarobili na nich 350 mln dolarów, a w ubiegłym prawie 4,4 mld. W ostatnich latach kraj odwiedzało ponad 2 mln turystów rocznie. Teraz urząd ds. turystyki spodziewa się spadku przyjazdów o jedną trzecią. Sri Lankę

TP

W NASTĘPNYM „TYGODNIKU" OBSZERNY KATALOG

Copernicus Festival 2019: Język

■ Bartosz Brożek wyjaśnia, jak język zmienia umysł ■ Łukasz Tischner przedstawia Charlesa Taylora – celebrytę wśród filozofów ■ Michał Heller udowadnia, że matematyka jest poezją ■ Jan Błaszczak prześwietla język raperów ■ Piotr Krasnowolski rozmawia o tajnikach przekładu z Elżbietą Muskat-Tabakowską ■ Andrzej Bednarczyk o „Sztuce wystawiania języka" ■ Anita Piotrowska o języku kina i języku w kinie ■ Jerzy Bralczyk o trendach współczesnej polszczyzny ■ Dlaczego Paul Davies szuka obcego życia na Ziemi i w kosmosie ■ Co Daniel Everett podsłuchał w Amazonii

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

trudno będzie nadal przedstawiać jako „rajską wyspę" – jak długo określało ją wielu tour operatorów.

Ale dla przyszłości kraju ważniejsze będą tegoroczne wybory prezydenckie i przyszłoroczne parlamentarne. – Wielkanocne ataki odegrają w nich szalenie ważną rolę. Ludzie, zwłaszcza mieszkańcy południa, będą oczekiwali większego poziomu bezpieczeństwa i na tym skupi się kampania – mówi dr Nirmal Dewasiri.

Opozycyjnym kandydatem na prezydenta będzie zapewne Gotabhaya Rajapaksa, brat byłego przywódcy i dawny sekretarz obrony, który odegrał ważną rolę w pokonaniu Tamilskich Tygrysów. Syngalezom rodzina Rajapaksów kojarzy się z tym, że już raz pokonali terroryzm, a mniej z uwikłaniem w zbrodnie wojenne, z uzależnieniem Sri Lanki od Chin i zapaścią gospodarczą. Jeśli to ich obóz znów przejmie władzę, wyspa pozostanie chińskim przyczółkiem na Oceanie Indyjskim.

A jaka przyszłość czeka relacje Syngalezów z Tamilami z północy, muzułmanami i chrześcijanami? Czy rządzącym uda się zapobiec kolejnym aktom przemocy?

– Jeśli mamy nie dopuścić do rozwinięcia się nienawiści, jak ta między Tamilami i Syngalezami, która kiedyś doprowadziła do rozlewu krwi, hasła solidarności i pojednania nie mogą pozostać tylko hasłami. Ci, którzy chodzą do meczetów, muszą pamiętać, że są Lankijczykami. Ale też ci, którzy nami rządzą, powinni wszystkich traktować na równi – mówi Mohamed Hisham.

– To terroryzm był zawsze największym przekleństwem tego kraju i nie możemy sobie pozwolić na jego powrót – dodaje, a ja wspominam paradę wojskową sprzed czterech lat. Były to obchody rocznicy zakończenia wojny, po raz pierwszy, z szacunku dla cywilnych ofiar, nazwane nie Dniem Zwycięstwa, lecz Dniem Pamięci.

Żołnierze maszerowali promenadą nad oceanem, a do mnie podszedł starszy brodaty mężczyzna w abai. Bardzo chciał mi wytłumaczyć, że teraz w kraju zapanuje zgoda i spokój, że w ogóle nie będzie żadnych problemów, bo nie ma już przecież terroryzmu. Że teraz już wszystko będzie dobrze.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

Kolejna szansa na zmianę

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA

Czy Wołodymyr Zełenski, prezydent bez politycznego doświadczenia, sprosta ogromnym oczekiwaniom Ukraińców? Tego nie są pewni nawet jego sympatycy.

Na wieczór wyborczy Artem Haharin założył zielony sweter. Zielony był kolorem kampanii Wołodymyra Zełenskiego – wówczas jeszcze aktora komediowego, producenta z branży rozrywkowej i właściciela studia filmowego Kwartał 95, a dziś już prezydenta elekta.

Haharin ma 34 lata. Jeszcze w czasach szkolnych zaangażował się w branżę komediową, od początku związany jest ze studiem Kwartał 95. Należy do bliskiego kręgu ludzi wokół Zełenskiego – był konferansjerem w sztabie wyborczym oraz w trakcie debaty z dotychczasowym prezydentem Petrem Poroszenką na Stadionie Olimpijskim.

– Wszyscy jesteśmy gotowi pomóc sobie nawzajem i działamy na rzecz wspólnej sprawy. Stoi przed nami cel, który wyznaczył nam Wołodymyr Zełenski: uczynić nasz kraj lepszym. Jeśli będę potrzebny w polityce, to do niej pójdę – Haharin odpowiada wymijająco na pytanie, czy będzie pracował w Administracji Prezydenta.

Ale prezydent elekt wciąż jest w cieniu. Zwykle nie przemawia on, lecz „kolektywny Zełenski": jego sztab publikuje oświadczenia w internecie. Przed drugą turą Zełenski przedstawił swoich doradców. Ale nie wiadomo, kto obejmie konkretne stanowiska.

Sztab tę niepewność próbował przekuć w atut. – Nie jesteśmy ludźmi starej formacji, którzy jak tylko podjęli decyzję o wejściu do polityki, od razu podzielili między siebie fotele i posady – mówi Haharin.

Najpóźniej do początku czerwca Zełenski zostanie zaprzysiężony. Bez mocnego zaplecza i odważnych decyzji, które pokażą wyborcom, że nie oddali głosu na marne, może stracić mandat społeczny tak szybko, jak go zyskał.

W sztabie zapewniają, że pracują w pocie czoła, żeby nie rozczarować Ukraińców.

„Populizm 2.0" czy „twarz nowej Ukrainy"?

Zełenski nie dał szansy wciąż jeszcze urzędującemu Poroszence. W drugiej turze uzyskał wynik zbliżony do tego, który dawały mu sondaże: ponad 73 proc. Wygrał z historyczną przewagą niemal 49 proc. nad konkurentem.

Przez całą kampanię Zełenski nie występował często w mediach, nie zabierał głosu w wielu sprawach, był oszczędny w obietnicach. Za to w telewizji 1+1, należącej do związanego z nim oligarchy Ihora Kołomojskiego, często pokazywano filmy, seriale i kabarety Kwartału 95 (także w trakcie ciszy wyborczej). 41-letni Zełenski jeździł po kraju z wystąpieniami, podczas których sale były pełne. Przedstawiał się jako „prosty chłopak z Krzywego Rogu" (miasta w południowo-wschodniej części kraju), który stanął przeciw skorumpowanemu rzekomo prezydentowi; mówił, że jego sukces to efekt „pomyłek i obietnic" Poroszenki. Jego zwolennicy widzą w nim człowieka sukcesu, który dorobił się pieniędzy uczciwie w branży rozrywkowej, za którym nie ciągną się skandale korupcyjne ani podejrzana przeszłość. Wygranie tych wyborów było bowiem jego pierwszym krokiem w polityce.

– Nazywam to „populizmem 2.0", bo polityk już nawet nie obiecuje, a po prostu sprzedaje samego siebie – mówi „Tygodnikowi" filozof Wołodymyr Jermołenko. – Ludzie głosowali na niego jak na pewien wykreowany obraz.

Wśród tych, którzy oddali na niego głos, są zwolennicy integracji europejskiej (większość), ale też kursu prorosyjskiego. W kwestii akcesji do NATO jego zwolennicy dzielą się mniej więcej po połowie. Są tu uczestnicy protestów na Majdanie w latach 2013-14 i jego przeciwnicy. Rzecz dająca do myślenia: w specjalnych komisjach wyborczych dla żołnierzy służących ↦

↦ na froncie w Donbasie Poroszenko wygrał, ale tylko nieznacznie (48,7 proc. do 46,2 proc.). Zełenski wygrał we wszystkich obwodach poza lwowskim (anektowany Krym rzecz jasna nie głosował). Miał duże poparcie we wszystkich kategoriach wiekowych, ale najchętniej głosowali na niego Ukraińcy poniżej 30. roku życia.

Jermołenko sądzi, że sukces Zełenskiego wynika z tego, iż wyczuł zmianę nastrojów w kraju na bardziej indywidualistyczne. Natomiast Poroszenko trzymał się retoryki, która wyniosła go do władzy w 2014 r. Jego kampania była zbudowana wokół kwestii powiązanych z bezpieczeństwem i wynikającym z tego strachem. Zełenski postawił na pozytywne emocje, dając też nadzieję na rozwój i modernizację.

– Może ludzie zmęczyli się ciągłym życiem w napięciu – zastanawia się Jermołenko.

Od jesieni 2013 r. na Ukrainie doszło do rewolucji, Rosja zajęła Krym i rozpętała wojnę w Donbasie. Dotąd zginęło w niej co najmniej 13 tys. ludzi, a 30 tys. odniosło rany. Nadal codziennie ktoś ginie lub zostaje ranny (np. bilans marca po stronie ukraińskiej to kilkunastu zabitych i kilkudziesięciu rannych żołnierzy).

Nowy prezydent, stary parlament

Według sondażu Kijowskiego Międzynarodowego Instytutu Socjologii Ukraińcy przede wszystkim oczekują, że w ciągu pierwszych stu dni nowy prezydent obniży opłaty komunalne (tego chce 39 proc.), złoży w parlamencie projekty ustaw o zniesieniu immunitetu deputowanych, sędziów i prezydenta (36 proc.), a także rozpocznie lub przyspieszy śledztwa dotyczące głośnych spraw korupcyjnych (32 proc.). Jednak prezydent nie ma wystarczających kompetencji, by sprostać tym oczekiwaniom. Szczególnie jeśli kłody pod nogi będą rzucały mu parlament i rząd.

Profesor prawa Rusłan Stefanczuk jest określany mianem ideologa w sztabie Zełenskiego. Odpowiada też za pisanie projektów ustaw i reformowanie instytucji państwa. Wcześniej nie angażował się w politykę. Zełenskiego zna z czasów studenckich, gdy sam występował w kabarecie. Jak mówi, w czasie pozostałym do inauguracji sztab pracuje nad programem na pierwsze sto dni.

Działania zależą jednak od tego, jak będzie układała się współpraca z parlamentem, zdominowanym przez partię Poroszenki. Stefanczuk ma nadzieję, że pomyślnie. Jeśli jednak tak się nie stanie, to prezydent do 27 maja może rozwiązać parlament. Stefanczuk uważał, że opóźnianie ogłoszenia oficjalnych wyników przez Centralną Komisję Wyborczą oznacza, że będą uruchomione wszystkie mechanizmy, by inauguracja odbyła się po tej dacie. Wtedy parlament (Rada Najwyższa) w niezmienionym składzie będzie istnieć do wyborów parlamentarnych, które planowo odbędą się jesienią.

Ołeksandr Danyluk – kolejna prominentna postać z otoczenia Zełenskiego – twierdzi, że prezydent nie może czekać z reformami tak długo. – Cały establishment modli się, by tak się stało. Według mnie to błąd. Nie możemy czekać sześciu miesięcy, musimy pokazać coś teraz: wolę polityczną i oddanie na rzecz zmian. Czekanie byłoby przegraną – mówi „Tygodnikowi" Danyluk, który ma opinię liberalnego reformatora. W latach 2016-18 był ministrem finansów, podał się do dymisji na skutek konfliktu z premierem Wołodymyrem Hrojsmanem i Poroszenką. Dziś doradza Zełenskiemu w sprawach międzynarodowych i gospodarczych.

Danyluk twierdzi, że Zełenski od początku musi pokazać, że jest przywódcą, musi wykorzystywać poparcie społeczne do forsowania reform. Inaczej nic nie zmieni. – System będzie stawiał opór, bo w systemie nikt nie jest zainteresowany, by Zełenski odniósł sukces – mówi były minister finansów. W jego opinii to szansa do wykorzystania, ale nie jest pewne, że nowemu prezydentowi się to uda.

Audyt i jesienna ofensywa

Stefanczuk zdradza, że sztab ma pomysły także na wypadek, gdyby parlament nie współpracował. Przez ten czas chcą zreorganizować Administrację Prezydenta (ma pełnić rolę kancelarii, think tanku, a także sprawować funkcję kontrolną). Do tego zmniejszyć liczbę jej pracowników, a jej siedzibę przenieść z ulicy Bankowej (trwają poszukiwania nowego budynku). Kolejnym krokiem ma być audyt, który ma zostać przeprowadzony akurat wtedy, gdy parlament uda się na wakacje.

– Po 28 latach nie możemy nawet jasno określić liczby mieszkańców Ukrainy – mówi Stefanczuk (ostatni spis powszechny był przeprowadzony w 2001 r.). – Nie znamy podstawowych wskaźników dotyczących państwa, takich jak jego majątek czy zobowiązania – dodaje. – Chcemy określić kilka podstawowych sfer, w których przeprowadzimy audyt.

Gdy zaś parlament wróci z wakacji, Administracja Prezydenta chce mieć gotowe liczne projekty ustaw. Obecnie, jak słyszymy, są one opracowywane w grupach roboczych (tworzy je kilkudziesięciu ekspertów). W pierwszej kolejności mają zostać przedstawione projekty ustaw o impeachmencie prezydenta i likwidacji jego immunitetu, jak też likwidacji immunitetu deputowanych i sędziów; w powszechnym (i uzasadnionym faktami: licznymi aferami) odczuciu polityka i sądownictwo są głęboko skorumpowane. Następnie projekty dotyczące instytucji państwa, wprowadzenia referendów, reformy sądów, gospodarki, walki z korupcją, digitalizacji. Ten ostatni, nazwany „Ukraina w smartfonie", to jeden ze sztandarowych postulatów sztabu Zełenskiego.

Kurs bez zmian

Danyluk zapewnia, że wbrew pojawiającym się plotkom nie będzie ministrem spraw zagranicznych. Podobnie jak ministra obrony, wyznacza go prezydent, a zatwierdza parlament. Danyluk mówi, że bardziej zainteresowany jest budową sprawnego państwa. Jego zdaniem od tego zależy pozycja kraju w świecie i to właśnie ma zostać zasadniczo zmienione w polityce zagranicznej nowego prezydenta – nie ogólny kurs, lecz budowa zaufania poprzez pokazanie partnerom chęci zmian wewnątrz państwa.

– Jeśli kraj jest skorumpowany, to jest słaby i nie ma znaczenia jego kierunek geopolityczny. Nie może być częścią Zachodu ani stabilnie funkcjonować – uważa Danyluk.

Choć skupiony głównie na celach wewnętrznych, sztab Zełenskiego deklaruje utrzymanie kursu proeuropejskiego i dążenia do NATO. Także jednoznacznie potępia działania Rosji wobec Donbasu i Krymu, określając je mianem okupacji.

Po wygranej Zełenskiego prezydent Władimir Putin nie złożył mu gratulacji. Kreml zareagował w szczególny sposób: Putin podpisał dekret, który ułatwi wydawanie rosyjskiego obywatelstwa mieszkańcom tej części Donbasu, która jest kontrolowana przez Rosję (za pośrednictwem separatystów, którzy ogłosili tam swoje „ludowe republiki"). Sztab Zełenskiego wydał na to oświadczenie, że „Rosja przyznała się do swojej odpowiedzialności jako

GENYA SAVILOV / AFP / EAST NEWS

Wołodymyr Zełenski wychodzi z kabiny po głosowaniu w II turze wyborów prezydenckich, Kijów, 21 kwietnia 2019 r.

państwo-okupant". Zapewniono też, że zostaną ułatwione procedury, dzięki którym mieszkańcy tych terenów będą mieli lepszy kontakt z resztą Ukrainy.

Okno możliwości

Zapytany, jak będą wyglądały relacje z Polską, Danyluk odparł, że nie jest upoważniony, by udzielać takich komentarzy.

Ołena Betlij – historyczka z prestiżowej Akademii Kijowsko-Mohylańskiej i autorka publikacji na temat polsko-ukraińskich sporów historycznych – przyznaje, że nie da się wiele powiedzieć o tym, jak będą wyglądały stosunki polsko-ukraińskie za nowego prezydenta. Wszystko zależy od tego, kto zostanie szefem MSZ i jakie będą dalsze losy Ukraińskiego Instytutu Pamięci Narodowej (UIPN). – Możemy na to patrzeć jak na „okno możliwości" i mieć nadzieję, że wystarczy zdrowego rozsądku, by naprawić błędy i stworzyć dynamiczną współpracę polsko-ukraińską – zauważa w rozmowie z „Tygodnikiem".

Betlij dodaje, że istotna jest tu wola polityczna prezydenta. Jako przykład podaje relacje za czasów prezydentów Leonida Kuczmy i Aleksandra Kwaśniewskiego: obaj uważali kwestie pojednania za priorytet. Według Ołeny Betlij za relacje z Polską, w tym za dialog dotyczący trudnej historii, powinni być odpowiedzialni politycy. Przekazanie go za rządów Poroszenki *de facto* w ręce takich osób jak szef UIPN Wołodymyr Wjatrowycz okazało się bowiem błędem.

Rusłan Stefanczuk lakonicznie przyznaje, że Ukraińcy zawsze z powagą odnoszą się do swoich sąsiadów, a „w pierwszej kolejności do naszych przyjaciół z Polski". – W relacjach między naszymi krajami będzie jednoznaczne zrozumienie i szacunek. Co do tego jestem przekonany – zapewnia. I dodaje, że Zełenskiemu zależy na wzmacnianiu współpracy regionalnej z państwami Unii Europejskiej.

Byle mieć nadzieję

Przed Zełenskim ogromne wyzwania, którym musi sprostać, jeśli nie chce podzielić losu poprzedników, których popularność topniała z zawrotną prędkością. Gdy w 2010 r. bohater pomarańczowej rewolucji Wiktor Juszczenko ubiegał się o reelekcję, dostał zaledwie 5 proc. głosów. Z kolei Wiktor Janukowycz cztery lata później musiał uciekać z kraju. Na jego miejsce w pierwszej turze został wybrany Poroszenko, który teraz przegrał z kretesem.

Wołodymyr Jermołenko twierdzi, że nowa ekipa może zrobić wiele dobrego pod warunkiem, iż poradzi sobie z tak fundamentalnymi problemami jak reforma sądownictwa i prokuratury czy osłabienie lokalnych „kacyków" w regionach oraz oligarchów.

W dzień wyborów, po ogłoszeniu wyników sondaży *exit poll*, Zełenski wyszedł na scenę przy akompaniamencie muzyki ze „Sługi narodu". To trzysezonowy serial, emitowany od 2015 r., gdzie wcielał się w rolę zwykłego nauczyciela Wasyla Hołoborodki, który trochę przez przypadek zostaje prezydentem i stawia czoło „systemowi".

W powszechnej opinii to właśnie ta rola przysporzyła mu popularności i w dużym stopniu była teraz źródłem sukcesu. Choć jego sztab zapewniał, że Zełenski rzeczywisty i fikcyjny nie mają ze sobą nic wspólnego. Pod jednym względem to bez wątpienia prawda: Zełenski nie jest prezydentem z przypadku, jego dojście do władzy było planowane od dawna.

Natomiast wciąż niewiele wiadomo, jaki będzie nowy prezydent. Czy będzie w stanie wykorzystać otrzymaną szansę? Na odpowiedź trzeba poczekać.

– Ukraińcy muszą ciągle mieć nadzieję, w końcu nie przez takie rzeczy już przechodzili – kwituje Jermołenko.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

W Wilnie bez rewolucji

DOMINIK WILCZEWSKI

Kandydaci na prezydenta Litwy deklarują, że z pierwszą wizytą zagraniczną pojechaliby do Warszawy. Tylko lider Akcji Wyborczej Polaków na Litwie zapowiada, że najpierw odwiedziłby Białoruś.

Na Litwie dobiega końca epoka Dalii Grybauskaitė. W niedzielę 12 maja Litwini będą wybierać nowego prezydenta. Największe szanse na wejście do drugiej tury mają Gitanas Nausėda i Ingrida Šimonytė.

Wciąż jeszcze urzędująca prezydent (kadencja upływa 12 lipca) z obywatelami żegna się nietypowo. Niedawno do kin trafił tu film Donatasa Ulvydasa. Twórca najsłynniejszego litewskiego hitu „Tadasa Blindy" – opowieści o XIX-wiecznym rozbójniku i ludowym bohaterze – teraz zrealizował dokument „Tajemnica państwowa". Jego bohaterką jest Grybauskaitė. Przed reżyserem otwarto pomieszczenia prezydenckiej kancelarii, by mógł śledzić codzienność głowy państwa.

Jednak film nie wzbudził zachwytu recenzentów – został uznany za niezasłużony panegiryk. Filmoznawczyni Živilė Pipinytė w magazynie „7 meno dienos" zwraca uwagę, że nie pada w nim ani jedno krytyczne słowo, ani jedno trudne pytanie. „Obrazki ze spotkań i posiedzeń przywódców Unii, dużo rozmów z ważnymi europejskimi politykami, szczególnie z Angelą Merkel, którzy podkreślają, jak ważne jest stanowisko pani prezydent Litwy – pisze złośliwie autorka. – I tak do końca filmu: pochwały, uściski rąk, komplementy".

I taka też trochę była cała prezydentura Grybauskaitė. Media i komentatorzy rzadko wchodzili w rolę krytyków jej polityki i stylu sprawowania władzy. Do wyjątków należał Rimvydas Valatka, który Grybauskaitė porównał do przewodniczącej kołchozu. Z kolei ona sama nie szczędziła słów krytyki pod adresem kolejnych premierów, szefów dyplomacji i politycznych przeciwników. W Polsce nie brak opinii, że to na niej w dużej mierze spoczywa odpowiedzialność za impas w stosunkach polsko-litewskich.

Z dystansem do partii

Ale to już niedługo będzie historią. Teraźniejszość to wybory, w których staje dziewięcioro pretendentów, wśród których jest Waldemar Tomaszewski, lider Akcji Wyborczej Polaków na Litwie. Naprawdę liczy się troje: Ingrida Šimonytė z opozycyjnego Związku Ojczyzny, niezależny ekonomista Gitanas Nausėda i urzędujący premier z ramienia Związku Rolników i Zielonych Saulius Skvernelis. Wedle kwietniowego sondażu agencji Vilmorus Šimonytė ma 22,3 proc. poparcia, Nausėda 21,9 proc., Skvernelis 16,7 proc.

Nazwisko Gitanasa Nausėdy na giełdzie ewentualnych kandydatów pojawia się od lat. 54-letni ekonomista ma doświadczenie pracy na stanowiskach menedżerskich i doradczych w państwowym Banku Litwy i komercyjnym SEB Bankas. Nigdy jednak nie był politykiem z prawdziwego zdarzenia. Najbliżej politycznego procesu decyzyjnego był, gdy pełnił funkcję doradcy prezydenta Valdasa Adamkusa (2004–2009).

Młodsza o dekadę Šimonytė, też ekonomistka, polityczne doświadczenie ma bogatsze: w resorcie finansów przeszła drogę od urzędniczki do ministra, a od 2016 r. zasiada w Sejmie.

– Popularność Šimonytė wynika przede wszystkim z poparcia jej partii, a także braku wyrazistego kandydata liberalnego. Przyciąga ona znaczącą liczbę wykształconych wyborców z dużych miast, którzy zwykle głosują na liberalnych kandydatów – wyjaśnia Ramūnas Vilpišauskas, dyrektor Instytutu Stosunków Międzynarodowych i Nauk Politycznych Uniwersytetu Wileńskiego. Konserwatywny Związek Ojczyzny, który reprezentuje Šimonytė, jest już na Litwie instytucją: na początku lat 90. założył go „ojciec" litewskiej niepodległości Vytautas Landsbergis. Kandydatka konserwatystów ponoć cieszy się cichym wsparciem ustępującej prezydent.

Inaczej jest w przypadku ekonomisty Nausėdy. Źródeł jego popularności eksperci upatrują w zdystansowaniu się od partii politycznych.

– To ogólnoświatowy trend, rozczarowanie mas nie tylko elitami politycznymi, ale polityką w ogóle. Im mniej taki kandydat ma wspólnego z czymkolwiek rozumianym jako „polityka", tym dla niego lepiej – uważa Vytautas Bruveris, komentator dziennika „Lietuvos rytas".

Dla poszerzenia elektoratu Nausėda zmienił nawet poglądy na gospodarkę:

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Plac Katedralny, Wilno, 2018 r.

– Opowiada się za podatkiem progresywnym, płacą minimalną i innymi elementami polityki ekonomicznej, którym sprzeciwiał się, gdy pracował w banku – tłumaczy Ramūnas Vilpišauskas.

Na trzeciej pozycji plasuje się premier Skvernelis. Na początku roku sondaże wróżyły mu poparcie rzędu 20 proc., ale w ostatnich miesiącach spadło znacząco.

– Skvernelis stoi na czele rządzącej większości, której retoryka i agenda są polaryzujące i oparte na konfliktach – twierdzi Bruveris. Jego zdaniem premier znalazł się w ogniu krytyki, z którą nie potrafi sobie poradzić, a jego sztabowi brakuje zdolności i kompetencji, by odwrócić negatywną tendencję. – Jego szanse na wejście do drugiej tury z dnia na dzień stają się czysto teoretyczne – przewiduje publicysta.

Skvernelis zraził do siebie różne grupy zawodowe, których protesty przetaczały się przez Wilno w tym i ubiegłym roku, np. nauczycieli czy lekarzy. Dziennikarze zarzucają rządzącym próby ograniczania wolności mediów. Ramūnas Vilpišauskas przyczynę spadku poparcia premiera widzi jeszcze w czymś innym: jego zdaniem może to być związane z obraną przez Skvernelisa strategią konfrontacji z prezydent Grybauskaitė. Politolog wskazuje, że premiera przyćmili mniej popularni kandydaci, którzy kampanię oparli na totalnej krytyce elit. Skvernelis próbuje więc zmieniać strategię i eksponować osiągnięcia rządu, np. wzrost emerytur i wynagrodzeń.

Priorytety bez zmian

Komentatorzy wydają się zgodni, że Skvernelisowi może zabraknąć czasu, by odbudować swoją pozycję. Ale gdyby jednak udało mu się trafić do drugiej tury i wygrać, to Litwę czeka dawno niewidziana konsolidacja władzy: prezydent i rząd będą wywodzić się z tej samej partii. Ostatni raz taka sytuacja miała miejsce w 1993 r., gdy prezydentem został socjaldemokrata Algirdas Brazauskas. Jeśli wierzyć obietnicom Skvernelisa, rządzący mieliby wykorzystać taki układ do wprowadzenia skuteczniejszych narzędzi walki z korupcją i szarą strefą oraz prowadzenia bardziej prospołecznej polityki gospodarczej.

Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak, że dojdzie do kohabitacji. Potrwa ona co najmniej do jesieni przyszłego roku, gdy odbędą się kolejne wybory do Sejmu. Niekoniecznie muszą one przynieść sukces rządzącej partii, bo sondaże dają obecnie prowadzenie Związkowi Ojczyzny. Nawet jeśli obu ośrodkom władzy uda się dojść w pewnych sprawach do porozumienia, to już wkrótce może nastąpić starcie – choćby w przypadku prac nad nowym budżetem. Pozbawiony silnego zaplecza politycznego Nausėda może stać się łatwą ofiarą dla parlamentarnej większości. W przypadku wygranej Šimonytė, mającej poparcie głównej siły opozycji, niemal pewna jest otwarta konfrontacja.

Do rewolucji nie powinno dojść w polityce zagranicznej. Być może zmieni się styl i sposób komunikowania. Po Gitanasie Nausėdzie można spodziewać się pewnego złagodzenia retoryki w stosunku do Rosji. I on, i Saulius Skvernelis w czasie kampanii sugerowali możliwość ograniczonego „resetu" z Moskwą.

– Główne priorytety pozostaną jednak te same: wzmocnienie Unii i NATO, utrzymanie zainteresowania Stanów Zjednoczonych regionem, dobre relacje z sąsiadami. A także skupienie się na kwestiach bezpieczeństwa oraz wsparcie dla reform na Ukrainie, w Gruzji i w innych krajach wschodniego sąsiedztwa – wylicza Ramūnas Vilpišauskas.

Z wizytą do Warszawy

Czy do przełomu dojdzie w relacjach z Polską? Ostatnio klimat na linii Warszawa–Wilno się poprawia. W kampanii większość kandydatów deklarowała wolę kontynuacji tego trendu, a nawet powrotu do idei budowy strategicznego partnerstwa.

– Będą też obiektywne powody do współpracy, w celu kontynuowania regionalnych projektów energetycznych i transportowych, a także współpracy w dziedzinie bezpieczeństwa. Te wybory nie przyniosą więc poważniejszych zmian, może jedynie w wymiarze osobistej komunikacji między głowami państw – twierdzi Ramūnas Vilpišauskas.

Wiadomo, że żaden z polskich prezydentów nie doświadczył tak dobrej „chemii" w relacjach z Dalią Grybauskaitė, jak to było choćby w przypadku Lecha Kaczyńskiego i Valdasa Adamkusa. Jednak jeśli chodzi o niezałatwione problemy polskiej mniejszości, to rola prezydenta jest ograniczona. Decyzje leżą tutaj w rękach parlamentarnej większości, która – jak przypomina Vytautas Bruveris – jest obecnie przeciwna jakimkolwiek poważniejszym ustępstwom na rzecz strony polskiej.

– Czy Nausėda jest w tej sprawie aż takim entuzjastą, żeby pójść na wojnę z parlamentem? Nie. Z kolei Šimonytė jest zakładnikiem partii, którą reprezentuje w tych wyborach – studzi nastroje publicysta. Kandydatka konserwatystów deklaruje poparcie np. dla legalizacji oryginalnej pisowni polskich nazwisk. Jednak w szeregach jej partii nie brak polityków, którzy podobne rozwiązanie uważają za naruszenie konstytucyjnego statusu języka litewskiego jako państwowego.

Na razie niemal wszyscy kandydaci deklarują, że z pierwszą zagraniczną wizytą udaliby się do Warszawy. Jedynym wyjątkiem jest... Waldemar Tomaszewski. Lider Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – który w Polsce mógłby się zapewne spodziewać niewygodnych dla siebie pytań o prokremlowskie sympatie – zapowiedział, że pierwszą zagraniczną stolicą w planie jego wizyt byłby białoruski Mińsk. ©

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DOMINIK WILCZEWSKI będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM, w czwartek 9 maja, godz. 15.40 w środę 12 grudnia o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

W objęciach Putina

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Przywódca Korei Północnej ma w rosyjskim prezydencie dobrego sojusznika. Choć oczywiście nie za darmo.

Kim Dzong Un postanowił zwrócić się w stronę historycznego sojusznika swego kraju – Rosji. Wsiadł w opancerzony pociąg, którym wcześniej podróżowali jego ojciec i dziadek, i pojechał do Władywostoku na spotkanie z Władimirem Putinem. Skoro niedawny szczyt w Hanoi między Kimem i Trumpem skończył się fiaskiem (prezydent USA ostentacyjnie opuścił stolicę Wietnamu przed czasem), 35-letni Kim Dzong Un szuka nowych aliansów. Albo, ściśle rzecz biorąc, wraca do korzeni.

Gdy Jelcyn odpuścił Północ

Rosję i Koreę Północną łączy relacja wręcz symbiotyczna. Kraj, jego struktury i władza zostały ustanowione przez Sowietów. Spychając wojska japońskie, Armia Czerwona weszła do Pjongjangu 24 sierpnia 1945 r. Po trzech latach opuściła go, pozostawiając marionetkowy rząd komunistyczny. Wiedząc, komu zawdzięcza władzę, ówczesny wódz Kim Ir Sen w uwielbieniu do Stalina zawstydzał nawet towarzyszy z Moskwy. Podczas wojny koreańskiej (1950-53) Moskwa szczodrze zbroiła Północ i wspierających ją Chińczyków.

Nic dziwnego, że gdy w 1956 r. Chruszczow, nowy przywódca na Kremlu, wygłosił krytyczny wobec Stalina referat „O kulcie jednostki", stosunki uległy ochłodzeniu. Jednak, mimo nieporozumień, Związek Sowiecki do końca istnienia zapewniał pomoc Korei Północnej. Był jej najważniejszym sponsorem w tak znaczącym stopniu, że gdy w latach 90. Rosja zakręciła kurek z funduszami, gospodarka Północy doznała zapaści, która doprowadziła do katastrofalnego głodu. Gdy zaś Moskwa zażądała zwrotu gigantycznego długu, Pjongjang nie mógł w to uwierzyć: oto matka odwróciła się od syna...

Załamanie relacji miało swą cenę: Rosja straciła pozycję rozgrywającego na Półwyspie Koreańskim. Podczas pierwszego kryzysu nuklearnego (1993-94) otrzymała tylko status obserwatora, a w czasie negocjacji dotyczących rozbrojenia KRLD w 1996 r. była nieobecna. Ówczesny prezydent Jelcyn próbował odnowić relacje, m.in. śląc życzenia urodzinowe Kim Dzong Ilowi (synowi Kim Ir Sena i ojcu obecnego przywódcy), ale było za późno.

Sojusz reaktywowany

Sytuacja uległa zmianie, gdy Jelcyna zastąpił Putin. Nowy prezydent Rosji wybrał się do Pjongjangu osobiście już w pierwszym roku urzędowania. „Na tle słabego i chwiejnego Jelcyna Putin jawi się jako prawdziwy heros i zbawca ojczyzny" – chwalił go Kim Dzong Il. Rosja odzyskała swą pozycję jako mediator w negocjacjach na Półwyspie Koreańskim i została członkiem komisji ds. nuklearnych.

Jednak mimo „chemii" między przywódcami, współpraca Moskwa–Pjongjang polegała głównie na wymianie kulturalnej i składaniu ukłonów godnych średniowiecznych władców. Wiedząc o zamiłowaniu Kim Dzong Ila do jeździectwa, w 2003 r. Putin posłał mu trzy kłusaki orłowskie wysokiej klasy. Ten odwdzięczył się, wyrażając zgodę na budowę cerkwi prawosławnej w Pjongjangu. Ale choć handel rósł, większość projektów – jak budowa gazociągu z Rosji przez KRLD do Korei Południowej – pozostawała w sferze spekulacji.

Tymczasem rosyjskie marzenie o nowej mocarstwowości rosło wraz z kolejnymi kadencjami Putina. W 2010 r. dumnie ogłoszono „Zwrot na Wschód", jako odpowiedź na amerykański *pivot* ku Azji. Putin przekonywał, że Rosja to część Azji i ogłaszał kolejne spektakularne projekty (zwykle nie dochodziły do skutku).

Gdy po śmierci Kim Dzong Ila w grudniu 2011 r. władzę objął jego syn, Rosja zadeklarowała, że anuluje 90 proc. długu Północy z czasów komunizmu (wyliczono go na horrendalną sumę 11 mld dolarów). Ostatecznie Putin zatwierdził anulowanie długu w 2014 r. Ponieważ Północ i tak nie miała pieniędzy, ruch ten nie kosztował Moskwę wiele, ale był gestem dobrej woli. Ogłoszono też wiele pokazowych projektów, jak plan modernizacji północnokoreańskich elektrowni oraz 35 tys. km torów kolejowych. W zamian Rosja miała uzyskać dostęp do surowców. W ramach zbliżenia wzrosła też liczba pracujących w Rosji Koreańczyków z Północy (jest ich tam szacunkowo 50 tys., a ich praca bywa określana jako niewolnicza).

Ale Rosja nie miała pieniędzy, by wdrożyć większość planów w życie, a jej przystąpienie do sankcji wobec Korei Północnej w 2013 r. spowolniło wymianę. Jednak, mimo oficjalnej krytyki testów nuklearnych Pjongjangu, podtrzymywano życzliwą narrację – np. ogłaszając rok 2015 „rokiem przyjaźni". Dziś oba państwa zbliża też zamiłowanie do eksponowania siły, nacjonalizm i ideologiczne odrzucenie praw człowieka (uznanych za „broń Zachodu"). Kim Dzong Un ma w Putinie dobrego sojusznika.

Między USA i Rosją

Po nieudanym szczycie z Trumpem Kim próbuje zmusić niedoszłego amerykańskiego partnera do ustępstw – choć sam nie zamierza ustępować, a zwłaszcza rezygnować z broni atomowej. Pjongjang ostrzega, że sankcje (dotąd nie zostały zniesione) skończą się kryzysem, który uderzy w obywateli Północy. Obserwatorzy z Czerwonego Krzyża uważają, że nie są to czcze słowa: rząd KRLD nieraz udowadniał, że prędzej zagłodzi swój naród, niż odda władzę.

Pojawiły się już niepokojące incydenty. Północ nagle odwołała swój zespół z międzykoreańskiego biura znajdującego się w Kaesong, na granicy obu krajów, by po kilku dniach wszystko przywrócić do normy. Były groźby powrotu do testów atomowych. „Konieczne jest poważne uszkodzenie wrogich sił, które uważają, że mogą nas pokonać sankcjami" – ostrzegał w kasandrycznym tonie Kim podczas 14. Najwyższego Zgromadzenia Ludowego na początku kwietnia. „Zaczekamy cierpliwie do końca tego roku" – dodał.

Do złagodzenia sankcji bezskutecznie próbował przekonać Trumpa prezydent Korei Południowej Moon Jae In, który sam jest krytykowany we własnym kraju z powodu pogorszenia się relacji na linii USA–KRLD. Podczas spotkania w połowie kwietnia Trump zapewniał Moona jedynie, że sankcje nie zostaną zaostrzone.

THE ASAHI SHIMBUN / GETTY IMAGES

Porządki po odwołanej wizycie Kima Dzong Una pod pomnikiem II wojny światowej, Władywostok, 26 kwietnia 2019 r.

Teraz przysługę Kimowi wyświadcza Putin – obwieszczając, że reżim nie ma gwarancji bezpieczeństwa, a sankcje nie są drogą do otwarcia tego kraju. Kim może więc pokazać, że ma innych potężnych przyjaciół, do których może się zwrócić. Część obserwatorów sądzi, że prezydent Rosji obiecał Kimowi sekretną pomoc w postaci żywności i złagodzenia efektu ostatnich sankcji, które nakazują koreańskim pracownikom powrót do domu.

Interes Kima interesem Putina

Oczywiście, Putin nie robi nic za darmo. Prezydent Rosji nie omieszkał podkreślić, że rozmowy o przyszłości Półwyspu nie mogą odbywać się w wąskim gronie, czytaj: bez udziału Rosji. Głównym jego celem jest bez wątpienia zakwestionowanie dominacji USA w rozgrywce wokół Korei – i szerzej na Dalekim Wschodzie. W retoryce Putina znalazł się też mały szantaż: zaznaczając, że rozwój wydarzeń zależy głównie od postępowania USA, zrzucił z siebie odpowiedzialność. Jeśli na Północy znów zapanuje głód, powie: „A nie mówiłem?".

Po drugie, Rosji zależy na oddaleniu perspektywy konfliktu zbrojnego. Eskalacja na Półwyspie byłaby dla Moskwy fatalna, bo Korea Północna zapewne by w niej przegrała. Mogłyby też wzrosnąć napięcia między USA i Chinami, co zmusiłoby Rosję do opowiedzenia się po którejś ze stron, czego dotąd unika.

Po trzecie, Rosja nie porzuciła swych ekonomicznych marzeń. Od lat oskarżana jest o to, że łamie sankcje wobec Północy. Jeśli zostaną one kiedyś osłabione, a Pjongjang zacznie reformy gospodarcze, niemały kawałek tortu może przypaść Rosjanom. Dziś propozycje gospodarcze Moskwy dla Pjongjangu mieszczą się w dziale fantastyki, ale są próbą równoważenia wpływów Chin w regionie. Władze KRLD obawiają się zbytniego uzależnienia od Pekinu, a Rosja może być alternatywą.

Z pewnością Rosjanie nie dadzą o sobie zapomnieć. Gazprom dopiero co wspominał ponownie o planie budowy gazociągu. We Władywostoku Kim Dzong Un zjadł lunch z grupą rosyjskich biznesmenów. Rosjanie mogą zakładać, że zmiany ekonomiczne na Północy są nieuniknione. Może jednak nie doceniają systemu, który od dekad trwa, unikając reform.

Czekając na ciężkie czasy

Tego samego dnia, gdy Kim spotkał się z Putinem, na Uniwersytecie Koryo w Seulu odbywała się konferencja o denuklearyzacji, w której brałem udział. Jeden z południowokoreańskich wykładowców stwierdził, że nie ma wielkiego znaczenia, co działo się za zamkniętymi drzwiami we Władywostoku, gdyż Rosja nie ma takich wpływów, jakie sobie przypisuje, i nie ona będzie rozgrywającym (tu Koreańczycy zgodnie wskazują na USA).

Poufny charakter spotkania i brak jakiejkolwiek deklaracji końcowej to też jakiś sygnał. Rosjanie udzielili poparcia Kimowi, ale tak, by nikomu się nie narazić. Jeśli oczekiwał on wsparcia ekonomicznego, to dostał jedynie mgliste zapewnienia. Podczas gdy media z Północy ogłosiły, że Kim poskarżył się Putinowi, iż Trump w Hanoi kierował się „złą wolą", Rosjanin nie atakował Stanów. Przyjął zaproszenie do Pjongjangu, lecz pragmatycznie dodał, że przybędzie „w odpowiednim czasie".

Na zdjęciach z Władywostoku Kim nie wyglądał na specjalnie uradowanego. Przyczyną może być też fakt, że Putin, znany z notorycznego spóźniania się na ważne spotkania, kazał mu czekać na siebie cały dzień. Kim w rewanżu zdecydował o powrocie na 4,5 godziny przed oficjalnym zakończeniem.

Z jednej strony zatem przywódca Północy, który przez niemal siedem lat rządów, aż do 2018 r., nie odbył żadnej zagranicznej podróży, dziś rozmawia osobiście z wielkimi tego świata. Także spotkanie z Putinem to kolejny dowód na konsolidację jego władzy. Jednak, z drugiej strony, utrzymujące się sankcje, brak postępów w kontaktach z USA i groźba nowej katastrofy humanitarnej wróżą młodemu dyktatorowi ciężkie czasy. ©

SPREJ NA DEPRESJĘ

W USA dopuszczono do sprzedaży pierwszy antydepresant podawany donosowo – ketaminę. W przeciwieństwie do tradycyjnych leków działa natychmiast, choć powoduje sporo efektów ubocznych.

PIOTR POPIK

Stanisław Lem w „Kongresie futurologicznym" opisał wynalezienie takich środków psychotropowych jak hedonidol, euforasol, benignator, a także empatian i altruizan. Dwa ostatnie eliminowałyby istnienie wojen przez hamowanie agresji i nasilenie zachowań altruistycznych. Z kolei po zażyciu czterech tabletek algebryny można by opanować matematykę wyższą bez najmniejszego starania, a zbędne wiadomości eliminować memnolizyną czy amnestanem. Mój ukochany autor, Edmund Niziurski w „Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa" opisał tabletkę Veracoco: dodanego do grochówki specyfiku, którym zamierzano zmusić detektywa Hippollita Kwassa do dobrowolnego składania zeznań. Niewątpliwie to idea altruizyny oraz tabletki Veracoco sprawiła, że do dziś zajmuję się psychofarmakologią.

Prawda, mądrość i gładka cera

Czy tabletka Veracoco to jedynie literacka fantazja? W dużej mierze zapewne tak, chociaż pracownicy służb specjalnych próbują stosowania zarówno skopolaminy, jak i LSD do wyciągania zeznań z pochwyconych wrogich agentów. Trudno mi ocenić, jak skuteczne jest serum prawdy, ponieważ substancje te, jakkolwiek zaburzają czynności psychiczne, z pewnością nie skłaniają do powstrzymywania się od kłamstwa i od fantazjowania.

Współcześni psychiatrzy dysponują jednak całą gamą leków psychotropowych o korzystnych i niepodważalnych efektach leczniczych. W tym sensie relanium – pochodna benzodiazepiny wymyślonej w Krakowie przez absolwenta Uniwersytetu Jagiellońskiego, chemika i farmaceutę Leona Sternbacha – niewątpliwie łagodzi lęk i napięcie, działając jak Lemowy benignator. Odkryciu temu towarzyszy pewna anegdota: Sternbach zsyntetyzował 40 podobnych substancji w latach 30., ale nie były one aktywne biologicznie. Jeden ze związków (nazwany póź-

TUDIO KIVI / STOCK.ADOBE.COM

niej Ro 5-0690) zmodyfikował chemicznie, lecz również odstawił na półkę. W roku 1957 sprzątając laboratorium, zainteresował się owym związkiem, skierował do badań i tak świat otrzymał Librium – pierwszy lek przeciwlękowy i uspokajający.

Za hedonidol z powieści Lema uznalibyśmy środki narkotyczne, choćby heroinę czy nawet naszą przaśną okowitę, a ecstasy można by od biedy porównać do Lemowego empatianu.

Nieco gorzej jest z algebryną. Jakkolwiek poszukiwania środków wzmacniających zapamiętywanie mają długą tradycję, współczesne leki o takich efektach stosowane są jedynie w leczeniu otępień (w tym zespołu Alzheimera), jak dla przykładu memantyna, choć wykazują wciąż niezadowalającą skuteczność. Wynika to z niepoznanej do dzisiaj przyczyny otępień i najogólniej mówiąc, punktów uchwytu (targetów), na które można by wpływać farmakologicznie. Tym niemniej, zdrowi studenci kampusów amerykańskich w szczurzym wyścigu do lepszych osiągnięć umysłowych faszerują się metylofenidatem (Concerta, Ritalin), adderallem (pochodną amfetaminy) i modafinilem. W większości leki te zarejestrowane są do leczenia zespołu nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi (bardziej znanego jako ADHD), a ich stosowanie jako środków „life-stylowych" jest przykładem użycia „off-label", czyli nie na dolegliwość, na którą zostały zarejestrowane.

Niewątpliwie psychostymulanty, takie jak Concerta i Adderall, nasilają koncentrację, choć systematyczne badania medyczne wskazują, że jedynie u osób z obniżoną sprawnością intelektualną. U osób wysoce kreatywnych obserwuje się spadek sprawności i szereg efektów ubocznych. Ów mentalny doping, po który sięga nawet 30 proc. Amerykanów i 25 proc. Holendrów (według danych z 2017 r.), przypomina stosowanie dopingu sterydowego w sporcie, viagry w pobudzaniu chutliwości oraz botoksu do upiększania wyglądu. Skłania też do rozważań o powody stosowania dopingu umysłowego i jego etyczne aspekty: czy doprawdy można kupić mądrość, jak złoty medal, i twarz bez zmarszczek?

Dwa oblicza glutaminianu

Osobną kwestią są leki stosowane w leczeniu depresji. Najważniejsze z nich zostały odkryte przypadkowo przy udziale *serendipity* (przez badacza przygotowanego zawodowo do dokonania odkrycia, choć szukającego zupełnie innego działania). Przykładowo, iproniazyd, badany kliniczne w 1952 r. jako potencjalny lek na gruźlicę, podnosił nieoczekiwanie nastrój pacjentów, co umożliwiło zaproponowanie tego i innych inhibitorów enzymu monoaminooksydazy (MAO) jako leków przeciwdepresyjnych.

Mimo niewątpliwej skuteczności klinicznej, istniejące leki przeciwdepresyjne wykazują szereg niepożądanych objawów ubocznych, a ich kliniczne efekty pojawiają się po dłuższym czasie stosowania. Te główne wady antydepresantów biorą się stąd, że ciągle zbyt mało wiemy na temat neurobiologii depresji. Nie oznacza to oczywiście, że antydepresantów nie należy stosować! Jak zawsze w medycynie, skuteczność terapii przeważa nad uciążliwością leczenia. W końcu każdy zgodzi się z faktem, że choć gips ogranicza ruchliwość złamanej kończyny, bez jej unieruchomienia kość się nie zrośnie poprawnie. Choć niedoskonałe, leki w psychiatrii przynoszą więcej pożytku niż szkody.

Substancji chemicznych buszujących w mózgu człowieka i innych ssaków jest wiele, ale głównym neuroprzekaźnikiem pobudzającym w mózgu (czyli prowadzącym do przekazywania sygnału z jednej komórki nerwowej do następnych) jest kwas glutaminowy, którego sporo znajdziemy w chińskich zupkach, jako że poprawia (albo wręcz nadaje) ich smak. Glutaminian wpływa na szereg „odbiorców" sygnałów neurochemicznych, w tym na najbardziej fascynujący receptor NMDA. Receptory to białka występujące w synapsach – połączeniach między neuronami – a ich pobudzenie lub zahamowanie specyficznymi substancjami wpływa na rozchodzenie się sygnału między neuronami.

Pobudzenie receptora NMDA glutaminianem umożliwia między innymi zapamiętywanie, ale też odpowiada za myślenie, wnioskowanie i inne procesy poznawcze. Jednak zbyt dużo glutaminianu – jak to bywa w udarze – sieje spustoszenie: pojawia się uszkodzenie mózgu, wynikające z tzw. ekscytotoksycznego działania glutaminianu.

Z kolei zbyt silne hamowanie receptora NMDA zaburza procesy uczenia, a także wywołuje stany psychodeliczne i psychozomimetyczne (przypominające objawy schizofrenii). Nic dziwnego, że glutaminian nazwano cząstką chemiczną „Doktor Jekyll i pan Hyde".

Hamowanie tego receptora specyficznymi związkami chemicznymi (czyli jego antagonistami) może działać zarówno psychodelicznie, jak i terapeutycznie. Dla przykładu: fencyklidyna (PCP, anielski pył, złoty strzał) początkowo wprowadzona do uśmierzania bólu w małej chirurgii i stomatologii, okazała się silnym lekiem wywołującym anestezję zdysocjowaną, czyli również efekty przypominające objawy schizofrenii, na szczęście przemijające. PCP najsilniej ze znanych środków farmakologicznych blokuje zapamiętywanie i procesy poznawcze. Podobnie, choć w mniejszym stopniu, działa inny antagonista receptora NMDA, pochodna PCP i główny bohater dalszej części tego tekstu: ketamina (Special K), stosowana obecnie w anestezji, zwłaszcza weterynaryjnej. To właśnie ketaminę i PCP stosuje się w celu wywoływania eksperymentalnych psychoz, które następnie próbuje się łagodzić nowymi substancjami o potencjalnym działaniu przeciwpsychotycznym.

Melancholia szczura

Tak szerokie efekty neurobiologiczne i farmakologiczne glutaminianu i antagonistów receptorów, na które działa, skłaniają psychofarmakologów do poszukiwania potencjalnych leków działających poprzez receptory glutaminianergiczne. Śmierć neuronów w przypadku nadmiaru glutaminianu? Zastosujmy antagonistę, a udar przejdzie bez echa! Objawy schizofrenii? Zastosujmy na nie „pobudzacze" receptorów glutaminianowych! Jednakże lata badań nie doprowadziły do powstania wielu leków wywierających pożądane działania. Po części wynika to z faktu, że nie tak łatwo jest pobudzić receptory glutaminianergiczne u człowieka w sensowny sposób. Z kolei przeciwna strategia lecznicza z zastosowaniem antagonistów zazwyczaj wiodła do innej konkluzji. Jeśli antagonista działał u pacjentów np. z udarem mózgu, pojawiały się uboczne efekty psychodeliczne i halucynogenne, zapewne interesujące dla poszukiwaczy nowych doznań (psychonautów), ale zbyt obciążające pacjentów neurologicznych i psychiatrycznych.

Wykorzystanie tego rodzaju substancji najlepsze efekty przyniosło w farmakoterapii choroby Alzheimera (wspomniana mematyna) oraz depresji.

Już w roku 1990, w laboratorium Phila Skolnicka w Narodowych Instytutach ↦

Zdrowia (NIH) w Bethesda, USA, dr Ramon Trullas wykazał, że hamowanie receptora NMDA może wywierać efekty przeciwdepresyjne. Jak doszło do tego fascynującego odkrycia?

Trullasa zastanowiło, że hamowanie receptora NMDA ogranicza pewną formę plastyczności (tzw. długotrwałego wzmocnienia synaptycznego, LPT) w hipokampie – strukturze mózgu zlokalizowanej w korze skroniowej. Zauważył, że nieunikniony stres również hamuje hipokampalną plastyczność, a jednocześnie powoduje objawy melancholii u szczura. Trullas wywnioskował, że receptor NMDA musi być związany z patofizjologią choroby afektywnej, a jej objawy muszą się poddawać leczeniu związkami hamującymi receptor NMDA. Ale jak badać depresję gryzonia? Zwierzęta umieszczone w pojemniku z wodą bronią się przez jakiś czas, próbując się z niego wydostać. W eksperymencie Trullasa podanie leku przeciwdepresyjnego i, co istotne, rozmaitych antagonistów receptora NMDA nasilało próby wyjścia z opresji. Było to niewątpliwie jedno z ważniejszych ostatnich odkryć w psychofarmakologii.

Dalsze prace zespołu Skolnicka w NIH wykazały funkcjonalne zmiany tego receptora wynikające z podawania leków przeciwdepresyjnych. Sugeruje to, że receptor NMDA odpowiada za efekty antydepresantów, a jego hamowanie może działać przeciwdepresyjnie. Badania te zostały nagrodzone prestiżową nagrodą Anna Monika Stiftung. Jej zdobywcy, Amerykanie Phil Skolnick, Rick Layer i Ian Paul, Hiszpan Ramon Trullas oraz Polacy Gabriel Nowak i niżej podpisany, opisali tę historię w czasopiśmie „Pharmacopsychiatry" w roku 1996. Dodajmy, że prawie równolegle, w latach 90. podobne wyniki uzyskano również na ul. Smętnej 12 w Instytucie Farmakologii PAN w Krakowie, w zespole nieżyjącego już prof. Jerzego Maja.

Pokładanie nadziei w magiczną moc pojedynczej dawki antydepresantu może być naiwne.

Przy ekspresie do kawy

Receptor NMDA można hamować różnymi związkami chemicznymi, jednak wśród stosowanych klinicznie jedynie memantyna oraz ketamina wykazują takie działanie. Niegdysiejsze odkrycie Skolnicka i Trullasa wskazujące, że antagoniści receptora NMDA wykazują efekty przeciwdepresyjne u zwierząt laboratoryjnych, doprowadziło później do podania ketaminy pacjentom cierpiącym na depresję.

Jeśli dobrze pamiętam, do pokoju Phila Skolnicka, będącego miejscem gorących dyskusji naukowych przy ekspresie do kawy, zawitali badacze kliniczni, pytający o dawkę ketaminy do zastosowania u pacjenta. Musimy pamiętać, że kilogram szczura w badaniach farmakologicznych niekoniecznie odpowiada kilogramowi pacjenta: efekty u człowieka obserwuje się w dawkach o wiele niższych w przeliczeniu na kilogram masy ciała niż u gryzoni.

Dożylne – a zatem wykonywane jedynie w warunkach szpitalnych – podanie ketaminy pacjentom depresyjnym zaowocowało niezwykłym skutkiem: prócz objawów depersonalizacji, po jednorazowej dawce zaobserwowano natychmiastowy i utrzymujący się przez tydzień efekt przeciwdepresyjny. Opisał to w 2000 r. Robert Berman z zespołu Johna Krystala. Podobne efekty ketaminy zauważono następnie w wielu ośrodkach medycznych i uznano za rzeczywisty przełom w leczeniu depresji.

TANYAJOY / STOCK.ADOBE.COM

Rodzaje antydepresantów

LEKI PRZECIWDEPRESYJNE łagodzą objawy choroby afektywnej, lęku, depresji sezonowej i podobnych zaburzeń. Uważa się, że depresja wynika z zaburzenia funkcjonowania niektórych neuroprzekaźników w mózgu, co skutkuje obniżeniem nastroju i napędu, a także niekiedy upośledzeniem funkcji poznawczych. Działanie leków przeciwdepresyjnych pomaga w przywróceniu równowagi neurochemicznej.

Istniejące neurochemiczne teorie depresji – a zatem również teorie działania leków przeciwdepresyjnych – postulują udział tzw. monoamin: dopaminy, serotoniny i noradrenaliny. Teorie te pochodzą z lat 50. XX w. i wpływają na poszukiwanie leków przeciwdepresyjnych właśnie wśród substancji wpływających na monoaminy. Tymczasem nowsza, glutaminianergiczna teoria depresji postuluje zaburzenia w funkcjonowaniu układów wrażliwych na glutaminian.

Istnieje wiele leków przeciwdepresyjnych, które z grubsza biorąc dzieli się na:

- Selektywne inhibitory wychwytu zwrotnego serotoniny lub/i noradrenaliny. Uwolnione przez synapsę monoaminy działają na receptor, lecz są później – w drodze wychwytu zwrotnego – „zasysane" z powrotem. Prozac (fluoksetyna) selektywnie hamuje wychwyt zwrotny serotoniny, a wenlafaksyna powoduje, że w szczelinie synaptycznej pojawia się więcej serotoniny i noradrenaliny.
- Antydepresanty trójcykliczne (np. amitryptylina, imipramina) działają podobnie, choć mniej selektywnie (na więcej niż jedną monoaminę); ponadto wpływają na inne receptory. Wykazują niekiedy niepożądane efekty uboczne.
- Inhibitory monoaminooksydazy (MAO) hamują enzym rozkładający monoaminy. Po „wykonaniu zadania" monoaminy są rozkładane przez enzym MAO. Jego zahamowanie zwiększa stężenie monoamin w szczelinie synaptycznej. Tak działa np. tranylcypromina.
- Leki o innych mechanizmach działania: np. mianseryna, trazodon, mirtazapina, tianeptyna, agomelatyna i wiele, wiele innych.

Standardowe leki przeciwdepresyjne należy przyjmować przez wiele tygodni, by uzyskać efekt terapeutyczny, co *nota bene* sugeruje, iż wywołują one jakieś zmiany adaptacyjne w mózgu, na które potrzeba czasu, podobnie jak z leczeniem złamanej kończyny. Tymczasem kliniczne efekty dożylnego podania ketaminy pojawiają się natychmiast, utrzymują się przez kilka dni lub tygodni, a potem zanikają. Nie powodują zatem zupełnego wyleczenia depresji, tak jak antybiotyki powodują wyleczenie zapalenia płuc. Ketamina łagodzi objawy depresji, „uruchamia" pacjenta, co umożliwia dalsze leczenie farmakologiczne i psychoterapeutyczne.

Podawanie ketaminy w formie dożylnej iniekcji cierpiącym na depresję nie jest wolne od wad. Jest możliwe jedynie w warunkach szpitalnych, co zrozumiałe, wziąwszy pod uwagę krótkotrwały, ale wyraźny uboczny efekt psychozo-mimetyczny (depersonalizacje, derealizacje), a także zawroty głowy, nudności, lęk, wzrost ciśnienia tętniczego i uczucie upojenia alkoholowego. Popularność tej substancji wśród czytelników i autorów portalu hyperreal.info, stosujących rekreacyjnie ketaminę właśnie ze względu na depersonalizację, nie ułatwia powszechnego stosowania leku.

Poza tym ketamina jest zarejestrowana jako lek uśmierzający ból, a nie jako lek przeciwdepresyjny, zatem leczenie depresji ketaminą jest innym przykładem stosowania „off-label". Wreszcie, firmy farmaceutyczne nie mogą zarabiać na tak stosowanym leku, między innymi z powodów patentowych.

Wymyślono więc obejście tych trudności. Zwyczajna ketamina jest mieszaniną dwóch składników (enancjomerów) S- i R-, które inaczej zachowują się w świetle spolaryzowanym. Wyodrębniono każdy ze składników, a formę S-ketaminy zarejestrowano w USA 5 marca 2019 r. jako esketaminę w leczeniu lekoopornej depresji. Preparat pod handlową nazwą Spravato jest dostępny w formie spreju donosowego do samodzielnego stosowania. W Polsce nad podobnym preparatem pracują naukowcy z warszawskiej Celon Pharma S.A.

Hamujmy hurraoptymizm

Przeciwdepresyjny mechanizm działania ketaminy jest wciąż niepoznany. Postulowano zmiany neuroplastyczne w mózgu; sugerowano, że podobnie jak terapia elektrowstrząsowa, ketamina „resetuje" mózg, który miałby po terapii poprawnie funkcjonować, rozważano rolę metabolitów ketaminy w przeciwdepresyjnym działaniu leku.

Opisane 15 lutego 2018 r. w „Nature" badania chińskich psychofarmakologów z Uniwersytetu Zhejiang zwracają uwagę na jedną ze struktur mózgu wielkości ziarna grochu, zwaną uzdeczką boczną, o której od dawna było wiadomo, że uczestniczy m.in. w przetwarzaniu bodźców nieprzyjemnych, awersyjnych, skutkujących negatywnymi emocjami. Niektóre badania sugerują też, że u pacjentów cierpiących na depresję uzdeczka może być nadaktywna. Jak wskazali chińscy badacze podanie ketaminy bezpośrednio do uzdeczki bocznej hamowało behawioralne objawy szczurzej „depresji".

Wprowadzenie do leczenia esketaminy stanowi niewątpliwy przełom w farmakoterapii lekoopornej depresji z powodu natychmiastowego efektu i łatwości stosowania spreju donosowego. Przełom wynika również z faktu, że od dawna nie wprowadzono w psychiatrii żadnego nowego i skutecznego leku na depresję, mimo wysiłków pokoleń badaczy.

Nie jest jednak jasne, czy esketamina będzie cudownym rozwiązaniem leczenia depresji.

Wiele danych wskazuje, że niekoniecznie i że pokładanie nadziei w magiczną moc pojedynczej dawki antydepresantu może być naiwne. Podobnie jak dzięki Lemowej tabletce algebryny – choćby w formie adderallu – nie nauczymy się matematyki wyższej w jeden wieczór, tak leczenie esketaminą bez wsparcia psychoterapeutycznego i długotrwałego leczenia farmakologicznego może nie usuwać dolegliwego bólu duszy.

Ketamina z powodu wspomnianych efektów psychodelicznych wykazuje potencjał uzależniający. Jednakże postępy psychofarmakologii w leczeniu choroby afektywnej są niezaprzeczalne. Prawie 30 lat od oryginalnego odkrycia zespołu Phila Skolnicka jesteśmy bliżsi zrozumienia, jak mogą działać nowe, skuteczne leki przeciwdepresyjne hamujące receptor NMDA. ©

PIOTR POPIK

Najgorsze ze zwierząt

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Wydźwięk serialu Netfliksa „Nasza planeta" to raczej „damy radę" niż „czeka nas zagłada" – choć to drugie jest bardziej prawdopodobne.

Modrogrzbiecik tęposterny, czarno-niebieski ptaszek żyjący w lasach Ameryki Południowej, opracowuje skomplikowaną choreografię. Angażuje kolegów jako tancerzy tła i zwołuje ich na próby, żeby w końcu wykonać układ przed samicą i w napięciu czekać na werdykt. Nagrodą za występ jest stosunek, trwający dokładnie dwie sekundy.

Lamprologus callipterus, ryba występująca tylko w jeziorze Tanganika, pracowicie zbiera pyszczkiem puste muszle i układa je w wielki stos, który ma zachęcić partnerkę do złożenia jaj. Nie zauważa, że za każdym razem, gdy odpływa w poszukiwaniu nowych okazów, jego kopiec się zmniejsza: inny samiec wykrada muszle do swojej budowli i wygrywa rywalizację.

Różowe flamingi brodzą w tęczowym jeziorze na skraju afrykańskiej pustyni. Gdy woda wyparowuje z solniska, zaczynają morderczy bieg do nowego źródła. Jedno z piskląt nie daje rady: chwieje się na nóżkach oblepionych bryłami soli, przewraca i podnosi. Walczy, choć nie ma szans.

Takich rozdzierających, zadziwiających i zachwycających scen są w „Our Planet" setki. Ośmioodcinkowy serial przyrodniczy, wyprodukowany dla Netfliksa przez organizację ekologiczną WWF i renomowane brytyjskie studio Silverback Films, pokazuje „wciąż jeszcze istniejące cuda natury i wyjaśnia, w jaki sposób możemy chronić zarówno ludzi, jak i przyrodę".

Sen wełniaczka

Powstawał cztery lata, w 50 krajach i na siedmiu kontynentach. Pracowało przy nim 600 osób, ale w powszechnej świadomości będzie kojarzyć się tylko z jednym ↦

NETFLIX

nazwiskiem: sir David Attenborough. Uwielbiany przez widzów BBC 92-letni autor legendarnych serii przyrodniczych został wybrany na lektora, żeby swoim autorytetem wzmocnić siłę przekazu. W polskiej wersji językowej zastępuje go Krystyna Czubówna, która wprawdzie nie była jak Attenborough gwiazdą ostatniego szczytu klimatycznego, ale za to o motylach i słoniach czyta najpiękniej.

Każdy odcinek skupia się na innym ekosystemie – dżunglach, pustyniach czy głębinach oceanów – pokazując ostatnie miejsca na Ziemi nietknięte ręką człowieka. Przedstawia charakterystyki terenu, fauny i flory, śledzi zadziwiające łańcuchy pokarmowe i strategie przetrwania. A jednocześnie wciąż przypomina, że nawet te enklawy przyrodniczej równowagi i różnorodności są zagrożone. Narracja przechodzi od szczegółu do ogółu: najpierw widzimy nietoperza wełniaczka z Borneo, który układa się do snu w kielichu kwiatu dzbanecznika i zostawia w nim odchody, zapewniając roślinie niezbędny do życia nawóz, następnie słyszymy morał: „Takie relacje potrzebowały milionów lat, by się rozwinąć, a wiele może zniknąć w ciągu dziesięciolecia".

Nachalny dydaktyzm i powtarzalność scenariusza można by uznać za wadę, gdyby traktować serial wyłącznie w kategoriach artystycznych. Ale przecież nie mamy do czynienia z dziełem dla koneserów, tylko z projektem edukacyjnym, mającym dotrzeć do jak najszerszej widowni, złożonej przede wszystkim z ludzi, którzy naszą planetą do tej pory się raczej nie przejmowali. Główny reżyser przyznał w wywiadzie, że mierzy w miliardową widownię.

Przekaz o globalnym ociepleniu potrzebuje globalnego medium, obecny w 190 krajach Netflix wydaje się więc stworzony dla tego projektu.

Przekaz o globalnym ociepleniu potrzebuje globalnego medium, obecny w 190 krajach Netflix wydaje się więc stworzony dla tego projektu. A jednocześnie rozmach, z jakim nakręcono „Naszą planetę" – te wszystkie zbliżenia makro i plany totalne, ujęcia z lotu ptaka i spod wody, w zwolnionym i w przyspieszonym tempie – sprawia, że aż wstyd oglądać ten serial na małym ekranie.

Skok morsa

Widzowie, którzy traktują zmianę klimatu tak, jak na to zasługuje, czyli śmiertelnie poważnie, mogą mieć do „Naszej planety" pretensje, że to raczej baśniowa pogadanka niż alarmistyczny manifest. Bo zamiast powiedzieć wprost, że żyjemy w epoce szóstego wielkiego wymierania gatunków i zostało nam 12 lat, aby ocalić planetę przed katastrofą, lektor mówi spokojnie: „Po raz pierwszy w historii ludzkości równowaga w przyrodzie nie może być brana za pewnik. Jednak natura jest odporna na atak i wciąż potrafi nas zaskoczyć. A z naszą pomocą planeta może się odrodzić". Zamiast wzywać do walki ze zwyrodniałym modelem kapitalizmu i własnymi nawykami konsumpcyjnymi, zachęca do odwiedzenia strony internetowej WWF. Zamiast ujawniać hipokryzję rządów zblatowanych z korporacjami, podaje przykłady miejsc, w których udało się przywrócić zagrożone populacje.

Nie znaczy to, że w scenariuszu nie ma zatrważających danych. Są w każdym odcinku, choć dawkowane ostrożnie: „W ciągu ostatnich 50 lat fauna i flora zmniejszyła się średnio o 60 procent", „Lodowce zawsze wypuszczały lód do oceanu, ale teraz dzieje się to prawie dwa razy szybciej niż 10 lat temu", „Filipiny straciły 90 procent lasów deszczowych", „Ławice ryb zostały zdziesiątkowane. Jedna trzecia przestała już istnieć".

Jeszcze bardziej do wyobraźni i sumienia przemawiają niepokojące obrazy, np. biały szkielet wymarłej rafy koralowej czy pełne rozpaczy oczy umierających z pragnienia bizonów. Najbardziej wstrząsający jest fragment z morsami odpoczywającymi u wybrzeży Rosji. Oglądamy sto tysięcy cielsk stłoczonych na jednej małej plaży. Leżą tam nie dlatego, że lubią, ale dlatego, że muszą: w wyniku zmian klimatycznych zniknęły szerokie połacie lodu, na których odpoczywały. Niektóre w poszukiwaniu wolnego miejsca wspinają się na osiemdziesięciometrowy klif. A gdy zgłodnieją, nieświadome wysokości i niemające innego wyjścia, rzucają się do morza. Ujęcia w zwolnionym tempie pokazują, jak ważące tonę zwierzęta bezwładnie obijają się o skały i dogorywają. W swoim traumatycznym potencjale ta scena równa się chyba tylko z wcześniejszymi sekwencjami polowania na pingwiny: bezlitosnymi oprawcami okazują się foki i orki.

Mimo wszystko, wydźwięk „Naszej planety" to raczej „świat jest piękny" niż „świat jest straszny", raczej „damy radę" niż „czeka nas zagłada". I choć to ostatnie jest bardziej prawdopodobne, trzeba zrozumieć wybór twórców. Nazbyt okrutny przekaz skłaniałby raczej do przerwania odtwarzania niż radykalnej zmiany zachowań. Ludzie nie należą do odważnych zwierząt i zazwyczaj wolą uciekać od stworzonych przez siebie problemów, niż się z nimi mierzyć.

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

NASZA PLANETA *(Our Planet), serial dokumentalno-przyrodniczy, reż. Alastair Fothergill, prod. Wielka Brytania 2019.*

WOJCIECH

Bonowicz:
Z nim akurat bym poszedł

Rewolucjonistów było wielu, ale... Takich, z którymi ewentualnie chciałoby się robić rewolucję, spotkałem w życiu dwóch, może trzech. Od razu muszę dodać, że do idei rewolucji rozumianej jako przebudowa świata przy użyciu siły zawsze odnosiłem się z rezerwą. Ofiary z ludzi powinny być dobrowolne. Ryzykować wolno wyłącznie własnym życiem, nie cudzym. Wariatów chętnie ryzykujących cudzym życiem historia, także najnowsza, zna mnóstwo; zresztą jak ktoś przyznaje sobie prawo do takiego ryzyka, na ogół chodzi mu po prostu o władzę, a nie o czyjekolwiek dobro. Jedyna rewolucja, do której skłonny byłbym się przyłączyć, musiałaby być rewolucją robioną przez ludzi upartych, zdeterminowanych, gotowych bronić wyznawanych idei i wartości, ale nieskorych do składania ofiar z innych. Krótko mówiąc: musiałaby być rewolucją *par exellence* moralną, a na taką żaden autor scenariusza się nie połakomi ani żaden producent pieniędzy nie wyłoży. Trzeba rozlać wiele krwi, żeby w historii (czyli w kulturze popularnej) zapisać się na trwałe.

Taką moralną rewolucją była niewątpliwie rewolucja Solidarności i chwała wszystkim, którzy wzięli w niej udział. A jeszcze większa tym, którzy jej przewodzili. Rewolucję tę brutalnie zatrzymano, a konsekwencje tej brutalności odczuwamy niestety do dziś. Jednocześnie rewolucja ta była czymś tak fantastycznym, że również do dziś czerpiemy – nawet o tym nie myśląc – z nagromadzonej wówczas energii.

No więc rewolucjonistów było wielu, ale na barykadę czy do więzienia poszłoby się chyba tylko z ludźmi takimi jak Karol Modzelewski. Nie będę udawał, że nie wiem, na czym polega urok tego typu ludzi. Od tzw. osobowości charyzmatycznych trzymam się z daleka, pociągają mnie natomiast ludzie szczerzy, nawet jeśli wydają się nieefektowni. Modzelewski nieefektowny nie był, ale był przede wszystkim szczery i to procentowało. Lubiłem go słuchać, bo mówił prosto i zrozumiale, co pozostawało w kontraście do pokrętnej retoryki, jakiej dookoła było i jest pełno. Domagał się większej sprawiedliwości w życiu społecznym, ale robił to tak, że nie czułem się ani szantażowany, ani zmanipulowany. Jeśli jakiejś retoryki używał, była to retoryka obowiązku: stanie po stronie słabszych nie jest żadnym zadaniem, którego można się podjąć lub nie. Jest obowiązkiem, od którego po prostu nie wolno się uchylać – i tyle.

Bardzo mi się podobał epilog jego sławnej autobiografii – i cytatem z niego zakończę, bom go sobie już dawno upatrzył. Zwracając się do przyszłych pokoleń, czyli ewentualnych przyszłych rewolucjonistów, Modzelewski napisał: „Nie będę ich zachęcać ani powstrzymywać od kontestacji. Będą dostawać baty, ale to akurat nie powód, żeby dać za wygraną. Każde pokolenie ma niezbywalne prawo, żeby dostawać w skórę; to jedyne prawo człowieka, którego żaden reżim [mu] nie odbierze. Na pewno nie będę im towarzyszył na ich ciernistej drodze, bo jestem na to zwyczajnie za stary. Nie mam już siły ani zdrowia na żadne barykady. Poza tym za dużo wiem. W świetle mojej wiedzy rewolucja jest albo niemożliwa, albo zbyt kosztowna, w każdym zaś razie kończy się nie tak, jakbyśmy chcieli. Rewolucjonista nie może tego wiedzieć. Niewiedza go uskrzydla i pozwala dokonywać rzeczy niemożliwych, dzięki którym zmienia się świat. Będzie on potem rozczarowany lub co najmniej nieusatysfakcjonowany zmianą, do której się przyczynił, ale to już inna sprawa”.

A na sam koniec dodawał: „Wśród przyszłych rewolucjonistów, do których kieruję te słowa, jest pewnie wielu niewierzących. Ja też nie jestem religijny, ale na pożegnanie chciałbym im powiedzieć: »Szczęść wam Boże«. I nam też”. ©

Rozmowę z Karolem Modzelewskim z wydania specjalnego „Smak wolności” oraz portret Zmarłego pióra Kaliny Błażejowskiej publikujemy na str. 100-109.

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania”

O TEATRZE W JELENIEJ GÓRZE

pestka 2019

W pierwszy majowy weekend na Międzynarodowym Festiwalu Teatrów i Kultury Awangardowej „Pestka” w Jeleniej Górze odbyły się dwa spotkania w ramach akcji „Lekcje czytania”.
W **czwartek 2 maja** AGNIESZKA WOLNY-HAMKAŁO poprowadziła dyskusję pt. „Teatralność bohemy”. Uczestnicy czytali fragmenty „Daru Humboldta” Saula Bellowa, „Punktu Omega” Dona DeLillo i „Balthazara” Lawrence’a Durrella.
Natomiast w **sobotę 4 maja** AGNIESZKA KŁOS rozmawiała z uczestnikami spotkania o tym, czy i jak w teatrze pokazać Zagładę.
Lekturą sobotniego spotkania był utwór Elfriede Jelinek „Rechnitz (Anioł Zagłady)”.
Więcej o jeleniogórskiej imprezie na festivalpestka.pl

Chcesz zorganizować u siebie „Lekcję czytania” – napisz: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · UNIWERSYTET ŁÓDZKI · Quad Graphics · SALES MANAGO marketing automation

REKLAMA

XV OGÓLNOPOLSKI KONKURS FOTOGRAFII PRASOWEJ

GRAND PRESS PHOTO 2019

Przewodniczący jury

ESPEN RASMUSSEN

Nagrody zostaną przyznane w kategoriach:

WYDARZENIA • ŻYCIE CODZIENNIE • LUDZIE • SPORT • ŚRODOWISKO • PORTRET • KULTURA I ROZRYWKA • PROJEKT DOKUMENTALNY

oraz w konkursie: PHOTO BOOK

Osobna kategoria – YOUNG POLAND | Dodatkowy konkurs – ZDJĘCIE 30-LECIA

Ogłoszenie wyników odbędzie się **16 maja 2019 roku** w Reducie Banku Polskiego w Warszawie.

ORGANIZATOR press | grand press FUNDACJA

MECENAS: FUJIFILM Value from Innovation

PARTNERZY KONKURSU I WYSTAW: SANOFI Empowering Life, Provident, ZAIKS

PARTNER KONKURSU: Sixty Six Hotel

PARTNER WYSTAW: Drukarnia Andrus

PATRONI MEDIALNI: Digital Camera, fotopolis, jetline

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 19/2019

Pokolenie A

Świat przyszłości już dorasta

„Człowiek, bardziej niż swoich przodków, przypomina czasy, w których żyje". To arabskie powiedzenie ilustruje jeden z paradoksów wymiany pokoleń i powracające zmartwienia starszych. Co młodsi zrobią ze światem, który im zostawiamy? Dlaczego powtarzają nasze błędy i chcą rewolucji? Pod koniec lat 60. XX w. młodzież urosła do rangi fenomenu społecznego i dostrzeżono w niej potencjał zmian. Na skutek rewolucji komunikacyjnej i wzrostu roli kultury masowej, demokratyzacji relacji społecznych spojrzano na młodych jak na „obce plemię"; generacją zdolną do podważenia starego porządku. Dziś w Polsce – 30 lat po pierwszych częściowo wolnych wyborach i 15 lat po wstąpieniu do Unii – poznanie dylematów, którymi żyje pokolenie urodzone około roku 2000, oznacza podróż po zmieniającym się świecie. Dodajmy: podróż pełną niespodzianek. To młodzi żądają działań w sprawie klimatu i stoją za ruchem „Extinction Rebellion"; to oni demonstrują w Gdańsku przeciw nienawiści w życiu publicznym itd.

Zwykle nazywamy kolejne pokolenia literami alfabetu. „X", „Y", „Z" – generacje dorastające w warunkach przełomu ustrojowego i pierwszych lat demokracji weszły już w życie dorosłe. Pora wrócić do początku: „A" to aspiracje, ambicje i aktywność. Oto portret polskiej młodzieży. Jakiego świata chce? Czy wraz z rówieśnikami z innych krajów stworzy nową ideę wspólnej Europy? © ŻYM

MAREK PRAWDA: Greta Thunberg albo gdańscy uczniowie, którzy protestowali przeciw mowie nienawiści, dają nadzieję. Dzisiejsza młodzież jest może nieideologiczna, lecz wciąż zdolna do ideowych uniesień.

Jak zobaczyć czystą szybę

MARCIN ŻYŁA: Co to dziś znaczy być młodym Europejczykiem?

MAREK PRAWDA: Przede wszystkim: rozumieć sens bycia razem. Po II wojnie światowej dla Francuzów i Niemców ów sens polegał na przełamaniu dziedzicznej wrogości. Dla mojego pokolenia Europa była nadzieją na przezwyciężenie dziedzictwa komunizmu. Teraz młodzi muszą wymyślić własny powód. Nie będzie nim pamięć o złej przeszłości, bo oni jej nie mają. Chodzi o przekonanie się, że Unia Europejska najlepiej rozwiązuje problemy współczesności, np. te związane ze zmianą klimatu czy wielkimi korporacjami.

EC.EUROPA.EU/POLAND

Takie idee zjednoczą młodych?

To są problemy, które można rozwiązać tylko razem. Dziś nie można dbać o interes narodowy bez współpracy z innymi państwami. Zdaję sobie sprawę z tego, że to język technokratyczny, że on nie angażuje emocjonalnie. Ale przecież, aby wiedzieć jak smakuje pokój, nie trzeba przeżyć wojny. Kumulacja kryzysów – m.in. brexitu, migracji, pochodu populizmu przez kontynent – sprawia, że niektórzy politycy chcą wzmacniać społeczeństwa poprzez eksponowanie różnic. Dla mnie zaś jedną z definicji bycia Europejczykiem jest tworzenie innego „my" niż to, które powstaje dzięki negacji obcości.

Wielu uważa jednak, że np. kwestię migracji należy rozwiązać na poziomie narodowym – „obronić" własne granice wbrew Brukseli, która narzuca „multi-kulti".

To nieporozumienie. Unię często uważa się za projekt ideologiczny, tymczasem nie ingeruje ona w życie prywatne, dba jedynie o zniesienie dyskryminacji. Niektórzy twierdzą, że odbiera nam wolność, suwerenność, i wobec tego trzeba zadbać o bezpieczeństwo samemu, budując mury. Czasem rządy to wykorzystują. Mówią: „Ochronimy was, ale potrzebujemy więcej władzy". Wyolbrzymiają zagrożenia ze strony wrogów zewnętrznych, a zwłaszcza wewnętrznych. Stąd już krok do moralnego dyskredytowania inaczej myślących.

Coraz trudniej prowadzić dyskusję. Żeby wyjaśnić złożoność świata, potrzeba przestrzeni, wolności słowa. Leszek Kołakowski mówił o „samozatruciu społeczeństwa otwartego". To właśnie na takim podglebiu wyrastają przywódcy, których kusi, by ograniczyć wolność, a przy okazji rozmontować trójpodział władzy, bo on przeszkadza w „zaprowadzaniu porządku".

Populizm opiera się na wykorzystywaniu gniewu i rozczarowania. A jak sama Unia może na nie odpowiedzieć? Regularnie odbywają się demonstracje ruchu Extinction Rebellion w sprawie zmian klimatu, rośnie niezadowolenie z poczynań wielkich korporacji. Czy tych emocji nie da się przekuć na pozytywną tożsamość?

Nie możemy tego zaplanować. Niewątpliwie jednak emocje są potrzebne do wywołania potrzeby wspólnego zareagowania. Spójrzmy na dyrektywę ws. praw autorskich, która mobilizuje dziś miliony ludzi. Co jest lepszym przykładem demokracji: to, że w Niemczech 100 tys. ludzi, często z inspiracji wielkich korporacji, wyszło na ulice protestować przeciwko

MAREK PRAWDA jest dyrektorem Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce. W latach 2012-16 pełnił funkcję stałego przedstawiciela RP przy Unii Europejskiej. Wcześniej był ambasadorem Polski w Szwecji i Niemczech.

dyrektywie – czy to, że Parlament Europejski przyjął przepisy, które zdaniem od 60 do 80 proc. obywateli Unii są potrzebą chwili?

Inny przykład: dopiero interwencja Unii zmusiła koncern Apple do płacenia podatków w Irlandii. Pozbawione kontroli koncerny międzynarodowe mogą być zagrożeniem demokracji i wolności. Nie mam wątpliwości, że dziś takie tematy mogą być dla młodych ważne tak samo, jak kiedyś dla Francuzów i Niemców istotne było pokonanie dziedzicznej wrogości. Może z takich lub podobnych problemów zrodzi się nowe zaangażowanie europejskie?

Wymaga to także zrozumienia ze strony państw.

Brałem udział w pracach nad dyrektywą o tzw. agresywnej optymalizacji podatkowej. Chodziło o to, aby np. działające w Polsce korporacje nie mogły, korzystając z obecności w krajach nieobjętych regulacjami, unikać płacenia u nas podatków. Ale kraje naszego regionu nie chciały udostępniać pewnych danych, bo w dość tradycyjny sposób rozumiały suwerenność podatkową – choć dyrektywa miała służyć głównie im. To pokazuje trudność zrozumienia, że znajdujemy się w takim momencie rozwoju, w którym narzędzia międzynarodowe są absolutnie konieczne.

Wolno, ale jednak, pewne sprawy stają się oczywiste. Wzrasta świadomość ekologiczna. Greta Thunberg – młoda Szwedka, w pewnym sensie rzeczniczka całego pokolenia – staje się symbolem nowej Europy.

Kilka dni temu, na promie z Gdyni do Karlskrony, spotkaliśmy się w gronie 150 osób, w większości Polaków. Zapytaliśmy ich, z jakimi wartościami kojarzą Unię. Okazało się, że przede wszystkim z bezpieczeństwem oraz ochroną środowiska. Te dwie odpowiedzi miały dużą przewagę nad pozostałymi.

Dlaczego narracja antyunijna jest w Polsce tak widoczna?

Unia stała się dla młodych pokoleń rodzajem zastępczego państwa, od którego można wiele wymagać, niespecjalnie dając coś w zamian. Dla wielu jest jak szyba, którą dostrzega się tylko wtedy, gdy jest brudna lub stłuczona. Musimy dziś zbudować opowieść dla tych, którzy Unię przestali dostrzegać. Kiedy wchodziliśmy do Wspólnoty, motywowała nas obawa przed powrotem złej przeszłości. Dziś na młodych działa lęk przed przyszłością, często podsycany dla celów politycznych.

CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

RYTM MUZYKI, RYTM POLITYKI. W USA właśnie odwołano festiwal „Woodstock 50" – miał się odbyć latem, pół wieku po oryginalnym. Ważą się też losy tegorocznego Jarocin Festiwal, próby odrodzenia legendy najsłyniejszej imprezy rockowej Polski. Czy dlatego, że tamtych imprez, tak jak tamtych czasów, nie da się podrobić? W latach 70. i 80. XX w., na długo zanim Jurek Owsiak zaszczepił w młodych hasło „miłość, przyjaźń, muzyka", Jarocin – wymyślony przez Waltera Chełstowskiego – dla tysięcy młodych był czymś więcej niż przygodą (dziś wspominają: koncerty, noclegi pod katakumbami na rynku, rozdawane w kościele kanapki z dżemem czy domowe sposoby farbowania spodni). Polski rock, a wraz z nim tamte pokolenia młodzieży, kształtował się w dużej mierze na hasłach politycznych. Dla uczestników Jarocina festiwal stał się więc pierwszym doświadczeniem wolności – tej od swoich „starych", i tej od PRL-u.

Jak to zmienić?

Bez edukacji się nie obejdzie, ale przede wszystkim potrzebujemy powrotu do realizmu europejskiej opowieści, zawłaszczonego przez krytyków integracji europejskiej, którzy wytykają, co w Unii nie działa. Powinniśmy umieć wyjaśnić, że Unia jest nam potrzebna, aby obronić nas przed nowymi zagrożeniami w świecie, który tak gwałtownie się zmienił.

Spotykam się m.in. z blogerami, którzy opowiadają mi, że Unię łatwiej ludziom „wytłumaczyć" poprzez konkretne sprawy do załatwienia. Gdy, na przykład, w trakcie kampanii dotyczącej traktowania zwierząt odkryją, że to właśnie Unia ma narzędzia, aby to zmieniać na lepsze.

Widzę też szansę w opowiedzeniu sobie o 15 latach członkostwa jako o sprawczym dorobku polskiego społeczeństwa. Sami sobie tę opowieść odbieramy, poprzez bezrozumne deprecjonowanie wspólnego wysiłku tych lat. Unia nie zabrała nam naszych korzeni narodowych, nie spowodowała, że jesteśmy spadkobiercami nie swoich losów. Sukces Polski to przecież także owa nowa tożsamość, której częścią jest członkostwo w Unii. Tylko taka Polska będzie słuchana. Alternatywą jest sprzedawanie iluzji na własny temat, które nikogo w Europie nie obchodzą, a nas – gubią.

Odnoszę też wrażenie, że młodzi źle reagują na dramatyzowanie wyborów do Parlamentu Europejskiego: albo „my", liberalni i proeuropejscy, albo „oni", autorytarni wrogowie Unii. Taki podział ustawia zwolenników integracji jako obrońców status quo. Spróbujmy „wygrać" Europę dobrymi pomysłami, a nie panikowaniem.

Za miesiąc obchodzimy 30. rocznicę pierwszych, częściowo wolnych wyborów. W książce „Droga do niewolności" prof. Timothy Snyder ostrzega, że wolność, niepostrzeżenie, kawałek po kawałku – jest nam dziś odbierana.

Snyder w nieco inny sposób pisze o samozatruciu społeczeństwa otwartego. Wierzę jednak, że obudzi się w nas instynkt ↦

↦ obrony wolności. Rzecz w tym, że o ile wiedza powszechna dodaje się w kolejnych pokoleniach, to moralność – oraz walkę o wolność – każde pokolenie musi definiować samo, własnym językiem.

Nic tu nie pomoże narzekanie, że nasze dzieci nie mają instynktu obrony wolności; nie możemy też wymagać, żeby wchodziły w myślenie byłej opozycji antykomunistycznej. Greta Thunberg albo gdańscy uczniowie, którzy w styczniu protestowali przeciw mowie nienawiści, dają nadzieję. Młodzież jest może nieideologiczna, ale wciąż ideowa, z pewnością zdolna do ideowych uniesień.

Na co stawia Komisja Europejska w polityce młodzieżowej?

Unia może pomóc poznawać funkcjonowanie Europy i innych społeczeństw. Z programu Erasmus korzysta 4 mln studentów i nauczycieli – to już masowe doświadczenie Europejczyków. Jego uzupełnieniem ma być Europejski Korpus Solidarności – coś w rodzaju Erasmusa dla ludzi z mniejszych miejscowości i terenów wiejskich, którzy będą współpracować ze sobą w społecznościach doświadczonych przez katastrofy lub mających problem z wykluczeniem społecznym. Celem jest też przekonanie obywateli, że Unia to coś więcej niż biurokracja. Projekt dopiero rusza, ale zakłada się, że w najbliższej perspektywie finansowej zostanie nim objęte nawet 350 tys. Europejczyków.

Od 2018 r. działa program DiscoverEU. Każdy obywatel Unii, który kończy 18 lat, może ubiegać się o darmowy bilet umożliwiający nawet miesięczne podróżowanie po Europie, poznawanie jej dziedzictwa kulturowego. W tym roku zgłoszenia przyjmowane są do 9 maja, podróż powinna się odbyć między sierpniem a styczniem 2020 r. W pierwszej edycji programu bilet otrzymało prawie 30 tys. młodych. Te programy to sposób na samodzielne poznanie, jak funkcjonuje Unia. Po takim doświadczeniu łatwiej się obronić przed uproszczeniami na jej temat.

Tych jednak nie brakuje. W Polsce ze strony kościelnej wciąż słychać m.in. oskarżenia o laicyzowanie, promowanie „ideologii gender". Jak wyjaśniać, że to nie tak?

Powraca zarzut, że Unia jest projektem ideologicznym. Oto urzędnicy bez mandatu wyborczego sterują jakoby moralnością, oddzielając ją od korzeni kulturowych czy religijnych. To nonsens: Unia nie jest inwazyjna w życiu osobistym. Jej siłą jest to, że stara się reagować na znaki czasu, odkrywać potrzeby i proponować działania, które je zaspokoją. Na przykład w reakcji na kryzys migracyjny udało się stworzyć tzw. Plan Marshalla dla państw afrykańskich, który w dłuższej perspektywie powinien ograniczyć migrację.

Unia nie działa na ideologiczne zamówienie, nie odbiera nikomu tożsamości kulturowej czy religijnej. Wiele projektów unijnych pielęgnuje tożsamość narodową – tę pierwotną, która kształtowała się w sytuacjach skrajnych i zawsze pozostanie podstawowa. Tożsamość europejska może ją tylko uzupełniać.

Na przełomie lat 80. i 90. XX w., kiedy zaczynała się budowa demokracji, religijność była wśród Polaków pozytywnie skorelowana z zaangażowaniem obywatelskim. Dziś, niestety, jest inaczej – badania socjologa prof. Radosława Markowskiego wykazały, że jest jedną ze zmiennych, które najsilniej korelują z nastawieniem antyeuropejskim. Dotyczy to szczególnie uczestnictwa w praktykach religijnych. Tymczasem i Kościół, i Unia mogą zajmować się największymi wyzwaniami: budową poczucia odpowiedzialności i sprawiedliwości, wyrównywaniem różnic.

Europę przyszłości przeobrażą m.in. procesy demograficzne, migracje i nowe technologie. Czy młodzi są przygotowani na zmiany?

Uczymy się definiowania wspólnotowości nie etnicznie, lecz aksjologicznie – łączy nas wspólne rozumienie świata, akceptujemy różność. Myślę, że w przyszłości będzie się pogłębiała tendencja, żeby skutecznie zarządzać tą różnicą; akceptować, że różne grupy i kultury mogą w Europie znajdować przestrzeń dla siebie. Przy czym Europa ta musi pozostać domem: musi mieć drzwi i okna, które się zamyka, gdy jest przeciąg. Nie uciekniemy od zobowiązań etycznych; zawsze musimy pomagać tym, którzy do nas zapukają, bo są zagrożeni, ale musimy mieć też prawo zamknąć drzwi, gdy sami mamy kłopoty. Europejczycy są do tego przygotowani w różnym stopniu.

Przed nami jeszcze wiele trudnych doświadczeń. Nie ma jednak innej drogi, niż nauczyć się żyć z różnorodnością – i mieć skuteczne narzędzia, które zapewnią bezpieczeństwo. ©℗

Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

MARC CALMBACH

Dla młodych Europejczyków polityka jest źródłem nieufności i rozczarowania. Z badań wynika jednak jasno: zdecydowana większość z nich ani myśli o opuszczaniu Unii.

Małżeństwo z rozsądku

Co wiemy o tych, którzy już za kilka lat będą decydować o losach wspólnej Europy? Media alarmują: wśród młodych rośnie frustracja i brakuje zaangażowania społecznego. Młodzież coraz częściej jest skłonna popierać ruchy skrajne.

Dotąd niewiele było analiz, które pozwoliłyby na zdiagnozowanie przyczyn takiego stanu rzeczy. Z pomocą przychodzi projekt „Generation What?" (generation-what.de) – badanie młodego pokolenia Europejczyków. Opracowali i przeprowadzili je, nietypowo, nadawcy mediów publicznych. Projekt koordynowała Europejska Unia Nadawców (EBU), opracowaniem danych niemieckich zajął się zaś Instytut SINUS z Berlina i Heidelbergu. W badaniu wzięło udział blisko milion Europejczyków w wieku 18–34 lat z 35 państw.

Przyjrzyjmy się wynikom z 11 krajów (Belgii, Niemiec, Francji, Grecji, Włoch, Luksemburga, Holandii, Austrii, Szwajcarii, Hiszpanii i Republiki Czeskiej) i spróbujmy odpowiedzieć na dwa pytania. Co stało się z zaufaniem do Europy i do polityki wśród młodych Europejczyków? Co stanowi dla nich teraz największe wyzwania?

ZAUFANIA – JEDEN PROCENT Na początek smutna wiadomość: mniej niż połowa młodych (40 proc.) pokłada w Europie zaufanie. Mimo wszystko, zalety Unii Europejskiej zdają się w ich oczach przeważać nad wadami. Tylko jedna szósta uważa, że ich kraj powinien opuścić Wspólnotę; 71 proc. jest

temu przeciwnych (odpowiedzi Szwajcarów nie były brane pod uwagę). Młodzi postrzegają członkostwo w Unii jako korzystne, jednak nie wiążą z nim nadziei na rozwiązanie najważniejszych problemów. To właśnie borykający się z kryzysem gospodarczym Grecy najczęściej (38 proc.) wyobrażają sobie, że opuszczają Unię; najmniejszy odsetek zwolenników opuszczenia Wspólnoty jest w Niemczech (9 proc.).

Młodzi mają też niskie zaufanie do polityki. Tylko 1 proc. ufa jej „całkowicie", a 16 proc. – „częściowo". Aż 82 proc. deklaruje, że ma do polityki niewielkie zaufanie. Odpowiedzi nie zależą od płci, lecz od edukacji: im niższy poziom wykształcenia, tym większa nieufność. Rolę odgrywa też wiek. Wśród 18- i 19-latków całkowicie nie ufa im 37 proc., natomiast w przedziale wieku 30–34 lata jest to już 50 proc. Widać też duże różnice między poszczególnymi krajami: podczas gdy tylko 23 proc. Niemców twierdzi, że nie ma zaufania do polityki, aż 67 proc. Greków, 62 proc. Francuzów i 60 proc. Włochów jest tego zdania.

TOMASZ PIETRZYK / AGENCJA GAZETA

DO BIEGU, GOTOWI, START! W roku szkolnym 2018/19 odpłatne zajęcia sportowe finansuje swoim dzieciom 57 proc. polskich rodzin, więcej niż kiedykolwiek wcześniej w ostatnich 20 latach – donosi CBOS. Po latach zaniedbań w szkołach wraca do łask wychowanie fizyczne. Od biegania przez kajaki po narciarstwo klasyczne, w miastach i na wsi – dla dorastającego dziś pokolenia sport staje się stylem życia. Na zdjęciu: Wrocławskie Święto Rowerzysty, czerwiec 2018 r.

MAPA NIEPOKOJÓW Młodym Europejczykom przedstawiono też 15 tematów, z których mieli wybrać trzy budzące ich największe obawy. Najczęściej wybierali kwestię zatrudnienia (37 proc.) i stan środowiska naturalnego (36 proc.). Na trzecim miejscu, lecz ze znacznie mniejszym odsetkiem wskazań (27 proc.), znalazł się system edukacji. Jeden z wniosków? Młodzi uważają, że nie są odpowiednio wykształceni do potrzeb rynku pracy. Ponadto, dla około jednej piątej badanych największymi problemami są kryzysy gospodarcze, brak przystępnych cenowo mieszkań, opieka zdrowotna i przyszłe emerytury.

Wiele obaw jest typowych dla poszczególnych krajów. Środowisko naturalne zostało wymienione w dziewięciu z jedenastu omawianych krajów, ale nie w Grecji i Hiszpanii. Zła sytuacja gospodarcza tych państw miała dla młodych większe znaczenie niż problemy środowiska. Potwierdza to fakt, że w Grecji, jako jedynym kraju, za jeden z trzech największych problemów uznano kryzys gospodarczy (obok systemu opieki zdrowotnej, o stan którego martwią się też młodzi z Hiszpanii i Włoch).

Największe różnice między poszczególnymi krajami występują jednak w kwestii obaw przed niepokojami społecznymi i energią jądrową. Podczas gdy energia jądrowa jest problemem dla 27 proc. młodych Szwajcarów, w Czechach, Grecji, Hiszpanii i Włoszech za kłopotliwą uznaje ją jedynie 2–3 proc. młodzieży. Co ciekawe, lęk przed energią jądrową nie wiąże się z liczbą elektrowni atomowych w danym kraju; choć najwięcej jest ich we Francji, tylko 9 proc. młodych Francuzów uznaje energię jądrową za jeden z trzech największych problemów.

PESYMIŚCI NIE LUBIĄ POLITYKI Lęk przed niepokojami społecznymi zajmuje młodych Austriaków i Niemców. Na tle stabilnej sytuacji gospodarczej tych krajów jest to wynik zaskakujący. Jak to tłumaczyć? Być może warto wskazać na obawy przed rozładowaniem napięć społecznych wynikających z rosnących różnic między bogatymi i biednymi oraz z lęku przed wykluczeniem.

Na tle innych, Niemców charakteryzuje bardziej optymistyczne postrzeganie rynku pracy (tylko 22 proc. z nich martwi się sprawami zatrudnienia). Wynika to z faktu, że bezrobocie wśród młodych jest w ich kraju najniższe w Europie. Największe obawy w tej kwestii odczuwają Włosi, Grecy, Hiszpanie i Francuzi – o swoją przyszłość zawodową martwi się mniej więcej połowa z nich. Młodzi Niemcy różnią się też od swoich europejskich rówieśników w innych dziedzinach – bardziej martwią się swoją sytuacją materialną, cenami mieszkań i emeryturami.

Wyniki badania „Generation What?" pokazują, że młoda Europa niespecjalnie chce się identyfikować ze światem polityki. Nieufność, sceptycyzm i rozczarowanie są powszechne, szczególnie wśród młodych o niskim poziomie wykształcenia. To niepokojące – tym bardziej, że jest to grupa, która często przejawia fatalistyczne podejście do zjawisk społecznych. Niezbędna jest zatem kampania edukacji społecznej i politycznej, którą należy rozpocząć wśród młodszych. To może się udać – tym bardziej że ta sama grupa (co potwierdzają również te badania) wykazuje wobec instytucji publicznych największe zaufanie. ©

Przeł. HANNA DMOCHOWSKA

DR MARC CALMBACH (ur. 1974) jest dyrektorem ds. badań i doradztwa SINUS-Institute, prywatnego ośrodka badań społecznych. Autor cyklu publikacji „Wie ticken Jugendliche?" („Co myśli młodzież?") – najbardziej popularnego badania młodego pokolenia w języku niemieckim. W latach 2011-13 był doradcą niemieckiego ministra ds. rodziny, osób starszych, kobiet i młodzieży.

PIOTR TRACZ / REPORTER

KORPORACJE? NIE, DZIĘKUJEMY. 30 lat po otwarciu wolnego rynku coraz mniej młodych chce pracować w korporacjach. Co więcej, według raportu firmy doradczej Deloitte „Pierwsze kroki na rynku pracy 2018" ubywa tych, którzy chcieliby pracować jako menedżerowie. Trend ten jest uzależniony od wieku – im ktoś jest starszy, tym mniej chętny do awansowania i brania odpowiedzialności za zespół. Jak to wytłumaczyć? Dla niektórych badaczy to wyraz innego podejścia tzw. pokolenia Z do pracy i obowiązków – ci „młodzi gniewni", świadomi swojej wartości, coraz częściej decydują się na zakładanie własnych firm, pracując mobilnie, wyłącznie przez internet.

Generacja drobiazgów

KRZYSZTOF STORY

Mówią: „Potrzebuję robić milion rzeczy naraz. Znać ludzi, którzy działają – wtedy mnie samej też się chce". Albo: „Do działania napędzają nas małe rzeczy. To, co wokół nas. Może takim pokoleniem mamy być?".

Zacząć można od zarastających boisk i nieużywanych trzepaków. Od pustych podwórek. Bo pewnie siedzą przy komputerach. Napisać, że już prawie ze sobą nie rozmawiają, bo te same komputery i smartfony zastąpiły im normalne koleżeńskie więzi.

Powoli budując definicję, można też wspomnieć, że odrzucają tradycyjne wartości, że nie mają idei, o którą mogliby walczyć.

Od tego można zacząć. Ale po chwili trzeba będzie dodać, że mówimy o jednym z najbardziej aktywnych i najczęściej podróżujących pokoleń, jakie mieliśmy.

O pokoleniu najlepiej skomunikowanym, wykorzystującym technologię jako główne narzędzie poszerzania wiedzy. O pokoleniu, które głośniej niż którekolwiek inne mówi o problemach społecznych i ekologicznych. Zbudowanie definicji okaże się niełatwe.

Problem jest już z samą nazwą. Pokolenie A. Ale też pokolenie Z, V albo C. Dzieci YouTube'a. Millenialsi. Generacja multitasking, generacja @. Pojęć obejmujących ludzi dorastających już w XXI w. jest wiele. Tylko że treści w nich jest często dużo mniej. Młodych ludzi definiujemy dzisiaj głównie przez narzędzia, którymi się posługują (smartfon), albo przez te, z których powoli rezygnują (trzepak). Definiujemy ich jako ludzi, którzy nie pamiętają świata bez nowych technologii, bez internetu i mediów społecznościowych. I na cezurze wiekowej, i technologicznej nasze definicje się kończą. Bo każde dalsze uogólnienie, pozytywne czy negatywne, będzie fałszem.

Iza ma 22 lata, mieszka w Krakowie i zawsze mówi wprost. Jak trzeba, to zaklnie: – Do dupy masz ten temat. O nas ciężko powiedzieć, że jesteśmy pokoleniem. Co to miałoby znaczyć? Poza datą urodzenia nie łączy nas chyba tyle, co kiedyś. Nie ma przecież żadnej wiodącej myśli nowego pokolenia.

Może dlatego istnieje jeszcze jedna wersja tego samego pojęcia. Ciche Pokolenie. Pierwsze pokolenie bez definicji.

ŚREDNIA SZEŚĆ ZERO 26 kwietnia 2019 r. Marta oficjalnie ukończyła liceum. Wiem to z Facebooka, bo jej mama udostępniła świadectwo córki. „Dumna mama. Brawo córcia! Teraz tylko matura". Obok skan strony z ocenami. Robi wrażenie – z góry do dołu same szóstki. Średnia 6, zachowanie wzorowe, pole „szczególne osiągnięcia" zapełnione w całości. Obok tego skończona szkoła muzyczna, nauka śpiewu, nagrody w konkursach piosenki. Wunderkind.

Marta ma 19 lat, pochodzi z Gdańska. Gdy ją spytać o świadectwo, mówi, że po prostu ma dobrą pamięć. Gdy ją spytać, co robi w życiu, odpowie, że przetwarza ludzi na słowa. – Starsi ludzie często mówią nam, że nie umiemy słuchać – mówi. – A ja się bardzo staram nie marnować spotkań z ludźmi. Spisuję ich. W tekście, w wierszu, w pamięci.

Pisze dużo. W gimnazjum wydała pierwszy tomik poezji, teraz szykuje drugi. Interesuje się dziennikarstwem, prowadziła blog o muzyce bluesowej, teraz pojawia się na antenie studenckiego radia MORS. Publikuje w mediach społecznościowych. – Ja niekoniecznie pasuję do swojego pokolenia. Nawet listy do dzisiaj piszę, tylko wysyłam je mailem. Stara forma, nowe narzędzia, tłumaczy.

Wiersze najczęściej pisze na maszynie. A potem wyciąga smartfona, robi zdjęcie i wrzuca na Facebooka.

MIASTO – Dzisiaj cały świat jest trochę jak miasto – mówi Iza. – Miliony możliwości.

Pochodzi z małej wsi, ale od kilku lat mieszka w Krakowie. Wyjechała daleko, tak żeby nie opłacało się wracać na każdy weekend. Specjalnie.

Iza: – Miasto to horyzonty. Poznaje się tu mnóstwo osób, a każdą z własnym punktem widzenia. I widzisz od razu, że jednej prawdy nie ma. Że jesteśmy pojedynczymi atomami, a nie jednolitą masą, którą można opisać. Tylko że mnóstwo ludzi się w tym gubi. Mam przyjaciółkę, która od pięciu lat mówi, że chce iść do szkoły aktorskiej. Mam znajomych, od których słyszę, ile to ja rzeczy nie robię. A sami nic nie pociągną. Nie umieją wybrać.

W pracach socjologów coraz częściej spotyka się fragmenty o zagubionej, oszukanej czy porzuconej generacji. Nawet

ARCHIWUM PRYWATNE

IZA, KRAKÓW:
O nas ciężko powiedzieć, że jesteśmy pokoleniem. Co to miałoby znaczyć? Poza datą urodzenia nie łączy nas chyba tyle, co kiedyś. Nie ma przecież żadnej wiodącej myśli nowego pokolenia.

10 proc. dzieci i młodzieży w Polsce ma zaburzenia psychiczne. Nieograniczone możliwości mogą być też przekleństwem.

– A ja potrzebuję mieć takie horyzonty – mówi Iza. – Potrzebuję robić milion rzeczy naraz. Potrzebuję znać ludzi, którzy działają. Wtedy mnie samej też się chce.

Iza fotografuje, pisze, interesuje się filmem. Chce się jej. Chciało jej się, gdy w Krakowie zamykano studyjne kino ARS. Tym, którym na kinie zależało, robiła portrety. By pokazać, ilu ich jest.

Chce się też Marcie na drugim końcu Polski. Dziewiętnastolatka ma za sobą wolontariat w organizacji Ślady Łap i start w wyborach samorządowych. Kandydowała do rady powiatu kartuskiego z listy lokalnego komitetu. Mimo najlepszego wyniku na liście (195 głosów) mandatu nie uzyskała. Ale nie żałuje.

– Ja zawsze czuję, że mam o co walczyć. To jest dla mnie naturalne. Może dlatego sceptycznie odnoszę się do swojego pokolenia. Wydaje mi się, że większość ludzi odpowiada na wszystko obojętnością – mówi Marta. Woli być bezpieczna. Działanie spotyka się z hejtem.

Ona sama, choć nawet nie pamięta PRL-u, była już w sieci nazywana „komuchem" i „czerwoną". Często przez ludzi w swoim wieku.

– To nie jest cecha mojego pokolenia: młodych zawsze pociągały radykalne idee. Były dobrym wyrazem buntu – uważa Marta. – Problem w tym, że dzisiaj często nie ma się przeciwko czemu buntować. Więc buntujemy się trochę na oślep, ulegając zewnętrznym wpływom.

Swoją rolę w tym buncie ma również technologia. Większość młodych ludzi używa internetu jako podstawowego źródła wiedzy. Z badania NASK „Nastolatki 3.0" w 2016 r.: 93 proc. nastolatków codziennie korzysta z internetu, 80 proc. jest stale *online*, 19 proc. uważa youtuberów za lepsze źródło wiedzy niż książki i prasę.

Marta: – Kiedyś dostęp do wiedzy był bardziej ograniczony i kontrolowany. Pokazywano ci drogę do „biblioteki" i tam tłumaczono świat. A dzisiaj internet jest zbiorem i skumulowaniem wszystkich poglądów. I podsuwa drogi do różnych bibliotek. Kilka kliknięć dzieli cię od wiedzy, że Ziemia jest płaska. Tyle samo co od rzetelnej nauki. W ciągu kilku kliknięć jesteś w stanie zakwestionować wszystko, trafić do dowolnej biblioteki. Trzeba uważać, żeby trafić na odpowiednią.

Jeszcze raz raport NASK: ponad 60 proc. nastolatków było świadkiem przemocy w sieci. Jedna trzecia była osobiście wyzywana i poniżana.

WSPÓLNOTA Mówi Iza: – Pamiętam historie mojej mamy z akademika. To nie było tylko miejsce noclegowe. To była cała społeczność, relacje na długie lata. Czasem na całe życie. Dzisiaj to już tak nie wygląda. Nawet ludzie, z którymi studiujesz czy pracujesz, niekoniecznie będą twoimi znajomymi.

Pusty trzepak, puste boisko, puste podwórko – to jedne z najbardziej wymownych obrazów, które mają ilustrować przemianę pokoleniową. I faktycznie ilustrują, zwłaszcza w miastach. Młodzi ludzie nie budują już tak silnych relacji opartych na fizycznej, przestrzennej bliskości. – Nie ma już takiej potrzeby. Miasto daje zupełnie nowe perspektywy budowania wspólnoty. Oparte na wspólnych zainteresowaniach, potrzebach, dopasowaniu charakterów – wyjaśnia Iza.

W samym tylko Krakowie działa kilkadziesiąt szkół jogi, tańca, kilkanaście klubów podróżniczych. To tam chętniej zrzeszają się młodzi ludzie, organizując wspólne wyjazdy z ludźmi podobnymi sobie.

Marta: – Tak się zaczęło moje zainteresowanie dziennikarstwem. Od kółka w Centrum Kultury. ↦

PRZEZ DUŻE „K” Nowe pokolenie ma dziś dużo więcej narzędzi do budowania społeczności. Skutkiem tego jest jedna z największych przemian pokoleniowych w Polsce – stosunek do Kościoła.

W 2018 r. amerykańska instytucja badawcza Pew Research Center porównała religijność ludzi przed i po 40. roku życia w 108 państwach na całym świecie. Okazało się, że jesteśmy jednym z najszybciej ateizujących się narodów. 55 proc. Polaków powyżej 40. roku życia deklaruje, że regularnie chodzi do kościoła. Młodszych – tylko 26 proc. Podobnie jest z innymi pytaniami. „Religia jest dla mnie bardzo ważna” – starsi: 40 proc., młodsi: 16 proc.

Marta: – Nie podoba mi się polityczna droga, na którą wszedł Kościół. Choć przecież od zawsze na niej był. Ale wydaje mi się, że kiedyś Kościół był traktowany jako wspólnota. Przez duże „K”. Był czymś łączącym ludzi. Dziś dominuje rola instytucji, a ta instytucja ma wady, które dla młodych ludzi są nie do przyjęcia.

Iza: – Nie chodzę do kościoła. Nie wiedziałabym po co. Widzę, że w mojej rodzinnej wsi Kościół jeszcze pełni tę społeczną rolę. Że czasem jest jedyną alternatywą poza ławką pod sklepem. Ale w moim życiu po prostu nie mam takiej potrzeby. Zwłaszcza widząc, jak Kościół wygląda dzisiaj.

LAS ZA DOMEM Marta: – Myślę sobie, że my to jesteśmy takim prototypem pokolenia. Takim bezkształtnym zbiorem indywidualności, który dopiero będzie musiał się określić.

– Określić? – dopytuję.

– Tak. Brakuje nam jakiegoś wielkiego, wspólnego doświadczenia. Nie zaznaliśmy ani wojny, ani głodu, ani walki o wolność. Nie mieliśmy tego, co mieli ludzie w 1980 czy 1989 roku. Nie mieliśmy jeszcze swojego egzaminu.

– A w swoim życiu miałaś taki egzamin?

– Doświadczeń pokoleniowych nie mieliśmy – mówi Marta. – Ale są momenty, które wpływają na każdego z osobna. Mój był trzy lata temu. Wiesz, ja się wychowałam sto metrów od lasu. Dorastałam tam. I pewnego dnia usłyszałam piły łańcuchowe. Weszłam do tego lasu miesiąc później, jak skończyli wycinkę. I to było, jakby się wyszło z bunkra po nalocie bombowym. Nie poznałam miejsca. Wtedy stwierdziłam, że chcę walczyć. Że mam o co.

ARCHIWUM PRYWATNE

MARTA, GDAŃSK:
Ja zawsze czuję, że mam o co walczyć. To jest dla mnie naturalne. Może dlatego sceptycznie odnoszę się do swojego pokolenia. Wydaje mi się, że większość ludzi odpowiada na wszystko obojętnością.

– O las za domem?

– A to źle? Dla mnie patriotyzm to nie wzór na koszulce, tylko przywiązanie do mojego miejsca, nieważne jak małego. Może nie mamy wielkich idei ani doświadczeń. Nie musieliśmy walczyć o wolność. Ale zobacz, ile dzisiaj porusza się problemów społecznych. Aspektów tej wolności, nad którymi dalej warto pracować. Środowisko jest jednym z nich.

– Greta Thunberg jest o trzy lata młodsza od ciebie.

– I ostatnio przemawiała w Parlamencie Europejskim. Na co dzień swoje pokolenie oceniam surowo. Wydaje mi się, że na większość rzeczy jesteśmy obojętni. Ale nie wszyscy. Może nawet nie większość. Łatwo tego nie zauważyć, bo do działania napędzają nas małe rzeczy. To, co jest wokół nas. Las za domem. Ale może takim pokoleniem mamy być. Pokoleniem drobiazgów.

WBREW STEREOTYPOM **„Młodzież rzadziej niż ogół Polaków określa się mianem patriotów. To zaskakujące, ponieważ w mediach to właśnie młodzi są utożsamiani z patriotyzmem” – mówi socjolog i analityk CBOS-u dr Rafał Boguszewski w rozmowie o wartościach polskiej młodzieży. Czytaj na powszech.net/pokolenieA**

PATRYK SROCZYŃSKI

PROTOTYP Na koniec proszę Martę o jeden z jej tekstów, spisanej rzeczywistości wokół. Czytam:

„Były przejściami. Traktowane krokami spod peronów. Sykiem ulicznym, prochem na kołach autobusów. Zgrzytem tramwajów. Konieczne. Żyły w szybach pociągów. Zdeptane gdzieś w kałuży chlapały własne buty. Były sobie ciszą, zaległym kurzem między ustami konfliktu. Abstrakcyjne. Spamiętane datami na zdjęciach sznurowały klisze, by w odległościach zmrużyć rysy swoich historii. By móc pamiętać tylko o pamięci. Jedynie biec. Brudzić suchym nosem sine palce ziemi.

Były wersami. Słownikami na półkach, co świeże od piątku do piątku. Skrótowcami – zaczęły się sprowadzać w ułamki niewłaściwe. Dane na ekranach. Czerwone spojrzenia i zwięzły oddech. Niby jednostki, mniej lub mocniej koślawe kreski, a jednak ciemne masy tuszu. Pluły sobie w dłoń. I łańcuchową reakcją przywierały do innych. Fizycznie. Na uczucia nie znalazły wifi.

Były wieloświatowe, a zbyt drobne, żeby zamknąć drzwi. By otworzyć. Żyć.

Czy miały o co walczyć? Czemu się poświęcać? Wolność łykały jak suplementy, czasem jak przy syropie wybrzydzały, ale zaraz oferowano im wolności smaczniejsze, te odpowiednie.

Były kumulacją w totolotku. Milionami zer na liczniku.

A tanga nie potrafiły zatańczyć. Ani przeczytać.

Stagnacja, obojętność, dystans.

Myślały, że tym wygrają. Że niepolityką ugruntują nieskażenie. Że tej ziemi, którą bada suchy nos i sprośny dobrobyt, nic nie usunie spod stóp. Kroków między peronami.

Stały się betonem. Piaskiem w klepsydrach.

Dzieci przedszkoli.

Rewolucjoniści braku.

Pokolenie ostatniej wojny?

Tak będziecie o nas mówić”. ©

KRZYSZTOF STORY

Współpraca: MARTA GOLUCH

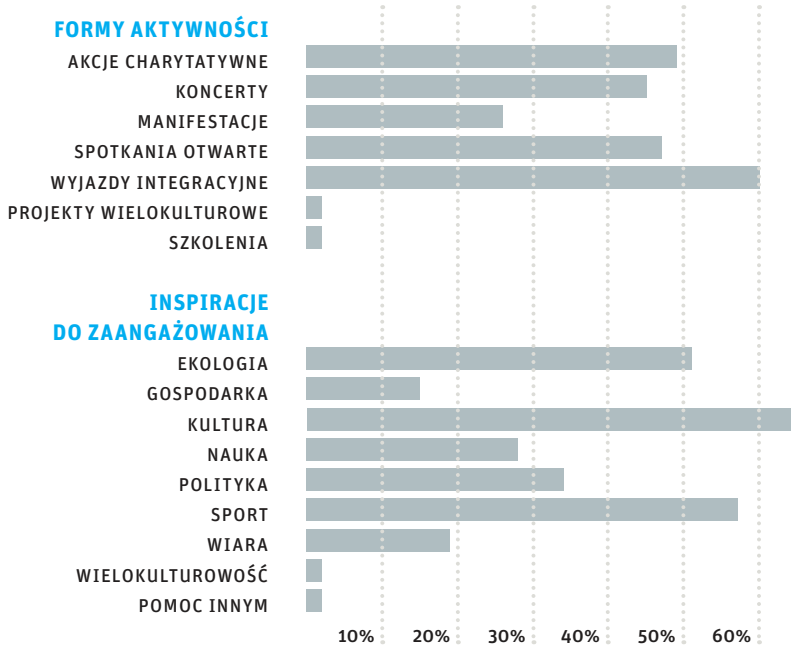

Projekt badawczy na temat młodych w życiu społecznym

przygotowali Filip Biały, Marcin Pera i Paweł Stachowiak – członkowie Klubu „TP" w Poznaniu. Ankieta została zrealizowana w II kwartale 2018 r., debata odbyła się w październiku 2018 r., a podsumowanie projektu zaprezentowane zostało ostatecznie na portalu KlubTygodnika.pl w listopadzie 2018 r. Współorganizatorami projektu były Kluby „Tygodnika Powszechnego", Fundacja Konrada Adenauera i Fundacja Tygodnika Powszechnego. Raport z badań dostępny na stronie www.klubtygodnika.pl.

Obok – wybrane wyniki w procentach z dwóch obszarów (można było wybrać trzy odpowiedzi). Minimalny odzew wśród badanych miała także samoedukacja, technologia, konferencje, działalność w mediach społecznościowych, warsztaty i seminaria.

MARCIN PERA

Przedstawiamy wyniki badań Klubów „Tygodnika Powszechnego" na temat zaangażowania młodych w ruchy społeczne. Oraz krótkie vademecum, jak sprawić, by było ono jeszcze większe.

Jakiego świata chcemy, na jaki nas stać?

Jednym z najważniejszych pytań, jakie zadajemy w Klubach „Tygodnika Powszechnego", jest to o zaangażowanie młodych w kształtowanie społeczeństwa obywatelskiego. Dla nas jest ono jednocześnie zadaniem: co zrobić, by jak najwięcej młodych czuło odpowiedzialność za otaczającą nas rzeczywistość? Jak zachęcić ich, by nie stracili idealizmu, lecz przekształcili go w aktywne działanie? Aby bezinteresowna gotowość do poświęcenia się na rzecz społeczeństwa przeradzała się w konkrety? To jedno z kluczowych zadań, przed którym stoją dziś społeczeństwa Europy. Nie ma bowiem wątpliwości, że brak poczucia obywatelskości, aktywnego przynależenia do demokratycznej wspólnoty wolnych ludzi – to pierwszy krok do rozkładu demokracji.

Traktujemy Kluby „Tygodnika Powszechnego" jako kontynuację, może niekiedy rozwinięcie myśli ojców założycieli „Tygodnika". A skoro pismo przez lata zabiegało o formację w duchu otwartości oraz starało się przygotowywać swoich czytelników do życia w wolnym, niepodległym i demokratycznym kraju, to zadaniem Klubów – obok chrześcijańskiej formacji – jest właśnie dbanie o demokrację i wolność. Dlatego regularnie zastanawiamy się nad aktywnością młodzieży, a także nad ich obecnością w naszych inicjatywach. Stąd wziął się pomysł, by kolejne działania Klubów poprzedzić rzetelną analizą, która pomoże nam w jak najlepszym przygotowaniu kolejnych projektów. W 2018 r. zrealizowaliśmy badanie ankietowe „Młodzi. Jakiego świata chcemy, na jaki nas stać?".

Problem wielu organizacji: średnia wieku rośnie, młodych nie przybywa

Pytanie wskazane w tytule jest ważne z perspektywy zaangażowania młodych ludzi nie tylko w nasze Kluby, ale i w inne organizacje pozarządowe. Wiele z nich boryka się bowiem z podobnym wyzwaniem: średnia wieku osób w nie zaangażowanych rośnie, młodzi zaś angażują się w działania coraz rzadziej. Celem ankiety było więc znalezienie podpowiedzi dla wszystkich Klubów „Tygodnika Powszechnego", ale też innych organizacji zajmujących się tworzeniem przestrzeni dialogu oraz działających na rzecz zwiększenia partycypacji młodych ludzi w kształtowaniu społeczeństwa obywatelskiego. ↦

↦ Ankietę skierowaliśmy przede wszystkim do osób zaangażowanych w inicjowanie projektów i przedsięwzięć z udziałem młodych ludzi. Naszymi respondentami były też osoby, które do takich projektów się przyłączają, np. jako wolontariusze.

Zapytaliśmy o strukturę wiekową i zasięg terytorialny tych inicjatyw oraz jakie realizują rodzaje działań skierowanych do młodych. Staraliśmy się też ustalić, jaka liczba osób angażuje się w te inicjatywy, oraz z jaką częstotliwością i regularnością do nich przystępuje. Celem było również zdiagnozowanie, jakie formy aktywności oraz obszary działalności cieszą się szczególnym zainteresowaniem ze strony młodych. Wreszcie, zapytaliśmy ankietowanych wprost: co zachęca lub zniechęca ich do zaangażowania się w działalność publiczną, jakimi wartościami kierują się poszukując możliwości zaangażowania, a także jakich korzyści poszukują. Nie mniej interesowało nas, jakie są szanse na zwiększenie tej aktywności.

W ankiecie udział wzięło blisko 50 osób, większość w przedziale 20–45 lat, w połowie kobiety i mężczyźni. Większość ankietowanych (63 proc.) żyje w miastach powyżej 500 tys. mieszkańców, na drugim miejscu znaleźli się mieszkańcy wsi (13 proc.), następnie miast 20–50 tys. i 50–100 tys. (po 6,5 proc.). Zdecydowana większość odpowiadających na pytania ma wykształcenie wyższe, zwykle humanistyczne (89 proc.).

Zasięg inicjatyw podejmowanych przez ankietowanych jest najczęściej lokalny (57 proc.) lub ogólnopolski (40 proc.). Najczęściej są to inicjatywy zrzeszające od 11 do 100 osób (w nieco ponad jedną czwartą projektów angażuje się więcej niż 100 osób); ponad 60 proc. zaś deklarowało, że ich zaangażowanie trwa dłużej niż rok.

Ekologia, chęć zmiany i dobro wspólne wśród częstych powodów zaangażowania

Tyle sami zaangażowani. Istotne wydało się nam też pytanie o regularność uczestnictwa – okazało się, że znacząca część pytanych (40 proc.) chce angażować się w działania społeczne co najmniej raz w tygodniu; nieco ponad jedna trzecia wskazała odpowiedź „raz w miesiącu".

Pośród form zaangażowania prym wiodą akcje charytatywne (49 proc.), spotkania otwarte (47 proc.) i koncerty (45 proc.). Znacznie rzadziej wskazywane były wycieczki turystyczne (27 proc.), manifestacje (26 proc.) czy dyskusje panelowe (23 proc.; możliwe było wskazanie więcej niż jednej odpowiedzi). Jako obszary działalności, które inspirują młodych do działania, respondenci wskazywali przede wszystkim zabawę i kulturę (w obu przypadkach ponad 60 proc.), następnie sport (57 proc.), ekologię (51 proc.) i sprawy lokalne (45 proc.).

Działać należy cyklicznie i systematycznie. Intensywniejsze spotkania dają większe poczucie więzi ze wspólnotą.

W pytaniach otwartych ciekawiły nas m.in. przyczyny zaangażowania młodych. Ankietowani najczęściej wskazywali chęć zmiany oraz wpływu na rzeczywistość (38 proc.). Rzadziej wskazywano chęć niesienia pomocy innym (15 proc.) oraz motywacje wynikające z wyznawanych wartości (11 proc.). Pośród innych odpowiedzi znalazły się m.in. naśladownictwo osób dorosłych, poszerzanie własnego doświadczenia i umiejętności, a także względy emocjonalne i charakterologiczne.

W odpowiedziach na pytanie o wartości, którymi ludzie młodzi się kierują poszukując możliwości publicznego zaangażowania, zdecydowanie przeważały wskazania wartości niematerialnych (w sumie ponad 90 proc.): wspólnoty, dobra wspólnego bądź interesu publicznego (15 proc.), empatii (13 proc.), patriotyzmu (11 proc.), wolności (11 proc.), sprawiedliwości (9 proc.), a także prawdy, wiary i poczucia przynależności (po 4 proc.).

Zaangażowanie wiąże się z korzyściami. Zdaniem ankietowanych młodzi podejmując działalność publiczną oczekują najczęściej: poczucia wpływu i osiągnięcia sukcesu (34 proc.), rozwoju osobistego i zdobywania doświadczenia (30 proc.), poczucia uznania i docenienia (28 proc.), rozpoznawalności i popularności (19 proc.), poznania innych ludzi (15 proc.) oraz korzyści finansowych (13 proc.).

Dystans do polityki zniechęca do projektów

Przygotowany raport z ankiety przedstawiliśmy podczas spotkania w siedzibie Fundacji Konrada Adenauera w Warszawie. Raport miał być jedynie przyczynkiem do dyskusji, w której udział wzięli eksperci zajmujący się współpracą z młodymi ludźmi: Karolina Adamska – prezes Fundacji Mam Marzenie; Adam Kądziela – politolog i współzałożyciel m.in. Forum Młodych Nowoczesnych oraz Fundacji Światowego Tygodnia Przedsiębiorczości; Jarema Piekutowski – socjolog i główny ekspert ds. społecznych think tanku Nowa Konfederacja, oraz Marta Walkowska-Lipko – kierowniczka Centrum Wolontariatu Muzeum Powstania Warszawskiego oraz koordynatorka wielu projektów społecznych i medialnych.

Warszawską dyskusję można obejrzeć w całości na stronie Klubów (www.klubtygodnika.pl). Nasi goście różnili się wiekiem i doświadczeniem; co ciekawe, największym pesymistą, jeśli chodzi o zaangażowanie młodych w sprawy społeczne, był Adam Kądziela, najmłodszy uczestnik dyskusji, który w dodatku przez lata angażował się w inicjatywy typowo polityczne.

Uczestnicy rozmowy, korzystając ze swoich doświadczeń i badań, próbowali zdefiniować zainteresowania młodych ludzi, a także starali się wskazać, co ich zdaniem powoduje, że młodzi dokonują takich, a nie innych wyborów politycznych czy też angażują się w określone akcje społeczne.

Spora część dyskusji poświęcona była wolontariatowi młodych – wskazywano m.in. na fakt, że wolontariat w Polsce w ostatnich latach znacząco się sprofesjonalizował.

Dyskutanci mówili też o niechęci młodych do polityki – ich zdaniem lepiej jest kierować aktywność społeczną w stronę inicjatyw niezwiązanych z bieżącymi sporami politycznymi. Skuteczność działań zmierzających do zaangażowania młodych ludzi jest zależna od rodzaju, ale przede wszystkim jakości przedsięwzięć, do których się ich zaprasza. Jednocześnie wskazywali też na niemałe zaniedbania edukacyjne, które mają duży wpływ na samą chęć aktywności społeczno-politycznej.

Szanujmy czas młodych, oni też mają go coraz mniej

Wyniki ankiety pozwalają na umiarkowany optymizm w kwestii obecnego poziomu zaangażowania w działalność publiczną ze strony ludzi młodych. Choć wciąż liczba osób aktywnych wśród

młodzieży oceniana jest jako przeciętna, osoby już zaangażowane działają w sposób trwały, nawet jeśli nieco do życzenia pozostawia regularność ich działań. Oceniając formy i obszary zaangażowania ludzi młodych, można też zastanawiać się, czy prymat aktywności o charakterze rozrywkowym nie oznacza, że młodzież poszukuje przede wszystkim atrakcyjnego sposobu spędzenia czasu wolnego, a dopiero w dalszej kolejności pragnie działać na rzecz dobra wspólnego.

Co zrobić, aby zwiększyć poziom zaangażowania młodzieży oraz przekierować jej zainteresowanie ze sfery rozrywki na inicjatywy np. o charakterze obywatelskim? Pomocne mogą być dwie obserwacje, na które wskazywano w ankiecie. Pierwszym problemem jest niski poziom debaty publicznej i politycznej w Polsce – zatem należałoby podejmować inicjatywy, które sprzyjają podnoszeniu kultury dialogu na temat dobra wspólnego. Drugą przeszkodą jest brak odpowiednich wzorców oraz sposobów zachęcania młodych do aktywności publicznej. Powinno się w związku z tym zadbać, by w podejmowanych inicjatywach młodzi odnajdywali inspirację do działania – także poprzez docenianie ich aktywności.

Podejmując nowe inicjatywy bądź modyfikując już istniejące, trzeba też uwzględnić zainteresowania i sposoby działania dzisiejszej młodzieży. Zbyt często bowiem próbujemy zaprosić ich do inicjatyw, które – nawet jeśli uznają za wartościowe – są dla nich mało atrakcyjne z punktu widzenia spędzania wolnego czasu, którego mają coraz mniej. Konkurencja w postaci szeregu instytucji, które taką ofertę do młodych wystosowują, jest dziś naprawdę spora.

KARI SANTALA / EAST NEWS

OD AUTOSTOPU DO EKONOMII WSPÓŁPRACY. Jak co roku, pod koniec kwietnia ruszył z Poznania wielki wyścig autostopem – tym razem do Czarnogóry. Kilkuset młodych ścigało się „okazjami", aby po dotarciu na miejsce wspólnie bawić się nad Adriatykiem. Do Polski wrócili autokarem. Długą drogę przebył więc sam autostop – w latach 80. i 90. był, z konieczności, zastępczym sposobem przemieszczania się; w pierwszych latach XXI w. sposobem na tanie podróżowanie. Dziś jest głównie zabawą. Ale Polacy wciąż użyczają samochody – a także mieszkania – poznanym przez internet obcym. Popularność serwisów BlaBlaCar i Airbnb to dowód na to, że dla młodych bardziej od posiadania liczy się często użytkowanie. Czy tzw. ekonomia współpracy sprawi, że zawierzymy sobie bardziej?

■ ■ ■

JAK MOGŁOBY BRZMIEĆ NOWE VADEMECUM dla stowarzyszeń zajmujących się pracą z młodzieżą? Podzielę się w tym miejscu wnioskami, które sami wyciągnęliśmy dla siebie w Klubach „Tygodnika Powszechnego".

Uwaga pierwsza: powinniśmy spotykać się częściej – choć większość naszych grup organizuje spotkania raz na miesiąc, wyniki ankiety sugerują, że intensywniejsze spotkania mogłyby przynieść większą korzyść.

Powód? Dają one większe poczucie więzi ze wspólnotą, a także większe poczucie sprawstwa. Działać należy cyklicznie, systematycznie. Przykładem ilustrującym skuteczność tej zasady jest rosnąca popularność kawiarenek klubowych, czyli spotkań odbywających się w niektórych klubach regularnie, raz w miesiącu, w tym samym miejscu i czasie.

Co więcej, warto utrzymywać dystans do polityki – zwłaszcza tej pojmowanej klasycznie. Za to zadaniem Klubów powinny być działania zmierzające do podnoszenia jakości debaty publicznej. Postanowiliśmy też zwiększyć nasze zaangażowanie w działalność charytatywną. Wreszcie, ruch społeczny to przecież nie tylko poważne sprawy, ale i szeroko rozumiana integracja. Trzeba więc znaleźć czas na szeroko rozumianą kulturę i zabawę.

A co z rolą wiary, tak istotnej z punktu widzenia Klubów „TP"? Z naszej ankiety wynika, że tematy religii i wiary niespecjalnie interesują młodych. Wygląda na to, że to właśnie będzie w przyszłości dla nas jedno z największych wyzwań. ©

MARCIN PERA

Autor jest prezesem Stowarzyszenia im. Jerzego Turowicza i koordynatorem generalnym Klubów „Tygodnika Powszechnego".

Życie w dwóch światach

MARIUSZ SEPIOŁO

Wiejska młodzież pozbywa się kompleksów. Ale najzdolniejsi zwykle odpływają do miast – na prowincji nie widzą sojuszników w realizacji marzeń.

Zielony kombajn płynnie wchodzi w zakręt. Kierującego w obiektywie nie widać, zasłania go lekko przyciemniana szyba. Kilka ujęć później za kierownicą pozuje uśmiechnięta dziewczyna w koszulce z logiem YouTube'a. Za chwilę odjedzie razem z załadowaną przyczepą.

Paulina i Magda zarejestrowały koszenie pszenicy w roku 2016, do dziś na ich kanale film obejrzało ponad 576 tys. osób.

– Nasz pierwszy film powstał cztery lata temu – mówi Paulina z duetu sióstr agro-youtuberek. – Znajomi pomogli nam nauczyć się działania programu do obróbki filmów i obsługi pierwszej kamery. Na początku oglądalność była mała, ale dzisiaj wokół kanału utworzyło się duże grono odbiorców. Podczas targów rolniczych ludzie nas rozpoznają, podchodzą pogadać, zrobić wspólne zdjęcie.

Na wsi mieszkają od urodzenia i od kiedy pamiętają, kochają rolnictwo. – Od małego rodzice zabierali nas w pole i pokazywali, jak ważna jest praca na roli. Wszystkiego nas nauczyli – mówią.

Przeciwko wsi i pracom rolniczym się nie buntują, inaczej niż wielu ich znajomych, którzy tylko czekają, żeby uciec do miasta. – Z zamiłowaniem do rolnictwa trzeba się urodzić. Dziś nie wyobrażamy sobie życia w mieście. Chcemy tu zostać. Uczymy się w szkole w Lublinie, ale potem wrócimy na wieś na stałe.

„*I want to be connected*" („chcę być połączona") – śpiewa wokalistka w tle filmiku Pauliny i Magdy. A nad podwórkiem zastawionym maszynami unosi się dron.

W dostępie do technologii zacierają się granice wieś–miasto

Młoda polska wieś to miejsce kontrastów. Żyją tu młodzi, którzy wymykają się schematom. Ich zamiłowanie do życia na wsi i do pracy w rolnictwie jest elementem stylu, może nawet filozofii życia. Świadomie rezygnują z miasta (staje się ono tylko przystankiem, etapem w karierze). Często dysponują takimi samymi środkami, taką samą wiedzą, technologiami, jak młodzi w mieście.

– Na wsi żyje się coraz lepiej – mówi Magda, druga z agro-youtuberek. – To nie są już czasy, kiedy w gospodarce wszystko trzeba było robić rękoma. Dziś są do tego środki, narzędzia i sprzęty. Ale nawet jeśli ktoś nie wiąże przyszłości z rolnictwem, a lubi spokój, ciszę i naturę, to wieś jest dla niego idealnym miejscem.

Kanałów takich jak ten Pauliny i Magdy jest w polskim internecie więcej. Dla wielu młodych wiejskie pochodzenie i zajęcia nie są dziś powodem do wstydu.

Z drugiej strony, wieś ciągle dla zbyt wielu staje się przeszkodą, trudnym startem, bagażem. Miejscem, które nie sprzyja rozwojowi. Nadal zbyt często zdarza się, że tylko wybitne jednostki, „liderzy" są w stanie przełamać bariery oddzielające ich od poziomu życia równolatków z miast.

Za pracę na roli biorą się wykształceni młodzi ludzie

W 2017 r. Fundacja Wspomagania Wsi opublikowała raport, z którego wyłania się obraz nieco bardziej szary niż z radosnych filmów na YouTubie. Zdolni, pracowici i odważni najczęściej ze wsi wyjeżdżają.

Ci, którzy na wieś napłynęli, nadal utrzymują się z pracy w mieście. Mrzonką okazała się idea, w której wielu pokładało nadzieję, czyli e-working. Młodzi pracujący w biznesie internetowym, posiadający specjalistyczne kompetencje, przenoszą się z nimi do miasta. Reszta uciekających do metropolii w poszukiwaniu lepszego losu ma wciąż duże szanse zasilić szeregi „biednych pracujących" w telemarketingu.

Tym bardziej dziwić może przywiązanie do miejsca zamieszkania. Z badań CBOS z 2015 r. wynika, że 34 proc. młodych chciałoby mieszkać na wsi, a co szósty (16 proc.) w małym miasteczku. Większość już mieszkających na wsi chce tam pozostać, inni deklarują, że chętnie przeprowadziliby się do małego miasteczka. W parze idzie więc marzenie o lepszej pracy w mieście z marzeniem o domku w urokliwej miejscowości.

Młodsze pokolenie nie zawsze garnie się do integracji z sąsiadami. Wprowadzona w 2018 r. ustawa o kołach gospodyń wiejskich miała przyciągnąć młode kobiety, m.in. przez możliwość uzyskania dotacji i prowadzenia działalności gospodarczej. Po niemal pół roku okazuje się, że w dużej części kół działają te same gospodynie. Jedna z nich, z województwa kujawsko-pomorskiego, mówi: – My się w prowadzenie biznesu nie chcemy bawić. A młode dziewczyny się do nas nie garną. Mieszkają na wsi, ale pracują w mieście albo wychowują dzieci. A do pracy w kole trzeba pasji. Dla młodych chłopców z obszarów wiejskich centrum życia ciągle stanowi Ochotnicza Straż Pożarna.

Adam Nowak w wieku zaledwie dziesięciu lat rozpoczął przygodę z OSP w swojej miejscowości w powiecie pajęczańskim (woj. łódzkie). Będąc w pierwszej klasie szkoły średniej pełnił funkcję marszałka XIII Sesji Sejmu Dzieci i Młodzieży. W klasie maturalnej został stypendystą ministra edukacji. Na studia przyjechał do Warszawy, od razu zaczął też działać w Związku Młodzieży Wiejskiej. Dziś jest jego prezesem.

– W tygodniu pracuję w Warszawie, w piątki, soboty i niedziele działam w środowisku wiejskim. Dlatego uważam, że mam na oba te światy przekrojowe spojrzenie – mówi. – Polska wieś bardzo się zmienia. Ogromną rolę w tym procesie odegrały środki unijne. Więcej: wieś bardzo często nie ustępuje miastu pod wzglę-

MATT DUNHAM / AP / EAST NEWS

MÓWIĄ, ŻE WZOREM BYŁ DLA NICH GANDHI. A także: sufrażystki i amerykański ruch praw obywatelskich. Nazwali się Extinction Rebellion – „Buntem przeciwko Wyginięciu" (na zdjęciu: w Londynie przed Bank of England). Są chyba jedynym masowym ruchem społecznym, który powstał z inspiracji naukowców. Po alarmujących raportach klimatologów w 2018 r. młodzież całego świata – pierwsza generacja, która w drastyczny sposób może odczuć skutki zmian klimatu i nieregularnych zjawisk pogodowych – zaczęła protestować przeciw bezczynności starszego pokolenia. Za Gretą Thunberg, 16-letnią Szwedką, która przemawiała na szczycie klimatycznym w Katowicach, w Davos czy (ostatnio) w brytyjskim parlamencie, powtarzają: jeśli politycy zlekceważą wezwania naukowców, „sprawią ludzkości największy zawód w całej jej historii". Symbolem ruchu Extinction Rebellion jest klepsydra – o tym, że „czas płynie" i niedługo może być za późno na działanie, przypominają starszym też podobne ruchy: Momentum czy Młodzieżowy Strajk Klimatyczny.

dem rozwojowym czy przestrzeni do życia. Trzeba jednak przyznać, że cały czas istnieją bariery: terytorialne, w dostępie do usług i dóbr, do kultury, administracji czy sportu. Największa dotyczy edukacji i studiów wyższych. Na wsi funkcjonują silni i zdolni liderzy, którzy poradzą sobie w każdej sytuacji, a jednocześnie ciągle problemem jest sytuacja młodych NEET [ang. *not in employment, education or training* – red.], którzy pozostają poza systemem: nie uczą się, nie pracują, nie przygotowują się do zawodu.

W wielu miejscowościach ciągle istnieją problemy komunikacyjne. Są nadal gminy bez połączenia kolejowego. Adam Nowak przyznaje, że jako młody chłopak nie miał problemu z przenoszeniem się ze szkoły wiejskiej: liceum kończył w Częstochowie, z którą jego wieś łączyła wówczas linia kolejowa. Zmiana szkoły, otoczenia, znajomych, hartowała, dawała doświadczenie. Według prezesa ZMW właśnie droga między szkołą wiejską a tą w większym mieście jest elementem, który decyduje o sukcesie karier młodych pochodzących ze wsi.

– Znają życie w obu światach – mówi Nowak. – Mają przewagę, bo potrafią odnaleźć się w jednym i drugim środowisku.

W nowych warunkach funkcjonują dziś ci, którzy łączą swoją przyszłość z rolnictwem. Dawniej przeszkody w zdobyciu wykształcenia powodowały, że do miasta, na studia wyższe trafiały najzdolniejsze dzieci w rodzinie, a zostawali ci stosunkowo mniej zdolni. Dziś za pracę w gospodarstwie biorą się wykształceni młodzi ludzie. Sama praca jest w dużym stopniu zmechanizowana. Na wsiach nie ma już kilkunastu młodych rolników. Jest dwóch-trzech, którzy prowadzą większe gospodarstwa, reszta odpłynęła do innych sektorów. Wieś staje się wielofunkcyjna i wielodochodowa.

Dlaczego instytucje wciąż nie ufają ludziom

Szymon Migoń ma 23 lata i studiuje w Krakowie. W rodzinne strony często wraca, bo działa w OSP i Związku Młodzieży Wiejskiej. Stary Kocin otoczony jest lasami, polami, w centrum jest szkoła, remiza, plac zabaw i boisko. Mieszkańcy ciągle żyją z rolnictwa i ogrodnictwa, ale znakiem nowych trendów są odważne biznesy: salon kosmetyczny, wypożyczalnia samochodów czy auto-spa. Jest też przeszłość pod postacią wykluczenia, dysfunkcji, nadużywania alkoholu.

– Hadziuków jak z „Rancza" nie brakuje. Powszechne jest obleganie sklepowych ławek, picie „małpek" i tanich win – mówi Szymon, a potem dodaje: – W dzieciństwie życie na wsi było sielanką. Wystarczył rower, piłka, budowanie baz w lesie czy dzikie kąpiele. Dorosłość przyniosła inne spojrzenie na świat. Społeczeństwo stało się bardziej nieufne i zamknięte. Nasi rodzice przed pójściem do szkoły musieli wyprowadzić krowy i pomóc w codziennych gospodarskich obowiązkach. Dzisiaj dzieci są wszędzie podwożone pod same drzwi.

Szansę na rozwój mają ci z iskrą do działania: – Sam pochodzę z rodziny społeczników, od najmłodszych lat jestem członkiem OSP, działam w ZMW. Na mnie i na innych młodych ze Starego Kocina wpływ wywarła również świetlica wiejska. Wszelkie prace remontowe musieliśmy wykonać sami. Pomalowaliśmy naszą salkę, położyliśmy gumolit, zmieniliśmy płótno w stole do bilarda. Nauczyło nas to radzić sobie z codziennymi obowiązkami. Jeśli los rzuci mnie w jakieś inne miejsce, na pewno w przyszłości wrócę do Kocina.

Autorzy badań wykonanych w ramach programu „Równać szanse" sprzed ośmiu lat wymieniają deficyty, z którymi muszą się borykać młodzi na wsi. Na ich czele jest dziś ten w relacjach z instytucjami. Gminy i organizacje pozarządowe rzadko rozumieją potrzeby młodych, nie wychodzą z inicjatywą („przecież każdy może ↦

↦ przyjść"), nie darzą młodych zaufaniem, co z kolei powoduje, że ci nie stają się pełnymi uczestnikami życia społecznego.

Program „Równe szanse" powstał w 2001 r. Ma niwelować te deficyty, młodym z małych miejscowości pomagać rozwijać skrzydła. Organizacje pozarządowe z miejscowości do 20 tys. mieszkańców mogą liczyć na dofinansowanie i wsparcie projektów. Z programu korzysta Ania Mądrawska z małej wsi w woj. wielkopolskim. Chodzi do ósmej klasy szkoły podstawowej. Jako jedna z tysięcy uczniów z 226 szkół pisze „Cyfrową Dziecięcą Encyklopedię Wielkopolan".

– Moje życie nie różni się pewnie od życia młodych w mieście – mówi. – Chodzę na spotkania projektowe, spotykam się z przyjaciółmi, czytam książki u siebie w domu, gdzie czuję się najlepiej. Pomagam rodzicom, zajmuję się papugami, chomikiem, psem. Ale jeśli chodzi o przyszłość, nie jest już tak kolorowo.

Ania bardzo dobrze się uczy, ale w najbliższej okolicy nie ma odpowiadającej jej poziomowi szkoły średniej. – Nie chcę się uczyć daleko od domu, a jednocześnie w mojej okolicy nie mam wielu możliwości – mówi. – W mieście nie czuję się źle, ale myślę, że nie mogłabym w nim mieszkać. Jestem przyzwyczajona do wsi, lubię ją, lubię jej spokój, tu mam poczucie, że nic mnie nie ogranicza. Cały czas myślę i szukam, kim mogłabym być, co robić.

Dr Krzysztof Wasielewski, socjolog z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, badał m.in. młodzież wiejską na uniwersytecie, modele aktywizacji wsi i wiejską inteligencję. – Zdolni, wyedukowani ze wsi migrują i nie chcą wracać – mówi. – Drenaż środowiska wiejskiego, zwłaszcza jeśli dotyczy regionów niezbyt rozwiniętych, jest szczególnie dotkliwy. A że na studia wyjeżdżają częściej kobiety niż mężczyźni, to pojawia się problem nie tylko starzenia obszarów peryferyjnych, ale też maskulinizacji. Ten problem staje się poważniejszy, paradoksalnie, przez proces równania szans dla młodzieży wiejskiej.

Według socjologa, pod względem poziomu edukacji wieś coraz bardziej dorównuje miastu. – Oczywiście, kariery ludzi pochodzących ze wsi są stosunkowo gorsze od tych, którzy wychowali się w mieście, ale wynika to raczej z kwestii statusu rodziców – dodaje Wasielewski. – Na uniwersytetach jest coraz więcej młodzieży wiejskiej, która nie ma kompleksów. Dawniej źródłem wartości dla młodych była wieś, a różnice między stylami życia były niewielkie. Z jednej strony petryfikowało to społeczną strukturę wsi, z drugiej utrwalało dystanse i nierówności. Dziś rozwój telewizji, internetu, możliwość łatwiejszego podróżowania sprawiły, że źródłem wartości i punktem odniesienia stała się zagranica i popkultura, a więc *de facto* środowisko wielkomiejskie. W przyszłości pokolenie młodych ze wsi będzie takie samo jak pokolenie dzieci miejskich. Młoda wieś dogania miasto.

W poszukiwaniu przewodników, partnerów i wspólników

Czy młodzi, trafiając na studia do dużego miasta, przyjmują miejskie style życia? – Jest to raczej proces ewolucyjny, nie rewolucyjny. W dalszym ciągu młodzież wiejska, robiąca kariery w mieście, w dużej części pozostaje dość konserwatywna i zachowawcza. Niekoniecznie pod względem poglądów, ale raczej w podejmowaniu decyzji – tłumaczy dr Wasielewski. – Młody człowiek, który, by znaleźć się na studiach, pokonał szereg barier na drodze ze wsi do miasta, w dorosłym, samodzielnym życiu będzie mniej skłonny do ryzyka. W tzw. wyścigu szczurów nie jest jednostką najbardziej przebojową. Ma zwykle nieco niższe oczekiwania wobec wynagrodzenia.

– Nie od dziś wiemy, że w Polsce zmiany w edukacji dokonuje się *ad hoc* – mówi Adam Nowak z ZMW. – Powinniśmy patrzeć na Skandynawię, gdzie system szkolny opiera się na wieloletnich procesach, lub Stany Zjednoczone, skąd możemy czerpać pomysły na pracę z dziećmi i młodzieżą.

Jednym z najważniejszych wniosków, wynikających z badań w ramach programu „Równać szanse", był deficyt relacji społecznych. Młodym brakuje kilku typów osób, z których obecności mogliby korzystać. Nie ma „przewodników", bo „rodzice abdykowali, nauczyciele skupiają się na edukacji, młodzi dorośli musieli wyjechać w poszukiwaniu pracy". Nie ma „partnerów", bo instytucje w większości realizują projekty dla młodzieży, rzadko z młodzieżą. Brakuje „sojuszników" – starszej młodzieży i otwartych dorosłych, którzy traktowaliby młodych poważnie. I „wspólników", bo gdy młodzi mają pomysł na siebie, pojawia się problem ze znalezieniem kompanów do działania.

Według Adama Nowaka budowanie świadomego, obywatelskiego społeczeństwa na wsi musi się odbywać od podstaw. Przedstawiciele ZMW byli w Teksasie, gdzie podpatrywali model zwany „klubami 4H". *Head* oznacza głowę, pochwałę rozumu. *Heart* to serce, czyli empatia i zrozumienie drugiego człowieka. *Hands* to kult pracy rąk. Oraz *health* – zdrowie, bo dziś na wsi warto stawiać na ekologię i bezpieczną, zieloną energię.

– Marzy nam się, by taki model wdrażać wśród najmłodszego pokolenia na polskiej wsi – mówi Nowak. – Młody człowiek, który przejdzie taki cykl i nawet przeprowadzi się do miasta, będzie miał pełną wiedzę o zjawiskach społecznych i gospodarczych zachodzących na wsi i w mieście. Jeśli zostanie na wsi, będzie miał świadomość, że musi szanować siebie, innych, naturę, produkować zdrową żywność. A jeśli zostanie w mieście na dłużej, ale wróci na wieś w wieku 60 lat, to nie będzie miał problemu z reasymilacją. W Teksasie, dzięki tej metodzie wychowawczej, udało się zbudować silną grupę rolników-liderów. To trudne, może trochę utopijne, ale trzeba wierzyć, że możliwe.©

MARIUSZ SEPIOŁO

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 19/2019

REDAKCJA Marcin Żyła
OKŁADKA I FOTOEDYCJA Grażyna Makara
PROJ. GRAFICZNY Marek Zalejski | SKŁAD Marta Bogucka
KOREKTA Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk

NA OKŁADCE Sylwia Czupryńska (ur. 1996) i Michał Ślusarczyk (ur. 1995). Sylwia studiuje geografię, w przyszłości chciałaby pracować w branży turystycznej. Michał jest studentem inżynierii środowiska; pracuje jako ratownik na uczelnianym basenie, w wakacje zaś – w Norwegii. Oboje pochodzą ze Świętokrzyskiego. Wynajmują mieszkanie w Krakowie, ale myślą o przeprowadzce do Warszawy.

PARTNER KONRAD ADENAUER STIFTUNG

PUBLIKACJA POWSTAŁA WE WSPÓŁPRACY Z PRZEDSTAWICIELSTWEM KOMISJI EUROPEJSKIEJ W POLSCE

Komisja Europejska

Alfabet pokoleń, czyli co zmieniły technologie

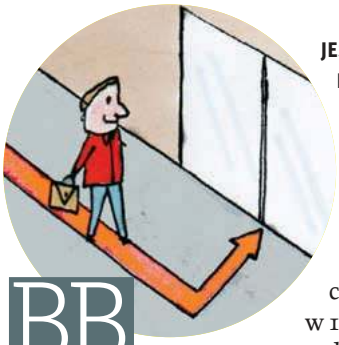

BB

JEŚLI POTRAKTOWAĆ WYMIANĘ POKOLEŃ jako niekończącą się opowieść o kontynuacji i zmianie, opowieść o dzisiejszej polskiej młodzieży trzeba zacząć od... dorosłych. A ściślej: od generacji *baby-boomers*, czyli osób urodzonych w 1964 r. i wcześniej. Od początku transformacji ustrojowej stanowiły one główny punkt odniesienia dla następnych pokoleń, w większości wchodzących już w dorosłość w wolnej Polsce. Choć młodość *baby-boomers* przypadła na lata komunizmu, przedstawicieli tej generacji cechują niezależność, optymizm, zaangażowanie i umiejętność patrzenia na problemy z szerokiej perspektywy (opisując to i kolejne pokolenia, socjologowie posługują się, rzecz jasna, uogólnieniami). Wychowywali się w stabilnym, tradycyjnym systemie edukacji; pomimo trudnych warunków ustrojowych w większości mogli być pewni zatrudnienia. Do dziś cechuje ich niechęć do zmiany miejsca pracy – ta statyczność wpływa też na niechęć do otrzymywania informacji zwrotnych. Dla *baby-boomers* duże znaczenie mają w życiu stałe autorytety, również oni sami chętnie przekazują swoje doświadczenie młodszym pokoleniom. Uznawani za indywidualistów i idealistów, źle czują się w sytuacji konfliktu. Obecnie stopniowo opuszczają już rynek pracy.

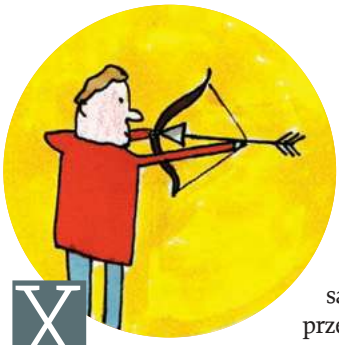

X

TO OSOBY URODZONE W LATACH 1965-79. W odróżnieniu od *baby-boomers*, w życiu zawodowym i prywatnym są ukierunkowani nie na sam proces i przebieg, lecz przede wszystkim na cel. Ich najważniejszą cechę wymusił czas rewolucji technologicznej, w której dorastali lub z którą zetknęli się w pierwszych latach życia zawodowego – to pokolenie przejściowe, które było świadkiem upowszechnienia się internetu i telefonów komórkowych. W kwestii komunikacji łączą więc cechy starszych i młodszych: sprawnie korzystają z technologii, lecz wciąż najbardziej ufają kontaktom bezpośrednim. Wielu przedstawicieli pokolenia X dorastało w czasach kryzysu gospodarczego; z drugiej strony, już po 1989 r. jako pierwsi mieli szansę wejścia na szybką ścieżkę kariery i zakładania własnych firm. Jest wśród nich wielu pracoholików o wysokim standardzie pracy, wymagających też wiele od innych. Niechętnie zmieniają miejsce pracy – ich najważniejszą motywacją jest chęć rozwoju stabilnej kariery.

Y

OD TEJ GENERACJI WSZYSTKO PRZYSPIESZA. „Igreki" – nazywani też „pokoleniem millenialsów" – to ludzie urodzeni w latach 80. Jest to pierwsze pokolenie uznawane przez socjologów za otwarte na zmiany w miejscu pracy, posiadające umiejętność „naturalnego" dostosowywania się do nowych warunków. W mniejszym stopniu niż starsi są przywiązani do autorytetów; aby takim dla nich zostać, nie trzeba znajdować się wyżej w hierarchii. „Igreki" cenią otwartość na dyskusje i równe warunki pracy – aby przedyskutować jakiś problem siadają w kole, w którym każdy występuje na równych prawach. Jako pierwsi przynajmniej częściowo płacili za swoją edukację – jednak dzięki temu stali się też bardziej świadomi swojej wartości na rynku pracy. Zdarza się jednak, że mają nierealistyczne oczekiwania wobec pracodawców. To też pierwsze pokolenie, w którym zaobserwowano większą skłonność do rozwodów.

Z

NAJMŁODSI: PRZYSZLI NA ŚWIAT JUŻ PO 1990 R. Czasem opisuje się ich przy pomocy litery „C" – od angielskich *connect*, *communicate*, *change* (ale także: *computerized*, *community-oriented*, *always clicking*). Właśnie siecowość struktur społecznych, możliwość bezpośredniej komunikacji oraz funkcjonowanie w gwałtownie zmieniającej się rzeczywistości – to naturalny społeczny ekosystem tej generacji. Jej przedstawicieli opisuje się jako otwartych na nowe rozwiązania. To także pierwsza generacja, która nie pamięta świata bez internetu i nowych technologii – często zaciera się więc dla niej granica między światem wirtualnym i rzeczywistym, a psychologowie społeczni wskazują też na ich problemy z koncentracją. Możliwość utrzymywania kontaktów w internecie powoduje, że czerpią wzorce nie tylko od osób starszych, ale także od osiągających sukcesy rówieśników. Ciągły dostęp do komunikacji *online* nie zawsze sprzyja jednak nawiązywaniu i utrzymywaniu kontaktów w świecie rzeczywistym. Mimo dominacji technologii socjologowie obserwują wśród tego pokolenia także „powrót do natury" – wysoką świadomość ekologiczną, popularność sportu oraz spędzania wolnego czasu w otoczeniu przyrody.

OPRAC. MARCIN ŻYŁA / RYSUNKI PATRYK SROCZYŃSKI

BENJAMIN EALOVEGA / MATERIAŁY PRASOWE

Wiktoria Mułłowa

NOSPR

Festiwal Katowice Kultura Natura

10—19.05.2019

kulturanatura.eu

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Tajemnicza, nieskończona, pociągająca

JAKUB PUCHALSKI

Mówię: nie! – Co ona mówi? – Mówi, że mówi: tak!

Joannę sądzą bestie: świnia, baran i osioł. To – choć scena jedynie recytowana – jedna z kulminacji oratorium „Jeanne d'Arc au bûcher". Dzieło Arthura Honeggera do słów Paula Claudela zabrzmi podczas festiwalu Katowice Kultura Natura, który trwać będzie od 10 do 19 maja. Impreza otrzymała tytuł „Kobieta" – więc nie zabraknie w programie ani utworów programowo roztrząsających nieogarnialny temat kobiecości, ani muzyki tworzonej przez kobiety. Kobiety pojawią się także wśród wykonawców – w tym na podium dyrygenckim, na czele londyńskiej orkiestry The Philharmonia. Lecz festiwal to przede wszystkim wybór znakomicie zapowiadających się koncertów, dla których temat jest raczej pretekstem, a nie wyznacznikiem limitów. Kobiecość zresztą też nie zna granic.

Symfoniczne rezydencje

Specyfiką KKN jest zapraszanie wybitnych zespołów, które – grając dwa różne koncerty – pełnią funkcję orkiestry rezydencjonalnej festiwalu (obok naturalnie NOSPR, będącej gospodarzem imprezy). W tym roku rolę tę przyjmie Mozarteumorchester Salzburg, prowadzona obecnie przez sławnego skrzypka barokowego i dyrygenta Riccarda Minasiego. Do niedawna znaliśmy go jako założyciela grupy Il Pomo d'Oro, ale od dwóch lat w znacznej mierze koncentruje się na późniejszym repertuarze jako kapelmistrz – właśnie w mieście Wolfganga Amadeusza. Orkiestra Mozarteum nie jest wprawdzie zespołem instrumentów historycznych, patrzy jednak na muzykę od strony klasycznej przejrzystości i energii – także na muzykę romantyczną. W Katowicach zespół wykona dwa programy: pierwszy w całości poświęcony symfoniom Haydna (dwie symfonie o kobiecej tematyce: „La Roxelane" Hob. I:63 oraz „La Reine" Hob. I:85), drugi natomiast muzyce wczesnego romantyzmu – w połowie także kobiecej, bo przez niewiasty skomponowanej. Zabrzmi tu Uwertura C-dur Fanny Mendelssohn, sławnej ze swych muzycznych talentów podobnie jak jej brat Felix, której jednak rodzinne przeznaczenie odmówiło podobnej kariery, oraz Koncert fortepianowy a-moll op. 7 Clary Schumann, a właściwie Clary Wieck, bo utwór skomponowany został jeszcze przed jej małżeństwem z Robertem Schumannem. Koncert należy jeszcze do stylu *brillant*, co oznacza, że nacisk spoczywa tu na błyskotliwej efektowności: słychać, że to dzieło najwybitniejszej pianistki swoich czasów, jednakowoż – dzięki finałowemu polonezowi – potrafiącej nadać muzyce podniosły wdzięk. Program dopełni błyskotliwa i najpopularniejsza symfonia Feliksa Mendelssohna, „Włoska".

Mozarteum będzie rezydować na festiwalu, nie będzie jednak jedyną goszczącą w Katowicach orkiestrą. W tym roku pojawi się tam również wielki zespół symfoniczny: sławna The Philharmonia z Londynu. Poprowadzi ją odnosząca coraz większe sukcesy dyrygentka Alondra de la Parra – młoda dynamiczna Meksykanka, która przelewać będzie swój temperament w Koncert skrzypcowy Sibeliusa, V Symfonię Czajkowskiego oraz nowy utwór Gabrieli Ortiz „Téenek – Invenciones de territorio" (obecność południowoamerykańskich kompozycji jest znakiem rozpoznawczym programów kapelmistrzyni). W Koncercie Sibeliusa usłyszymy natomiast jedną z najznakomitszych współczesnych skrzypaczek, Wiktorię Mułłową. Ostatnio zajmuje się ona chyba głównie repertuarem XVIII-wiecznym, ale sławę zdobyła w późniejszym, będąc w nim kontynuatorką szkoły rosyjskiej, z której się wywodzi (studiowała u Leonida Kogana).

Obok zespołów gościnnych nie można zapomnieć też o gospodarzu festiwalu –

MARCO BORGGREVE / MATERIAŁY PRASOWE

Mikołaj Ługański

CH. PLEDGER / MATERIAŁY PRASOWE

Sarah Connolly

Narodowej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia. To właśnie NOSPR zaprezentuje wspominane na początku oratorium „Joanna d'Arc na stosie". Świetnie, że dzieło to po latach wraca na estradę – jeden z najsłynniejszych i największych utworów kompozytora w swoim czasie bardzo wysoko cenionego i popularnego, o którym w ostatnich dekadach zadziwiająco zapomniano. Niesłusznie! Wciąż jest równie efektowny, jak ponad pół wieku temu, a dramat zadziwiającej dziewczyny, otoczonej przez niepojęty świat (z takiej pozycji, „ze szczytu stosu", przedstawił tę postać Paul Claudel), pozostaje wstrząsającym doświadczeniem. Na dodatek utwór niesie też rzadką okazję posłuchania na żywo fal Martenota, przedwojennego instrumentu elektronicznego, którego możliwości chyba wciąż mogłyby być z powodzeniem wykorzystywane przez twórców.

Ukłonu w kierunku tematu festiwalu nie zabraknie też na następnym koncercie NOSPR, gdzie znajdzie się repertuarowy rarytas – scena liryczna „Śmierć Kleopatry" Berlioza, wraz z popularną uwerturą-fantazją Czajkowskiego „Romeo i Julia" oraz wyjątkowym dziełem Strawińskiego, operą-oratorium „Król Edyp". Wszystkimi koncertami katowickiej orkiestry dyrygować będzie jej dotychczasowy szef – a zarazem dyrektor artystyczny festiwalu – Alexander Liebreich.

Solo i w towarzystwie

Obok orkiestr gościnnych drugą specyfiką festiwalu jest organizowanie tak niepopularnych w polskich programach filharmonicznych recitali. W tym roku ponownie będziemy mieli dwa – co także staje się tradycją – fortepianowy i wokalny. W pierwszym wystąpi Mikołaj Ługański – rosyjski artysta, o bardzo ciekawej, oryginalnej wyobraźni, który przedstawi program w połowie rosyjski (sonaty Skriabina i Preludia op. 23 Rachmaninowa – to z pewnością specjalność pianisty), a w połowie francuski (Franck i Debussy). Drugi to pieśniowy koncert znakomitej Sary Connolly, podczas którego usłyszeć będzie można niezwykle interesujący, wysmakowany program, spięty klamrą niemieckiego romantyzmu (sławny cykl „Miłość i życie kobiety" Schumanna wraz z wyborem pieśni Hugona Wolfa oraz przejmujące, również w nastroju bardzo schumannowskie „Sechs Gesänge" op. 13 Alexandra von Zemlinsky'ego, do słów Maeterlincka), a wypełniony w środku utworami francuskimi: Alberta Roussela oraz sławnymi „Chansons de Bilitis" Debussy'ego.

Inną tradycją jest koncert kameralny – tym razem czeka nas występ słynnego Jerusalem Quartet. W programie kwartety Haydna (G-dur, Hob. III:75), Bartóka (Piąty; z kompletem wszystkich sześciu, będących arcydziełem kameralistyki XX wieku, zespół wystąpi w londyńskiej Wigmore Hall), a wreszcie nadzwyczaj efektowny, porywający wręcz Kwartet F-dur „Amerykański" Antonína Dvořáka. Ten wieczór publiczność z pewnością zapamięta szczególnie.

Czego nie może zabraknąć

Środowisko górnośląskie to silny ośrodek muzyki współczesnej, na katowickim festiwalu nie może więc zabraknąć i nowej twórczości, choć tylko częściowo lokalnej. Śląska Orkiestra Kameralna pod kierunkiem Roberta Kabary wykona „GG Concerto" Hanny Kulenty na klawesyn i orkiestrę smyczkową (solistką w utworze znakomitej polskiej kompozytorki osiadłej w Holandii będzie Gośka Isphording), a także Eugeniusza Knapika „Przystępuję do ciebie" na mezzosopran i orkiestrę kameralną, do słów Edwarda Stachury (partię solową zaśpiewa Urszula Kryger). Drugą część koncertu wypełni znacznie bardziej tradycyjna, ale zarazem efektowna Serenada symfoniczna Ericha Wolfganga Korngolda – utwór niezwykłego cudownego dziecka kompozycji z początku XX wieku, które później ukształtowało muzyczne oblicze Hollywood.

Festiwal nie może obyć się także bez koncertu adresowanego do miłośników jazzu – tym razem jednak występ w ramach tego pasma powinien zgromadzić melomanów otwartych na mieszanie stylów lub poszukujących właściwego dla siebie języka, bo Youn Sun Nah to wokalistka tworząca muzykę nadzwyczajnie eklektyczną. Koreanka i frankofonka, chcąca wpierw śpiewać paryskie *chansons*, choć rozpoczęła karierę od występu z muzyką gospel, czerpie zarówno z jazzowej swobody i jazzowych technik, jak też z muzyki tradycyjnej (nie tylko koreańskiej), swych ulubionych piosenek znad Sekwany, a nawet muzyki klasycznej. Galimatias? Raczej nowa jakość.

Podobnie eklektyczny okazuje się program całego festiwalu – bo i eklektycznie brzmi temat: jedyne, co można z pewnością powiedzieć o kobiecości, to że ma wiele twarzy. Nieskończenie. ©

KATOWICE KULTURA NATURA *(10-19 maja): szczegóły programu na stronie kulturanatura.eu*

W CIENIU ZAKWITAJĄCYCH WUJASZKÓW

WERONIKA MUREK, PISARKA:

Polska kultura jest dosyć zwujowiała, a nawet wujowa w swojej esencji. To wujek okazywał się zazwyczaj najbardziej przystępną częścią naszej symbolicznej, polskiej rodziny.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Teatr to Twoje naturalne środowisko.

WERONIKA MUREK: Nie wiem, czy naturalne, ale na pewno od jakiegoś czasu podstawowe. Zaczynałam jako recenzentka, chociaż ostatecznie napisałam tylko kilka tekstów o teatrze, potem przyszła Gdyńska Nagroda Dramaturgiczna i pojawiły się pierwsze propozycje współpracy. Trwa to już parę lat.

Porzuciłaś ostatecznie świat prawniczy?

Jako karierę – tak.

A coś z tego przydało się do prozy?

Odbyłam setki godzin praktyk sądowych. O ile nie znosiłam papierkowej roboty, o tyle przysłuchiwanie się rozprawom to nieskończone źródło historii tak niezwykłych, że nie dałoby się ich wymyślić. Zeznający ludzie w większości nie są zawodowymi opowiadaczami, dlatego bardzo swobodnie podchodzą do reguł tej sztuki, a poetyka ich historii bywa surrealistyczna.

Któreś z Twoich opowieści są podsłuchane w sądzie?

Na razie nie, ale bardzo chciałabym wrócić do tamtego uniwersum. W żargonie prawniczym są sprawy, na które mówi się „drobnica", bo to żaden wielki kryminał, tylko codzienne życie, ale właśnie dlatego tak dobrze czuć w nich tętno rzeczywistości. Daje to wgląd w zbiorową mentalność, pozwala zobaczyć, jak definiowane są podstawowe pojęcia, takie jak własność, solidarność, wolność albo małżeństwo. Choćby śmierć i kwestia dziedziczenia – w języku sądowym nic nie jest oczywiste, a przecież to podstawowa siatka pojęć ustalających relacje w naszej rzeczywistości.

Myślisz o reportażu?

Na razie zarzucam wędkę bez dookreślenia gatunkowego. Chodzi mi po głowie sądowy portret zbiorowy. Fascynują mnie hybrydowe formy – a czy pochodzą one z rzeczywistości, czy z nierzeczywistości, jest dla mnie teraz drugorzędne.

Widać to dobrze we właśnie wydanym zbiorze Twoich dramatów.

Długo się wahałam, czy to w ogóle robić, a jeżeli robić – to jak i wobec czego? Pierwszy z tekstów, „Feinweinblein", był już wcześniej drukowany i wystawiany. Bardzo chciałam, żeby wszedł do zbioru, bo to sztuka, która otworzyła moją historię z teatrem. Dwa pozostałe teksty nie były wystawiane, bo nigdy też nie były pisane z myślą o konkretnej inscenizacji, są bardziej literackie.

Dalej wierzysz w krytyczną moc teatralnego medium? Bo mam wrażenie, że ostatnio zmienia się w snobistyczną rozrywkę dla wąskiej grupy.

A myślisz, że kiedyś było inaczej? Teatr zawsze był na styku tego, co publiczne, ↦

WERONIKA MUREK (ur. 1989) jest prozaiczką i dramaturżką, absolwentką Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Śląskiego. Zadebiutowała w 2015 r. zbiorem opowiadań „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina", za który otrzymała Nagrodę Literacką im. Witolda Gombrowicza i była nominowana do Nagrody Conrada, Paszportu „Polityki", Nagrody Nike oraz Nagrody Literackiej Gdynia. W 2015 r. zdobyła Gdyńską Nagrodę Dramaturgiczną. Autorka „Opowieści wigilijnej" napisanej na zamówienie „TP" i opublikowanej na naszych łamach na Boże Narodzenie 2016. Nakładem Wydawnictwa Czarne ukazał się właśnie zbiór jej dramatów pod tytułem „Feinweinblein".

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

H&M
Policja

↦ i tego, co kameralne, nawet jeśli tylko w tym sensie, że przez ograniczenia logistyczne bezpośrednio może uczestniczyć w nim wyłącznie określona liczba widzów. Ale właśnie w tym tkwi jego siła. Kameralność wymusza niewielkie odległości i zamknięty obieg energetyczny w spotkaniu widzów i aktorów. Trudniej przez to uciec przed konfrontacją z żywym człowiekiem – musisz się do niego odnieść tak, jak odnosisz się do kogoś, kto siedzi naprzeciwko ciebie i z tobą rozmawia. Odbezpieczenie tej sytuacji, brak szklanego ekranu – to wszystko sprawia, że komunikat ma szansę pełniej i bardziej emocjonalnie wybrzmieć. Dochodzi do wymiany energii.

Z drugiej strony jest też sfera publiczna: określona liczba osób przez jakiś czas wkłada wszystkie swoje siły, żeby przygotować wypowiedź artystyczną dla innych ludzi. Ludzie gromadzą się, aby zadawać sobie nawzajem pytania o kształt społeczeństwa i rzeczywistości jako takiej, co samo w sobie działa jako mocny komunikat. Jeśli zestawi się liczbę osób, które faktycznie widziały „Klątwę" Olivera Frljicia czy „Mein Kampf" Jakuba Skrzywanka, z falą dyskusji, jakie wywołały, to widać, że znacząca część teatralnej komunikacji odbywa się poza murami budynku, a uczestniczą w niej także ci, którzy do teatru nie chodzą. Działa sama sytuacja: ktoś publicznie i wobec publicznej energii stawia takie, a nie inne pytania, daje takie, a nie inne odpowiedzi. Kiedy ostatnio jakaś powieść wywołała taki ferment?

Wolisz teatr niż literaturę?

Teatr to żywsze medium, w którym myśli się o rzeczywistości w bardzo nieszablonowy sposób. I nie mówię tu tylko o reżyserach czy dramaturgach, ale o całej ekipie pracującej nad spektaklem. Niesamowita jest też szybkość reagowania na zmieniającą się rzeczywistość – ze wszystkich sztuk teatr jest zazwyczaj pierwszy na miejscu zdarzenia. Pod tym względem nie ma porównania z literaturą, która kręci się cały czas po dawno już wyznaczonej orbicie.

Na czym jeszcze polega przewaga teatru?

Teatru nie da się robić w pojedynkę. Tam zawsze spotykają się ludzie z różnych dziedzin, z zupełnie innym zapleczem intelektualnym, ale też odmienną wrażliwością. To daje niespodziewane efekty. Dużo się nauczyłam pracując np. z dźwiękowcami, aktorami, scenografami, kostiumologami czy choreografami.

WERONIKA MUREK:

Zależy mi na komunikacji, w której jest margines niejednoznaczności. Kluczową rolę w życiu odgrywają te elementy rzeczywistości, których właśnie nie rozumiemy.

Wpływa to potem na Twoje pisanie?

Bardzo, ale ciągle nie do końca rozumiem, w jaki sposób – i wcale się nie kryguję. Dopóki nie usłyszę tekstu ze sceny, nie mam pewności, co zagra, a co będzie szeleścić papierem. Wiele razy zdarzało mi się wstydzić za fragmenty, które z perspektywy biurka wyglądały przyzwoicie. Bywało też odwrotnie – rzeczy, które bez litości wyrzuciłabym do kosza, na scenie dostawały niespodziewanie nowe życie.

Przylgnęła do Ciebie łatka autorki hermetycznej, piszącej dziwne rzeczy. Pogodziłaś się z tym?

Określenie „dziwne" odbieram jako komplement. Nie lubię, kiedy w sztuce, nieważne jakiej, wszystko wykładane jest kawa na ławę. Wolę niedopowiedzenia. Lubię, jak trzeba się trochę wysilić, dołożyć coś od siebie. Jako czytelnik wyrabiam sobie wtedy bardziej osobisty stosunek. A jeżeli coś jest oczywiste i gładkie, to moja wyobraźnia jedynie się przez to prześlizguje, nie ma do czego przylgnąć. Zarzut hermetyczności jest jednak poważniejszy, bo zależy mi na komunikacji z odbiorcą.

Zależy Ci na byciu zrozumianą?

Do pewnego stopnia tak. Zależy mi na komunikacji, w której jest duży margines niejednoznaczności. Często zapominamy, że kluczową rolę w naszym życiu odgrywają te elementy rzeczywistości, których właśnie nie rozumiemy. W ogóle wydaje mi się, że takich rzeczy jest znacznie więcej niż tych, które jawią się nam jako oczywiste. A przecież sytuacja, w której czegoś nie rozumiemy, to wyzwanie, bodziec do wytężonej pracy. To mnie właśnie interesuje w świecie – że bywa tak niezrozumiały. Obcowanie wyłącznie z tym, co przejrzyste i zrozumiałe, spłyca naszą percepcję.

Twoja poprzednia książka „Uprawa roślin południowych metodą Miczurina", choć obsypana nominacjami i nagrodami, spotkała się ze skrajnymi reakcjami. „Tygodnik" poprosił Cię wtedy o napisanie opowieści wigilijnej.

Podczas pierwszych spotkań autorskich zaskoczyła mnie agresja, z jaką czasami przychodzili do mnie ludzie – ochrzaniali mnie za to, że czegoś nie zrozumieli, że coś wydawało im się niejasne. Tym bardziej mnie to uderzyło, że sama zawsze miałam neutralny stosunek do tego typu niezrozumienia – najczęściej po prostu odpadałam od historii, odkładałam książkę na półkę, uznając, że być może jest na nią za wcześnie albo zbyt późno. Gdy coś długo nie dawało mi spokoju, rozpoczynałam prywatne śledztwo, jednak nigdy nie czułam złości.

Mówię o tym dlatego, że ostatnio mój stosunek do rzeczywistości ulega stopniowej zmianie: świat wydaje mi się coraz bardziej skołowany, rzeczywistość uchodzi z niego we wszystkich kierunkach. Jak się w tym połapać? I ostatecznie kończę tak, że szukam informacji – o wyborach w Ukrainie, o sytuacji w USA – liczę, że ktoś mi w końcu powie, jak jest naprawdę. Z tym że nie jest to potrzeba intelektualna, tylko emocjonalna. Dlatego teraz lepiej rozumiem agresję tamtych osób, rozumiem też, że potrzeba klarownego zawężenia rzeczywistości do jednej, konkretnej wersji jest niebezpieczna.

Dlatego tak łatwo szafuje się słowem „hermetyczne" – lepsze takie dookreślenie niż żadne.

To słowo wytrych, które z lenistwa przekleja się przy różnych okazjach, bo brzmi mądrze i maskuje brak innych pomysłów.

Miałam kiedyś zabawną przygodę – robiłam adaptację radiową tytułowego opowiadania z mojej pierwszej książki. Nie miałam doświadczenia, więc nie wiedziałam, jak się za to zabrać, i ostatecznie powstała wersja jeden do jeden – identyczna jak opowiadanie, tyle że rozpisana na różne głosy. Efekt finalny bardzo się spodobał, reżyserka słuchowiska – Julia

Mark – dostała nawet nagrodę. W laudacji zwrócono uwagę, że dzięki tej adaptacji udało się w końcu mój tekst uczynić bardziej zrozumiałym. Tyle że akurat tekst był dokładnie ten sam.

Przez dyktat kultury wizualnej wszyscy uwierzyli, że są wzrokowcami.

Ja zdecydowanie nie jestem. Słuch jest moim podstawowym narzędziem, nie tylko w pracy. Słyszałam też podobne uwagi od aktorów: często twierdzą, że te teksty dostają innego życia, kiedy są czytane głośno.

No bo jak pominie się w Twoich tekstach rytm, to rzeczywiście można się pogubić. Wtedy szumy zlewają się z resztą świata, trochę jak bohaterom „Feinweinblein", którzy ratują się obsesyjnym słuchaniem radia.

Oni przede wszystkim chcą zagłuszyć poczucie winy. Cisza ich przeraża, bo wtedy wracają rzeczy zepchnięte do nieświadomości. W tym dramacie radio traktowałam jako pełnoprawnego bohatera, który ma coś do powiedzenia. To też dramat o świecie, w którym wszyscy mówią, ale nikt nie słucha. Radio przełamuje ten impas, bo wreszcie pojawia się coś, w co można się wsłuchać.

Zarzewie tej historii jest prawdziwe. Skąd ją wzięłaś?

Wpadłam na nią przypadkiem, gdy szperałam w Żydowskim Instytucie Historycznym. To był tylko jeden akapit w książce, ale ogromnie mnie poruszył. Chodziło o rodzinę Knauerów, niemieckich chłopów, którzy w czasie wojny oddali chorego psychicznie syna państwowym służbom, a w zamian dostali radio. Chciałam wejść głębiej w tę historię. Do tego zawsze fascynował mnie dziwny moment tuż po zakończeniu wojny, gdy jedna epoka już się skończyła, ale kolejna wciąż się nie zaczęła. Jest w tym jakaś apokaliptyczna zagadka. Prywatny dramat Knauerów nakłada się na wielką historię.

Radio jako znak nowych czasów?

Szukałam mocnej metafory samotności i wyobcowania, a ta iluzoryczna więź ze światem, którą daje moim bohaterom radio, pasowała idealnie. Ci ludzie są pozostawieni samym sobie, a kolejne audycje tylko pogłębiają ten stan. Do tego z głośnika sączą się nieznane wcześniej języki, bo gdzieś tam daleko, na ruinach dawnej Polski wykuwa się nowa, siermiężno-socjalistyczna rzeczywistość. Radio lawiruje między tymi światami, łączy przeszłość i to, co ma dopiero nadejść.

Nie uciekasz też od polityki. „Wujaszkowie" to rozprawa z polskością. Czy tak?

Jeden z teatrów zamówił ten tekst na obchody stulecia niepodległości, ale po drodze zmienił się klimat polityczny...

...i pijani wujaszkowie przy wigilijnym stole, snujący coraz dziksze fantazje o powstającej z martwych ojczyźnie, przestali pasować do nowej wizji obchodów podniosłej rocznicy.

Trochę to śmieszne, trochę straszne, bo w tej historii o Historię najmniej chodzi. To nie są opowieści o przeszłości, ale o zbiorowej wyobraźni – tej z „tu i teraz" ↦

REKLAMA

Prestige MIM wprost PANI VOGUE WP cgm.pl pap STRÖER VIXON PRESS SERVICE TVS TV TORUŃ Grupa Medialna pro art CTV

↦ – do której cały czas, chcemy czy nie, jesteśmy podpięci.

Święte symbole?

Te narodowe już dawno utraciły swoją świętość. Stało się tak za sprawą ich rzekomych obrońców. Kiedy się zaczyna miksować wszystko ze wszystkim, to powstaje groteskowa pulpa tożsamościowa, której już nie da się, nawet przy szczerych chęciach, traktować poważnie.

Dlatego Twoi wujaszkowie przytaczają już wyłącznie anegdotki?

Nasza narracja o przeszłości wytraciła nie tylko sens, ale także wzniosłość oraz wszelkie pretensje do uniwersalności. Dlatego teraz przypomina bardziej plotkarskie obgadywanie czy szkalowanie nielubianego sąsiada niż cokolwiek innego. Budujemy naszą tożsamość z mniej lub bardziej groteskowych anegdotek, mniej lub bardziej groteskowych symboli.

Kim są dokładnie wujaszkowie?

Ulepiłam ich z gęstego zaduchu, który wszyscy znamy aż za dobrze. Na hasło „wujaszek" od razu rodzi nam się w głowie konkretny portret, ale to wcale nie musi być starszy pan z brzuszkiem i wąsem. Wujaszka możesz poznać przede wszystkim po wujaszkowej poetyce – szamańskim niemal przekonaniu, że swoją narracją funduje „rzeczywistą rzeczywistość". Dlatego na wujaszka można natknąć się zarówno przy weselnym stole, jak i w hipsterskiej knajpie. W samym tekście starałam się nagromadzić jak najwięcej wujaszkowych elementów, także tych zamaskowanych jako uświęcona tradycja literacka. Chciałam przekroczyć punkt krytyczny, po którym ta anegdotkowa konstrukcja zawali się pod własnym ciężarem.

Wujaszkowie to wyłącznie mężczyźni – jedyna kobieta, która próbuje się zakraść do ich grona, nazywana jest „fałszywym wujaszkiem".

Perspektywa wujaszka to zawsze perspektywa mężczyzny. Ale kobiety też w niej funkcjonują – są wobec niej zakleszczone.

Wujaszkowie objaśniają nam świat?

Na pewno go zagadują, bo gadanie – ględzenie – stanowi o tym, że mają poczucie istnienia i własnej sprawczości. Jedyna kobieta w tym dramacie, aby w ogóle mieć prawo głosu, musi sama stać się wujaszkiem. Co prawda fałszywym, ale jednak. To jest prawdziwy dylemat – jeśli zacznie mówić po wujaszkowemu lub po prostu zacznie wykorzystywać te męskie narracje, to nie będzie się od nich odróżniać. Z kolei wymyślenie nowego, własnego języka zupełnie od zera jest trudne, dlatego ogrywa się głównie już gotowe algorytmy i wzorce.

WERONIKA MUREK:

Były samorządowiec partii rządzącej został dyrektorem sanatorium. Pytany o kompetencje, odpowiedział, że był wiele razy kuracjuszem. Rzeczywistość zaczyna mnie niebezpiecznie doganiać.

Bierzesz odwet na wujaszkach?

I to przy pomocy zwierząt, które przejmują głos i zaczynają opowiadać własną historię – zaczynają opowiadać samych wujaszków. Jeśli chcesz wyprowadzić szybki i precyzyjny cios, to temat „polskiej przyrody" jest idealny. Powszechnie deklarowany zachwyt i czułość nad naturą nie wytrzymuje nawet najlżejszej konfrontacji z rzeczywistością.

A może da się jeszcze wujaszka naprawić? Zastanawiam się, co by się stało, gdybyśmy pozbyli się ich wszystkich z naszego świata.

To by było bardzo trudne, bo polska kultura jest dosyć zwujowiała, żeby nie powiedzieć: wujowa w swojej esencji. To wuj albo wujek okazywał się zazwyczaj tą najbardziej dostępną czy przystępną częścią symbolicznej rodziny. Jest wuj Eugeniusz z „Tanga", jest wuj Konstanty z „Ferdydurke", i dziesiątki innych. Wuj – dziwny konstrukt, więcej niż obcy, ale przecież nie najbliższa rodzina, częsty towarzysz różnych inicjacji, zwyczajowy gawędziarz. Zresztą samo brzmienie słówka „wuj" czy „wujek" dźwięczy jakoś żartobliwie, niepoważnie. Symbolicznie łatwo się mu dobrać do skóry.

Z kolei w tym imaginarium symboliczny ojciec jest dużo mniej dostępny, bo przebywa w srogim, metafizycznym wymiarze – prawodawca i nauczyciel. Może faktycznie byłoby lepiej dla naszej kultury, gdybyśmy mieli więcej symbolicznych ojcobójców niż wujaszkobójców?

Z drugiej strony: trudno zignorować figurę wujaszka, skoro to właśnie wujaszkowie nami rządzą – już pomijam tego łatwego do obśmiania „wujaszka weselnego" gadającego od rzeczy, chodzi mi bardziej o połączenie megalomańskiego „ojcowania" z kompletnym brakiem odpowiedzialności. Wujaszkowie wszędzie – ich megalomania, ich kompleksy, ich krzywe dżentelmeństwo będące w istocie szowinizmem, ich opowieści o starych dobrych czasach, w których wszystko jest beznadziejnie pomieszane i pomylone. Jednak to miękkie wujaszkowanie kończy się, gdy pojawiają się głosy, że pewni ludzie nie zasługują na przynależność do danej wspólnoty narodowej czy państwowej.

Przejdźmy zatem do wujaszków w wersji hard. Gdy pisałaś poprzednią książkę, politycznie żyliśmy w innych czasach. Jakiś aspekt zmiany odczuwasz szczególnie boleśnie?

Z rzeczy bardzo wymiernych – radykalnie zmieniła się sytuacja w instytucjach kultury. Patrząc szerzej – ciągle mam problem z uwierzeniem, że wiele rzeczy dzieje się naprawdę. Wychodzą demony, o których istnieniu niby wiedzieliśmy, ale je ignorowaliśmy. Zakładaliśmy, że na zawsze pozostaną źródłem podniet wyłącznie dla wąskiej grupy, a tymczasem trudno się przed nimi ukryć. Nie mam pojęcia, jak przebić ten surrealizm.

Nie wiesz? Pytam Ciebie, ekspertkę od tego, co w realizmie się nie mieści.

W „Morowym", trzecim dramacie w zbiorze, jest postać Chorego Lekarza, który mówi, że rozumie swoich pacjentów lepiej niż inni doktorzy, bo sam ma duży staż w chorowaniu. Jakiś czas temu przeczytałam o byłym samorządowcu z partii rządzącej, który został dyrektorem dużego sanatorium. Dopytywany o kompetencje, odpowiedział tylko, że wielokrotnie był kuracjuszem tej i podobnych placówek. Rzeczywistość zaczyna mnie niebezpiecznie doganiać.

„Morowe" to oniryczna historia o zamkniętym świecie chorych, który rządzi się swoimi niejasnymi zasadami.

Punktem wyjścia była historia jak najbardziej realistyczna. Czytałam kiedyś o ciekawym zjawisku w Europie z czasów wielkiego kryzysu, gdy ludzie pozbawieni pracy szukali tzw. nowego pomysłu na siebie. Wielu gruźlików wtedy zakładało sanatoria dla innych gruźlików. Uderzyło mnie zawikłanie tej sytuacji, zatarcie granicy między światem zdrowych i chorych. W efekcie zrodziło się plemię, którego członkowie potrafili się nawzajem bezbłędnie identyfikować, żeby potem odciąć się od pozostałych. Dlatego według mnie ten tekst jest nie tyle o chorowaniu, co o społecznym trzymaniu się nawzajem w szachu: o braku solidarności, o powikłaniach z okresu transformacji, z których wciąż nie potrafimy się wykaraskać.

Jednak na dosłownym poziomie opowiadasz o ludziach trawionych przez choroby, które infekują wszystkie pozostałe tkanki rzeczywistości.

Ale nie interesowała mnie w ogóle cielesność ani tradycja mówienia o chorym ciele. Chciałam też poeksperymentować z własnym rozumieniem dramatyczności i sceniczności, otworzyć tekst na przestrzeń gry i zabawy – chociażby dlatego zamiast didaskaliów wprowadzam osobną jeszcze, „odwewnętrzną" narrację.

Dlaczego nie chcesz opowiadać o cielesności?

Bo mnie ciągle o nią pytają. Podobnie jak każdą inną pisarkę. Mogą cię zaprosić na niszową debatę o awangardzie, ale nawet tam pojawi się pytanie, jak się czujesz we własnym ciele i jak o nim myślisz, jak wpływa na to, co piszesz. W jakimś sensie to kolejne uprzedmiotowienie: skoro już dorwałaś się, babo, do mikrofonu, to może spłać tę daninę publiczną i powiedz coś zza majtek, zza ciała. Najlepiej ponuro i narzędziami z jakiegoś romantycznego imaginarium. Mnóstwo jest teraz takiej prozy i rozumiem, że jest potrzebna – także jako kolejny element kobiecego przechwytywania narracji czy budowania nowych tożsamości. Ale czuję też, że teraz bardziej mnie interesuje to, czym będzie nasz język, kiedy już odbijemy wszystkie te bastiony.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

Teatr Rzeczpospolitej

DARIUSZ KOSIŃSKI

Wałbrzych to miasto legend. Złotych – jak ta o pociągu. Ciemnych – jak z powieści Joanny Bator. I teatralnej. Najżywszej i najprawdziwszej.

Jej twórczynią jest Danuta Marosz – niekojarząca się wcześniej z progresywnym teatrem. A to właśnie ona objąwszy w 2002 r. dyrekcję Teatru Dramatycznego im. Jerzego Szaniawskiego wprowadziła go szturmem do grona najważniejszych polskich scen i utrzymuje w nim do dziś.

Decydującą rolę odegrała umiejętność dobierania współpracowników. Już pierwszy wybór był niezwykle trafny: na stanowisko dyrektora artystycznego powołany został Piotr Kruszczyński, który uczynił z wałbrzyskiej sceny miejsce debiutów i pierwszych wielkich sukcesów reżyserek i reżyserów mających wkrótce decydować o kształcie rodzimego życia teatralnego. Maja Kleczewska („Lot nad kukułczym gniazdem", 2002; „Czyż nie dobija się koni", 2003), Jan Klata („Rewizor", 2003; „...córka Fizdejki", 2004) i sam Kruszczyński, swoimi inscenizacjami budujący wyjątkową pozycję dramatów Michała Walczaka („Piaskownica", 2003; „Kopalnia", 2004), sprawili, że teatr wcześniej niemal modelowo prowincjonalny stał się jednym z najważniejszych w kraju. Wkrótce do tego grona dołączył duet Monika Strzępka i Paweł Demirski, który tu wystawił kilka swoich najgłośniejszych przedstawień, począwszy od „Był sobie POLAK POLAK POLAK i diabeł" (2007), przez „Niech żyje wojna" (2009), po „Był sobie Andrzej Andrzej Andrzej i Andrzej" (2010).

„Tu jest Polska"

Wałbrzych stał się celem wypraw przybyszy z kulturalnych metropolii, a niedługo legendą. „Okazało się (...) – pisze w wydanej niedawno książce „Demokracja. Przedstawienia" Joanna Krakowska – że »tu jest Polska« i że prezentuje się raczej kiepsko, że istnieje szereg problemów, o których się nie mówi w Warszawie, że diagnoza życia społecznego przedstawiana z perspektywy Wałbrzycha pozwala zrozumieć o wiele lepiej i wyniki kolejnych wyborów, i sondaże opinii publicznej".

Ale nie tylko dlatego Krakowska pisze o Wałbrzychu jako o stolicy teatru krytycznego. Wielką rolę odegrały też kwestie artystyczne: „To właśnie w Wałbrzychu wypracowano i przećwiczono strategie artystyczne, które pozwoliły nie tylko na zrewolucjonizowanie dramaturgii – wprowadzenie w obieg nowego gatunku: »tekstu dla teatru« – ale także stworzenie nowego typu aktorstwa, którego wiarygodność nie została wyprowadzona ani z »przeżywania«, ani z finezyjnych technik, lecz z pracy zespołowej".

Gdy w 2008 r. Kruszczyński odszedł, a jego miejsce zajął Sebastian Majewski, zwykłe w chwilach takich zmian obawy szybko zniknęły. Przybył za to kolejny element legendy: płynne i bezkonfliktowe zmiany kierownictwa artystycznego zapewniające pożądaną różnorodność, ale nie wywołujące groźnych wstrząsów.

Majewski (wcześniej już współpracujący z Teatrem) kontynuował politykę Kruszczyńskiego, zapraszając młodych obiecujących artystów (m.in. Krzysztof Garbaczewski, Weronika Szczawińska, Bartosz Frąckowiak, Radosław Rychcik, Jolanta Janiczak, Wiktor Rubin, Michał Borczuch), a jednocześnie wprowadzał własne innowacje, takie jak sezony tematyczne i wyjście poza tematy lokalne. Kolejni kierownicy artystyczni (Piotr Ratajczak, 2013-15; Maciej Podstawny 2015-18) zmieniali nieco kierunek i charakter propozycji teatralnych, zapraszali nowych współpracowników (m.in. Michał Kmiecik, Wojtek Ziemilski, Ewelina Marciniak, Aneta Groszyńska, Cezary Tomaszewski), ale linia i poziom teatru zostały zachowane.

Ulicą Wajdy

W Wałbrzychu nie byłem bardzo dawno. Gdy ciągnęły tu pielgrzymki teatralne z Krakowa, mnie ciągnęły inne sprawy ↦

↦ i inne miejsca. Wiele głośnych wcześniejszych przedstawień widziałem na występach gościnnych, a choć mimowolnie (i sam już nie wiem jak) stałem się postacią przywoływaną intensywnie w jednym z nich, to gdy Sebastian Majewski, ponownie kierujący artystycznie Szaniawskim od początku obecnego sezonu, witał mnie w *foyer*, niemal odruchowo użył słowa „wreszcie". W Wałbrzychu rzeczywiście spotkaliśmy się po raz pierwszy.

Zanim poszedłem do teatru, powłóczyłem się trochę po mieście. Zaskakująco puste jak na piątkowe popołudnie ulice Śródmieścia spokojnie odsłaniały miejskie kontrasty. Radośnie pastelowe fasady i ciemne tunele wjazdów i podwórek. Uporządkowane i obsadzone kwiatami place i martwe budynki. Na ławce przed szkołą może dziewięcioletni chłopiec słucha gniewnego rapu z huczącego na cały regulator smartfona; gdy go mijam, podnosi wyzywająco głowę, jakby liczył na interwencję. Ta sama muzyka gniewu, frustracji i walki o siebie dobiega z otwartych okien, nawet jeśli wychylają się z nich klasycznie otyli mężczyźni w klasycznie siatkowych podkoszulkach, i ze stojącego nieco dalej drogiego czerwonego samochodu, do którego zaglądają dwaj mężczyźni w mocno znieświeżonych ubraniach i z nieodłącznymi butelkami z browarem w łapach.

Idę i czuję, że każdą swoją obserwacją wpisuję się w legendę, w którą wcale wpisywać bym się nie chciał. Bo co ja wiem o tym mieście? O jego mieszkańcach? Ich życiu? Jakim prawem cokolwiek o nich mówię na podstawie godzinnego spacerku kilkoma śródmiejskimi ulicami i cudzych opinii, cudzych wspomnień, cudzych fantazji? Prawem powierzchownych wrażeń przyjezdnego widza, które mimo wszystko budują wyobrażenia o każdym z odwiedzanych miejsc? Prawem pochodzenia z podobnego miasta zniszczonego przemysłu i korzeni wyrwanych z łatwością, bo zapuszczono je nie głębiej niż na jedno pokolenie?

Uprawnienia słabe, ale mechanizm kolonizującego i oceniającego spojrzenia działa nieuchronnie, wytwarzając błyskawicznie poczucie niezwykłości miasta, ukrytego i jakby przyczajonego w wąskich dolinach. Wałbrzych zdaje się wystawiać swoją złożoność i jednocześnie ukrywać to, co najważniejsze, co nie zależy ani od dramatycznej historii, ani od estetycznej kakofonii. Jeśli rzeczywiście „tu jest Polska", to w moim odczuciu nie tylko dlatego, że Wałbrzych tak modelowo kontrastuje z Warszawą, lecz raczej dlatego, że tu może mocniej czuje się, że „w Polsce, czyli nigdzie" za odpacykowanymi fasadami kamienic i za obdartymi podwórkami na ich tyłach jest coś jeszcze – jakiś fantastyczny skarb, misja, cel; złoty pociąg jadący na Utopię.

Do teatru idę ulicą Andrzeja Wajdy, nazwaną tak niedawno, po dekomunizacji poprzedniego patrona. W głowie myśl o ironii historii, która w tym właśnie miejscu upamiętniła fakt, że był sobie Andrzej. Po prawej modnie kremowe ściany z europejskich funduszy. Po lewej plac na tyłach fabryki porcelany. Za rogiem – wyspa: amfiteatr wbudowany w plac przed Teatrem im. Szaniawskiego. Okalające go lampy rzucają ekologicznie pomarańczowe światło. Na ławkach wokół czekający na przedstawienie widzowie, a w centrum grupki młodzieży. Dziewczyny w wiankach z różowych kwiatów i chłopaki w żółto-słomianych kapeluszach robią sobie *selfie*. Na scenie inna grupka, pali papierosy i słucha rapu. Dudniący rytm miesza się z soundtrackiem wytwarzanym przez pierwszą grupkę. „*Sweet dreams are made of this...*". „*Whom am I to disagree?*" – dośpiewuję w myślach i wchodzę do teatru.

Jestem w twojej głowie

Przedstawienie „teraz każdy z was jest rzeczpospolitą", którego wałbrzyska premiera odbyła się 26 kwietnia, to koprodukcja Teatru im. Szaniawskiego i Wrocławskiego Teatru Współczesnego. Wiem to, ale zarazem przedstawienie wydaje mi się szczególnie wałbrzyskie. Nie dlatego, że jest niemal symbolicznym dla płynnego przekazywania władzy efektem współpracy obecnego i poprzedniego kierownika artystycznego, ale dlatego, że tekst Sebastiana Majewskiego wyreżyserowany przez Macieja Podstawnego niemal idealnie mieści się w niewielkiej sali pozbawionej wzniesionej estrady.

Gdy wychodząc po zakończeniu przechodzimy przez scenę do wąskich drzwi i depcemy rozrzucone na podłodze gałązki leszczyny, miedziaki i okruchy rozbitego talerza z wizerunkiem króla, stajemy się częścią tego męczącego groteskowego koszmaru, na który przed chwilą patrzyliśmy, łudząc się, że nie jesteśmy jego częścią. Nie wiem, czy gdzie indziej uda się osiągnąć ten efekt. A wręcz wątpię, by we Wrocławiu tak dojmująca była granica między oświetloną europejskim światłem wyspą teatru i morzem polskiego miasta.

Tekst pilgrima/majewskiego (bo tak podpisuje się jego autor) wykorzystuje kilka wątków z głośnego „Diabła" Andrzeja Żuławskiego. Najważniejsze z nich to kontekst historyczny – upadek Polski po drugim rozbiorze, oraz główny bohater: Jakub (Wojciech Świeściak), niedoszły królobójca, polski bohater romantyczny, opowiadający słowami Kordiana swój niedokonany zamach na Stanisława Augusta. U Żuławskiego z więzienia uwalniał go tytułowy Diabeł, by opętawszy zamienić w narzędzie rzezi. U Majewskiego Jakuba kupuje szef wędrownej trupy Wiktor Ryks (Dariusz Skowroński).

Królobójca staje się kolejną atrakcją *freak show* Ryksa: obok kobiety ze słoniowatą stopą (Jolanta Solarz-Szwed), mężczyzny z dwiema głowami (Rafał Kosowski), Żyda-hermafrodyty (Mariusz Bąkowski) i nieodzownej gwiazdy, dyrektorowej (Elżbieta Golińska), pojawia się modelowo niespełniony Bohater Polaków. W trupie są też Zakonnica (Irena Sierakowska)

BARTEK WARZECHA

„teraz każdy z was jest rzeczpospolitą", Teatr im. Szaniawskiego, Wałbrzych

i Kaznodzieja (Tadeusz Ratuszniak), szczególnie interesujący się Jakubem. Kaznodzieja to przetworzony Diabeł, który stracił swoją jednoznaczność i nie ma już dla podopiecznego żadnej misji poza domaganiem się, by wreszcie coś zrobił, choćby miało to być zabicie jego samego. W tym nakazie działania ma drapieżność Jarosława Marka Rymkiewicza z „Wieszania", żałującego, że Polska wielkiej katastrofy końca XVIII wieku nie dokonała założycielskiego mordu, nadającego jej jakiś kształt określony.

Wałbrzyski spektakl to koszmarna, groteskowa, brutalna, wulgarna i poetycka jednocześnie rewia braku takowego kształtu. W powracających korowodach, zderzaniu niskiego z wysokim, bioobiektowości postaci i żałośnie bolesnej grotesce przypomina teatr Tadeusza Kantora. Ale nie ma tu żadnych momentów piękna i wzniosłości „pomimo", żadnych „biednych mszy". Pieśni religijne i patriotyczne pojawiają się sfałszowane i zgwałcone jak wisielec w mundurze żołnierza polskiego z doczepionym (jakże kantorowskim!) wielkim fallusem. Kolejne „numery" budzą na nowo odruchowe oczekiwanie jakiegoś dramaturgicznego zwrotu, który rozświetli i przekształci cały ten koszmar.

Ale nadzieja (którą nawet Kantor wszak zaspokajał) pozostaje płonna. Żaden emocjonalny wicher nie porwie nas i nie ukoi afektowanym efektem kiczu. Kolejne 52 tygodnie scenicznego roku przejdą w jednostajnym rytmie zrywanych płacht z ich numerami i nic, nawet narodziny i śmierć, nie przerwą uporczywej wędrówki Ryksowej trupy potworków.

Przedstawienie Majewskiego i Podstawnego jest obrazoburcze, bluźniercze, męczące i bolesne, ale nie akcentuje tego, nie wydaje się drapieżnie atakować narodowych świętości. Zapewne może wywołać czyjeś oburzenie, ale nie sprawia wrażenia, że tego by chciało. I właśnie w tej swojej paradoksalnej zwyczajności, w tym jakimś własnym zmęczeniu wydaje się szczególnie dotkliwe i nieprzyjemne. Za legendową fasadą rozbijaną jak kartonowa ściana domu Jakuba nie ma złotej legendy. Są śmieci i odpadki.

To przedstawienie jest jak podniesienie leżącego długo na ziemi głazu, pod którym wiją się odsłonięte nagle robaki, przegniłe korzenie i obrzydliwie nagie młode pędy. Na scenie kłębi się teatr antymonumentalny.

Nierozstrzygnięcie

W „Demokracji. Przedstawieniach" Krakowska pisze o Wałbrzychu w części poświęconej teatrowi krytycznemu, opisując go jako jego stolicę, by zaraz w następnym podrozdziale zdiagnozować jego koniec. Jeśli diagnoza jest prawdziwa, to upaść musiała też stolica, bo przecież nie sposób być stolicą czegoś, czego nie ma.

Krakowska za jedno ze znamion końca uznaje „aprioryczną aprobatę" ze strony widzów, którzy nauczyli się, że to, co wcześniej wydawało się obrazoburcze i skandaliczne, trzeba akceptować, najpierw jako współcześnie atrakcyjne i dowodzące bycia „na fali", a potem – by nie znaleźć się w niechcianym towarzystwie cenzorów i „ciemniaków". Pewnie ma słuszność, bo „przekonywania przekonanych" i „zakładanej solidarności" mamy w polskim teatrze aż za dużo.

Z drugiej strony, gdy obserwuję premierową publiczność wałbrzyską wychodzącą z teatru, nie mam poczucia, że jestem w jakimś środowiskowym kółku wzajemnej adoracji. Nie wydaje mi się, że można opisać jej reakcję w opozycyjnych kategoriach oburzenia i ślepej akceptacji, prowokacji i bezwarunkowej kapitulacji w imię lokalnego patriotyzmu lub opozycyjnej elitarności. Nawet jeśli strategie i język „teatru krytycznego" zostały przyswojone i oswojone, to nie wydaje się, by teatr wałbrzyski miał zamiar rezygnować z pracy nad nimi i budowania przy ich pomocy procesu autorefleksji.

Na plakacie autorstwa Mirka Kaczmarka małpa w peruce wskazuje paluchem na patrzących: „teraz każdy z was jest Rzeczpospolitą". Jednak ta tytułowa fraza nie pada w przedstawieniu. Dopada mnie za to, gdy spektakl się kończy. Oskarżenie czy wyzwanie? Nie potrafię rozstrzygnąć. Idę z nierozstrzygnięciem przez nierozstrzygnięty Wałbrzych. Pokoje gościnne, gdzie nocuję, nazywają się Konrad. Z okna widać neon McDrive'a. W pociągu, którym nazajutrz rano wracam, ekrany zachęcają do wywieszania flagi i zapraszają na trzeciomajową defiladę ministra Błaszczaka.

© DARIUSZ KOSIŃSKI

KATARZYNA SKRZYPEK / MATERIAŁY PRASOWE

SKŁAD ZESPOŁU HAŃBA! Andrzej Zamenhof (naprawdę: Andrzej Zagajewski) – banjo, śpiew; Wiesław Król (naprawdę Michał Radmacher) – akordeon, klarnet; Adam Sobolewski (naprawdę: Mateusz Nowicki) – bęben, grzebień, śpiew; Ignacy Woland (naprawdę: Jakub Lewicki) – tuba, śpiew. W 2018 roku zespół został laureatem Paszportów „Polityki" w kategorii „Muzyka popularna". Właśnie ukazała się płyta „1939". Jako zespół Czereśnie wykonują też muzykę dla dzieci.

I nic nie trzeba tłumaczyć

ZESPÓŁ HAŃBA!:

Śpiewamy o polskich planach kolonialnych i statkach z uchodźcami, korzystamy z punk-rocka Brzechwy oraz profetyzmu Ginczanki i Szlengela, o których oni sami nie wiedzieli.

JAN BŁASZCZAK: Hańba! koncertuje od 2013 r. i konsekwentnie wyśpiewuje historie z dwudziestolecia międzywojennego, posiłkując się utworami z epoki. Skąd w ogóle pomysł, by osadzić repertuar w tamtych realiach?

ANDRZEJ ZAGAJEWSKI: Pochodzimy z małych miast, ale kiedy wylądowaliśmy na studiach w Krakowie, zorientowaliśmy się, że świat stoi przed nami otworem. Mieliśmy tę słynną ciepłą wodę w kranie i zero powodów do buntu. Dlatego zaczęliśmy szukać dla naszej muzyki kontekstu historycznego. Nie interesował nas przy tym poetycko-sentymentalny klimat Piwnicy pod Baranami. Hańba! od początku miała być zespołem punkowym, więc kiedy barabanista Mateusz Nowicki zaproponował, byśmy sięgnęli do burzliwych czasów II RP, uznaliśmy, że to dobry pomysł.

JAKUB LEWICKI: Nie mogliśmy się jednak wtedy spodziewać, co to międzywojnie z nami zrobi. Sądziliśmy, że wiemy sporo o historii Polski, ale z perspektywy sześciu lat widzimy, że nie wiedzieliśmy prawie nic.

Przekopaliście się przez ogromną liczbę utworów literackich, wydarzeń historycznych i legend. Co Was najbardziej zaskoczyło podczas tej kwerendy?

AZ: Największe wrażenie wywarła na mnie punkowość tekstów z tamtej epoki. Początkowo nasz zamysł był taki, że sami będziemy pisali teksty. Kiedy jednak Jakub i Mateusz rozpoczęli poszukiwania tekstów źródłowych i zobaczyłem tekst „Żydokomuna" Jana Brzechwy, złapałem się za głowę. Przecież to ma taką moc! Czysty punk! I to jeszcze Brzechwa, którego kojarzy się głównie z „Panem Kleksem".

JL: Ogromnie pomogła nam antologia wierszy satyrycznych zebranych przez Leona Pasternaka i Zbigniewa Mitznera. To była kopalnia, z której czerpaliśmy garściami. Ale dla mnie uderzeniem był wiersz Władysława Szlengla z przełomu lat 1938/1939 „Płyną okręty". Rozłożył mnie na łopatki. Nie tylko tematyką i jakością literacką, ale też rytmicznością, punkowością właśnie i ostrym komentarzem.

Szlengel napisał wiersz o statkach z uchodźcami, których nikt nie chce przyjąć. Zdajecie sobie oczywiście sprawę, że będzie on uwspółcześniany przez słuchaczy? A jeśli tak, to jak się na to zapatrujecie?

AZ: To nigdy nie jest naszym celem, ale to się rzeczywiście dzieje. Ostatnio wiele osób przypominało nasz utwór „Narutowicz" w kontekście zabójstwa prezydenta Gdańska. My tę piosenkę napisaliśmy lata temu.

Odnoszę wrażenie, że w ten sposób włącza się Waszą twórczość do aktualnych publicystyczno-politycznych rozgrywek.

JL: Owszem, wybierając piosenki na płytę, myślimy o tym, jak zostaną odczytane – tego chyba nie sposób uniknąć. Natomiast wszystkie te antynacjonalistyczne teksty wybraliśmy wiele lat temu. Nie szukaliśmy ich na szczególną okazję czy pod wpływem aktualnych wydarzeń. Tak samo jest z piosenką „Płyną okręty". Ona pojawia się teraz, ponieważ została opublikowana w styczniu 1939 r., a my konsekwentnie trzymamy się chronologii hańbowego świata przedstawionego, który od współczesności zawsze dzieli dokładnie 80 lat. Najważniejsza jest więc wierność fabule, pewnej fikcji literackiej i jej sztywnym ramom, którą sobie narzuciliśmy.

Wbrew Waszym intencjom Hańbę! uwspółcześniają obie strony politycznego sporu. Kilka Waszych koncertów zostało odwołanych przez instytucje publiczne ze względu na teksty Tadeusza Hollendra czy Juliana Tuwima. Ciekawe...

AZ: Podczas plenerowego koncertu w Warszawie śpiewaliśmy piosenkę „Żyda bić" na podstawie wierszy Juliana Tuwima. Jej refren brzmi: „Będą bić! / Trzeba bić! / Żyda bić!". I nagle kątem oka dostrzegam panią w pierwszym rzędzie, która wymachuje rękami w moją stronę. I słyszę, jak krzyczy: „Narodowcy! Narodowcy!". I zupełnie, ale to zupełnie nie przychodzi mi do głowy, że ona może tej przewrotności Tuwima nie zrozumieć. Kończę więc śpiewać i odpowiadam jej w najlepszej wierze: „»Narodowcy«? »Narodowców« już przecież graliśmy!".

JL: A „Narodowcy" to nasza piosenka do wiersza Hollendra.

Właśnie ukazuje się Wasza płyta „1939". Nie ma na niej jednak tekstów wojennych – skupiacie się na pierwszych miesiącach tamtego roku. W powszechnej świadomości dość przezroczystych.

JL: Mam wrażenie, że dla polskiej kultury wrzesień 1939 roku zamazuje cały obraz tego, co poprzedzało bezpośrednio wybuch wojny. Dlatego chciałbym, aby „Płyną okręty" czy „Łowy" Zuzanny Ginczanki (o poszukiwaniu żydowskich korzeni w polskim społeczeństwie) czytano z perspektywy lat 30. Nawet jeśli te utwory okazały się profetyczne.

Współcześnie jednak pamięć wojny determinuje odbiór zarówno Ginczanki, jak i Szlengla. Równie ciekawe jest jednak spoglądanie na nie z perspektywy czasu sprzed wojny. O to nam właśnie chodziło na tej płycie. Chcieliśmy przypomnieć, że rok 1939 nie zaczął się w Polsce 1 września. W styczniu Szlengel opublikował „Płyną okręty" i nie miał pojęcia, że za chwilę trafi do getta.

Ginczanka, Szlengel, Hollender – niemal wszyscy autorzy tekstów zebranych na „1939" zginęli w czasie wojny.

JL: Ginczanka w obozie w Płaszowie, Szlengel w getcie warszawskim, a Hollender rozstrzelany przez gestapo jako żołnierz AK. Spośród autorów, po których sięgamy na „1939", przeżył tylko Wittlin, któremu udało się uciec przez Portugalię do Stanów Zjednoczonych.

AZ: Cholera, jaki to był potencjał!

Polska kultura wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby nie Holokaust i okupacja?

JL: Złapałem się na tym po raz pierwszy, kiedy przyglądałem się kwestiom prawno-autorskim towarzyszącym naszej muzyce. Chcieliśmy zarejestrować część utworów w ZAiKS-ie i nagle dotarło do mnie, że nie będzie z tym żadnego problemu. Minęło już przecież 70 lat od końca wojny, czyli też od śmierci większości autorów. Mimo że większość z nich dopiero się literacko rozpędzała.

Warto w tym miejscu wspomnieć o inicjatywach, które tę zaginioną czy zapomnianą na skutek wojny i Zagłady twórczość przywracają. Jestem więc bardzo wdzięczny Jazz Bandowi Młynarskiego i Maseckiego za książeczkę, którą dołączyli do swojej płyty, przybliżając w niej żydowskie korzenie naszej przedwojennej piosenki. Warty polecenia jest również cykl artykułów w serwisie Culture.pl.

Trzeba jednak dodać, że pochodzenie czy losy autorów nie determinują naszych wyborów – szukamy po prostu dobrych tekstów.

Na „1939" pojawia się nie tylko coraz bardziej namacalna groza. Jest tu również utwór, który mimowolnie wywołuje uśmiech. Mam na myśli „Polskie kolonie" Hollendra.

AZ: Z dzisiejszej perspektywy ten pomysł wydaje się zabawny, kuriozalny. Plany zakupu Madagaskaru od Francuzów oraz zagospodarowania Liberii? Przecież to dziś brzmi nieprawdopodobnie, a wtedy temat podejmowano całkiem serio.

JL: Ludzie wpłacali na to konkretne pieniądze. Liga Morska i Kolonialna była bardzo poważną instytucją. A zarazem malowała statystom twarze pastą do butów, ubierała w mundury wojsk kolonialnych i kazała defilować. Jak widać, rok 1939 to nie jest tylko heroiczna obrona Warszawy czy Westerplatte, ale również masa absurdów składających się na rzeczywistość ówczesnej Polski.

„Polskie kolonie" to najbardziej sarkastyczna piosenka na tej płycie, ale pojawiają się w niej groźne wątki. W oryginalnym tekście Hollender pisał, że polskimi koloniami będą Mokotów i Brygidki, czyli duże więzienia polityczne; Polesie – czyli najbardziej zaniedbany rejon kraju; Sosnowiec i Łódź –przeludnione, robotnicze miasta. Jest tu więc drwina, ale też wychwycenie niemiłych aspektów rzeczywistości II RP.

Na „1939" nie pojawia się żaden tekst Waszego autorstwa. Czy to oznacza, że odchodzicie od pisania na własną rękę?

AZ: Początkowe założenie było takie, że robimy to sami. Szukaliśmy wydarzeń, o których warto byłoby napisać. Pierwszym z nich było zabójstwo prezydenta Narutowicza. Później Mateusz znalazł historię o honorowym strzale w serce, po którą to ostateczność mieli sięgać urzędnicy czy politycy, którzy podjęli złe decyzje. Tak powstały „Narutowicz" i „Prosto w serce". Jednak im więcej wierszy odnajdywaliśmy, tym mocniej rosło w nas przekonanie, że musimy się skupić na tekstach z epoki.

JL: Andrzej i Mateusz naprawdę ambitnie zaczęli, ale w końcu zdali sobie sprawę, że nie napiszą lepiej od Tuwima. Co nie zmienia faktu, że na poprzednich płytach zawsze pojawiał się jakiś numer naszego autorstwa. Musimy też wyraźnie podkreślić, że ingerowaliśmy w każdy ze śpiewanych przez nas tekstów. Uznawaliśmy np., że wiersz jest świetny, ale niestety ↦

↦ ma dwadzieścia zwrotek, a my potrzebujemy pięć. Innym razem musieliśmy wyciąć jakiś wers albo połączyć dwie strofy w jedną, bo to są jednak punkowe numery. Nawet tekst napisany przez Ziemowita Szczerka się nie ostał – też poszedł pod nóż.

Jeździcie z Hańbą! po całym świecie. Czy staracie się wyjaśniać zagranicznej publiczności, o czym śpiewacie, jaka jest historia tych utworów?

JL: Wiele zależy od miejsca. W Europie Środkowej istnieje pewna wspólnota losów. Tutaj nie musimy zbyt wiele tłumaczyć. Samo rzucenie kilku dat, naszkicowanie okoliczności sprawia, że publiczność doskonale wie, o co nam chodzi. W krajach anglosaskich jest o tyle dobrze, że językowo łatwo się nam dogadać. A nam zależy na tym, by odpowiednio pokierować publicznością i – w dalszej perspektywie – zachęcić ją do czytania oryginalnych tekstów. Ponadto im więcej gramy, tym częściej widzę, że język polski wcale nie jest barierą. Może jest nawet lepem, bo ludzie podchodzą coraz bliżej, zastanawiając się, o co nam chodzi. Dlaczego tak się drzemy. Potem często tych wierszy szukają.

AZ: W drodze na festiwal w Austin poznaliśmy Teksańczyka meksykańskiego pochodzenia. Dzięki Hańbie! zaczął czytać tłumaczenia Tuwima i bardzo się z nim utożsamił. Jako Amerykanin o meksykańskich korzeniach regularnie słyszy, że zaraz go wyrzucą z kraju. Okazało się, że właśnie to poczucie niesprawiedliwości, obcości odnalazł w poezji Tuwima. W Polsce często teksty naszych piosenek są czytane jako komentarze do aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w kraju. Wystarczy jednak wyjechać za granicę, by uświadomić sobie, jak bardzo są one uniwersalne.

Jeśli pozostaniecie wierni kalendarium wykonawczemu, we wrześniu, 80 lat po wybuchu II wojny światowej, powinniście zakończyć swoją przygodę z muzyką międzywojnia. I co wtedy?

AZ: Cóż... Nie spodziewaliśmy się, że ten pomysł tak wypali. To przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Nie sądziliśmy, że Hańba! stanie się naszym życiem. Mamy pomysł, jak rozwiązać problem, nie chcemy go jednak jeszcze zdradzać.

© Rozmawiał JAN BŁASZCZAK

Krystyna Janda i Kasia Smutniak w filmie „Słodki koniec dnia”

Bunt w Toskanii

ANITA PIOTROWSKA

Dzisiejsza Europa to starzejąca się kobieta, zamożna i wyzwolona, która lubi dobre wino, szybkie samochody i egipskich kochanków.

Albo inaczej: dzisiejsza Europa to osiadła w Toskanii intelektualistka, wierząca w moc sztuki i wartości, które ufundowały jej świat, ale niemająca złudzeń, że ten świat powoli umiera. Bywa też bezczelna, arogancka, trochę wampiryczna i orientalizująca w swoich namiętnościach, a jednocześnie oschła jako matka. Czy to streszczenie niewydanej jeszcze powieści Michela Houellebecqa? Nie, to najnowszy film Jacka Borcucha, w którym Krystyna Janda, nagrodzona za tę rolę na festiwalu Sundance, staje się wyrazicielką nie tylko niepokojów na temat przyszłości starego kontynentu, ale także wydumanych problemów pierwszego świata, omawianych kulturalnie przy butelce chianti.

O miasteczku Volterra, gdzie toczy się akcja filmu „Słodki koniec dnia”, mówi się, że to kolebka europejskiej cywilizacji, zbudowana przez Etrusków i Rzymian. Kolebki mają jednak właściwości usypiające i tak też wygląda z bliska życie w malowniczym miejscu pośród zielonych wzgórz.

Do czasu. Graną przez Jandę polską noblistkę, która otoczona rodziną wiedzie beztroski żywot rentierki, poznajemy w trakcie urodzinowego przyjęcia. Radosna konsumpcja, palenie skrętów, ekstatyczne korowody w stylu Felliniego czy Sorrentina, przeplatają się z ważkimi dysputami. Poetka Maria Linde trzyma się od tych ostatnich raczej na dystans. Przestała już udzielać wywiadów na tematy polityczne, ignoruje też dochodzące zewsząd złowrogie pomruki: podobno imigranci zabierają miejscowym chleb; ponoć nadchodzą ciężkie czasy, trzeba więc skupować złoto; policja ostrzega, że z pobliskiego obozu zbiegło właśnie kilku uchodźców... Twórcy filmu próbują grać również i naszym strachem, kiedy nagle ginie gdzieś bez śladu wnuk Marii.

Bohaterka zdaje się doskonałą ikoną europejskiej gościnności i tolerancji – zarówno jako dziecko ocalałych z Holokaustu i niegdysiejsza uchodźczyni, ale także jako osoba dojrzała i zamężna, ukrywająca romans z młodszym o połowę Nazeerem (Lorenzo de Moor), który prowadzi w miasteczku trattorię, lecz dla miejscowych ciągle pozostaje tym „beżowym”.

NEXT FILM

Po krwawym zamachu terrorystycznym na Campo di Fiori nieoczekiwanie Maria przerywa milczenie. Podczas odbierania honorowego obywatelstwa w volterskim ratuszu wygłasza przemowę, w której emocje biorą górę nad polityczną poprawnością. Wycięty z kontekstu fragment jej wystąpienia, zapowiadający zrzeczenie się Nagrody Nobla i porównujący akt terroru do dzieła sztuki, zaczyna żyć własnym życiem w internecie, wywołując najbardziej skrajne reakcje. Tymczasem na miejskim placu jakiś współczesny artysta ustawił pustą klatkę upamiętniającą uwięzienie Ezry Pounda, sympatyzującego ongiś z faszyzmem. Nietrudno zgadnąć, kto będzie następny.

Sam film Borcucha chwilami przypomina właśnie taką ciasną klatkę, do której twórcy (współscenarzystą był Szczepan Twardoch) próbują wtłoczyć najbardziej kłopotliwe problemy współczesności: kryzys uchodźczy, nierówności społeczne, wielokulturowość, terroryzm, a do tego refleksję na temat bezwładu elit kulturalnych, które nawet wybudzając się na chwilę z intelektualnego *dolce far niente*, zapominają jednocześnie, czym powinna być w dzisiejszych czasach odpowiedzialność za słowa i jak łatwo stać się pożytecznym idiotą czy politycznym zakładnikiem.

Wszystko to brzmi bardzo atrakcyjnie i na czasie. Przyznać też trzeba, że „Słodki koniec dnia" unika jednoznacznych tez czy ideologicznych manifestów. Maria także okazuje się postacią wystarczająco skomplikowaną – irytującą i fascynującą jednocześnie, samodzielnie myślącą, a zarazem potwornie egocentryczną i okopaną na swoich pozycjach. Również udział Jandy, niewidzianej w głównych rolach filmowych od dekady, czyli od czasów „Tataraku" Wajdy, to w tym przypadku coś więcej niż tylko dobra rola. To kawał historii polskiego kina wpisanej tym razem w bardzo europejskie konteksty. Niby ciągle jej pełno na ekranie, a jednak ta wielowymiarowa postać pozostawia niedosyt, ometkowana zbyt wieloma ważnymi hasłami i przez to chwilami jakby w tym wszystkim pretekstowa.

A przecież portret Marii Linde to bardzo ciekawe odwrócenie stereotypowych ról: przed nami nadzwyczaj witalna starsza pani, która ma odwagę – ale też stać ją – aby żyć całkowicie po swojemu. Która teoretycznie już nic nie musi, lecz dalej uczestniczy, zabiera głos i sięga po to, na co ma ochotę. Swoje starzejące się ciało traktuje niczym „jedną z sukienek" i nawet jeśli nie ma w czymś racji, pozostaje buntowniczką. Tymczasem bunt starszych kobiet, o ile w ogóle pojawia się na ekranie, bywa traktowany jako coś skandalicznego czy groteskowego. Reżyser pozwala swojej bohaterce po prostu być sobą, dlatego szkoda, że scenariusz nie wniknął w tę postać jeszcze głębiej, nie pozwolił jej na poważniejszy eksces.

Choć przypomnijmy, że Borcuch to przecież nie Michael Haneke, swoje filmy (patrz: „Wszystko, co kocham" czy „Tulipany") traktuje czułymi muśnięciami, bardziej dbając o ulotne klimaty niż o głębię ostrości. Tu owa klimatyczno-impresyjna metoda (szczególnie zmysłowe zdjęcia Michała Dymka) zderzona została z zagęszczonym materiałem wyjściowym. Daje to chwilami ciekawy, dekadencki efekt: pod nieco zgaszonym słońcem Toskanii, w atmosferze zabawy, kłębią się wszystkie lęki i zwątpienia współczesnych Europejczyków. „Chciałem być wolny jak wy" – mówi Nazeer, wykształcony egipski Kopt, pytany przez Marię, dlaczego jego pobratymcy tak tłumnie przybywają dzisiaj do Europy. W eleganckiej, choć chwilami nazbyt konfekcyjnej formie Borcuch pyta o cenę, jaką trzeba za tę niezależność zapłacić. ©

SŁODKI KONIEC DNIA – *reż. Jacek Borcuch. Prod. Polska 2019. Dystryb. Next Film. W kinach od 10 maja.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [10 – 17 IV]

1. Mebelki

Komedia, reż. Lena Dunham, USA 2010, Sundance TV, 10 V, 18.30, 11 V, 10.30

Wielbiciele serialu „Dziewczyny" odnajdą w pełnometrażowym debiucie Dunham podobne kompleksy i rozterki. Ale także bezpośredniość, z jaką świeżo upieczona reżyserka opowiadała o swoim pokoleniu wkraczającym w dorosłość i ciągle uwikłanym w skomplikowane relacje z rodzicami.

2. ReMastered: Lwia część

Dokumentalny, reż. Sam Cullman, USA 2018, Netflix

„Wielki, zły Disney kontra biedna afrykańska rodzina" – jak to się stało, że autor wartego miliony dolarów przeboju „The Lion Sleeps Tonight" żył w slumsach Johannesburga? Twórcy filmu podążają tropem południowoamerykańskiego dziennikarza, który zbadał historię melodii stworzonej w latach 30. XX w. przez Solomona Lindę.

3. Zbrodnia ojca Amaro

Dramat, reż. Carlos Carrera, Argentyna/ /Francja/Hiszpania/ /Meksyk 2002, Cinemax 2, 13 V, 20.30, 14 V, 11.50

Najbardziej kasową produkcję kinematografii meksykańskiej, nominowaną przed laty do Oscara, można pod wieloma względami porównać z polskim „Klerem". Gael García Bernal wciela się w postać młodego księdza, który trafia na prowincję, gdzie staje się ofiarą własnych grzesznych pragnień oraz świadkiem niebezpiecznych związków Kościoła z polityką i mafią.

4. Fuga

Dramat, reż. Agnieszka Smoczyńska, Polska 2018, vod.pl

Kobieta, która straciła pamięć, wraca po długiej nieobecności do rodzinnego domu. Jak ułożą się jej relacje z najbliższymi osobami? Gabriela Muskała, scenarzystka i odtwórczyni głównej roli, tworzy obraz kobiety, która jeszcze nie wie, kim naprawdę jest, ale już wie, że nie chce żyć pod dyktando innych.

Najdłuższy serial współczesnego kina

JAKUB MAJMUREK

Kapitan Ameryka to fantazja o sile ludowej Ameryki. Iron Man to fantazja o genialnej i nadzwyczajnie bogatej jednostce z Krzemowej Doliny. Czy wspólnie uratują wszechświat?

W zeszłym roku wśród amerykańskiej publiczności kinowej królowały dwa tytuły: „Czarna pantera" oraz „Avengers: Wojna bez granic". Oba osadzone w filmowo-komiksowym uniwersum produkcji Marvela, zamieszkałym szereg obdarzonych nadprzyrodzonymi mocami superbohaterów oraz ich równie potężnych wrogów. Filmy o komiksowych superbohaterach dominowały nie tylko w 2018 r., ale w całej obecnej dekadzie. Same produkcje Marvela (a oprócz niego mamy drugie, równie bogate w postaci uniwersum DC) zarobiły na całym świecie ponad 18,5 mld dolarów. Daje to imponującą średnią prawie 850 mln dolarów przychodu z filmu.

Także najnowsza produkcja Marvela wchodząca właśnie na ekrany, „Avengers: Koniec gry", wydaje się skazana na frekwencyjny sukces. Zamyka bowiem historię, którą opowiadało poprzednie 21 filmów studia, a która zaczęła się wraz z premierą pierwszego „Iron Mana" w 2008 r.

Podróże bohaterów

Na wszystkie filmowe produkcje Marvela można spojrzeć jak na kinowy serial. Analogicznie jak wydawane przez Marvela komiksy, powstające pod tą marką filmy tworzą jeden świat przedstawiony. Historie poszczególnych bohaterów splatają się ze sobą, by złączyć się ostatecznie w finale: w dwóch ostatnich „Avengersach".

Każdy film funkcjonował przy tym jako osobna dramaturgiczna całość, tak by widz mógł dołączyć do serii w dowolnym momencie. Pierwsze pięć filmów wprowadzało kolejnych bohaterów: Iron Mana, Thora, Hulka, Kapitana Amerykę. W szóstym filmie, czyli w pierwszych „Avengersach" (2012), wszyscy oni, mimo początkowej wzajemnej niechęci, zmuszeni pracować razem, by uratować Ziemię przed inwazją kosmicznych sił, dowodzonych przez złowieszczego brata Thora, Lokiego. Kolejne odsłony cyklu pokazywały dalsze losy tej czwórki i wprowadzały kolejne postaci.

Przeciętny, skupiony na postaci pojedynczego herosa film Marvela realizował opisany przez Josepha Campbella, a popularny w Hollywood schemat „podróży bohatera". Według Campbella większość mitów ludzkości opowiada tę samą historię. Bohater opuszcza znany sobie świat i wkracza w rzeczywistość, gdzie nie działają zwykłe reguły. By wrócić do domu, musi pokonać liczne przeszkody, w tym własne, wewnętrzne demony: pychę, lęk, niedojrzałość. Wraca silniejszy i odmieniony, obdarzony nadzwyczajnymi mocami.

Jednocześnie każdy film posuwa do przodu główną, łączącą wszystkie 22 tytuły linię narracyjną. Szczególne znaczenie mają dla niej sceny po napisach końcowych. Zaangażowanych fanów Marvela można było poznać po tym, że czekali w kinie, aż wyświetlą się wszystkie podziękowania, nazwiska kaskaderów i trzecich asystentów operatora, by zobaczyć trwającą często nawet poniżej minuty scenę, która zapowiada, co będzie w następnym filmie, lub dostarcza kontekstu lepiej pozwalającego zrozumieć to, co widzieli na ekranie.

I właśnie sceny po napisach wprowadzają główny wątek franczyzy: historię Thanosa, potężnej istoty z odległej planety. Thanos usiłuje zebrać sześć kamieni nieskończoności – obiektów skupiających w sobie najbardziej źródłowe energie wszechświata. Chce przy ich pomocy „przywrócić równowagę we wszechświecie" – likwidując połowę jego populacji, by stworzyć wolne od przeludnienia i jego bolączek uniwersum. Ziemia i jej bohaterowie stają się centrum kosmicznego dramatu, pojedynku z Thanosem o losy wszechświata.

Prawo serii

Sukces Marvelowskiej serii złośliwi komentują stwierdzeniem, że w czasach gdy telewizja za sprawą serialowej rewolucji coraz bardziej przypomina dobre kino, kino zmienia się w wysokobudżetową, ale niekoniecznie jakościową telewizję. Telewizja dojrzewa, kino dziecinnieje – brzmi ich argument.

Jednak na gruncie Marvelowskiej franczyzy udało się stworzyć kilka produkcji, które bronią się jako pojedyncze filmy, zdolne porwać także tych widzów, których nie interesuje cały cykl i którzy nigdy nie mieli w ręku komiksu o superbohaterach. W pierwszych „Avengersach", „Strażnikach galaktyki" czy w „Thorze: Ragnaroku" udało się uzyskać połączenie odwołującej się do najbardziej fundamentalnych emocji i symboli historii przemiany bohatera, bogactwa wyobraźni tworzącej fikcyjne filmowe światy, technicznej doskonałości współczesnej superprodukcji oraz erudycyjnego popkulturowego humoru. Co w sumie składa się na wspaniałe filmowe widowisko. Nawet w najsłabszych odsłonach serii czujemy, że na poziomie całości obcujemy z epicką narracją o unikalnej we współczesnej popkulturze skali.

Za poślednią, z samej swojej natury artystycznie niedojrzałą formę przez długi czas uważano też komiksy o superbohaterach. Traktowano je jako niepoważną rozrywkę dla introwertycznych, pozbawionych normalnego życia społecznego nastolatków. Jeszcze dwie, trzy dekady temu, jeśli amerykańscy filmowcy chcieli pokazać, że nastoletni – nie mówiąc o dorosłym – bohater jest trzymającym się na uboczu dziwakiem, wkładali mu do ręki komiks o Spider-Manie czy Hulku. Fenomenalny sukces filmów Marvela pokazuje, że komiksy o superbohaterach – a przynajmniej pochodzący z nich bohaterowie i świat przedstawiony – z protekcjonalnie traktowanego marginesu popkultury stały się jej centrum.

Maszyna monetyzująca emocje

Powstanie globalnego rynku filmowego – obejmującego nie tylko kraje Zachodu, ale także Rosję i Chiny – ułatwia studiom

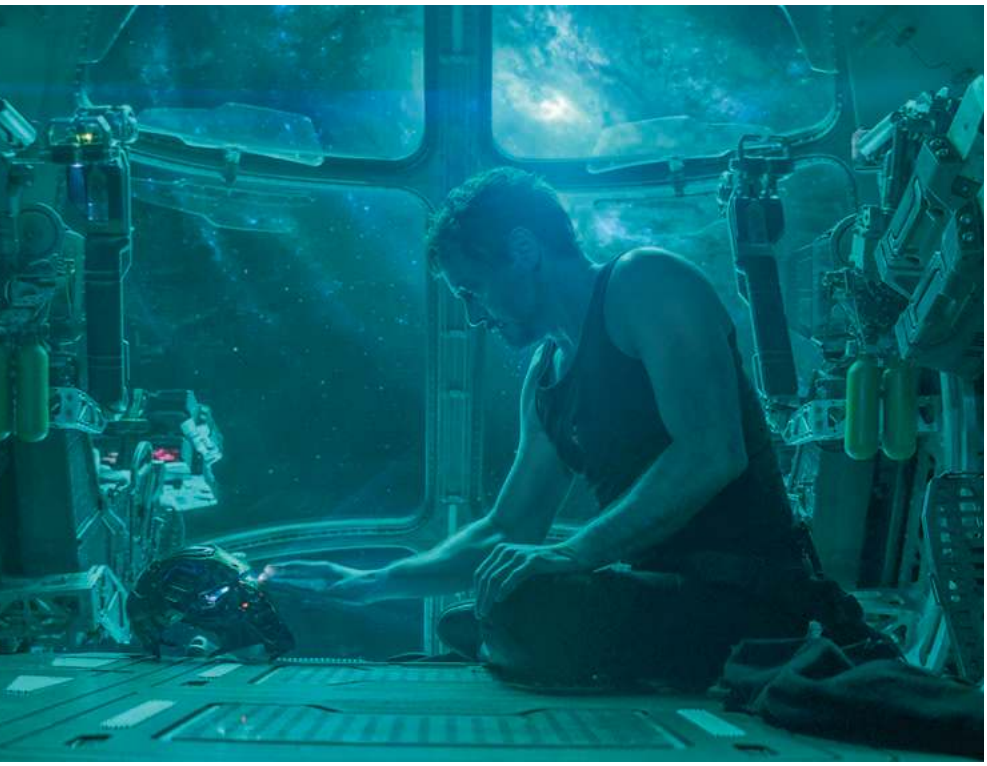

MARVEL STUDIOS / MATERIAŁY PRASOWE

Robert Downey Jr. jako Tony Stark-Iron Man

decyzję o inwestycjach w drogie superprodukcje. Średni budżet filmu Marvela to ponad 180 mln dolarów. Nawet jeśli taka produkcja nie podbije amerykańskiego box office'u, to producenci mają szansę odrobić straty w globalnej dystrybucji.

Krytycy serii w Marvelowskiej franczyzie widzą bezduszną maszynę do bezwzględnej monetyzacji emocji widzów. Na pewno kształt filmowego uniwersum Marvela często bardziej niż artystyczne wybory twórców określają względy biznesowe. Np. w filmowym świecie jest znacznie mniej bohaterów niż w komiksowym – co wynika z tego, że zanim Marvel sam wszedł w produkcję filmów, wyprzedawał prawa do swoich komiksowych postaci różnym studiom. Choć w komiksach X-Meni, Kapitan Ameryka i Iron Man zamieszkują jeden świat przedstawiony, to w filmie jest inaczej. Prawa do X-Menów kupiło bowiem studio 20th Century Fox, które postaciom bohaterskich mutantów poświęciło własną serię filmów, pozbawionych punktów wspólnych z produkcjami filmowego Marvela. Spider-Man mógł pojawić się w filmowym uniwersum Marvela dopiero wtedy, gdy się udało dogadać z posiadającą prawa do postaci wytwórnią Columbia.

Uwzględniając wszystkie te czynniki, warto mieć jednak na uwadze to, że gdyby kolejne filmy Marvela były wyłącznie wykalkulowanym w Excelu produktem wielkich studiów, nigdy nie zdobyłyby tak zaangażowanej i wiernej publiczności. Producentom z Marvela udało się połączyć dyscyplinę w egzekwowaniu obliczonego na dekadę filmowego biznesplanu ze współpracą z wyrazistymi reżyserskimi osobowościami – takimi jak bracia Russo czy Taika Waititi – zdolnymi nadać poszczególnym odsłonom serii, autorskie piętno.

Superbohaterowie i polityczna wyobraźnia

Emocje, jakie budziły kolejne produkcje Marvela, często wiązały się z polityką. Pierwsze filmy z serii krytykowane były przez progresywne środowiska za to, że wszystkimi głównymi bohaterami byli biali mężczyźni. Kobiece bohaterki pozostawały niezmiennie na drugim planie, w cieniu męskich herosów.

W ostatnich latach Marvel wyszedł naprzeciw tej krytyce. W „Czarnej panterze" dał widzom film nie tylko z niemal wyłącznie czarną obsadą, ale także osadzony w fikcyjnym afrykańskim państwie, które dzięki pochodzącej z kosmosu technologii uchroniło się od losu kolonialnego i neokolonialnego podporządkowania. W niedawnym „Kapitanie Marvel" studio po raz pierwszy postawiło na kobiecą bohaterkę. Ponieważ komiksowy pierwowzór był męski, część fanów zareagowała wściekłością i wymierzoną w film kampanią w mediach społecznościowych.

Finałowa odsłona serii, „Avengers: Koniec gry", skłania do pytań o jej całościowy polityczny wydźwięk. Kluczowe dla niego wydają się dwie, wracające w całej serii postaci: Kapitan Ameryka i Iron Man.

Pierwszy to reprezentant liberalnej Ameryki ery Roosevelta, pokolenia, które pokonało nazizm, powstrzymało ekspansję komunizmu i zbudowało amerykańską wersję państwa dobrobytu. Filmowy Kapitan Ameryka nigdy nie zapomina, że jest prostym chłopakiem z proletariackiego Brooklynu, stojącym po stronie demokratycznej Ameryki, gdzie każdy, niezależnie od rasy, statusu społecznego, wyznania zasługuje na szansę i uczciwe traktowanie – wszyscy bowiem tworzą jedną Republikę.

Tony Stark-Iron Man bardziej niż Amerykę Roosevelta reprezentuje tę ze współczesnej Doliny Krzemowej. To syn miliardera i genialnego wynalazcy, który sam przed trzydziestką i w nauce, i w biznesie prześcignął we wszystkim ojca. Tak jak Kapitan Ameryka to fantazja o sile demokratycznej, ludowej Ameryki, zdolnej skutecznie przeciwstawić się złu, tak Iron Man to fantazja o genialnej, nadzwyczajnie bogatej jednostce, zdolnej rozwiązać wszystkie trapiące świat problemy – na pewno miła ludziom w typie Elona Muska czy Jeffa Bezosa. W produkcjach Marvela Stark przynajmniej nigdy nie dorósłby do swojej roli, gdyby nie spotkanie z Kapitanem Ameryką, gdyby nie Ameryka Brooklynu, przypominająca, że poza własnym interesem najzamożniejsi ludzie mają też pewne zobowiązania wobec społeczności.

Jednocześnie na przestrzeni całej serii największym sukcesem superbohaterów okazuje się konserwacja *status quo*. Jedyną alternatywą dla niego jest planowana przez Thanosa kosmiczna zagłada. W pełni doceniając bogactwo wyobraźni, jakie przez ponad dekadę otwierało dla mnie kolejne światy w uniwersum Marvela, chciałbym czasem zobaczyć w kinie superprodukcję zdolną wyobrazić sobie jakąś trzecią opcję. ©

JAN

Klata:
Lisowczyk z łasiczką

„Szczerze mówiąc, średnio się tym interesowałem" – zaczyna premier odpowiedź na pytanie o cenzurowanie sztuki w Polsce, zastrzegając uprzednio, że bananów właściwie nie jada. Przeanalizujmy tę wypowiedź: 1. mówi szczerze 2. interesuje się średnio. W to pierwsze wierzę średnio, to drugie jest bardzo interesujące. Premier kulturą interesuje się średnio, czyli wcale. Z wykształcenia historyk, więc może jednak trochę mógłby poudawać, ale nie musi, po prostu puszcza oko do elektoratu, że to jakieś fanaberie garstki błędu statystycznego, co to mu się w głowie poprzewracało... Sztuką się interesować? Żeby jeszcze malarstwo, obraz ładnie oprawiony, z – dajmy na to – damą wyposażoną w łasiczkę. Ale performerki? Przecież na to patrzą dzieci ze szkolnych wycieczek, powieśmy tam ładnego lisowczyka i będzie narodowe muzeum. Po co jest sztuka? Na tle lisowczyka można ugościć zagraniczną głowę państwa – dajmy na to Orbána – i będzie ładne zdjęcie, a na tle Natalii LL zarówno Orbán, jak i Morawiecki mocno zbledną. *Decorum* jest podstawą, wiedzą to wszyscy historycy, nawet premier. Wizyty w Muzeum Narodowym nie mogą traumatyzować dzieci, wiedzą o tym wszystkie matki, zwłaszcza te piszące zażalenia do Ministerstwa Kultury...

„Z pełnym zrozumieniem przyjąłem maila ws. traumatycznej wizyty syna Pani [nazwisko zamazane] w Galerii XX i XXI w. Muzeum Narodowego w Warszawie. Pragnę poinformować, że ta ekspozycja, wzbudzająca negatywne odczucia naszych gości, została stworzona przez poprzednią dyrekcję MNW, w tym odpowiedzialnego za działania merytoryczne dr. Piotra Rypsona". Ekspozycja Rypsona zostanie zmieniona. *Vox populi*... Piotr Rypson już w Muzeum Narodowym nie pracuje, oczywiście. Pracuje Jerzy Miziołek, nieugięty, niepoddający się ministerialnym naciskom, których zresztą w ogóle nie było.

Oczywiście, nie ma mowy o cenzurze, broń Boże, więc prace, co to były przypadkowo zdjęte potajemnie, zostaną wskutek nagłośnienia przywrócone, żeby nie było wątpliwości, że cenzura. Huczek przycichnie, za kilka tygodni nastąpi rearanżacja i się kulturę zrearanżuje rękoma „pełnych zrozumienia" Miziołków. Na ścianach zawisną obrazy z ubiegłego stulecia, niewzbudzające negatywnych odczuć „naszych gości". Proponuję portrety ministra Glińskiego z łasiczką (w różnej skali) oraz może jedno duże płótno batalistyczne zatytułowane: „Traumatyczna wizyta dziecka w Muzeum Narodowym". Na wieczną pamiątkę... a może jeszcze, żeby było choć trochę nowocześnie, z offu mogą być non stop odtwarzane słowa premiera Morawieckiego z wywiadu „szczerze mówiąc": „Jestem absolutnie przekonany, że mój znakomity współpracownik pan Piotr Gliński ma wolność sztuki bardzo, bardzo głęboko (*pauza*) w sercu". ©

Lektor:
Pochwała utopii

▪ *Jerzy Jarniewicz*
BUNT WIZJONERÓW
Wydawnictwo Znak, Kraków 2019, ss. 384.

„Na mapie, na której nie byłoby Utopii, nie warto zawieszać oka". Cytat z Oscara Wilde'a otwiera tę książkę, której tematem jest wielka epoka utopijnego myślenia w euroamerykańskiej kulturze – mityczne już lata 60. ubiegłego wieku.

„Zarówno bunt, jak i wizja, dwa warunki powstania utopii, to w przypadku wydarzeń lat 60. przymioty słodkiego ptaka młodości, bo młodość, rozumiana zresztą bardziej jako wymiar psychiczny i duchowy niż biologiczny, w tym właśnie czasie zyskała samoświadomość i poczuła własną siłę" – pisze Jarniewicz. Rozpoczyna więc od studenckiej Deklaracji z Port Huron (1962) i walki o wolność słowa na uniwersytecie w Berkeley (1964), kończy zaś wydarzeniami z 4 maja 1970 r., gdy Gwardia Narodowa otworzyła ogień do studentów na Uniwersytecie Stanowym w Kent. W tych ramach umieszcza rozmaite zjawiska i postacie, które wpłynęły na utopijną wyobraźnię pokolenia.

Przywykliśmy teraz raczej do dekonstruowania mitów i do opatrywania terminu „utopia" znakiem ujemnym. Jarniewicz nie jest ani mitografem, ani dekonstruktorem, uważa przy tym, jak Wilde, że utopie są warunkiem rozwoju. I po prostu pokazuje – w fascynujący sposób! – kontrkulturowy ruch z jego czystymi źródłami, buntowniczą odwagą, szlachetną naiwnością, niewątpliwymi osiągnięciami i budzącymi wątpliwości epizodami. Opowiada o Lecie Miłości '67 i festiwalu w Monterey – ale też o tym, co się zdarzyło dwa lata później podczas koncertu Stonesów w Altamont, gdzie jeden z Aniołów Piekła, mających pilnować... porządku, zabił czarnoskórego nastolatka. Pisze o psychodelii, komunach i „hippisach z Doliny Krzemowej", o zasługach i niebezpieczeństwach antypsychiatrii. W korowodzie portretów znajdziemy kanadyjską pieśniarkę Joni Mitchell i Amerykankę Joan Baez z jej partnerem Bobem Dylanem, a także Yoko Ono, dramaturga Joego Ortona i poetę Briana Pattena. Osobne rozdziały dotyczą feministek oraz zamieszek pod Stonewall Inn, które stały się przełomem w walce o prawa homoseksualistów.

Polecając „Bunt wizjonerów", przypomnieć trzeba inną książkę Jarniewicza, „All You Need Is Love. Sceny z życia kontrkultury" (2016) – warto czytać je razem. A esej Wilde'a „Dusza człowieka w socjalizmie", z którego pochodzi cytowane na początku zdanie, został właśnie wydany przez Karakter w przekładzie Jacka Dehnela. Cóż – nie ma przypadków! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Linia palmy

Znam ja wasze niecne myśli, spodziewaliście się, że będzie o bananie. Dobrze się śmieje w miłym towarzystwie, a jeszcze można było poczuć tę siłę sprawczą, której tak bardzo od paru lat brakuje przeciwnikom obecnej władzy. Raz na wozie, raz pod wozem, dziś jedyne, co mogą, to zabić śmiechem kołtuna, skrzyknąć się na fejsbuku i wymusić na niewydarzonym dyrektorze muzeum przywrócenie obiektu budzącego jakoby niepokoje młodzieży. Z uporem godnym czegoś większego w każdym pokoleniu starcy odkurzają ten sam topos troski o czystość myśli pacholęcia. Tymczasem pacholę już dawno przyswoiło sobie wszystkie sprośności, jakimi w danej epoce podskórny obieg kultury zaspokaja ciekawość spraw płci. I ma teraz przed sobą całe życie, żeby z tych nauk wysnuć praktyczne wnioski, czego niespełniony starzec aż tak mu zazdrości, że idzie w groteskę. Zawsze te same pomysły: ogrodzić, zamknąć, oczy ręką zasłonić. Majtki-chmurki domalować.

Ale dość już o tym, szkoda miejsca, by utrwalać pamięć oportunistów, którzy psują świat niejako mimochodem, zajęci dreptaniem wokół pomnika własnego ego wyrzeźbionego w mydle. Na nich wystarczy szybka kpina. Biada jednak również tym, którzy sądzą, że szybka fotka z owocem, kokardką czy innym gadżetem dnia, tudzież mnóstwo wyższościowego samozadowolenia to jest akurat to, co wystarczy, żeby skutecznie zatrzymać kryzys demokracji. Coś się psuje w wielkim konsensusie co do tego, że próbujemy wdrażać delikatny balans wolności i równości, bo dostęp do dobrobytu jest już na tyle powszechny, że znieczula skłonność ludzkich plemion do popadania w konflikt. Że krótko mówiąc, pełna miska pozwoli uśmierzyć instynkty walki i dominacji na tyle, iż respekt dla prawa, instytucji oraz umiarkowane cnoty obywatelskie zaczną obowiązywać jako coś prawie naturalnego.

Nie wiem, czy problem jest tylko z tym, że miska zaczęła pustoszeć, a może to jakieś głębsze procesy, w każdym razie nawet w krajach tradycyjnie znanych z umiaru w ekspresji własnych poglądów pojawia się swego rodzaju dzikość, dotychczas traktowana jako gorączka typowa dla dalekich peryferii, czyli Południa i Wschodu (bo Europa jako projekt polityczny i cywilizacyjny ma „peryferie", czyli zacofane pogranicza, tylko po dwóch stronach – nikomu wszak nie przyszłoby do głowy traktować Laponii czy szkockich pustkowi z tą samą wyższością, co Sycylię).

„Sycylizację" obyczaju politycznego, którą dziś nazywamy populizmem, w krajach bliżej centrum kontynentu przewidział jeszcze w latach 60. jeden z najbardziej przenikliwych pisarzy z tamtej pięknej, choć nieszczęsnej wyspy. W „Dniu puszczyka" Leonardo Sciascia pisał: „gdym czytał o skandalach trapiących sycylijskie władze, przyszło mi do głowy: naukowcy mówią, że tzw. linia palmy, czyli granica obszaru, gdzie klimat sprzyja wzrostowi palmy, przesuwa się na północ o pięćset metrów rocznie. Ja natomiast nazwę ją linią kawy *ristretto*, kawy skoncentrowanej. I ta linia mocnej kawy i skandali idzie w górę jak słupek rtęci w termometrze, już jest powyżej Rzymu...".

Sciascia był zatem nie tylko prorokiem, kiedy odważył się przełamać milczenie wokół mafii (to słowo pada w jego powieści po raz pierwszy w dziejach literatury), ale i zauważył globalne ocieplenie, zanim zaczęło o nim być głośno. Mnie jednak frapuje ta uwaga o mocnej kawie jako emblemacie rozkładu ustroju. Im lepsza kawa – i lepsze jedzenie także, dodajmy – tym większy nieład. A może to też ład, tyle że inny, odmienny od tego, co uchodzi za wzorzec urządzenia spraw społecznych, tak atrakcyjny, bo poparty sukcesem kapitalizmu w wersji anglosaskiej i skuteczną biurokracją na niemiecką modłę.

Paskudna zaiste alternatywa: mieć sprawiedliwe państwo bez korupcji i solidną poduszkę kapitału społecznego, ale jeść za to prząśnie i popijać pomyjami – albo łechtać co dzień podniebienie innymi smakami, przeżywać zmysłowo posiłki jak dojrzałą miłość, w której owoc im dojrzalszy, tym słodszy, ale za to jęczeć pod butem wrogich człowiekowi urzędów, bać się policjanta nie mniej niż złodzieja i znać w życiu sąsiedzkim jedynie prawo pięści. Europa przez ostatnie 70 lat próbowała oszukać pierwszą zasadę gastropolityki. Chwilowo nawet z sukcesem, ale to się właśnie kończy: jeśli wpuścisz do kuchni makaron *alla Norma*, to ani się obejrzysz, a będziesz miał Palermo w parlamencie. ©℗

Powiem coś wbrew trendowi: banan to jeden z najmniej seksownych owoców, w sensie kuchennej potencji oczywiście. Mało co się da z niego wyczarować, poza zmiksowaniem na smoothie z truskawką – to idealna para – albo upieczeniem bananowego chlebka, pożywnego wprawdzie, ale niemiłosiernie mdłego. Tym bardziej warto pamiętać u progu sezonu grillowego, że można go położyć wprost na ruszt, szybko przypiec z obu stron, aż z wierzchu sczernieje, rozciąć ostrożnie i posypać wrzący, śliski miąższ startą czekoladą. Można też się pobawić w oblanie go karmelem, ale nie po to się ludzie gromadzą przy grillu, żeby rozwijać wątki cyrkowe. Za to truskawki, hmm, po prostu nie umiem się im oprzeć, choć jeszcze co najmniej dwa tygodnie muszą minąć, zanim będą miały smak. Ale są pewne drobne sposoby, żeby już teraz dodać im nieco życia. Najważniejszy sojusznik to ciemny cukier trzcinowy muscovado, ten przypominający mokrą glinkę, który sprawdza się też w wielu przepisach warzywnych, kiedy chcemy dodać trochę głębszej, prawie gorzkiej nuty. Rozcięte na pół truskawki posypmy szczodrze cukrem muscovado i odrobiną mielonego pieprzu, podlejmy paroma łyżkami porto lub innego czerwonego słodkiego wina, zostawmy do zmacerowania na godzinę, tuż przed wydaniem dajmy odrobinę białego jogurtu, ale tylko tyle, żeby nadać sosikowi, który się uwolnił, lekko aksamitnej konsystencji.

DUSAN ZIDAR / ADOBE STOCK

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

ZAAWANSOWANE TECHNOLOGICZNIE USŁUGI TELEINFORMATYCZNE DLA BIZNESU

INTERNET
TRANSMISJA DANYCH
USŁUGI GŁOSOWE
HOSTING I CLOUD COMPUTING

łatwiejszy dostęp / wyższy poziom niezawodności / więcej usług

WYCIĄGAJ
Z SIECI
ILE SIĘ DA

Kupuj Internet on line*

- NATYCHMIASTOWA weryfikacja zasięgu
- spersonalizowana OFERTA
- sprawny proces zamawiania
- SZYBKA INSTALACJA

*innowacja roku: pierwszy konfigurator usług telekomunikacyjnych w Polsce

www.s-net.pl/konfigurator
Kontakt: +48 12 395 71 00 / sales@s-net.pl

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK SPECJALNY
„TP" 19/2019

Poznańska Nagroda_Literacka 2019

GRAŻYNA MAKARA

PIĘĆ LAT POZNAŃSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ to nie powód do świętowania, lecz do odczuwania małej satysfakcji – owszem. Nagroda im. Mickiewicza trafiła do pisarzy zasłużonych i twórczych: Zbigniewa Kruszyńskiego, śp. Erwina Kruka, Tadeusza Sławka, Anny Bikont. Stypendium im. Stanisława Barańczaka przypadło zaś świetnym młodym autorom: Kirze Pietrek, Magdalenie Kicińskiej, Małgorzacie Lebdzie i Szczepanowi Kopytowi. Wiesław Myśliwski, tegoroczny laureat, otrzyma nagrodę w podzięce za prozę, która syci konkretem i wiarą w znaczenie życiowych doświadczeń. Również kandydaci do stypendium Barańczaka to bardzo utalentowani poszukiwacze jednostkowych sensów w zawłaszczającym lub obcym świecie. Kładę nacisk na ludzki wymiar Nagrody. Narodziła się w chwili smutku po śmierci poety i tłumacza, z połączenia intencji miasta i uniwersytetu, zwraca się ku piszącym w geście wdzięczności i zachęty, apeluje do czytelników o uwagę. Wreszcie jury – Inga Iwasiów, Bogumiła Kaniewska, Sławomira Wronkowska, Jarosław Mikołajewski, Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki, Szymon Wróbel i Marcin Jaworski (sekretarz) – melanż różnych wrażliwości i podobnej pasji. Ta Nagroda niesie trochę pieniędzy, jednak sama nie przez pieniądze jest niesiona, tylko przez pragnienie czegoś innego. ©

PIOTR ŚLIWIŃSKI
PRZEWODNICZĄCY KAPITUŁY

Pomnik Adama Mickiewicza przy UAM, Poznań
FOT. MACIEJ KACZYŃSKI ©CK ZAMEK

MICHAŁ GĄCIARZ

Wiesław Myśliwski

Dlaczego Myśliwski?

BOGUMIŁA KANIEWSKA

Tutaj słowa nie są nadaremne: budują obrazy rzeczywistości i skomplikowanych ludzkich losów. Przekładają je na opowieść o codzienności, dzięki której chaos zamienia się w sens.

Arcydzieło. Pojęcie, które istnieje w kulturze od zawsze i od zawsze opiera się definicyjnym zakusom. Arcydzieło, czyli dzieło ważniejsze od innych, mocniej poruszające, bardziej przejmujące, zapadające w pamięć, doniosłe. Niekoniecznie doskonałe, ale koniecznie niepokojące, skłaniające do nieustannych powrotów, bo przy każdej lekturze odsłaniające nowe sensy, nieodkryte tajemnice.

Wiesław Myśliwski jest autorem arcydzieł.

Wiedział o tym Julian Przyboś, gdy nazwał pierwszą z powieści pisarza, „Nagi sad", poematem „gęstym od znaczeń". Już tam bowiem ujawniła się najważniejsza cecha pisarstwa Myśliwskiego: wywodząca się z kultury chłopskiej wiara w moc słowa połączona z nabożnym niemal stosunkiem do języka.

„Pisarza powołuje język, nie doświadczenie, nie historie, tematy, jak się niektórym wydaje. Zresztą w moim przekonaniu literatura nie potrzebuje jakichś szczególnie fascynujących historii czy tematów. Rzeczywistość literatury to najniższe piętro ludzkiego bytowania, to pospolitość, banalność, to narodziny, śmierć i jeszcze trochę w tej ramie" – mówił Myśliwski w rozmowie ze Stanisławem Beresiem. Wiedział o tym już narrator „Nagiego sadu": „każdy jest na tyle, na ile opowiedziany zostanie albo sam się innym opowie". Wiedzą o tym w zasadzie wszyscy bohaterowie Myśliwskiego: owczarz Jakub błądzący po pańskim dworze w poszukiwaniu swego szlacheckiego *alter ego* („Pałac"), Szymek wznoszący rodzinny grobowiec, by scalić rozproszony ród Pietruszków („Kamień na kamieniu"), Piotr nieustannie wędrujący schodami na sandomierskie Rybitwy („Widnokrąg"), łuskający fasolę muzyk, strzegący pamięci swej nieistniejącej już wsi („Traktat o łuskaniu fasoli"), przedsiębiorca wsłuchany w listy Marii snującej historię ich niespełnionej miłości („Ostatnie rozdanie") czy przeżywający spotkanie z własną młodością profesor historii („Ucho igielne"). Ten ostatni wypowiada znamienne zdanie, stanowiące znakomitą kodę dla słów syna z „Nagiego sadu": „Słowa cierpią, gdy są nadaremne". U Myśliwskiego słowa nadaremne nie są: budują obrazy rzeczywistości i skomplikowanych ludzkich losów. I równocześnie przekładają je na pojedynczy głos, indywidualne świadectwo, opowieść o codzienności, która ubrana w słowa, wyartykułowana, wytraca swoją chaotyczność na rzecz sensu. Niwelując opozycję między opowieścią a życiem, twórczość Myśliwskiego przywraca również wartość prawdzie. W centrum świata staje człowiek, który mówi – i tym samym wciąż od nowa tworzy samego siebie.

Refleksja nad miejscem i znaczeniem „ja" w kulturowym uniwersum zmienia pisarza w myśliciela opisującego kondycję człowieka w rozsypanym świecie – podobnego Baumanowi, Braidotti czy Benjaminowi. Samotnicy, uciekinierzy, uchodźcy, emigranci, wykluczeni, pielgrzymi, przechodnie, nomadzi – wszyscy oni muszą swój świat, a więc swoją o nim opowieść, skonstruować z okruchów doświadczeń, ze strzępów pamięci, kultury, historii. Wszystkim brak zakorzenienia we wspólnocie – tak jak bohaterom Myśliwskiego. Bez względu na to, jaka wspólnota miałaby dawać oparcie: klasowa, narodowa, religijna czy kulturowa – pustka pozostaje zawsze pustką i wymaga podjęcia wysiłku ukształtowania świata na nowo. Wymaga ogarnięcia doświadczeń podstawowych, uporządkowania codzienności tak, by zmierzyć się z absurdem i samotnością egzystencji. Do tego niezbędna jest opowieść o sobie samym, która uprawomocniałaby istnienie, dając choćby ułudę tożsamości. No i oczywiście odpowiedzialność – za stwarzany słowem świat, za samego siebie i za drugiego człowieka.

Wszystko, co dzieje się w świecie Myśliwskiego, dzieje się między człowiekiem a człowiekiem. Historia, polityka, miłość, miłosierdzie, dobro i zło – to nie idee, to zdarzenia, spotkania: z radzieckim czy niemieckim żołnierzem, z sanitariuszką, pasterzem, nauczycielem, prostytutką, księdzem, policjantem, szewcem, sklepową, z żydowską dziewczynką... To konkretne twarze i biografie, rozmowy wpisujące się w horyzont naszego świata, tworzące naszą opowieść o nas samych. ©

JAKUB WINOGRODZKI

Tomasz Bąk

Miłość i kapitalizm

MARCIN JAWORSKI

Wiersze Tomasza Bąka trzymają się konkretu łapanego krytycznym okiem i uważnym uchem intelektualisty.

Tomasz Bąk jest autorem trzech dostrzeżonych i docenionych tomików poetyckich. Debiutował „Kanadą" w WBPiCAK w Poznaniu (w tym wydawnictwie ukazały się wszystkie jego książki). Tom „[beep] Generation" z 2016 r. doczekał się szeregu komentarzy, które utwierdziły autora (rocznik 1991) na pozycji jednego z najważniejszych poetów wśród dwudziestolatków czy nawet autorów debiutujących w XXI wieku. Krytycy wskazywali przy tym tyleż na oryginalny język i wyrazistą wyobraźnię tych pozbawionych złudzeń, ale nie pozbawionych humoru wierszy, co na ich polityczny aspekt. Stał się w ten sposób Bąk mocnym reprezentantem młodych zaangażowanych, a jego tomiki czyta się z reguły w towarzystwie twórczości Konrada Góry, Szczepana Kopyta, Kiry Pietrek czy Ilony Witkowskiej.

Na pierwszy rzut oka „Utylizacja. Pęta miast", tom z 2018 r., potwierdza te dobrze już ugruntowane rozpoznania. Perspektywa generacyjna czy, szerzej, wspólnotowa oraz zaangażowanie są jednak w tej lirycznej książce jednymi z wielu wątków podsuwanych przez poetę – ale wcale nie najistotniejszymi. Siłą wierszy Bąka jest ich precyzja, co rozumieć można na kilka sposobów. Przede wszystkim jego utwory trzymają się konkretu łapanego krytycznym okiem i uważnym uchem intelektualisty – zawsze czujnego wobec codzienności oraz wrażliwego na detal. W Łodzi, w Tomaszowie Mazowieckim albo w jakimkolwiek innym polskim mieście jego wiersze wchodzą razem z nami do banku i tramwaju, słuchają radia, serfują po sieci, zdają egzaminy. Jednak przede wszystkim to teksty o miłości – jej konieczności i lęku przed nią, głodzie i braku, nadziei i definitywnym końcu. W intymnych utworach poeta nie boi się patosu, umie używać konwencji, ryzykownie balansuje na granicy grafomanii – bardzo to przekonujące.

Rzeczywistość to też język. Słuch Bąka budzi respekt. Różnorodność socjolektów (np. ekonomia, marketing polityczny, reklama, religia, język piosenek, mediów społecznościowych, a także flirtu i miłości) i rejestrów (m.in.: patos kultury masowej, autotematyczna ironia, sarkazm politycznego pamfletu albo naiwny sentymentalizm przełamany wzruszeniem intymnego wyznania), poddawanych tu poetyckiej obróbce, pozwala nie tylko lepiej je usłyszeć i zrozumieć, ale zdystansować się od nich.

Literacką dojrzałość Bąka widać także w dialogach prowadzonych z innymi artystami. Nie dziwią znane z wcześniejszych tomów nawiązania do muzyki alternatywnej (niektóre utwory to gotowe partytury) czy przyjazne gesty wobec nieco starszych kolegów (Kopyt) albo rówieśników (elegia dla Tomasza Pułki). Świeże jest także nawiązanie do pacyfistycznego poematu Allena Ginsberga. Natomiast tytułowa utylizacja dotyczy podejmowanych przez Bąka tematów, ale jest także metaforą egzystencji w późnej nowoczesności. Dodatkowo określa oryginalną technikę poetycką autora, która mieści się między recyklingiem Tadeusza Różewicza a coverem Andrzeja Sosnowskiego. A może to także sposób na ocalenie (języka? wartości?) po ekonomiczno-cywilizacyjnym końcu świata? Nieco podobnie jak u Czesława Miłosza w wydanym tuż po wojnie tomie – „Ocalenie" wszak jest tu ważnym punktem odniesienia.

Uchwycony w „Utylizacji" świat nie jest przy tym ani prostodusznie realistyczny, ani czysto tekstowy. Złożona na pozór struktura wiersza przekłada się na wiarygodne, uderzające bezpośrednimi emocjami literackie doświadczenie rzeczywistości. Bąk nie mądrzy się ani nie mizdrzy do czytelnika, nie udaje, że jest kimś innym, niż jest – prowincjonalnym poetą mówiącym z kulturalnej niszy. Poezja to dla niego rodzaj trudnej wolności i właśnie dlatego warto go uważnie wysłuchać. ©

• *Tomasz Bąk*
UTYLIZACJA. PĘTA MIAST
WBPiCAK, Poznań 2018

POZnań
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
PPNT Fundacja Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
Centrum Kultury Zamek

ADAM GOLEC / MATERIAŁY PRASOWE

Mira Marcinów

Nicość świata

SZYMON WRÓBEL

Mira Marcinów próbuje opisać polskich melancholików w kategoriach codziennej nędzy życia oraz codziennej racjonalności, a do opisu zwykłego smutku używa zwykłego języka.

Ta książka to opowieść o polskim statku szaleńców. Jego pokład wypełniony jest po brzegi melancholikami, którym towarzyszą lekarze poszukujący języka do nazwania i opisania szaleństwa. W języku medycznym melancholię określa się jako: chłopodur, domarad, demonomanię, durnicę, upiorów udawanie, zadumę, posępnicę, śledziennictwo, przygnębienie ducha, wstręt do życia. Ludwik Perzyna nazywa melancholię „smutnodurem", Stanisław Chomętowski „szałem melancholijnyn", Leon Blumenstok „wybuchem zadumowy" lub „napadem trwogi", Kazimierz Kralczyński „napadem zadumy". Kluczowe i ważne dla autorki pojęcie „ponurowatości" do języka polskiego wprowadził Bartłomiej Frydrych, tłumacząc w ten sposób francuskie pojęcie *lypémanie*. W tej walce o język nie chodzi tylko o diagnozę, ale również o narzędzia wytwarzania szaleństwa. Słowa bowiem nigdy nie są niewinne. Słowa służą do obwiniania i same są przyczyną wielu win. Wszak w „Historii polskiego szaleństwa" batalia dyskursów nie toczy się w szpitalu, lecz w sądzie.

Galeria lekarzy zestawiona jest tu z przebogatą kolekcją polskich melancholiczek i melancholików. Na przykład Ignacy Mazurkiewicz – obłąkany przestępca, który napisał list do proboszcza o „mordzie na ojcu". Na ławie sądowej, zapytany dlaczego zabił ojca, posępny morderca odpowiedział krótko i pragmatycznie, że ojciec źle trawił, był ponury, otyły, miał krew popsutą, i nie dawał szansy na szczęście innym.

Polskie szaleństwo rodzi się w obrębie rozumu, nie przychodzi spoza niego. Polacy szaleją z powodu rozumu, a nie przeciwko niemu. Mira Marcinów próbuje opisać polskich melancholików w kategoriach codziennej nędzy życia oraz codziennej racjonalności. Do opisu zwykłego smutku używa zwykłego języka – to wielka wartość tej pracy. W rezultacie w książce Miry Marcinów język szaleństwa nie jest ani neutralnym narzędziem opisu mowy melancholika, ani też prostą fabrykacją czy mistyfikacją szaleństwa w obrębie szpitala lub społeczeństwa. To raczej ciągła negocjacja znaczenia, wypełnienie treścią niepewnego, płynnego znaczenia słowa „szaleństwo".

Klinicyści-lekarze i melancholicy-obłąkani spotykają się w trakcie procesu sądowego, by doprecyzować mgliste znaczenie słowa „melancholia". Cytowany przez autorkę Bartłomiej Frydrych powiada: „poznasz pacjentów po tym, że myśli ich i wzruszenia są zawsze przesadzone i pomieszane, najprostsze wypadki biorą za bardzo ważne i z nich najsmutniejsze wyprowadzają wnioski. Lękają się najmniejszego szelestu, a niepokoi ich zupełna cichość". Poznanie szaleństwa pacjenta to zderzenie się z przesadą w myśleniu i odczuwaniu, w mówieniu i działaniu. Wszak szaleństwo jest wyolbrzymieniem.

Szaleństwo jest jednak często także fasadą. Fasadą czego? Braku myśli autentycznych. Czasem nawet braku wszelkich myśli. Melancholik jest pełen sprzeczności, albowiem pochodzi z Saturna – planety jakości smutnych. Do tego ciężkiej jak padół ziemski, zimnej, suchej, wytwarzającej więc wyłącznie ludzi materialnych, nadających się do pracy na roli. To rzeczywiście nieco przypomina Polskę. Z drugiej jednak strony, jako planeta usytuowana najwyżej, Saturn produkuje także ludzi spirytualnych, stroniących od życia ziemskiego, szukających wyłącznie ducha. To także czasem przypomina naszą ojczyznę. Przyczyny melancholii, o których pisze Marcinów, wychodzą poza banalny przypadek straty. Jej śledztwo obejmuje wszelakie urazy, porażki i rozczarowania, w tym również te związane z procesem poznania. Melancholia doprowadza podmiot do obrazu ruiny, dlatego jest granicą medycznej empirii. Dla racjonalnego umysłu bowiem nie istnieje żadna tajemnica „zaburzenia", żaden sekret choroby – jest tylko nicość, na którą trafiamy, próbując poznać istotę tego stanu. Dlatego właśnie, aby zrozumieć nicość świata, należy zagłębić się w historię szaleństwa. ©

• *Mira Marcinów*
HISTORIA POLSKIEGO SZALEŃSTWA, T. 1 SŁOŃCE WŚRÓD CZARNEGO NIEBA. STUDIUM MELANCHOLII
słowo/obraz terytoria
Gdańsk 2018

REKLAMA

100
UNIWERSYTET POZNAŃSKI 1919·2019
UAM UMP UPP AWF

MISJA: NAUKA

BADANIA & INNOWACJE
PROJEKTY INTERDYSCYPLINARNE
TRANSFER WIEDZY
SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ
ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ

ZASIĘG

ZASOBY

>20 DYSCYPLIN NAUKOWYCH
3 000 NAUKOWCÓW
300 MLN ZŁ NA BADANIA
NOWOCZESNA INFRASTRUKTURA
CENTRA BADAWCZE

UAM
UNIWERSYTET
IM. ADAMA MICKIEWICZA
W POZNANIU

UPGRADING...

uam.edu.pl

MARCELINA JAKIMOWICZ

Dawid Szkoła

Straciliśmy dużo

JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

Dawid Szkoła ma własną poetykę patrzenia. Mniej go interesują pozostałości i pamiątki, a bardziej to, jak obok nich żyją dziś ludzie.

Dawid Szkoła łączy w swoim pisarstwie reportaż i esej. Jeździ, żeby myśleć, myślenie wspiera podróżą. A także rozmową: z żywymi ludźmi i żywą literaturą (Joseph Roth, Paul Celan, Joseph Conrad). Obszar geograficzny, kulturowy i problemowy, po którym się porusza, wskazuje nam tytuł i podtytuł jego najnowszej książki – „Galicyjskie żywoty. Opowieści o stracie, doli i pograniczu". Żywoty te – trzynaście tekstów publikowanych wcześniej m.in. w „Twórczości", „Odrze" i „eleWatorze" – dotyczą przeszłości i współczesności, zarówno własnej, jak i należącej do postaci przywoływanych przez autora. Bohaterami opowieści i spotkań są Polacy, Ukraińcy, Żydzi – połączeni i podzieleni przez miejsca, mowę, historię.

Świat opowieści Dawid Szkoła czasem przedstawia tak, jak jawi się on jego oczom, a czasem zgodnie z tym, co dopowiada jego czuła wyobraźnia. Przestrzeń przyjmuje charakter i poetykę prostych relacji („Stoję pod ratuszem i patrzę w stronę rzeki Prut, skąd właśnie przyjechałem"), niekiedy metafor („W miasto wchodzę jak w stare spodnie"). Niewiele opisów należy wyłącznie do sfery myśli czy wyobraźni. Szkoła pisze całym sobą, bo wie – niby oczywistość, ale korzystają z niej tylko nieliczni – że nic nie dzieje się w jednej warstwie, lecz w punkcie ich przełamania. Dla szczegółów pejzażu autor szuka we własnej wyobraźni i odczuciach pomostu, który potem wykorzystać będą mogli czytelnicy. O przejściu granicznym w Medyce pisze: „Jest to ziemia niczyja, która wygląda jak po przejściu mocnego wiatru i kilkudniowej ulewy, przybiera więc abstrakcyjny kształt postkatastroficzny. Wszyscy chcą się jakoś na niej urządzić".

Kiedy objaśnia galicyjskich autorów, ulegam pewności, że angażuje do tego swoją zdolność współodczuwania, bliskie lektury, ale też historię ich prywatnego odbioru. Jak w tym fragmencie: „»Pada, matko, śnieg na Ukrainie« – pisał Celan w jednym ze swoich wierszy. Zima ta musiała być przerażająca i ciężka, również dla samego poety. Przeczytać bowiem można w innym wierszu: »Krwawiła, matko, jesień nade mną, spalał mnie śnieg: / szukałem swojego serca, żeby płakało«". Dla autora „Galicyjskich żywotów" moment pisania jest punktem, w którym zbiega się wszystko, co przeżył, zobaczył i przeczytał, co prowadzi niekiedy do zatarcia gatunkowych granic. Czymże bowiem, jeśli nie poetyckim nadbudowywaniem obrazów w drodze do lirycznej prawdy, jest stopniowe wsączanie do świadomości (własnej i czytelników) obrazów miasta Czerniowce: „Jest zatem takie miasto na końcu świata. (...) Jest to zarazem melancholijne miasto. (...) Jest to również piękne miasto. (...) Jest takie miasto na końcu świata".

„Galicyjskie żywoty" są owocem ciekawości, wrażliwości, fascynacji pisarskich, wiedzy literackiej i tej domyślanej na własną rękę, płynącej z przekonania, że człowiek jest mnogi, lecz człowieczeństwo jest jedno. To książka powstała z miłości do ludzi i miejsc, które coś utraciły. A przecież wszyscy coś utraciliśmy, wszystkiemu czegoś brakuje. Czy motorem tej miłości jest próba spotkania z rodzinnym Rzeszowem, do którego droga wiedzie przez łatwiejsze, bo mniej prywatne miejsca? Pisze Szkoła o Brodach: „Jeszcze pod koniec XIX wieku niemalże dziewięćdziesiąt procent mieszkańców Brodów to byli Żydzi. Dziś jest tu już inny świat, o którym nikt nie dyskutuje, podobnie jak dzieje się w Rzeszowie. Dzieli nas nie przeszłość, a historia wraz z jej interpretacjami. Straciliśmy dużo, sami nie wiemy jak wiele".

Dawid Szkoła ma własną poetykę patrzenia, ale nie nazwałbym jej metodą, bo w tej postawie czuć naturalność i swobodę. Mniej go interesują pozostałości i pamiątki, a bardziej to, jak obok nich żyją dziś ludzie. Cały czas trwając w zadziwieniu, „jak bardzo przyzwyczajamy się do przemijania i kruchości każdego istnienia". ©

• *Dawid Szkoła*
GALICYJSKIE ŻYWOTY. OPOWIEŚCI O STRACIE, DOLI I POGRANICZU
Officyna
Łódź 2018

FESTIWAL POZNAŃ POETÓW – CENTRUM KULTURY ZAMEK

14–18.05. 2019

Zawsze bardzo dużo czytałem. W dzieciństwie była to dla mnie ucieczka od rzeczywistości po śmierci ojca. Lektury dawały mi możliwość poznawania innych światów i kultur. Podobnie jest teraz – książki pozwalają mi lepiej zrozumieć zmieniającą się rzeczywistość i złożoność świata, korygują optykę patrzenia na rozmaite problemy, pomagają przełamywać stereotypy. Zapraszam do czytania w Poznaniu, na Poznań Poetów i inne wydarzenia literackie.

JACEK JAŚKOWIAK
prezydent Poznania

14.05. WTOREK

11.30-14.30 | Scena Nowa CK ZAMEK
SESJA KRYTYCZNOLITERACKA: NOWE I (ZA)WRACAJĄCE – W POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

17.00-18.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
JAK BYĆ MŁODYM POETĄ / MŁODĄ POETKĄ I PO CO?
dyskusja z udziałem Klaudii Mucy, Zuzanny Sali, Jakuba Skurtysa, Dawida Mateusza i Marcina Świątkowskiego
prowadzenie: Joanna Bednarek

18.15-19.45 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot); A JEDNAK SIĘ KRĘCI. WIECZÓR DEBIUTANTÓW
goście: Justyna Kulikowska, Julia Niedziejko, Agata Jabłońska, Magdalena Kicińska, Jan Rojewski; prowadzenie: Agnieszka Budnik i Dawid Gostyński

20.00-21.30 | Sala Wielka CK ZAMEK
POD POZOREM PROZY
goście: Marek Bieńczyk, Dorota Masłowska, Andrzej Stasiuk
prowadzenie: Magdalena Kicińska, Piotr Śliwiński

15.05. ŚRODA

11.30-14.30 | Scena Nowa CK ZAMEK
SESJA KRYTYCZNOLITERACKA: NOWE I (ZA)WRACAJĄCE – W POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

10.00-12.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
SZTUKA PISANIA – WARSZTATY POETYCKIE DLA STUDENTÓW
goście: Jerzy Jarniewicz, Kacper Bartczak
prowadzenie: Alina Świeściak

12.00-13.30 | Collegium Maius UAM
SZTUKA CZYTANIA WIERSZA (W SZKOLE) – Z KRZYSZTOFEM SIWCZYKIEM
prowadzenie: Karol Francuzik
Lekcja poetycka dla uczniów szkół wielkopolskich

14.00-15.30 | Collegium Maius UAM
OGŁOSZENIE LAUREATÓW I WRĘCZENIE POZNAŃSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ

16.00-17.30 | Collegium Maius UAM
SZTUKA KOCHANIA WIERSZA – ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA INTERPRETACJĘ WYBRANEGO WIERSZA EUGENIUSZA TKACZYSZYNA-DYCKIEGO
Z UDZIAŁEM POETY
prowadzenie: Krzysztof Skibski, Krzysztof Hoffmann

18.00-19.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
POEZJA PO SZKOLE NOWOJORSKIEJ
dyskusja z udziałem Aliny Świeściak, Jerzego Jarniewicza, Kacpra Bartczaka
prowadzenie: Marcin Jaworski

19.15-20.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
3 KWADRANSE WIERSZA – „KONIEC WAKACJI" – MARCIN BARAN I MARCIN SENDECKI

20.15-21.30 | Sala Wielka CK ZAMEK
SERHIJ ŻADAN
prowadzenie: Marta Studenna-Skrukwa
tłumaczenie: Ryszard Kupidura

20.30-22.30 | Sala Kinowa CK ZAMEK
DKF ZAMEK: POEZJA I PISANIE
pokaz filmu „Paterson", reż. Jim Jarmusch, Francja/Niemcy/USA 2016, 113' bilety: 11 zł

16.05. CZWARTEK

15.00-16.30 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK
PASMO SPORTOWE: W KWESTII CELNOŚCI: POECI VS KRYTYCY – ŁUCZNICTWO
współpraca: Poznańskie Centrum Łucznicze

16.30-17.45 | Galeria Miejska „Arsenał"
SERYJNI NA WSPÓŁCZYTNIKU
goście: Przemysław Owczarek, Maciej Robert, Rafał Skonieczny
prowadzenie: Urszula Putyńska

18.30-19.45 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
WIERSZE – KRZYSZTOF SIWCZYK, JERZY JARNIEWICZ, KACPER BARTCZAK
prowadzenie: Antonina Tosiek

20.00-21.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
MIRIAM VAN HEE
prowadzenie: Jerzy Koch
tłumaczenie: Małgorzata Dowlaszewicz

17.05. PIĄTEK

16.30-17.30 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
WYKŁAD ARIKO KATO „DIALEKTY I KOBIETY W POWOJENNEJ LITERATURZE JAPOŃSKIEJ. POWIEŚĆ »RAJ W MORZU SMUTKU« MICHIKO ISHIMURE I INNE"

18.00-19.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
TŁUMACZENIE KOBIET
dyskusja z udziałem Marty Eloy Cichockiej, Ariko Kato, Jerzego Kocha, Zbigniewa Kruszyńskiego;
prowadzenie: Kinga Piotrowiak-Junkiert

19.15-20.30 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
LIRYKA – BARBARA KLICKA, KLARA NOWAKOWSKA, MARTA ELOY CICHOCKA, JOANNA ROSZAK
prowadzenie: Agnieszka Kocznur

21.00-22.30 | Sala Wielka CK ZAMEK
ANDRUCHOWYCZ & KARBIDO – „LITOGRAFIE"

18.05. SOBOTA

11.00-12.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
BIBLIOTEKA NA ROWERZE – „POŻERACZE SŁÓW"
prowadzenie: Natalia Adamczyk

15.00-16.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
III OGÓLNOPOLSKIE MISTRZOSTWA SLAMU POETYCKIEGO – MÁRTON SIMON (Węgry)

16.00-18.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
III OGÓLNOPOLSKIE MISTRZOSTWA SLAMU POETYCKIEGO – ELIMINACJE OSTATNIEJ SZANSY
prowadzenie: Maciej Mikulewicz

18.30-19.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
FINAŁ KONKURSU IM. K. JANICKIEGO NA KSIĄŻKĘ POETYCKĄ Z UDZIAŁEM JURY
jury: Krzysztof Hoffmann (przewodniczący), Józef Olejniczak, Joanna Bociąg i Bianka Rolando

19.00-21.00 | Dziedziniec Różany CK ZAMEK (namiot)
III OGÓLNOPOLSKIE MISTRZOSTWA SLAMU POETYCKIEGO – FINAŁ
prowadzenie: Maciej Mikulewicz

21.30
BAL KSIĄŻKOŻERCÓW

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 19/2019
Redakcja: Michał Sowiński
Okładka: Marek Zalejski / Maciej Kaczyński ©CK ZAMEK
Fotoedycja: Edward Augustyn; skład: Andrzej Leśniak; korekta: Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdał, Maciej Szklarczyk

POŻEGNANIE

RZECZPOSPOLITA NIESOLIDARNA

KAROL MODZELEWSKI:

Gdy plan Balcerowicza zaczął zmieniać słowo w czyn, ludzie poczuli się zawiedzeni. Wszystkie toksyny, które do dziś trawią polskie życie, zrodziły się z przekonania, że „ktoś ukradł nasze zwycięstwo".

RAFAŁ WOŚ: Dlaczego Wam się nie udało?
KAROL MODZELEWSKI: Nam, czyli komu?

Panu i innym przedstawicielom pokolenia opozycjonistów, które 30 lat temu miało szansę ułożyć Polskę na nowo i po swojemu.
Ale co nam się nie udało?

Na przykład zbudować w wolnej Polsce lewicy. Dlaczego?
Moim zdaniem przez stan wojenny.

Ale stan wojenny był niemal dekadę wcześniej.
Niech pan poczeka, ja to chętnie wyjaśnię. Aż do wyjścia z więzienia w roku 1984 [KM został internowany 13 grudnia 1981 r., później aresztowano go pod zarzutem zamiaru obalenia przemocą ustroju PRL, wyszedł na mocy amnestii w lipcu 1984 r. – red.] ulegałem złudzeniu, że oto mamy w Polsce rewolucję. I to lewicową. Tak właśnie interpretowałem ten fenomen, jakim była Solidarność z lat 1980–1981.

Dlaczego lewicową?
Bo to była rewolucja oddolna, ludowa i niezaplanowana. Miliony ludzi chciały zrzucić z siebie ciężar konformizmu i urządzać własne życie, własny zakład, własny związek, własny kraj i co tam jeszcze? Strach pomyśleć, co tam jeszcze! Te masy chciały zrobić coś po swojemu. To przecież zjawisko na wskroś lewicowe.

Wyklęty powstań, ludu ziemi.
Takim powstaniem trudno zarządzać. Wiedzieli o tym komuniści, którzy przecież mieli doświadczenie w pacyfikowaniu konkurentów cieszących się społecznym zaufaniem. W okresie powojennym dali sobie radę i z ludowcami, i z socjalistami. A z Solidarnością dość szybko stało się jasne, że to się nie uda. Moim zdaniem z powodu jej autentycznie lewicowego ducha.

Mnie się to kojarzyło zawsze z Joanną D'Arc. Albo z obrazem „Wolność wiodąca lud na barykady" Delacroix. Solidarność też wiodła ludzi na barykady. Nikogo nie chciała słuchać. Z nikim się układać.

Byli liderzy. Wałęsa.
Teraz wybiega pan w przyszłość, do roku 1989. Wtedy faktycznie liderzy grali swoje polityczne gry, a ludzie czekali na ich wynik. Zaraz do tego dojdziemy, ale na razie jesteśmy jeszcze w 1980 i 1981 r. Wtedy „solidarnościowa" Joanna D'Arc nikogo nie chciała słuchać. Nawet Wałęsy, którego uwielbiano, ale też walono w niego jak w bęben.

Czyli dla Pana pierwsza „S" była lewicowa z powodu swojego anarchistycznego pazura. Niepokorności.

Panowało przekonanie, że to nie związek jest dla kierownictwa, tylko kierownictwo dla związku. A precyzyjniej mówiąc: dla ludzi, którzy ten związek tworzą. Kierownictwo jest od tego, żeby robiło to, co my tutaj, w naszym zakładzie, w naszej gminie chcemy.

Przede wszystkim jednak ta pierwsza „S" była egalitarna, kolektywistyczna i spontanicznie żądająca od PRL, żeby wywiązała się z socjalistycznych haseł, które głosi. Wystarczy przyjrzeć się postulatom strajkowym.

To musiało być dziwne uczucie. 15 lat wcześniej (w 1964 r.) napisaliście z Kuroniem słynny „List otwarty do Partii", w którym krytykowaliście PZPR właśnie za odejście od ideałów wolności, równości i braterstwa. Postulowaliście więcej samostanowienia, również na poziomie zakładu pracy – przyszedł rok 1980 i właśnie to dostaliście. Reprezentant mojego pokolenia Jan Sowa nazwał nawet pierwszą „S" jedynym momentem autentycznego komunizmu w historii Polski.
Tylko że ja już nie byłem tym człowiekiem, co w roku 1964. Ważne było doświadczenie praskiej Wiosny, którą przeżyłem siedząc w kryminale w poczuciu bezsilności. Zdałem sobie wtedy sprawę, że nie wystarczy nawet najpiękniejszy zryw w jednym kraju, żeby wprowadzić

GRAŻYNA MAKARA

prawdziwą demokrację robotniczą. I że nie będzie tak, że czołgi radzieckie nic władzy nie pomogą, skoro w nich będą siedzieli robotnicy.

W czasie wielkiej „S" bardzo się bałem radzieckiej interwencji, choć jednocześnie byłem dumny z ruchu, który nie słucha nikogo i niczego. Tak, „S" to było zjawisko najbliższe ideałom lewicy, jakie widziałem. A złudzenie, że w Polsce trwa lewicowa rewolucja, towarzyszyło mi aż do wyjścia z więzienia. Więzienie w ogóle sprzyja życiu złudzeniami. Zwłaszcza jak się żyje w pełnej izolacji – a taki był mój mokotowski areszt.

W 1984 r. Pan wychodzi i co?

I jest szok. Nagle widzę, że tamtej „S" już nie ma. Niby są podobni ludzie, ale nie ma tego ducha. Rozjechał go gąsienicami czołgów Wojciech Jaruzelski, wprowadzając stan wojenny.

Od 13 grudnia 1981 r. nie mieliśmy już w Polsce Solidarności. Istniała antykomunistyczna konspira, wprawdzie dużo szersza niż opozycja lat 70., ale jednak niemasowa. I zupełnie inna pod względem składu klasowego. Nie było już tego organicznego związku z zakładami pracy, które były faktycznym sercem „S".

Tak jak aktywny wyborca jest suwerenem w demokracji liberalnej, tak załoga zakładu pracy była suwerenem w polskim eksperymencie z demokracją pracowniczą w latach 1980–1981?

Tylko że ten suweren został zastraszony. Do niektórych faktycznie strzelano, jak w kopalni Wujek. Pozostałych spacyfikowano bez pociągania za spust, ale celując z karabinów do bezbronnych robotników okupujących swoje fabryki. Dając się wyprowadzić z okupowanego zakładu, robotnicy postępowali rozsądnie, ale mieli poczucie, że ustąpili przed zbrojną przemocą. Odtąd inaczej patrzyli na siebie samych. W ten sposób Jaruzelski złamał robotniczej części „S" kręgosłup. Wskazał tradycyjne miejsce w szeregu. Z dala od polityki i decydowania o swoich sprawach. Zabrał solidarnościowym proletariuszom wiarę w siebie. A od wiary w siebie zależy przecież prawie wszystko. ↦

Czyli jaka była Solidarność po stanie wojennym?

Przede wszystkim bardziej inteligencka i kadrowa. Pojawił się też antykomunizm. W pierwszej „S" tego nie było. Nie skandowano „precz z komuną" nie tylko ze względu na rozsądek – przede wszystkim dlatego, że nikomu to do głowy nie przychodziło. Jak „Trybuna Ludu" pisała, że jesteśmy „siłą antysocjalistyczną", większość uważała to za obelgę.

W Szczecinie „S" wydawała pismo „Jedność", ale inaczej niż inteligencki „Tygodnik Solidarność", robili je inżynierowie, technicy i robotnicy. Pamiętam dobrze, jak oni w swoich wstępniakach odpowiadali na ataki komunistycznej prasy: „Nie, to wy jesteście siłą antysocjalistyczną! Bo wy jesteście przeciwko nam, klasie robotniczej". Gdy w 1984 r. wyszedłem z więzienia, takie głosy po stronie konspiry były już nie do pomyślenia. Opozycja wprawdzie nie wyśmiewała jeszcze słowa „socjalizm", ale wyraźnie go unikała. A „komuna" była słowem obelżywym.

Czy to dlatego po wyjściu z więzienia nie zaangażował się Pan w opozycję tak mocno?

Faktycznie, nie był to już tak do końca mój ruch. W Okrągły Stół – powiem szczerze – nie bardzo wierzyłem. Wiedziałem, że opozycja jest słaba, i nie spodziewałem się wiele. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że byłem przeciwko rozmowom. Patrzyłem na to z życzliwością, ale bez dawnego entuzjazmu. Do samych rozmów mnie nie powołano, chyba z powodu mojego sceptycyzmu, choć poproszono, żebym po ich zakończeniu wziął udział jako reprezentant „strony opozycyjno-solidarnościowej" w redagowaniu końcowego komunikatu.

Jak Pan zapamiętał rok 1989?

Pamiętam świadomość, że tym, co zostało z Solidarności, jest tylko mit. Wspomnienie, że przez 16 miesięcy byliśmy wolni. Zbiorowo i aktywnie wolni. Tego się zapomnieć nie da.

Ten mit był naszą siłą, ale była to siła wyłącznie duchowa. Nie szła za nią siła materialna. Bywało, że ten mit potrafił się zmaterializować i doprowadzić do zbiorowego wystąpienia – np. do strajku. Jednak to były pojedyncze przypadki. Tak naprawdę wielkie ożywienie mitu „S" miało miejsce dopiero przy wyborach 4 czerwca. I to ten mit wygrał wybory. Ludzie dali mu oficjalną legitymację. Choć przecież – jak mówiłem – nie była to już ta sama „S".

W roku 1989 z tria „wolność, równość, braterstwo" została już tylko „wolność"?

Stało się tak właśnie dlatego, że wskrzesicielem mitu stała się sama inteligencja. A skład zasad, które miała wtedy w głowie inteligencja, był skopiowany z Zachodu.

Liberalny w ogóle, a neoliberalny i radykalnie wolnorynkowy, gdy chodzi o sprawy ekonomiczne i społeczne. Gdy plan Balcerowicza zaczął zmieniać słowo w czyn, ludzie poczuli się gorzko zawiedzeni. Wszystkie toksyny, które do dziś trawią polskie życie, zrodziły się z przekonania, że „ktoś ukradł nasze zwycięstwo".

Inteligenckie elity – również te wywodzące się z naszej strony – lubiły wtedy przedstawiać robotnika jako nienadążającego za nowoczesnością prostaka w kufajce. „A Balcerowicz wyciął nam numer i różnicować dochody chce" – śpiewano w kabarecie Olgi Lipińskiej. To zresztą dla inteligencji uważającej się za kontynuatora tradycji szlachty coś stałego. Zazwyczaj, jak trwoga i zabory, to „z szlachtą polską polski lud". A jak czasy spokojniejsze, szlachcie bardziej odpowiada „Satyra na leniwych chłopów".

W 1990 r. Lech Wałęsa miał takie słynne zdanie, że trzeba wzmocnić lewą nogę. Myśli Pan, że wyczuwał ten problem? Intuicji politycznej odmówić mu nie można.

Ale on nie miał na myśli tego, o czym rozmawiamy. Chodziło mu o znalezienie miejsca na scenie politycznej dla SLD.

A jak mówił, że za Balcerowiczem powinien iść jego lewicowy brat bliźniak, który będzie równoważył negatywne społecznie skutki terapii szokowej?

Wałęsa to wyjątkowa postać, która ma wiele swoich osobliwości. Jak on coś mówi, to niestety często nie ma tego domyślanego do końca. Poza nastrój chwili raczej nie wykracza. Co zamierzał zrobić z Balcerowiczem, okazało się, jak został prezydentem i miał wpływ na to, kto będzie wyznaczał kierunek polskich przemian. Jak pamiętamy, w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego Balcerowicz za-

PREMIERA na 30-lecie
nowej Polski!

Wywiad z Karolem Modzelewskim pochodzi z najnowszego wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego" – „Smak wolności".

To zbiór najlepszych reportaży, rozmów i opowieści o wolnej Polsce i o ludziach, którzy tę wolność kształtowali.

Wśród autorów i rozmówców także:
s. Małgorzata Chmielewska, Sylwia Chutnik, Bogdan de Barbaro, Olga Drenda, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Joanna Kulig, Sławomir Mrożek, Marcin Napiórkowski, Jerzy Pilch, Dawid Podsiadło, abp Grzegorz Ryś, Filip Springer, Andrzej Stasiuk, Danuta Wałęsa czy Adam Wajrak.

weź, czytaj!

Wydanie specjalne „Smak wolności" dostępne w salonach prasowych i w punktach z dobrą prasą.

Więcej informacji na powszech.net/smakwolnosci

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

chował pozycję wicepremiera. I brata bliźniaka mu nie wymyślono.

Jacek Kuroń mógł odegrać taką rolę?

W ubiegłym roku wyszła jego biografia, a w niej wspomnienie prawie osobistego konfliktu pomiędzy nami. Jacek był u Mazowieckiego ministrem pracy i polityki społecznej...

...i rozdawał bezrobotnym zupę, a potem zasiłki. Obrońcy logiki polskich przemian powiedzą, że Balcerowicz miał jednak socjalnego bliźniaka!

Ja bym raczej nazwał rolę Jacka „zderzakiem Balcerowicza". Mówiłem mu o tym zresztą.

Historia, o której wspominam, dotyczyła ustawy o związkach zawodowych, którą wtedy nasza strona przygotowała [została uchwalona w połowie 1991 r. – red.]. Dla mnie jej zapisy wyglądały jak klasyczne prawo antystrajkowe. Stało tam, że aby strajk był legalny, musi zostać ogłoszony przez oficjalny związek zawodowy i spełniać mnóstwo proceduralnych warunków, co w zasadzie wykluczało strajk jako autentyczne zjawisko psychospołeczne, odruch oburzonej załogi.

Przez całą III RP legalnie zastrajkować jest niezwykle trudno. I nie brakuje komentarzy, że skoro ludzie nie strajkują, to widocznie wszystko jest świetnie.

Oczywiście Jacek chciał osłaniać trudne reformy. I uważał, że klasa robotnicza strajkami mogłaby je wykoleić. Wtedy znaleźliśmy się na przeciwstawnych pozycjach.

Wygląda to na częste w polityce zjawisko „odkopywania drabiny". Ktoś wchodzi po drabinie na wyższy poziom i w pierwszym ruchu likwiduje możliwość, by z tego samo narzędzia skorzystali kolejni.

Tego nie da się odnieść do Jacka. On dał się szczerze przekonać Jeffreyowi Sachsowi i zobaczył siebie w roli agitatora przekonującego ludzi do wspaniałej przyszłości. A potem nie szczędził sobie samemu gorzkich słów – bił się we własne, a nie w cudze piersi.

Wracając do regulacji antystrajkowej z 1991 r. – podczas debaty nad nią w Senacie zwróciłem uwagę, że prawo do strajku to prawo człowieka, a nie jakiejś instytucji czy organizacji. Zgłosiłem poprawkę, wedle której strajk może być legalnie ogłoszony nie tylko przez związek, ale także przez samorzutnie utworzony komitet strajkowy, jeżeli uzyska on poparcie załogi w zakładowym referendum. Senat przyjął poprawkę, wskutek czego antystrajkowa ustawa wróciła do Sejmu. Jako wnioskodawca brałem udział w posiedzeniu komisji sejmowej, razem z przedstawicielami central związkowych. OPZZ było za moją poprawką, a Solidarność przeciw! Poprawka upadła.

Inteligenckie elity lubiły przedstawiać robotnika jako prostaka w kufajce. To coś stałego. **Zwykle jak trwoga i zabory, to „z szlachtą polską polski lud".** A jak czasy spokojniejsze, szlachcie bardziej odpowiada „Satyra na leniwych chłopów".

Puenta tej historii jest taka, że gdy parę lat później zaczęły się mnożyć sytuacje, w których pracodawcy wykorzystywali antyzwiązkowe ustawy, to Jacek zmienił zdanie. Pamiętam taką głośną sprawę, gdy dyrektor Stoczni Gdynia Janusz Szlanta postanowił obciąć wydatki na BHP, np. na kufajki albo ciepłe posiłki regeneracyjne dla spawaczy, którzy zimą leżą parę godzin między dwiema warstwami blachy budowanego statku. Załoga zwołała wiec protestacyjny, a w nocy dyrektor kazał dostarczyć mówcom z tego wiecu zwolnienia dyscyplinarne. Oczywiście w obronie zwolnionych wybuchł strajk, a związek zawodowy Stoczniowiec poparł strajkujących i udzielił komitetowi strajkowemu swojego lokalu na siedzibę. Następnego dnia dyrektor, łamiąc ustawę o związkach zawodowych, zwolnił dyscyplinarnie z pracy cały zarząd Stoczniowca.

W obronę bezprawnie usuniętego ze stoczni związku zaangażowało się grono historycznych postaci pierwszej „S": Wałęsa, Gwiazda, Anna Walentynowicz, a także Jacek Kuroń i ja. Obaj z Jackiem zainicjowaliśmy wtedy list protestacyjny intelektualistów i związkowców (podpisał go m.in. ks. Adam Boniecki). Prosiłbym nie upraszczać wizerunku Jacka.

Na przełomie lat 80. i 90. było dość prężne środowisko Polskiej Partii Socjalistycznej, skupione wokół Jana Józefa Lipskiego. Postaci ciekawej także dlatego, że do jego spuścizny odwołują się dziś zarówno Adam Michnik, jak Jarosław Kaczyński. Od ludzi zaangażowanych w tamten projekt słyszałem, że Lipski miał żal do Kuronia, bo ten miał mu obiecać, iż swoim autorytetem wesprze właśnie PPS, on zaś wybrał osłaniającą neoliberalne przemiany Unię Demokratyczną. Słyszał Pan o tej obietnicy?

Nie. Co może oznaczać, że Jan Józef mi o niej nie mówił. Inna sprawa, że ja w reaktywację PPS-u nieszczególnie wierzyłem. Wszystko przez ten antysocjalistyczny zwrot w retoryce drugiej połowy lat 80., o którym już rozmawialiśmy. To było skazywanie się z góry na marginalizację.

Najbardziej konkretną próbę stworzenia postsolidarnościowej lewicy podjął Pan z Ryszardem Bugajem, tworząc jesienią 1989 r. w kontraktowym parlamencie Grupę Obrony Interesu Pracowniczego (GOIP). Niewielu już o tym pamięta.

Chcieliśmy to nazwać Solidarność Pracy, ale komisja krajowa „S" krzywo na takie świętokradztwo patrzyła. Stąd po pewnym czasie zmieniliśmy nazwę na Unię Pracy.

Gdyby UP się zakorzeniła, to dziś mogłaby odgrywać rolę taką jak PiS w 2015 r. Reprezentować i dawać nadzieję tym wszystkim, którzy czują, że z wielkiego tortu cudu gospodarczego III RP przypadł im zbyt mały kawałek.

Ale się nie zakorzeniła. Chyba dlatego, że zbyt mocno działał mit Solidarności, który wciąż jeszcze osłaniał logikę balcerowiczowskich przemian. Może gdyby to wtedy poświęcił któryś z kapłanów Solidarności...

No, ale przecież poświęcił Karol Modzelewski.

Owszem, tak. Ale moje pokropienie nie wystarczyło.

W ramach wyjazdów parlamentarnych pojechałem kiedyś do zakładów PZL Hydral. To była jedna z bardziej tragicznych ↦

↦ ofiar planu Balcerowicza. Kiedyś 6 tys. ludzi i ważna pozycja na rynku produkcji maszyn, później zlikwidowana. Gdy tam dotarłem, trwały już zwolnienia. Wystąpiłem z krytyką planu Balcerowicza. Żeby pan widział twarze tych ludzi... Kompletne zdumienie. Dysonans poznawczy. Ja przecież jestem swój, a mówię, że ich własny rząd robi źle. Gdyby coś takiego się zdarzyło w 1981 r., toby rząd wygwizdano. Ale był rok 1991. Ludzie – zwłaszcza w fabrykach – byli skołowani i przestraszeni. Efektem był rodzaj kompletnego zawierzenia rządowi i bierności, gdy chodzi o formułowanie własnego interesu.

I Pan ich nie umiał porwać.

Wtedy nie. Potem Hydral oczywiście strajkował. Ale było za późno. Bo był sam. Solidarności w sensie symbolicznym, ale również dosłownym już nie było. Każdy zakład w pojedynkę stawał oko w oko z presją rynku. I upadał. Aż przykro było patrzeć, jak im odmawiano pomocy. „Bo to jest wbrew prawom rynku i wbrew kierunkowi przemian".

Za pierwszej „S" takie rzeczy byłyby nie do pomyślenia. Nikt by wtedy planu Balcerowicza nawet nie odważył się pomyśleć. A jakby pomyślał, toby nie odważył się powiedzieć. Uświadomił mi to Lionel Jospin.

Francuski polityk socjalistyczny i były premier Francji w latach 1997–2012.

Jospin był wtedy trochę na bocznym torze. Spotkaliśmy się w Paryżu i opowiadał mi, że jego wywrotowe pokolenie czytało mój i Jacka „List otwarty" z zapartym tchem. A potem zaczął wypytywać, jak „S" mogła poprzeć coś takiego jak plan Balcerowicza. Więc ja mu wydukałem, że mogła, bo już wtedy nie istniała. Jemu się to w głowie nie mieściło, bo akurat Solidarność była wtedy w zachodniej Europie jednym z tematów, o które musiała zahaczyć każda z politycznych rozmów.

Na prawicy popularna jest teza, że szansą na budowę postsolidarnościowej lewicy patriotycznej był rząd Olszewskiego.

To był faktycznie moment nieco innej retoryki wobec wolnorynkowych przemian: zaczęto zwracać uwagę, że „niewidzialna ręka rynku zbyt często okazywała się ręką aferzysty".

Tego typu opowieść nawet mi się podobała, a sam Olszewski też był dla mnie postacią sympatyczną. W jego przemówieniach sądowych w czasach PRL [Olszewski jako adwokat bronił opozycjonistów – red.] wyczuwało się ducha przedwojennego PPS. W procesie w Radomiu mówił, że nawet „najbardziej klasowy wymiar sprawiedliwości powinien czymś się różnić od zemsty przerażonego o swoją własność posiadacza". To było po tym, jak prokurator domagał się kar za podpalenie komitetu PZPR i dowodził, że wywołało to ogromne straty finansowe.

Do niczego strasznego 500 plus nie doprowadziło. Przeciwnie: wiele kobiet uważa, że dzięki niemu stało się po prostu... ludźmi.

Ale w 1992 r. nie podobało mi się to, że rząd Olszewskiego nie miał żadnego politycznego pomysłu poza tą idiotyczną lustracją. Której, jak wiadomo, nie jestem i nie byłem zwolennikiem.

A Samoobrona? To była lewica?

Miałem wiele sympatii dla tego ruchu. Lepper umiał wejść do Sejmu niesiony poparciem ludzi i powiedzieć elitom, że „Wersal się skończył, bo ludzie na chleb nie mają".

Dobrze pamiętam oburzenie mediów głównego nurtu na te słowa.

Mnie się to podobało. To był język, do którego przywykłem w lewicowej młodości.

Dziś najwięcej tego typu retoryki jest w PiS.

To nie ulega wątpliwości. I to jest PiS-u najmocniejsza strona. 500 plus było takim odpowiednikiem Lepperowskiego „Ludzie na chleb nie mają".

Wszyscy pamiętamy to załamywanie rąk, że Kaczyński nas zrujnuje. Jak wiemy, do niczego strasznego 500 plus nie doprowadziło. Przeciwnie: udało się znacznie zmniejszyć skalę ubóstwa, które jest przecież skorelowane z wielodzietnością. W mediach odbiły się echem słowa poparcia ze strony kobiet, które uważają, że dzięki 500 plus stały się po prostu... ludźmi. Bo przedtem były pełnoprawnymi obywatelami, ale nędza spychała je do rzędu pariasów.

Wróćmy jeszcze na lewicę. Od czasu, gdy UP została wchłonięta przez SLD i poszła na dno wraz z postkomunistami, czasem pojawia się w Polsce siła polityczna, która chce wypełnić pustą lewą flankę. W większości przypadków te projekty odwołują się jednak tylko do postulatów lewicy światopoglądowej: kwestii tzw. praw reprodukcyjnych kobiet, praw osób LGBTQ, sporu o miejsce Kościoła w życiu publicznym. Dla tematów takich jak wolność od ucisku ekonomicznego albo faktyczna równość różnych klas społecznych nie starcza miejsca.

To prawda. Lewica jest w Polsce skupiona na sprawach kulturowych i obyczajowych. Wyjątkiem była partia Razem, której jednak nie udało się wyjść z marginesu.

Czy to problem?

Problemem jest to, że lewica nie istnieje jako osobny aktor życia politycznego. Jako siła, która potrafi mieć swoje zdanie i to zdanie nie jest samotnym głosem kilku odosobnionych komentatorów albo rozproszonych grup. Siła, która udzieli mocnej odpowiedzi na podstawowy problem.

Jaki?

Neoliberalizm. Dominacja kapitału finansowego i jego swobodnego przepływu przez świat.

Każda próba jego okiełznania na gruncie pojedynczego kraju może się spotkać ze wściekłym kontratakiem tegoż kapitału, co stawia demokratyczne rządy demokratycznych państw wobec straszliwej alternatywy. Albo robisz tak, że kapitałowi jest dobrze i własnymi rękami niszczysz takie wartości jak wolność i równość, albo się buntujesz i ryzykujesz starcie z potężnymi siłami, które mogą cię łatwo wysadzić z siodła, nastawić przeciw tobie opinię publiczną, przykleić łatkę zamordysty.

Skupienie na postulatach kulturowych skazuje lewicę na milczenie w sprawach ważnych dla milionów ludzi. W to puste miejsce wchodzą populiści i udzielają swojej odpowiedzi. Można populistów nie lubić, ale trudno nie zauważyć, że mają odpowiedź na neoliberalizm. Póki lewica nie da tej odpowiedzi, nie będzie lewicą.

©℗ Rozmawiał RAFAŁ WOŚ

Karol, historia rodzinna

KALINA BŁAŻEJOWSKA

Był jednym z ojców polskiej niepodległości, ale gdy nie dostał zaproszenia na obchody jej stulecia, w ogóle się nie przejął. Miał ważniejsze sprawy: spacery z wnukiem, rozmowy z synem i synową, pielenie grządek i karmienie kotów.

PAP

Z matką, Warszawa 1947 r.

Poznałam go w 2013 r., kiedy z żoną Małgorzatą wpadł do „Tygodnika" na kawę. Drobny, uśmiechnięty, ujmująco uprzejmy; na powitanie pocałował mnie w rękę. Niedługo miała ukazać się jego autobiografia, „Zajeździmy kobyłę historii. Wyznania poobijanego jeźdźca". Gdy usłyszał, że będę ją recenzować, popatrzył na mnie zdumiony i zapytał: „A panią takie zamierzchłe dzieje w ogóle interesują?". Zapewniłam, że bardzo interesują, ale nie wyglądał na przekonanego. Gdy recenzja pojawiła się w druku, zadzwonił, żeby powiedzieć: „Chciałem pani podziękować i pogratulować tekstu. Czynności proste, ale potrzebne. Wydała mi się pani dzieckiem, gdy się widzieliśmy, ale daj boże takie dzieci. No, już nie będę pani peszył". Cytuję dokładnie, bo zapisałam sobie te słowa.

Podobny telefon wykonał pięć lat później, gdy wysłałam mu do autoryzacji nasz ostatni wywiad: „Kalina, to jest genialne! Ja tu świetnie wypadam, a nie wydaje mi się, żeby to była moja zasługa". Oczywiście, że była: w spisanej wersji poprawiał jedynie szczegóły, nic nie zmieniał i niczego nie usuwał. Po prostu zawsze wiedział, co chce powiedzieć – cecha rzadka nawet wśród autorytetów.

URODZIŁ SIĘ W 1937 R. W MOSKWIE jako Kirył Budniewicz, syn rosyjskiej Żydówki, literaturoznawczyni Natalii Wilter, i Rosjanina, podchorążego szkoły oficerskiej Aleksandra Budniewicza. Nie był planowanym dzieckiem: matka wspomniała mu kiedyś nieopatrznie, że przyszedł na świat dzięki dekretowi Stalina o zakazie aborcji.

Miał 17 dni, gdy ojciec został aresztowany. Jak miliony ofiar wielkiej czystki, Aleksander trafił na osiem lat do łagru. Dwa lata później w domu pojawił się „diadia Zyg" – Zygmunt Modzelewski, polski komunista, który po wyjściu z moskiewskiego aresztu trafił przez znajomych pod opiekę Natalii. Miał za sobą udział w wojnie z bolszewikami, podziemną działalność w Komunistycznej Partii Polski, przymusową polityczną emigrację, studia w Paryżu i dwa lata stalinowskich tortur.

Po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej Kirył dla bezpieczeństwa został wysłany do kominternowskiego domu dziecka nad Wołgą. Pojechała z nim moskiewska niania Katia – zatrudniła się na stołówce, żeby nie zostawiać go samego wśród obcych i żeby miał się do kogo przytulić. „Kochałem Katię Fiedusiejewą wielką, całkowicie odwzajemnioną miłością i myślę, że w sprawach uczuć zawdzięczam jej bardzo dużo" – wspominał 70 lat później. Mówił o niej w ostatnich wywiadach: miał wyrzuty sumienia, że jako dorosły za krótko podtrzymywał z nią kontakt.

W ciągu trzech lat kolektywistycznego i nacjonalistycznego wychowania stał się wielkoruskim patriotą. Z tego czasu pochodziły jego pierwsze wspomnienia. Np. taka scena: na spacerze spotykają kolumnę wynędzniałych niemieckich jeńców, koledzy zaczynają rzucać kamieniami, a on stoi bez ruchu, niezdecydowany, czy ma do nich dołączyć. „Może przypomniałem sobie, że mama zawsze mówiła, żeby nie bić słabszych – zastanawiał się w autobiografii. – Moja bierność nie wynikała jednak z etycznego wyboru, z dumnej odmowy udziału w czymś złym. Była wyrazem niezdecydowania, którego wstydziłem się okropnie".

W domu dziecka poznał też pierwszą miłość, córkę włoskiego komunisty. Spotkał ją pół wieku później: „Po wykładzie, jaki wygłosiłem w Rzymie, podeszła do mnie jakaś przystojna Włoszka. Powiedziała, że nazywa się Lucetta Negarville i że od dawna się znamy. Widząc, że nie ↦

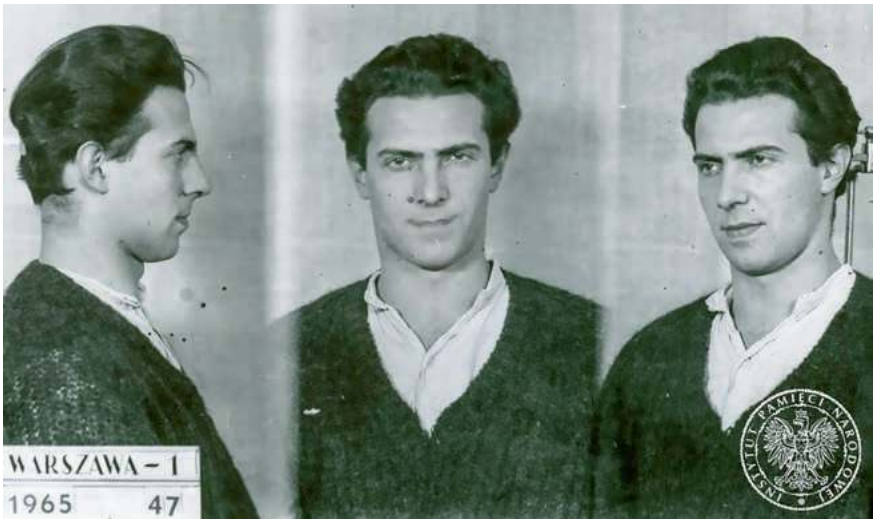

ARCHIWUM IPN

W więzieniu, po napisaniu „Listu otwartego do Partii", 1965 r.

↦ kojarzę, przeszła raptem na nienaganną ruszczyznę: »Kiriusza, ty mienia nie uznajosz? Ja – Łusza!«. Nogi się pode mną ugięły".

DO MOSKWY WRÓCIŁ W 1944 R. Kilka miesięcy później Zygmunt Modzelewski został mianowany ambasadorem komunistycznej Polski. Na podwórku ambasady Kirył pierwszy raz w życiu bawił się z polskimi dziećmi. I pierwszy raz usłyszał, że jest Żydem. „Poszedłem do mamy i zapytałem, co to słowo oznacza. Mama zaczęła od tego, że ona sama jest Żydówką, podobnie jak moja babcia i nieżyjący dziadek. Żydzi to nic złego, po prostu narodowość, jak choćby Rosjanie, a ja nie muszę się martwić, bo można być i jednym, i drugim, to się wcale nie wyklucza. Usiłowałem przyjąć to do wiadomości, ale jakoś mi nie szło – pisał w autobiografii. – Zresztą mój kolega z podwórka ambasady wyraził się w tej sprawie jasno, bez niedomówień – nie mogę być Rosjaninem, skoro on mnie zaklasyfikował jako Żyda. To był znak wykluczenia. Nalepienie takiej etykietki miało mnie odciąć od korzeni, które uważałem za swoje. Trzeba to było odrzucić. I tak mi zostało".

Pod koniec 1945 r., na chwilę przed wyjściem Aleksandra Budniewicza z łagru, matka zabrała Kiryła do Warszawy. Zygmunt Modzelewski robił tam polityczną karierę: był ministrem spraw zagranicznych, rektorem Instytutu Nauk Społecznych przy KC PZPR i członkiem Rady Państwa. A dla przybranego syna – „przewodnikiem w polskości" i intelektualnym autorytetem.

Biologicznego ojca Kirył poznał jako dziesięciolatek, na wakacjach w Rosji. „Pokazano mi obcego pana w spłowiałym demobilu i oznajmiono: »To jest twój tata. Teraz musisz zdecydować, czy chcesz spędzić życie w Rosji z tatą, czy wolisz wrócić z mamą do Polski«. Pamiętam tylko tyle, że ze strachu wtuliłem się w matczyną spódnicę". Drugi i ostatni raz widzieli się dziewięć lat później, też w Moskwie: spacerowali po mieście, zrobili sobie wspólne zdjęcie u fotografa, rozmawiali o łagrach, Stalinie i nowej rodzinie ojca. W opublikowanym pośmiertnie w „Gazecie Wyborczej" wywiadzie Modzelewski wspominał: „Nie umiałem powiedzieć do niego »tato«, chociaż koniecznie chciał. Niby mógłbym, bo mój ojczym, ojciec Zygmunt Modzelewski już nie żył, no ale mi nie wychodziło".

W PIERWSZYCH LATACH W WARSZAWIE Kirył stał się Karolem, doskonale opanował język i zafascynował się polską literaturą. Ale polskim patriotą poczuł się dopiero w październiku 1956 r. Był wtedy studentem historii Uniwersytetu Warszawskiego, marksistą-rewizjonistą i delegatem Zarządu Uczelnianego ZMP, odpowiadającym za kontakty z robotnikami Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu. Uczestniczył w naradzie robotniczego aktywu, podczas której ustalano strategię na wypadek radzieckiej interwencji: przywódca protestów Lechosław Goździk proponował atak na czołgi koktajlami Mołotowa i metalowymi półfabrykatami z tutejszej kuźni. „Wtedy poczułem więcej niż dumę narodową – opowiadał mi Modzelewski w wywiadzie dla „Pisma". – Poczułem gotowość do walki zbrojnej. Jeśli butelkę z benzyną w jednym ręku oraz odkówkę w drugim można uznać za broń". Gdy spytałam, czy jego patriotyzm – nie z krwi, a z wyboru – czymś się wyróżnia, roześmiał się: „To nie jest sprawa, którą można określić hematologicznie".

W czasie gomułkowskiej „małej stabilizacji" wstąpił do PZPR i zaczął karierę naukową: był doktorantem u Andrzeja Gieysztora, prowadził zajęcia ze studentami, badał historię średniowiecza.

ALE O PAŹDZIERNIKOWYCH IDEAŁACH NIE ZAPOMNIAŁ. W 1964 r. razem z Jackiem Kuroniem, z którym zaprzyjaźnił się już na początku studiów, zaczęli pisać rewolucyjny manifest. Zauważali, że „biurokracja okradła klasę robotniczą z organizacji – upaństwowiła robotnicze organizacje, z ośrodków walki klasy robotniczej uczyniła je narzędziami swojej dyktatury przeciw robotnikom", i postulowali rządy proletariatu. Tekst chcieli powielić i rozdać w fabrykach; nie wiedzieli, że wśród kolegów mają wtykę SB. Aresztowani na 48 godzin i usunięci z partii, postanowili odtworzyć broszurę, już nie jako konspiracyjną instrukcję, ale „List otwarty do Partii", który przekazali uczelnianym organizacjom. Tym razem nie potraktowano ich ulgowo: Kuroń dostał trzy lata, Modzelewski pół roku więcej.

Wychowano ich w przekonaniu, że odsiadka nobilituje. „Mury i kraty były ważnymi dekoracjami, a kajdanki – ważnymi rekwizytami w teatrzyku mojej młodzieńczej wyobraźni" – pisał w „Zajeździmy kobyłę...". Więzienie w Barczewie różniło się jednak od wyobrażeń wyniesionych z romantycznych lektur: nie siedział z „politycznymi", ale z pospolitymi przestępcami. Musiał poznać zasady i słownik grypsery, nauczyć rozróżniać „człowieka" od „cwela" i uważać, żeby nie stać się tym ostatnim.

Dopiero teraz przekonał się, jak to jest być robotnikiem, a nawet strajkującym robotnikiem. Pracował w przywięziennym zakładzie obróbki drewna i razem z resztą zmiany odmówił przebrania się w strój roboczy, gdy kolejny dzień zabraniano im dostępu do papierosów. Akcja okazała się sukcesem: strażnicy zaprowadzili brygadę do kantyny.

Kiedy wyszedł warunkowo w sierpniu 1967 r., był już sławny, i to nie tylko w Polsce. „List otwarty" został wydrukowany przez paryską „Kulturę", a z czasem stał się tekstem kultowym dla komunizującej młodzieży po tamtej stronie żelaznej kurtyny.

Na wolności czekały na Modzelewskiego żona Bogna i córeczka Ewa. Nie wiedział, że ma dla nich tylko kilka miesięcy. Z tego czasu została fotografia: idą w trójkę, roześmiani, warszawską ulicą. Kadr jest trochę krzywy, ostrość nie najlepsza – zdjęcie zrobił z ukrycia agent SB.

PO WYJŚCIU OD RAZU WRÓCIŁ DO POLITYCZNEJ DZIAŁALNOŚCI: razem z Kuroniem stali się duchowymi przywódcami studenckich kontestatorów. Grupa, wśród której najbardziej wyróżniał się Adam Michnik, przeszła do historii pod nazwą komandosów: mieli zwyczaj spadać niczym desant na organizowane przez partię i ZMS zebrania i rozbijać dyskusje niesłusznymi pytaniami.

Pod koniec stycznia 1968 r. młodsi koledzy przynieśli Modzelewskiemu wiadomość, że władze zdecydowały o zdjęciu z afisza „Dziadów" Dejmka. „Moje mieszkanie było na podsłuchu – opisywał w autobiografii – więc wyrwałem kartkę z zeszytu i napisałem: »Zawiadomcie kogo się da, że spotykamy się przed spektaklem w hallu teatru, próbujemy wcisnąć się na widownię i po przedstawieniu skandujemy hasło: NIEPODLEGŁOŚĆ BEZ CENZURY!«". To jedna z sytuacji, które dały początek tzw. wydarzeniom marcowym.

W pomarcowym procesie znów został skazany na trzy i pół roku. Tym razem trafił do zakładu dla recydywistów w Wołowie. Z początku umieszczono go w izolatce, uważał więc, że ma komfortowe warunki: rano praca fizyczna, towarzystwo i świeże powietrze, po południu – praca naukowa, cisza i książki o historii średniowiecza. Bawiła go tabliczka, którą powieszono mu na drzwiach: „Starszy celi – Modzelewski Karol s. Zygmunta". Po kontroli bezpieki przeniesiono go jednak do kilkunastoosobowej celi i roboty na hali produkcyjnej, przy wiertarce stołowej. W gumofilcach, uszance i kufajce wyrabiał wymagane 240 procent normy. Dostał papiery ślusarza, którymi lubił się chwalić, ale nie udało mu się zrobić kursu spawacza, bo wydział penitencjarny uznał jego podanie za „jaja z więziennictwa".

Lata w kryminale nie złamały mu charakteru, ale rozbiły życie rodzinne. Gdy wyszedł w 1971 r., zabrał walizki od żony i wyprowadził się do matki. Wydawało mu się, że rozstanie jest bezbolesne, ale dla córki takie nie było: relacji z Ewą nigdy nie udało mu się odbudować.

NA UNIWERSYTET NIE MIAŁ JUŻ WSTĘPU, ale przyznano mu etat w Instytucie Historii Kultury Materialnej PAN we Wrocławiu. Latem 1973 r. na wykopaliskach w Sobótce poznał drugą żonę, Olę Janik: z zawodu położną, z zamiłowania archeolożkę. Przeprowadził się dla niej do Sobótki.

W 1976 r. dostał służbowe mieszkanie we Wrocławiu, w średniowiecznym więzieniu na rogu Nożowniczej i Więziennej. Był zachwycony tą ironią losu. Za prawdziwe kraty nie chciał już trafić, nie angażował się więc w powstający Komitet Obrony Robotników. Michnikowi i Kuroniowi miał powiedzieć, że „działania opozycyjne można podejmować w sposób odpowiedzialny tylko wtedy, gdy się z góry zakłada ewentualność więzienia i czuje do tego gotowość; inaczej istnieje ryzyko, że nie sprostamy próbie".

Oczywiście, czuł moralny dyskomfort: „Wybór między wartościami zawsze boli, a czasem pobolewa po latach niczym pourazowy reumatyzm. Ale nie żałuję" („Zajeździmy kobyłę..."). Wartością, którą wybrał, była praca naukowa: obronił doktorat o organizacji gospodarczej państwa Piastów, habilitował się na podstawie rozprawy o społeczeństwie longobardzkiej ↦

Na zjeździe Solidarności w Gdańsku, 1981 r.

JANUSZ UKLEJEWSKI / CAF / PAP

↦ i karolińskiej Italii, zebrał materiały do książki „Chłopi w społeczeństwie polskim".

Miał zabierać się do pisania, gdy wybuchły strajki 1980 r. Dowiedział się o nich na urlopie, z włoskiej gazety czytanej w zakopiańskim empiku. Pojechał do gdańskiej stoczni. „Ze zdumieniem i zachwytem patrzyłem, jak robotnicy ze strajkowej służby porządkowej wylewali na ziemię jedna po drugiej trzy butelki wódki, którą ktoś przemycił do strajkującego zakładu. Dookoła stali stoczniowcy i – choć widać było, że im żal marnowanego dobra – aprobowali postępowanie swoich kolegów zbrojnych w biało-czerwone opaski. Podczas strajku obowiązywała prohibicja".

ZOSTAŁ OJCEM CHRZESTNYM SOLIDARNOŚCI (zaproponował nazwę, podpatrzoną w tytule biuletynu strajkowego) i pierwszym rzecznikiem prasowym związku. Znów był gotowy na proces i celę.

Gdy 13 grudnia 1981 r. ZOMO otoczyło sopocki Grand Hotel, w którym kierownictwo „S" nocowało po obradach w stoczni, Modzelewski poszedł do pokoju Mazowieckiego. Była tam już cała grupa kolegów, zastanawiających się, co ich czeka. „Zapytałem, czy ktoś chce wziąć prysznic – wspominał. – Spojrzeli na mnie okrągłymi ze zdumienia oczami i zaprzeczyli. »To może ja« – powiedziałem i wszedłem do łazienki. Nie zachowałem się ładnie wobec kolegów. Z nich wszystkich tylko ja znałem regulamin więzienny i wiedziałem, że łaźnia jest raz na tydzień".

Najpierw internowano go w Strzebielinku, potem na Białołęce, wreszcie trafił do aresztu na Mokotowie. Tam napisał planowaną przed Sierpniem książkę o chłopach (w 1990 r. dostał za nią tytuł profesora). Wcześniej, w styczniu 1982 r., urodził mu się syn z nieformalnego związku. Nawet go nie zobaczył; wiedział tylko, że ma na imię Adam.

Śledztwo toczyło się pod zarzutem „zamiaru obalenia przemocą ustroju PRL", ale władze wycofały się z pomysłu pokazowego procesu. Modzelewskiego i pozostałych dziesięciu oskarżonych objęła amnestia z lipca 1984 r. Na wolności z przykrym zdziwieniem zauważył, że jego Solidarności już nie ma – coraz mniej było zaangażowanych robotników, coraz więcej inteligentów-antykomunistów. Rewolucyjny zapał znowu w nim ostygł.

III RP rozczarowała go już na początku: neoliberalne idee, które fascynowały tylu kolegów, uważał za truciznę, a plan Balcerowicza za zdradę ideałów. Miał za złe Kuroniowi, że jako członek rządu Mazowieckiego żyruje antypracowniczą transformację. Powtarzał, że w III RP z francuskiej triady została jedynie wolność, bo równość i braterstwo wykreślono. Marzył o demokratycznej lewicy z prawdziwego zdarzenia. Współtworzył Unię Pracy, ale szybko został politycznym outsiderem. Dawni przyjaciele nie chcieli go słuchać, dawni przeciwnicy zaczęli doceniać. Bolały go komentarze niektórych znajomych, gdy w 1998 r. razem z Kuroniem przyjmował z rąk Aleksandra Kwaśniewskiego Order Orła Białego.

> Gdy spytałam, **czy jego patriotyzm – nie z krwi, a z wyboru – czymś się wyróżnia,** roześmiał się: „To nie jest sprawa, którą można określić hematologicznie".

DOPIERO W DOJRZAŁYM WIEKU TRAFIŁA MU SIĘ DOJRZAŁA MIŁOŚĆ. Jako senator co tydzień występował w audycji wrocławskiej dziennikarki Małgorzaty Goetz, którą poznał jeszcze w czasach pierwszej „S". Pobrali się w 1994 r.: to był najtrwalszy i najszczęśliwszy z jego związków.

Kupili małe mieszkanie w bloku na warszawskich Bielanach. Gdy odwiedziłam ich tam w zeszłym roku, Modzelewski zaserwował mi anegdotę o zbieraniu gotówki na ten dom. Za namową Kuronia pożyczył dolary od Michnika, który był przekonany, że nigdy już tych pieniędzy nie zobaczy. Kiedy tylko Modzelewski odkuł się na „saksach", jak nazywał zagraniczne wykłady, przyszedł ze zwrotem. Michnik popatrzył zdziwiony i wyjąkał: „Prze... przecież dy... dy... dysydenci nie oddają pieniędzy".

Właśnie w tym mieszkaniu któregoś zimowego dnia 2002 r. pojawił się Adam Modzelewski. Miał 20 lat i chciał poznać ojca. Przez następne kilkanaście lat próbowali nadrobić stracony czas.

W 2004 r. ukazała się książka, którą Karol Modzelewski uważał za największe zawodowe osiągnięcie. „Barbarzyńska Europa", nagradzana i tłumaczona, odsłaniała ukryte korzenie europejskiej cywilizacji. Jeszcze większą karierę zrobiła opublikowana dziewięć lat później „Kobyła", napisana pod wpływem żony i przy wsparciu syna. Gdy odbierał za nią Nagrodę Nike, miał łzy w oczach. Wyglądał na oszołomionego: był zawodowym humanistą, ale nigdy nie uważał się za zawodowego literata.

CHWILĘ WCZEŚNIEJ PRZESZEDŁ PIERWSZY UDAR MÓZGU. Potem były kolejne: nazywał je pieszczotliwie „udarkami", bo choć miały liczne konsekwencje, nie paraliżowały trwale ruchu ani mowy. Ale trapiły go też inne dolegliwości – po latach w ciele odzywały się więzienne przeżycia „multirecydywisty".

Chyba właśnie ze względu na pamięć śledztw i spacerniaków (które ostatnio coraz częściej mu się śniły) tak głośno przestrzegał przed możliwością powrotu państwa policyjnego. I pewnie dlatego bez wahania w 2016 r. stanął w obronie oskarżonego o korupcję Józefa Piniora, przyjaciela z Solidarności. Gdy dostał telefon o rozprawie aresztowej, wsiadł w pociąg do Poznania, żeby złożyć poręczenie. Zabrał tylko kapcie – leki, których zapomniał, dowiozła mu żona.

Gdy dwa lata później nie dostał zaproszenia na państwowe obchody stulecia niepodległości, w ogóle się nie przejął. Miał ważniejsze sprawy na głowie: spacery z wnukiem, rozmowy z synem i synową, pielenie grządek i karmienie kotów na działce („Tak na mnie patrzą, że muszę do nich chodzić" – mówił w wywiadzie dla „GW"). Marzył o psie – obiecywał sobie, że gdy tylko przestanie tak często wyjeżdżać z Warszawy, weźmie jakiegoś kundla ze schroniska.

A jednak do końca czuł obowiązek wypowiadania się w sprawach publicznych. Ostatni raz zobaczyłam go w telewizji 17 kwietnia – w materiale „Faktów" dotyczącym zakazu używania logo, jaki Solidarność wydała Europejskiemu Centrum Solidarności. „Nazwa przylepiła się do związku, który ostatnio był łamistrajkiem w strajku nauczycielskim – mówił na tle działkowego żywopłotu. – Tamtej Solidarności już nie ma i nie ma co udawać, że ktoś jest jej przedłużeniem, bo nie ma przedłużenia. No nie przetrwała, jak widać. Smutne? Żeby pani wiedziała, jak mnie było smutno". Pomyślałam: „Całe szczęście, że jest jeszcze Karol Modzelewski".

©℗ KALINA BŁAŻEJOWSKA

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

Karola Modzelewskiego

człowieka wyjątkowego w swej szlachetności,
o wielkich zasługach dla Ojczyzny.
Był jednym z Ojców naszej wolności.
Wierny tradycji lewicy demokratycznej, niósł ducha Polski otwartej i oświeconej.
Obca mu była nienawiść i doktrynerstwo.
Był autorytetem moralnym i intelektualnym.

Jakże smutno, że nie spotkamy się 4 czerwca w Gdańsku!

Aleksandra Dulkiewicz
Prezydent Gdańska
wraz z gdańszczankami i gdańszczanami

POŻEGNANIE

28 kwietnia 2019 zmarł

prof. Karol Modzelewski

znakomity historyk, lider opozycji demokratycznej
i więzień polityczny w czasach PRL,
pierwszy rzecznik prasowy
i pomysłodawca nazwy NSZZ „Solidarność”,
senator, kawaler Orderu Orła Białego,
laureat Nagrody im. ks. Józefa Tischnera.
Uczestnik historii i rozumiejący ją obserwator,
autor przenikliwych i inspirujących diagnoz
oraz książek.
Dziękujemy za postawę, która dodawała odwagi,
przywracała wiarę w przyzwoitość,
stanowiła dowód, jak wielka jest siła
płynąca z autentycznie przeżywanych idei
i niezłomnego charakteru.

Przyjaciele ze Społecznego Instytutu
Wydawniczego ZNAK

POŻEGNANIE

Z ogromnym żalem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci

prof. dr. hab. Karola Modzelewskiego

wybitnego mediewisty, badacza problematyki
tworzenia się tożsamości europejskiej,

jednego z liderów opozycji demokratycznej w PRL
oraz NSZZ „Solidarność” w latach 1980–1981,

laureata Nagrody Fundacji
na rzecz Nauki Polskiej w 2007 r.

Rodzinie, Bliskim i Przyjaciołom Zmarłego
składamy szczere wyrazy współczucia.

Fundacja na rzecz Nauki Polskiej

LISI LOS

Jest najbardziej niesprawiedliwie traktowanym przez ludzi gatunkiem. Bo ze swoją nieludzko ludzką inteligencją jest do nas zbyt podobny.

MAŁGORZATA I MICHAŁ KUŹMIŃSCY

Najpierw pojawia się zapach. Uderza, dopada, wierci w nosie ostrym piżmem. Później pojawia się Freya.

Tułów wielkości średniego psa, trójkątny pyszczek z bystrą miną, bursztynowe, kocie oczy o pionowych źrenicach. Czarne uszy, skarpetki i biały kołnierz. Oraz spektakularna kita i gęste, zimowe jeszcze, płomienne futro. Sześć kilo rudego, puchatego piękna.

Freya jest lisicą. Mieszka w Skierniewicach, w wolierze na podwórzu domu Roksany Grochowskiej – pasjonatki, która szkoli się na trenerkę zwierząt. Ma cztery lata, 16 tysięcy fanów na Facebooku i dalsze 3,5 tysiąca na Instagramie. Choć daleko jej do takich lisich celebrytek jak Juniper (2,7 miliona fanów na Instagramie), to i tak znakomity wynik – bo jej rudych pobratymców od zawsze odsądza się od czci i wiary jako zwierzęta chytre, podstępne i szkodliwe.

Jak to możliwe, że tak niezwykłe stworzenia mają tak złą prasę?

Drapieżniczek

Proszę państwa, oto lis. Niewielki ssak z rodziny psowatych, *Vulpes vulpes*, zwany lisem rudym lub pospolitym. Rudzielec występujący od dalekiej Północy po afrykański Maghreb, od krańców Europy po Japonię i w całej Ameryce Północnej. Jeden z najbardziej rozpowszechnionych drapieżników.

Choć to bardziej drapieżniczek niż drapieżnik. Jak pisze Simona Kossak, lisy żywią się „gryzoniami, zającami i dzikimi królikami, leśnymi i udomowionymi kurakami oraz ptactwem wodno-błotnym, płazami, gadami i bezkręgowcami. Nie gardzą resztkami po większych drapieżnikach, a nieświeżą padlinę – uwielbiają. Pokarm urozmaicają sobie owocami i młodymi źdźbłami traw".

O zdobycz potrafią walczyć nawet z dużo większymi drapieżnikami jak orły. A niedojedzone resztki – lis ma dość mały żołądek – chowają na później, wykazując się fenomenalną pamięcią w odnajdywaniu spiżarni.

Chociaż należy do psowatych, lis zwyczaje polowania dzieli raczej z kotami. Skacze na ofiarę, łapiąc ją przednimi łapami. To niewielkie zwierzę potrafi skoczyć na wysokość dwóch i odległość pięciu metrów. Skuteczność zawdzięcza świetnemu słuchowi – ze stu metrów usłyszy pisk myszy. Świetnie słyszy przez śnieg, umie pod jego grubą pokrywą zlokalizować gryzonie. Widok lisa skaczącego z wyskoku na główkę w zaspę jest niezapomniany. Ale polując, używa też podstępu – udaje zdechłego, żeby zwabić padlinożerców, jak kruki czy wrony.

Dobrze się czuje i w leśnym odludziu, i na obrzeżach miast. To mistrz adaptacji i ekspansji, jeden z niewielu gatunków dzikich zwierząt nigdzie w zasadzie nie zagrożony wyginięciem. A zawleczony do Australii przez Anglików, chcących sobie tam urządzać nań polowania, sam zaczął wypierać miejscową faunę.

Dla człowieka lis nie jest zagrożeniem. Ale jest konkurentem. Potraktował obecność człowieka na swoim terytorium jako szansę: ludzkie obejścia stały się dlań źródłem łatwo dostępnego pożywienia. Tak dorobił się opinii szkodnika, łotra i złodzieja.

– Na dawnej, biednej wsi porwanie kury było problemem. A lis potrafi wybrać kilka kur z kurnika w ciągu jednej nocy – opowiada Marcin Kostrzyński, przyrodnik zajmujący się filmowaniem dzikich zwierząt. – Ale lisy oskarżano też o trzebienie kuropatw, zajęcy czy małych saren. Tymczasem to człowiek drastycznie wpływa na środowisko, wywołując łańcuch zmian prowadzących do ograniczenia bioróżnorodności. Ponieważ nie przyznamy, że to nasza wina, łatwiej obwinić złego lisa.

Nierzadkie przypadki wyduszenia kur bez ich zjedzenia lub wywleczenia do kryjówki miały świadczyć o rzekomo paskudnym charakterze lisa. Ale, jak tłumaczy dziennikarz przyrodniczy i ekolog Adam Wajrak, główną przyczyną nie jest zła natura lisa, lecz fakt, że czymś nienaturalnym jest kurnik. – Ewolucja uczy zwierzęta, że jedzenia zwykle brakuje, więc gdy jest, trzeba brać – mówi. – Zabić wszystkie kury, wynieść, zagrzebać, to z ewolucyjnego punktu widzenia sensowne zagranie. Tyle że z kurnika lis nigdy nie zdoła ich wszystkich zabrać.

A kury to bynajmniej nie podstawa lisiej diety. Kostrzyński opowiada o lisicy, którą długo filmował, gdy wychowywała młode. – Przynosiła głównie myszy, raz na jakiś czas trznadla i bardzo dużo śmieci. Resztki, folie, papiery z McDonalda. Kurę przyniosła raz, ale wyglądającą na rozjechaną. Pewnie znalazła ją przy szosie.

Bo dziś lis korzysta raczej z naszych śmietników niż kurników. Dr hab. Elwira Szuma z Instytutu Biologii Ssaków PAN w Białowieży jako przyczynę obserwowanych w swoich badaniach ewolucyjnych zmian w uzębieniu lisów wskazała m.in. „oportunizm żywieniowy" tych zwierząt. – Ich uzębienie zmienia się powoli z typowego dla drapieżników na typowe dla wszystkożerców – tłumaczy Adam Wajrak. – Lis zje bułkę, zje owoce. To super kumate, świetnie uczące się zwierzę.

Przechera

Współżycie człowieka z lisem naznaczone jest od zawsze wzajemną nieufnością i mieszaniną podziwu z odrazą. Jak pisze prof. Martin Wallen, Arystoteles w swoim uniwersalnym, opartym na teorii żywiołów systemie umieścił lisa na przeciwległym względem człowieka końcu skali: chtoniczny, czyli związany z żywiołem ziemi, lis zdawał się mu przeciwieństwem istoty ludzkiej, w której żyłach płynie szlachetna krew, a członki ożywia tchnienie duszy. Bo im bliżej ziemi, tym stworzenie według Arystotelesa mniej szlachetne, bardziej amorficzne, niedookreślone. Bliższe pradawnym siłom przyrody, potężnym, choć niebezpiecznym. Charakteryzując lisa, Arystoteles używa przymiotnika *panourgos*, co można przetłumaczyć jako „niegodziwy", „podły", „nikczemny". Lukrecjusz zaś, dostrzegając w lisie swego rodzaju inteligencję w dostosowywaniu się do środowiska i skuteczność w ukrywaniu swoich zwyczajów przed człowiekiem, określił lisa przymiotnikiem *dolus*, czyli „przebiegły".

Wraz z bajkami Ezopa lis wkracza do kultury jako bohater. Jako *trickster*. Mitologie znają figurę trickstera od tysiącleci – to takie bóstwo lub półbóg, które w mitycznym uniwersum sieje ferment, idzie pod prąd, miesza, płata mieszkańcom zaświatów figle, kłamie, kradnie, niszczy. Nie jest to jednak postać jednoznacznie negatywna, raczej niejednoznaczna. W mitologii nordyckiej to Loki, w greckiej – Hermes, słowiańskiej – Weles. W mitach afrykańskich to ulubiony przez Neila Gaimana pająk-Anansi. A w inkaskiej – właśnie Lis.

Trickster jest ruchliwy, przebiegły, inteligentny i buntowniczy, ma poczucie czarnego humoru i skłonność do bezinteresownego niszczenia. W mitologiach jego istnieniem tłumaczy się niedoskonałość świata, nieustanny przepływ energii niszczycielskiej i twórczej, w którym korzenie ma cykliczność natury.

Nastanie chrześcijaństwa opinii lisów nie poprawiło. Przeciwnie: lis – złodziej, obłudnik, wiarołomca, a zarazem inteligentny ↦

OLGA ITINA / ADOBE STOCK

↦ i czarowny, nabiera cech lucyferycznych. Diabelskich. Stał się jednym ze stworzeń kojarzonych z czarami i działalnością czarownic. Wiedźmy, wierzono, umiały się zmieniać w wilka, zająca lub lisa.

Antybohaterem średniowiecznej popkultury stał się lis Reynard (w wersji francuskiej Renart, w niemieckiej Reineke, w łacińskiej Renartus), wodzący za nos całą zwierzęcą społeczność *trickster*, który za swe grzechy kończy na szubienicy. Reynard, jako buntownik przeciwko feudalnej władzy i instytucjonalnemu Kościołowi, zyskał podziw i sympatię ludzi wypartych poza skostniałe struktury społeczne średniowiecza: mieszczaństwa, niezależnych rzemieślników, rodzącej się klasy profesjonalistów.

Co jest w małym rudym przecherze, że przez wieki budził tyle negatywnych emocji nie tylko wśród drżących o drób chłopów, ale też wśród filozofów, władców i kaznodziei? Za koronę stworzenia uznawany był człowiek, a zwierzę im bardziej do człowieka podobne, tym wyżej w hierarchii istot żywych się znajdowało. Patrząc na naturę, wartościujemy dodatnio to, co nam podobne i dające się opisać w ludzkich kategoriach. Jak pies – to wierny. Orzeł – odważny. Sowa – mądra. Tymczasem lisia inteligencja, ciekawość, przebiegłość i spryt – też cechy ludzkie, choć dwuznaczne – burzyły klasyfikację. Bo jakim cudem stworzenie dalekie od człowieka wykazuje takie cechy? Toż musi to być jakaś diabelska sztuczka. W dodatku lis od człowieka stroni, nie daje się udomowić (bo i po co?), trzyma swoje sekrety z dala od ludzkich oczu, chowa się w jamach, a więc blisko drzemiących w ziemi, niebezpiecznych, pradawnych mocy. Obecność tak ludzkiej, choć nieludzkiej inteligencji w przyrodzie była dla człowieka trudna do zaakceptowania.

– Ludzie nie lubią lisów, bo są skuteczne – mówi Wajrak. – Lis jest „chytry", bo potrafi ograć człowieka. Za „piękne" i „dobre" uważamy raczej zwierzęta, które dają się nam łatwo zabijać, jak jelenie.

A zatem – jakie lisy są naprawdę?

Matka

Według Marcina Kostrzyńskiego lis to najbardziej niesprawiedliwie traktowany przez ludzi gatunek. – Takie poświęcenie, oddanie i pracę, jakie w wykarmienie swoich pięciorga młodych wkładała lisica, którą obserwowałem, trudno byłoby znaleźć w całym lesie – opowiada. – Nie spała, nieustannie biegała po myszy dla nich, a gdy sama zatrzymywała się na krótko, żeby coś zjeść, młode garnęły się pić jej mleko. Stawała, zipała, karmiła je, zrywała się i biegła po kolejne myszy.

Przynosiła też lisiątkom zabawki: wspomniane papiery po żywności, a nawet kapeć. – Przecież nie przyniosła go im do jedzenia – mówi przyrodnik. – Biegały z nim i szalały, bo dostały zabawkę od mamy. O to bym lisów nie podejrzewał: że chcą potomstwu umilić dzieciństwo.

Macierzyńskie oddanie lisicy Kostrzyński porównuje do relacji we współczesnych rodzinach. – Była zupełnie jak mama wracająca w piątek wieczorem z pracy, totalnie padnięta, a tu liski się cieszą, że mama wróciła. Liżą ją, a ona rezygnuje z chwili spokoju dla siebie, żeby się z nimi pobawić.

Kostrzyński opowiada też o lisiej inteligencji, która pozwala im oceniać ludzi.

– Spotkałem raz lisa, który nie bał się pilarzy – mówi. – Gdy był mały, musiał się zgubić albo stracić matkę, i podszedł do ogniska, gdzie pracownicy leśni jedli kanapki. Rzucili mu coś do jedzenia. Nazajutrz mały lis już tam na nich czekał. Stał się ich ulubieńcem. Żeby go sfilmować, musiałem pożyczyć piłę motorową, bo miał zaufanie tylko do ludzi z piłami, grzybiarzy unikał. Był więc w stanie wartościować.

Za to przebiegłe są lisy niewątpliwie.

Przyrodnik wspomina rudzielca spotkanego na grani w Wysokich Tatrach. – Biegł sobie zwinnie po skałach, przeraziłem się, że gdy mnie zobaczy, wystraszy się i spadnie – mówi. – A on, gdy mnie dostrzegł, uniósł przednią łapę i zaczął udawać kulawego. Wiedział, że kulawy lis dostaje od turystów lepsze napiwki. Tak mnie rozbroił, że oddałem mu ostatnią kanapkę.

Kanapka była tylko z masłem. Lis wziął ją i ostentacyjnie zakopał, obdarzając Kostrzyńskiego ponurym spojrzeniem. – Bez szynki? Bez sera? – śmieje się przyrodnik. – Tak na mnie popatrzył, jakbym się nie umiał zachować.

Gwiazda

– Po pierwsze, lisy są ciekawskie – odpowiada na to samo pytanie Roksana Grochowska. Frei ta cecha pomaga w treningu. – Nawet jeśli na początku nie oswoiła się z jakimś bodźcem, np. z hałasem, to w każdym momencie życia można to nadrobić, bo ciekawość zawsze wygra.

Freya bierze udział w sesjach zdjęciowych, zagrała też m.in. w „Ułaskawieniu" Jana Jakuba Kolskiego. – Zaczyna gwiazdorzyć – śmieje się trenerka. – Wchodzi na plan z nastawieniem, że może wszystko i nic jej nie rusza.

Po drugie, lisy, jak mówi Roksana, są jak wieczne dzieci. – To nieustanna radość życia.

Freya dzieli podwórko z Vee, psem faraona. Na jej widok cieszy się jak niepoważna. Wywraca się na grzbiet, machając frenetycznie ogonem. Ale Vee ujada. – Lisy mają przeciwną do psów mowę ciała, dlatego je frustrują – tłumaczy Roksana. – Dla psa to, co zrobiła Freya, oznacza równocześnie „poddaję się" i „pobawmy się".

Za to ludziom dobry humor lisy manifestują jednoznacznie. Zadowolony lis naprawdę się uśmiecha, trzymając uszy na sztorc.

Po trzecie, lisy są bardzo terytorialne. – Coś z tą chytrością jest na rzeczy – śmieje się trenerka. – Wszystkie przedmioty, jakie im wpadną w łapy, ale też jedzenie, a nawet wodę, znaczą swoim moczem.

To wyjaśnia drażniący, skunksi zapach: śmierdzi otoczenie lisa, ale nie sam lis. Owszem, mała to pociecha dla sąsiadów Roksany, gdy podczas grillowania w ogrodzie nagle zawieje lisem.

Ale chociaż Freya z facebookowych zdjęć zdolna jest roztapiać serca najbardziej zatwardziałych kuśnierzy, nie jest bynajmniej słodką maskotką. Jest dzikim zwierzęciem. A cechą dzikich zwierząt na pewno nie jest przyjacielskość.

– Potrafi być wredna – przyznaje Roksana. – Jest bardzo drażliwa, rzadko pozwala się dotykać. No i niszczycielskie zapędy ma od zawsze – dodaje, a Freya tymczasem zawzięcie rujnuje stertę budowlanego piasku, rozkopując ją i roznosząc po podwórzu.

Lis jest dzikim zwierzęciem – to ważne, bo w erze Instagrama lisia fama właśnie się zmienia. Lisie profile, jak wspomnianej Juniper (której fani są skłonni kupować obrazki z odciskami jej

MAŁGORZATA FUGIEL-KUŹMIŃSKA

łapek za 200-300 zł) czy ekologów i weterynarzy ratujących lisy po wypadkach, przysparzają lisom wielbicieli.

A to niekoniecznie ma dobre skutki.

Towarzysz

– To pewnie też trochę moja wina i mojego Facebooka – mówi Roksana.

Freya nie jest lisem uratowanym z piekła futrzarskiej fermy. – W USA są programy adopcyjne – mówi trenerka. – Można tam przygarnąć lisy odebrane z ferm przez fundacje. Szuka się lisowi domu, w dokumentach adopcyjnych zaznacza, że musi mieć np. klatkę na zewnątrz.

Freya została kupiona z hodowli. Tak, w Polsce są już hodowle lisów. A to znaczy, że na lisy jest w Polsce popyt. I to znaczny. W internecie bez trudu można znaleźć oferty „lisów domowych" za 1000-3000 zł, a w sieciach społecznościowych zdjęcia lisów na sofach, w łóżkach i na dywanach.

– Jestem zdecydowaną przeciwniczką trzymania lisów w domu – mówi trenerka Freyi, która ogromną część życia musiała dostosować do potrzeb lisicy. Zmieniała pracę jak rękawiczki, żeby mieć dla niej jak najwięcej czasu, szkoli się, Freya ma do dyspozycji ogród, a codziennie robią razem kilkanaście kilometrów po lesie. – Tymczasem – wzdraga się Roksana – ludzie chcą mieć lisa w bloku. Nie wiedzą, na co się piszą. Średnio dwa-trzy tygodnie po sezonie rozrodczym zaczynają się w sieci ogłoszenia typu „oddam lisa".

– Nie potrafimy sobie poradzić ze zwierzętami, które już udomowiliśmy, jestem zdecydowanie przeciwny udomowieniu kolejnych – mówi Adam Wajrak. I przywołuje „Małego Księcia", zauważając na marginesie, że to jedna z niewielu książek, gdzie lis jest postacią pozytywną: – Oswojenie oznacza odpowiedzialność. Miejsce lisa jest w naturze. Może być naszym towarzyszem, odwiedzać nas w ogrodzie, możemy go obserwować, ale nie trzymać w domach.

Roksana przypomina, że wbrew mitom, które można wyczytać w sieci, nie istnieją „lisy domowe". – Ludzie często mylą udomowienie z oswojeniem, a to duża różnica – mówi. Mimo takich kontrowersyjnych eksperymentów z udomowieniem lisa, jak te z Instytutu Cytologii i Genetyki w Nowosybirsku, ludziom nigdy nie udało się z tych stworzeń zrobić „lisów kanapowych". I całe szczęście.

Lis nigdy nie będzie „zupełnie jak pies" czy kot. Bo jest lisem.

Mediator

A lis to stworzenie wyjątkowe, bo wymykające się kategoriom, graniczne. Ani nie leśne, ani nie polne, w dodatku bezczelnie penetrujące pogranicze świata ludzi i tajemniczego świata natury. Przenika postawione przez człowieka bariery. Ma w sobie trochę z psa, trochę z kota i łasicy, ale nie jest jak żadne z nich. Lis jest liminalny, marginalny, ambiwalentny. Jest stworzeniem mediacyjnym.

To dlatego w wielu kulturach wierzono, że lisy penetrują również pogranicze tego i tamtego świata. W kulturze celtyckiej są przewodnikami zmarłych w zaświatach. Zupełnie wyjątkowym statusem cieszą się zaś w kulturze japońskiej – to stworzenia nadprzyrodzone, duchowe, demoniczne. Lisy – w ludzkiej skórze – funkcjonują wśród ludzi i nie budząc podejrzeń zajmują się swoimi lisimi sprawkami (trochę jak czarownice, ale w drugą stronę). W szintoizmie lisy są pośrednikami między ludźmi a bóstwem Inari i należy im się niemal boska cześć. Ale lisy mogą zarówno przynosić szczęście, jak i szaleństwo, prowadzić i zwodzić na manowce.

Zdejmując z lisa odium niesprawiedliwych stereotypów, nie musimy z niego od razu robić maskotki. Miejsce lisa jest na pograniczu świata natury, w którym fascynujące jest właśnie to, że się nam nie poddaje.

Może właśnie dlatego, tak jak zwierzętom przypisujemy znane nam kategorie, tak do opisu najbardziej zdumiewających zjawisk natury używamy metafor ze świata zwierząt. Na przykład tajemnicza i zjawiskowa zorza polarna nazywana jest na północy „lisim ogonem".

©℗ MAŁGORZATA I MICHAŁ KUŹMIŃSCY

Korzystaliśmy m.in. z Martin Wallen „Fox", Reaktion Books, Londyn 2006.

Roksana Grochowska z Freyą, Skierniewice, kwiecień 2019 r.

STANISŁAW

Mancewicz:
O rzeczach strasznych

Przydałoby się solidne opracowanie na temat mniemań obecnie administrujących tutejszą kulturą. Idzie nam o wydobycie subtelności z niesubtelnego, a nie o łomot. Garść spokojnych, szczerych, autoryzowanych wywiadów, prowadzonych w pogodnej atmosferze, przy kufelku zimnego piwa i solidnej porcji kebabu. To być może pomogłoby nam pojąć owo widzenie piękna, sztuki, literatury i kina. Szkoda wielka, że niczego dziś o tych sprawach nie można się dowiedzieć prócz wulgarnych odgłosów, wywołanych choćby widokiem banana w buzi.

Ponieważ nie kryjemy naszej własnej szarości i chyba gruntownego braku orientacji, wyznać wypada na początku, że (co wydać się może masom ogromnie śmieszne i kompromitujące) banan nie wzbudza u nas żadnych wzmożeń. Nie tylko banan jedzony, ale wiszący na drzewie czy leżący w pudle, takoż zgasła świeca, ogórek bądź szparag, ale też trzonek od łopaty czy drzewce od chorągwi – żaden z tych kształtów nie wywołuje u nas reakcji. Nasz centralny układ nerwowy jest głuchy jak pień na te atrakcje. Podobnie układy mu podwładne. Oto nie skacze nam ciśnienie, a poziomy cholesterolu, testosteronu czy alkoholu leżą w środku skali. Jeżeli coś nam się bananowo kojarzy, to śliska skórka. Nie są to jednak wielkie emocje, od bardzo już dawna bowiem nie chodzimy do podstawówki.

Oczywiście, dobre jest pytanie, czy przedstawienie jedzenia banana w muzeum jest sztuką. Nie ma głupich pytań, są tylko głupie odpowiedzi. Odpowiedzi dobrych i z sensem jest na ten temat mnóstwo, nawet na temat obecności w muzeum – o zgrozo – pisuaru. Wychodzimy tu z założenia, że zawsze lepiej sobie poczytać, nim się człowiek bez powodu rozpłacze albo byle czym podnieci. Zważyć należy, że zanim zrobimy cokolwiek, wypada zadać sobie pytanie, po co są muzea i po co się do nich chodzi. Otóż łatwiej powiedzieć, po co nie chodzić, a odbiorcą takiej instrukcji winien być – jak widać – głównie wyznawca tutejszej prawicy. Otóż naprawdę nie ma sensu wkładać butów, jeśli idzie się do muzeum, teatru lub kina w celach tylko fizjologicznych. Nie ma takoż obowiązku, tak jak nie ma konieczności, by wszystko w muzeum musiało się każdemu podobać i dla każdego było pojmowalne. Poszukiwanie rozrywki, jaką jest dla wielu uczucie zgorszenia i buzującego oburzenia, jest proste, łacno je znaleźć przecież gdziekolwiek. Lepiej poleżeć pod kocem. Dość już tych poczciwości.

Prawicowy ogląd świata – nasze hobby obserwacyjne od dawna – to rozdzierająca skłonność do bezustannego rozmyślania o nagości i seksie bądź do pisania o tych sprawach w sposób jeszcze bardziej rozdzierający. Jest na to dowodów mnóstwo, choćby w licznych powieściach Bronisława Wildsteina, który przekopał się na drugą stronę Odry i Nysy Łużyckiej, by na tamtym brzegu wgryźć się w estetykę tego typu piśmiennictwa rozrywkowego. Czy z tego powodu ktoś rozpacza? Oburza się? Gania z bekiem do Glińskiego? Skądże. Mamy z tego zawsze kupę śmiechu. Roztropni ludzie dają Wildsteina bądź starowinkę Bratnego do czytania milusińskim, by ci wiedzieli, czego się w życiu intymnym i artystycznym wystrzegać. Jeśli oczywiście nie chcemy, by potomek został zapaśnikiem lub osobnikiem o wrażliwości ślusarza. Taka też bywa rola literatury, nawet bardzo niedobrej. Niby banał, ale nie dla wszystkich.

Długi weekend spędziliśmy nad jałowymi rozmyślaniami, jakże winno wyglądać wzorcowe, prawicowe muzeum sztuki, bo klimat pisarstwa i koncepcje ekspozycji historycznych już mniej więcej znamy. Co tam właściwie mogłoby się znaleźć prócz „Hołdu pruskiego” czy „Kościuszki pod Racławicami”? Nic. Sukcesów oręża nie wolno rozrzedzać sztuką szerzej niezrozumiałą i zdegenerowaną. To niestety tylko założenie, wciąż w sferze marzeń i teorii. W praktyce bowiem, w najbliższym sąsiedztwie tych świadectw glorii, w Sukiennicach, wciąż wisi goła rudowłosa babka, pożerająca nie małego banana, ale naturalnych rozmiarów, ohydnie pobudzonego, czarnego konia. Wstyd, hańba i niedopatrzenie. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

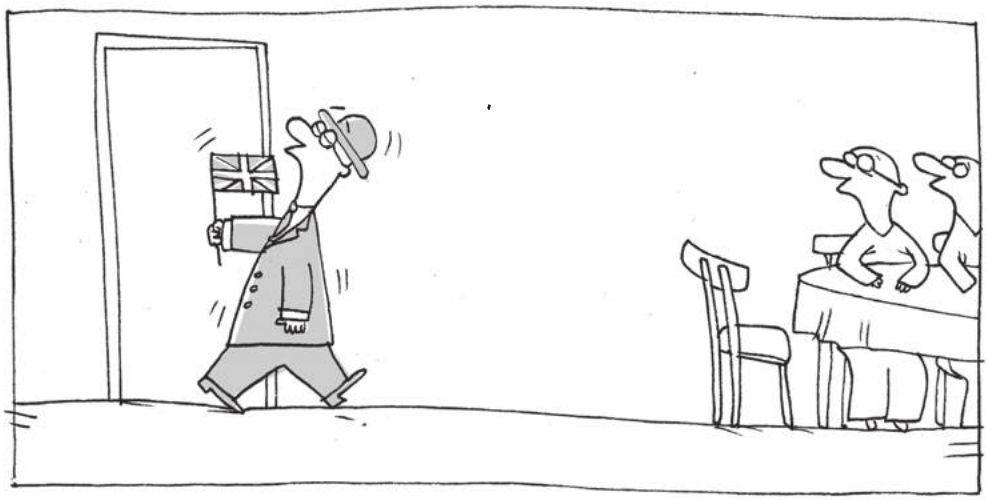

weź, czytaj!

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”
W PRENUMERACIE
4 wydania* **wraz z dostawą do domu**
za **69 zł**

**

* oferta dotyczy 4 kolejnych nadchodzących wydań (3, 4/2019 oraz 1, 2/2020). Zamów je na powszech.net/prenumeruj
** okładki przedstawiają wydania archiwalne – chcesz je otrzymać? Napisz: zamowienia@tygodnik.com.pl

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	349 zł	419 zł
Półroczna (26 numerów)	215 zł	249 zł
Kwartalna (13 numerów)	115 zł	129 zł
Pokolenia*	300 zł	
Karta Dużej Rodziny**	300 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	399 zł	469 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	360 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	360 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

COPERNICUS
FESTIVAL

COPERNICUS FESTIVAL 2019: JĘZYK

JĘZYKI

PAUL DAVIES

ELŻBIETA TABAKOWSKA

JERZY BRALCZYK

CHARLES TAYLOR

DANIEL EVERETT

WWW.COPERNICUSFESTIVAL.COM

21–26.05.2019

Kraków
PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI W KRAKOWIE

Copernicus Center

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY